

Nowa gwiazda z list bestsellerów „New York Timesa” i Top 5 Amazonu  
nazwana MISTRZYNIĄ ZMYŚLOWOŚCI

# GRACE BURROWES



## Chwila zapomnienia lady Eve



Romans historyczny

*Burrowes Grace*

*Córki księcia Windham 04*

*Chwila zapomnienia lady  
Eve*

Przekład  
Katarzyna Przybyś-Preiskorn

*Mojej ukochanej córce,  
od której dowiedziałam się więcej o miłości  
niż od kogokolwiek innego w moim życiu  
i dzięki której znów jeżdżę konno.  
Heather, to, że jestem twoją mamą,  
jest dla mnie największym przywilejem i największą radością.*

## 1

Milordzie, to, czego chcesz dokonać, jest niemożliwe.

Earnest Hooker wygłosił tę ocenę zamiarów markiza Deene'a, nerwowo przerzucając na biurku teczkę z aktami. Gdy cisza, jaka zapadła po tych słowach, przeciągała się za długo, prawnik poprawił fular na szyi, odchrząknął i przesunął kałamarz o kilka cali w stronę suszki umieszczonej na środku olbrzymiego blatu.

Dwaj jego pomocnicy obserwowali klienta z bezpiecznej odległości. Bez wątpienia spodziewali się, że hołdując rodzinnej tradycji, wybuchnie gniewem i zacznie rzucać w nich wszystkim, co mu wpadnie w rękę.

Lucas Denning, od niedawna markiz Deene, wyciągnął złoty zegarek, który dostał od Marie po ukończeniu uniwersytetu. Mechanizm nie działał, bo sprężyn nie nakręcono w odpowiednim czasie, ale Deene mimo to popatrzył na cyferblat, zanim się odezwał.

- Niemożliwe, Hooker? Niezmiernie mnie ciekawi, z jakiegoż to powodu prawnik ucieka się do takiej przesady.

Dwaj kanceliści nerwowo popatrzyli na siebie, gdy Hooker podniósł wzrok znad akt.

- Milordzie, nie możesz przecież tak po prostu zabrać komuś jego dziecka z prawego łóża. - Tłuste, białe jak lilie dłonie Hookera w dalszym ciągu bawiły się urzędniczymi rekwizytami na biurku. - Chodzi wprawdzie tylko o dziewczynkę, ale nie zmienia to faktu, że dziecko należy do ojca, mówiąc najprościej. Sądy nie są po to, by zaspokajać ludzkie kaprysy, więc proszę nie liczyć, że wyrwą dziecko spod opieki ojca i przełożą je... Waszej Lordowskiej Mości. Nie masz własnych

dzieci, milordzie. Nie masz żony ani żadnego doświadczenia w wychowywaniu dzieci i musisz dopiero postarać się o dziedzica rodu. Nawet gdyby ten człowiek był słaby na umyśle, sąd prawdopodobnie rozważyłby wszystkie inne możliwości, zanim powierzyłby ci dziecko, panie. Deene zatrzaskała wieczko zegarka.

- Jej matka wyraziła taką wolę na łożu śmierci. Byłem przy tym i to powinno się liczyć. Wellington często wspominał o mnie w swoich raportach.

Jeden z kancelistów postąpił krok do przodu. Wyglądał jak zaszuszone, wymizierowana kopia Hookera, tyle że miał mniej podbródków i większą łysinę.

- Milordzie, jeśli będziesz powoływał się na ostatnią wolę zmarłej, twoja sprawa wyląduje w Sądzie Lorda Kanclerza. Jeśli szczęście ci dopisze, rozpatrzą ją, zanim dziewczynka osiągnie pełnoletniość. Zapewnienia księcia Wellingtona o twoim męstwie i waleczności na polu bitwy są chwalebne, tylko że wychowywanie dzieci, a w szczególności młodych dziewcząt, ma niestety niewiele wspólnego z wojną z Korsykaninem.

Stonowane słowa skrywały zniewagę, ale też i prawdę. Każdy londyński zamiatacz ulic wiedział, że odwoływanie się do Sądu Lorda Kanclerza jest bezcelowe. Kancelista wcale nie przesadzał, wspominając o długości procesów i o nieprzewidywalnych wyrokach tej instytucji.

- Przykro mi, milordzie. - Hooker wstał. Deene pozostał w fotelu. - Jesteśmy gotowi służyć markizowi we wszystkich sprawach prawnych, ale w tym przypadku muszę niestety doradzić rezygnację. Uczciwość mi to nakazuje. Teraz i Deene wstał, czerpiąc odrobinę satysfakcji z tego, że może spojrzeć z góry na bezużytecznych gryzipiórków, których rodziny miały dach nad głową i wikt z jego łaski.

- Mimo wszystko napiszcie petycję.

Wyszedł z kancelarii, walcząc z przemożnym pragnieniem, by cisnąć czymś o ziemię, wrzucić idiotyczne akta Hookera do ognia, złapać pogrzbacz i roztrzaskać nim kilka sprzętów. Z trudem się opanował.

- Milordzie?

Trzeci z urzędasów odważył się wyjść za nim, co dawało markizowi cudowną okazję, by wylądować długo hamowaną frustrację - bo

markizowie nie miewają ataków furii - ale Deene w porę spostrzegł, że podaje mu doskonale skrojone, skórkowe rękawiczki.

- Dzięki. - Chciał mu je wyrwać z ręki, ale ku jego konsternacji ów człowiek trzymał je mocno, jakby chciał się siłować.

- Czy Jego Lordowska Mość zechce poświęcić mi jeszcze chwilę? Urzędnik puścił rękawiczki. Zdarzenie było na tyle zaskakujące, że Deene, mimo gniewu, uświadomił to sobie. Potyczki między prawnikami z firmy Hooker & Sons a kolejnymi markizami Deene były tradycją, ciągnącą się od pokoleń.

- Mów. - Deene naciągnął pierwszą rękawiczkę. - Widzę, że aż piszczysz, żeby podzielić się ze mną jakimś okruczem wiedzy prawniczej, który twoi komilitoni postanowili przede mną ukryć.

- Nie tyle wiedzą prawniczą, ile podszeptem zdrowego rozsądku, milordzie. - Mężczyzna spojrział przez ramię na zamknięte drzwi biura. - Nie odbierzesz dziewczynki ojcu prawnymi środkami, ale są przecież inne sposoby.

Miał rację. Większość z nich była sprzeczna z prawem, niebezpieczna, niemoralna - i kusząca.

Deene szarpnięciem włożył drugą rękawiczkę.

- Jeśli go sprowokuję do wyzwania mnie na pojedynek, Dolan zyska szansę położenia kresu mojemu życiu, miły panie, a wykorzystanie mojej kuzynki jako wyłącznego spadkobiercy i wysuwanie w jej imieniu roszczeń byłoby fatalnym rozwiązaniem. Wcale mi to nie odpowiada.

Mężczyzna, sporo młodszy od pozostałych dwóch, był w typie naukowca - chudy mól książkowy z okularami w drucianych oprawkach na nosie. Wyprostował się, szykując do przemowy.

- Nie mam na myśli zabójstwa, milordzie, ale każdy człowiek ma motywacje. Powszechnie wiadomo, że jej ojciec nade wszystko ceni sobie status społeczny i bogactwo.

Jak każdy parweniusz.

- Do czego zmierzasz?

- Jeśli zaproponujesz mi, panie, coś, co będzie dla niego ważniejsze niż dręczenie cię sprawą tej dziewczynki, może zechce się z nią rozstać. Twój problem nie jest natury prawnej, więc może rozwiązania też nie trzeba dochodzić prawem.

Nawet jeśli słowa młodego człowieka miały sens, Deene był zbyt rozgniewany, by go uchwycić.

- Dzięki. Rozważę inne możliwości, poza drogą prawną. Do widzenia.
- Milordzie, nie o to mi chodzi...

Deene zbiegł po schodach i zniknął za drzwiami, zanim ten półgłówek zdążył dokończyć zdanie.

Na szczęście dla wszystkich, którzy stanęliby mu na drodze, stangret właśnie wyprowadzał powóz zza rogu. Deene wskoczył do środka, zanim idące spokojnym stępem konie zdążyły się zatrzymać.

Anthony Denning z nieprzeniknioną miną złożył „Timesa”.

- Jak tam twoje biurowe szcurki? Coś ci doradziły? Deene usiadł obok niego, twarzą do kierunku jazdy.

- Od pierwszej chwili, gdy się tam znalazłem, robili wszystko, żebym rozniósł całe biuro w perzynę.

- Wuj powiedział kiedyś, że to najlepszy sposób zwrócenia na siebie ich uwagi. - Deene gapił się w okno, wiedząc, że Anthony po prostu stara się podtrzymać rozmowę. - Jego ataki furii dawały mu poczucie siły, ale kosztowały ogromne pieniądze i przyniosły mu reputację niebezpiecznego wariata.

Anthony odłożył gazetę, gdy Deene wymierzył laską dwa solidne szturchnięcia w dach powozu. Konie ruszyły klusem, ale dwie ulice dalej znowu przeszły w stępa.

- Powiniennem pojechać wierzchem.

- Powinieneś wziąć mnie z sobą - odpowiedział Anthony. Potrafił umiejętnie ukryć pretensję i w jego głosie zamiast wyrzutów zabrzmiał smutek, że znów odmówiono mu okazji, by służyć pomocą.

- Będzie z ciebie kiepski markiz, kiedy Dolan wyśle mnie na tamten świat, Anthony. Dzięki za pomoc, ale to osobista sprawa. Anthony nie różnił się wyglądem od reszty Denningów, tak jak jego kuzyn: błękitne oczy, falujące blond włosy, szczupła sylwetka i regularne rysy. Wyglądałby jak markiz Deene, ale nigdy by nie był zdolny do wybuchów furii, nałogowego pijaństwa i rozwiązłości, których socjeta oczekiwała od arystokratów. Za to był doskonałym nadzorcą, kierującym mnóstwem zarządców w majątkach Deene'a, za co kuzyn żywił dla niego bezgraniczną wdzięczność.

- Po południu wezmę Bestię na przejażdżkę, zanim całe towarzystwo zjawi się w parku. A wieczorem trochę zaszaleję, żeby sobie poprawić humor.

Anthony z uśmiechem podniósł gazetę.

- Po zakończeniu żałoby trzeba się wyszaleć. Kiedy zacznie się sezon, będziesz tańczył walca całymi nocami. Potem zaczną się niezliczone kolacje i polowania, bo każda ambitna mamusia będzie cię chciała złapać na smycz dla swojej córeczki.

- Jeśli chcesz mnie pocieszyć, kuzynku, to ci się zupełnie nie udało. Chociaż prawnicy wspominali, że żonaty mężczyzna miałby w sądzie większe szanse niż kawaler.

Co za ponura, nieprzyjemna myśl.

Upadek lady Eve Windham wydarzył się w jej szesnaste urodziny. W oczach socjety był to tylko groźny upadek z konia.

Rodzina Eve wiedziała, że był to też upadek w sensie towarzyskim, zaś sama Eve nie wątpiła, że stało się coś jeszcze bardziej katastrofalnego. Pęknięte lewe biodro i lewy nadgarstek były niczym wobec złamanego serca, ale tak jak ono wymagały długich lat rekonwalescencji. Minęło siedem lat - ponura, biblijna miara czasu - a ona wciąż nie odważyła się dosiąść konia.

Serca także nie uleczyła.

Ani jedno, ani drugie nie miało jednak większego znaczenia, bo Eve była najmłodszą córką księcia Moreland. Windhamowie mieli tak wysoką pozycję społeczną, że szczegóły dziewczęcej eskapady nigdy nie dosięgły uszu plotkarzy, oszczędzając jej wielkiego skandalu, który, choć kłopotliwy i nieprzyjemny, w tej rodzinie należał do tradycji. Wielkie skandale zdarzały się u nich równie często jak wizyty krewnych, i tak też je traktowano. Jego Wysokość dorobił się dwojga nieślubnych dzieci, poczętych na szczęście przed odziedziczeniem książęcego tytułu, a także - dzięki Bogu - przed poślubieniem księżnej.

Prawie żadne z pierwородnych dzieci w tej rodzinie nie przyszło na świat w przepisowym terminie dziewięciu miesięcy. Szczerze mówiąc, jak sięgnąć pamięcią, Windhamom zawsze rodziły się same wcześniaki, nawet dziadkowi obecnego księcia. Pomimo tego wszystkie były silne i zdrowe od pierwszych chwil życia.



Siostry Eve cudem wywinęły się od rodzinnej klątwy. Maggie i Sophie po ślubie urodziły dzieci w takim terminie, jakby obie poczęły w noc poślubną. Trzecią z sióstr, Louise, która została hrabiną Kesmore, socjeta obserwowała z wielkim napięciem, bacząc, czy urodzi swojemu hrabiemu spadkobiercę w równie przepisowym czasie jak siostry.

Eve Windham, dla odmiany, nie zamierzała znaleźć się w sytuacji, która mogłaby w konsekwencji zaowocować pojawieniem się niemowlęcia.

Ani teraz, ani nigdy.

Stanowiło to poważny, wręcz skandaliczny problem, bo Esther, księżna Moreland, postanowiła w końcu zobaczyć swoje dwie jeszcze niezamężne córki na ślubnym kobiercu.

W małżeńskim jarzmie, jak to niegdyś powiadali ich bracia.

Wszyscy trzej byli już żonaci i mówili teraz zupełnie co innego.

- Uśmiechnij się, Evie. Trottenham tu idzie.

Eve przykleiła do twarzy stosowny uśmiech i rozejrzała się po sali balowej.

- Och, serce mi tak zabiło. - Ton głosu Eve tak wyraźnie kontrastował z wypowiedzianymi słowami, że Genevieve, jej siostra, zwana Jenny, też się uśmiechnęła.

- Nie jest taki całkiem zły, bo w przeciwnym razie nie obiecałabyś mu menueta.

Eve bez słowa patrzyła, jak jej najnowszy adorator przeciska się przez tłum. Jenny miała rację. Nie był ani zły, ani dobry. Może się przydać w razie potrzeby, żeby zniechęcić innych w tym sezonie.

Uśmiechała się w dalszym ciągu, choć na myśl o całym długim sezonie - kilku miesiącach towarzyskich spotkań! - ogarnęło ją znużenie.

- Milady. - Trottenham pochylił się nad jej dłonią i strzelił obcasami jak służbisty pruski oficer.

- Panie Trottenham, jakże mi miło. Wcale tak nie myślała.

- Zdaje mi się, że pary już się ustawiają do mojego tańca. - Uniósł jasne brwi, co w jego pojęciu miało pewnie oznaczać flirt. Jenny opuściła głowę, by powąchać bransoletę z żywych kwiatów na przegubie dłoni, choć w rzeczywistości chciała ukryć uśmiech.

Eve położyła dłoń w rękawiczce na jego ręce i po raz tysięczny rozpoczęła finezyjną grę, starając się nie zachęcić tego mężczyzny i zarazem nie odrzucić go całkowicie. Przez cały taniec zalotnie spoglądała spod rzęs, choć dwa razy zapomniała nazwy jego posiadłości. Pozwoliła mu przysunąć się nieco za blisko i zachichotała. Taki zalotny chichot był wyrefinowaną formą sztuki.

- Lady Eve, czy rozmowa cię zmęczyła? - Trottenham obrócił ją w tańcu. Na moment zakręciło jej się w głowie, co zapowiadało nadejście kłopotów.

- Ależ skądże, panie Trottenham. Po prostu skupiam się na krokach tańca.

Potraktowała go najbardziej uroczym uśmiechem, czując, że dźwięki zaczynają dochodzić do niej jakby z wielkiej odległości, łącznie z tonem jej własnego głosu. Każdy dźwięk stawał się coraz bardziej wyraźny - oddzielony od innych - a zarazem mniej rzeczywisty.

- To prawda, taka śliczna dama nie może naraz tańczyć i rozmawiać. - Trottenham posłał jej uśmiech pełen wyższości. - Choć siostry powiadają mi, że...

Gadał i gadał, a Eve próbowała zaradzić osobliwemu poczuciu, że jej głowa ma szerokość wiadra, a włosy odbierają wrażenia. Ledwie taniec się skończył, zaczęły się zaburzenia widzenia.

- Jenny, muszę stąd wyjść - powiedziała cicho. Za chwilę zaczną się nudności i o wiele od nich gorsze zawroty głowy, a za żadne skarby świata nie mogła dopuścić do tego, by zauważono, że na balu źle się poczuła albo że nie zachowuje się jak dobrze wychowana panna.

Wieczny uśmiech zniknął z twarzy Jenny.

- Migrena, kochanie?

- I to okropna. - Choć zawsze bywały okropne. - Pewnie w ponczu było czerwone wino.

- Mama gra w karty z ciocią Gladys. Pójdę po nią i zawołam powóz.

- Za późno. - Eve zaczęła widzieć dziwne, pulsujące światła wokół głowy Jenny.

- Deene tu jest. Zawiezie cię do domu.

Eve nie zaprotestowała ani słowem, co oznaczało, że naprawdę źle się czuje. - Przyprowadź go.

Jenny odeszła, a ona przysunęła się do tarasowych drzwi, przez które napływało świeże powietrze. Do rozpoczęcia letniego sezonu towarzyskiego pozostawało jeszcze kilka tygodni, więc nocne powietrze było chłodne i rześkie. Ciemność nęciła ją, podobnie jak cisza.

Cisza i ciemność były jedynymi przyjaciółkami, gdy zaczynał się ból głowy. Laudanum stanowiło ostatnią deskę ratunku, bo obawiała się uzależnienia.

- Lady Eve - stanął przed nią Deene, wysoki i uderzająco przystojny w eleganckim wieczorowym stroju. Pochylił się nad jej dłonią, niczym perfekcyjne wcielenie prawdziwego dżentelmena. - Nie wyglądasz najlepiej.

Bardzo odkrywczym. Na szczęście mówił cicho. Udało jej się spojrzeć mu w oczy.

- Zabierz mnie stąd tak, żeby nie spowodować plotek. Proszę. Otaksował ją szybkim spojrzeniem. Rozgniewałoby ją to, gdyby nie jego obojętna mina.

- Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

- Deene, nikt przecież nie uwierzy...

Wziął ją pod rękę, obdarzył promiennym uśmiechem i wyprowadził na taras. Gdy tylko znaleźli się poza kręgiem światła, zdjął surdut.

- Jeśli nie zaczniesz teraz mleć językiem, nikt nie zauważy, że wyszliśmy.

Okrył ją surdudem i pociągnął za klapy, żeby otulić ją mocniej. Poczwała błogosławione ciepło.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Oszczędził jej ironicznego tonu, ale w jego słowach nie było też szczeroci. Nieważne. Jeśli zabierze ją do domu, nie powodując zamieszania, Eve postanowiła, że z wdzięczności zaprzestanie zaczepki na resztę wieczoru.

Znowu podał jej ramię.

- Chodźmy, tu jest furka.

Nie chciała sprawiać wrażenia, że się waha, ale kiedy zaczynał się ten okropny ból u podstawy czaszki, plątały jej się myśli.

- Na litość boską, Eve Windham, to był tylko pocałunek pod jemiołą, głównie z powodu grzanego wina, jakim poczęstował mnie twój tatko.

Musiała oprzeć się na jego ramieniu, bo zaczęło jej się wydawać, że ziemia ucieka jej spod nóg.

- Bracia mówią, że to był biały rum.

- Łyczek czegoś mocniejszego pozwala łatwiej przetrwać świąteczne spotkania. Naprawdę źle wyglądasz.

Tę ostatnią uwagę wygłosił z urazą, prawie z niepokojem.

- Wcale nie chciałam podpijać go z twojego kieliszka, Deene. Powinieneś mnie powstrzymać.

Musieli dojść do powozu. Eve miała wrażenie, że noc zamyka się wokół niej, a głos Deene'a z jego perfekcyjnym, arystokratycznym akcentem na zmianę wzdyka się i kurczy w przedziwny sposób.

- Może i mógłbym cię powstrzymać, ale wychyliłaś wszystko do dna, zanim się zorientowałem, a potem napastowałaś mnie tak namiętnie...

Eve kurczowo zacisnęła palce na jego ramieniu i oparła się o niego, oddychając płytko przez usta.

- Jeśli będziesz się ze mną dalej kłócić, milordzie, zwymiotuję w te krzaki.

- Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? - Objął ją ramieniem i sprowadził po schodach. Gdy doszli do furtki, nudności nieco ustąpiły, choć Eve w dalszym ciągu musiała się mocno wspierać na swoim towarzyszu. Miała wrażenie, że zapach cedru i lawendy, którym pachniał surdut Deene'a, działa kojąco na jej żołądek.

Deene przepuścił ją przez furtkę, wychodzącą na spokojną tylną uliczkę, która na szczęście tonęła w ciemności.

- Jak często zdarzają ci się takie bóle głowy?

- Za często. Czasem mija kilka miesięcy bez ataku, czasem tylko kilka dni. Najgorzej jest, kiedy ogarnia jedną stronę głowy, przycicha na jeden dzień, a potem atakuje drugą.

Deene ściągnął rękawiczkę zębami, a potem przenikliwie trzy razy gwizdnął na palcach.

- Przepraszam.

Nadal otaczał ją ramieniem w talii, stanowiąc solidny, ciepły - i niespodziewany - szaniec, który bronił ją przed obezwładniającym bólem. - Powóz zjawi się za moment. Czy coś ci na to pomaga?

- Całkowita cisza, całkowita ciemność i czas.

Chociaż matka nieraz masowała jej szyję i to było najlepsze remedium.

Nie odezwał się ani słowem. Nie był głupi. Eve czekała, wspierając się na nim. Jej babka cierpiała na podobne bóle głowy, ale ani rodzice, ani rodzeństwo nie miewali migren.

Stukot końskich kopyt rozbrzmiewał w jej głowie głośno jak armatnie strzały, ale oznaczał zaciszne schronienie, więc powinna być zadowolona. Deene polecił stangretowi ruszać do pałacu Windhamów i wsiadł do powozu.

- Mam usiąść obok ciebie, milady?

Co za nieoczekiwana uprzejmość, że o to zapytał.

- Proszę. Im mniej się ruszam, tym mniej mnie boli.

Usadowił się i objął ją ramieniem. Zapomniawszy o własnej godności, potyczkach słownych i poczuciu przyzwoitości, Eve oparła głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy i podziękowała mu w duchu.

Widok Eve Windham w tak żalnym stanie powinien sprawić mu cichą, niegodną dżentelmena satysfakcję. Zamiast tego Deene poczuł w sobie, ku własnemu zdziwieniu, skłonność do wykazania się opiekuńczością. A także, do czego z trudem przyznał się sam przed sobą, bezradność. Jeśli istniało uczucie, którego szczerze nienawidził, była nim właśnie bezradność, gdy sprawa dotyczyła kobiety.

Drobna, milcząca i nieszczęśliwa lady Eve, siedząca tuż przy nim, wyraźnie cierpiała za każdym szarpnięciem powozu na wybojach i każdym zakręcie.

- Evie, czy mogę coś dla ciebie zrobić? - Zdrobnienie jej imienia wymknęło się samo, przenosząc ich w czasy, kiedy był kimś w rodzaju starszego brata dla siostry swojego towarzysza broni. - Evie?

Przytuliła się mocniej, jak cierpiące zwierzątko, które szuka u człowieka ulgi. - Mama zawsze rozciera mi szyję. Nienawidzę tego bólu.

Uświadomił sobie, że jest równie bezradna jak on i równie nieszczęśliwa z tego powodu. Jakie to dziwne. Od dłuższego czasu coraz częściej się ze sobą kłócili, a teraz okazało się, że jednak mają ze sobą coś wspólnego. Dumę.

Tymczasowe zawieszenie broni przypomniało mu czasy, gdy walczące armie - brytyjska i francuska - zawarły niepisane porozumienie,

pozwalając sobie nawzajem korzystać w spokoju z rzek i strumieni, które rozdzielały ich wojska na Półwyspie Iberyjskim.

- Spróbujmy. - Wyciągnął pled spod siedzenia i rozłożył go sobie na kolanach. - Kładź się.

Usiadł w rogu i pomógł Evie ułożyć się twarzą w dół na wyścielonych miękkim pledem kolanach. Nie protestowała, więc zaczął powoli masować podstawę jej szyi.

- Lepiej?

- Bosko.

Poczuł, jak się odpręża. Konie szły stępa, żeby nie pogarszać jej stanu.

- Wyjąć szpilki?

- Tak, proszę. Boże, czuję każdą z nich. Włosy mnie boją.

Uśmiechnąłby się, gdyby nie cierpienie brzmiące w jej głosie. Bardzo delikatnie powysuwał szpilki z jej fryzury, uwalniając długi, złocisty warkocz. Leżała nieruchomo, a on na zmianę uciskał boki szyi i łagodnie rozcierał jej podstawę.

Nie komentowali tej dziwnej sytuacji. Wyglupił się, poruszając temat tego niemądrego pocałunku w święta Bożego Narodzenia. Eve była wtedy uroczo podchmielona po wypiciu całego kieliszka zaprawianego ponczu, a jemu podobała się swoboda jej zachowania. Spodobał mu się ten namiętny, naiwny pocałunek. Podobał mu się wiele bardziej i o wiele dłużej niż powinien.

Kiedyś była radosną, a nawet psotną panienką, słodką i kochaną. Uwielbiał się z nią drażnić. Po śmierci jej brata Barta coś się w niej zmieniło. Gdy Deene odwiedził ich rodzinę jako cywil, po sprzedaży patentu oficerskiego, przekonał się, że Eve Windham nabrała nieskazitelnym manier i traktowała go chłodno. Bart wcześniej niedwuznacznie dał mu do zrozumienia, że są po temu ważne powody.

Teraz chłód zniknął. Poddała się kompletnie, ale wcale mu się to nie podobało.

Za to bardzo podobało mu się to świąteczne powitanie go w szatni wiejskiej siedziby księstwa w Morelands. W tamtym pocałunku odnalazł dawną Eve - psotną, słodką, przekorną... tylko że była już dorosłą kobietą, czego nie dało się nie zauważyć.

- Eve, jesteśmy na miejscu. Zanieść cię na górę?

Usiadła powoli, dotykając dłonią czoła.

- Pójdę sama.

Albo się poczołga, albo padnie na zabłoconej tylnej ulicy, zbyt dumna, by skorzystać z jego pomocy na oczach innych osób. Pomógł jej wysiąść z powozu. Nawet głupek zauważyłby, że ledwie trzyma się na nogach.

- Później dasz mi za to w ucho, milady.

- Deene, nie.

Wątle protesty nie powstrzymały go przed wzięciem jej na ręce. Ruszył w stronę domu.

- Cicho bądź choć raz, uparciucho. Twój bracia nie wybaczyliby mi, gdybym się tobą nie zajął.

Wzmianka o braciach miała stanowić ostrzeżenie i trochę utemperować jej dumę, a poza tym była prawdą. Deene służył w pułku nie tylko ze zmarłym lordem Bartem, ale i z Devlinem St. Justem, obecnym hrabią Rosecroft. Gdyby Rosecroft dowiedział się, że Deene nie potraktował jego cierpiącej siostry z należytą troską, łączącą ich od lat przyjaźń, którą markiz wielce sobie cenił, na pewno by uległa zachwianiu. Nie mówiąc o tym, co zrobiłby książę Moreland na wieść, że Deene pozwolił, by jego córka niepotrzebnie cierpiała.

- Dokąd mnie niesiesz?

- Do środka.

Znał ten dom od lat, więc dodał jeszcze:

- Do twojego pokoju.

Dostał się do kuchni przez drzwi dla służby, wiedząc, że nigdy ich się nie zamyka, dopóki wszyscy nie wrócą na noc do domu. Pokonał dwie kondygnacje schodów i znalazł się w zamieszkanym przez rodzinę skrzydle pałacu, gdzie nieraz przebywał jako gość.

- Które drzwi, Evie?

- Nie nazywaj mnie tak. Następne po prawej.

Napomniała go z taką apatią, że aż się przestraszył. Gdy z ubierał-ni wybiegła pokojówka, z niechęcią pomyślał, że będzie musiał oddać Evie pod jej opiekę.

- Lady Eve ma migrenę. Przynieś lawendową wodę i odrobinę odwaru makowego. Nie szczotkuj jej włosów i rób tylko to, co ci sama każe.

Wyraz twarzy pokojówki świadczył, że nigdy nie widziała swej pani w ramionach obcego dżentelmena, a już na pewno nie w jej prywatnych pokojach.

- Zajmę się nią troskliwie, milordzie.

- Spodziewam się.

Chciał położyć Evie na łóżku, ale wiedział, że uraziłby tym jej godność. Delikatnie postawił ją na nogach, obejmując ramieniem.

- Pościel łóżko, Hammet - poleciła znużonym, cichym głosem.

-Proszę.

Pokojówka napełniła rozżarzonymi węglami szkandelę. Deene przez chwilę przyglądał się wspartej na nim Eve.

- Czy mam obudzić kogoś jeszcze?

- Hammet wie, co ma robić. Dobranoc, Deene, i dzięki. Uniosła się na palcach, zmrużyła swe śliczne zielone oczy, pocałowała go w policzek i z lekkim westchnieniem się cofnęła.

Nie pozostało mu nic innego, jak ucałować jej dłoń i odejść.

- Tato?

- Oui, *mon coeur*?

Psotne błękitne oczy wpatrywały się w Jonathana Patricka Francisa Dolana.

- Dlaczego przestałeś do mnie mówić po irlandzku? Czasem tylko śpiewasz w tym języku.

Dolan uśmiechnął się do najpiękniejszej kobietki, jaką widział w życiu.

- Bo prawdziwa dama mówi po francusku.

Przewrócił kartkę zaczytanego na śmierć *Robinsona Crusoe*.

- Poczytać ci po francusku o przygodach tego nieszczęśnika?

Tłumaczenie z angielskiego na francuski byłoby dużym poświęceniem dla człowieka, który uczył się francuszczyzny w dokach Calais, ale dla niej zdobyłby się i na to.

- Proszę, tylko nie to. - Georgina poprawiła się na kanapie. - Panna Ingraham co rano każe mi recytować po francusku. Zaśpiewasz mi coś dzisiaj?

Ma zaledwie osiem lat, a już umie się przypochlebiać. Nie wiedział, czy ma być z tego dumny, czy niezadowolony.



- Weźmiesz się w końcu do tego francuskiego, *acushla mo chrof*? Wydeła usteczka, kiedy pogładził ją po starannie zaplecionym blond warkoczu. Dzięki Bogu odziedziczyła po matce typowo angielskie blond loki, a nie rudobrazowe, rozwichrzone włosy Dolana.

Zasiedział się w dziecinnym pokoju, choć powinien tkwić w biurze, sprawdzając rachunki od leniwych podwykonawców, złodziejskich faktorów i bezużytecznych dostawców. Mało brakowało, a namówiłaby go do przeczytania paru stron z ich ulubionej książki i zleciałaby im na tym godzina.

Nie byłaby to godzina stracona, ale musiał ją poświęcić na pracę. Przez te wszystkie interesy miał za mało czasu dla swego jedyne go dziecka.

- Wiesz co? - powiedział, odkładając książkę. - Jeśli panna Ingraham pochwali cię za francuski, jutro wieczorem dla ciebie zaśpiewam.

- Dlaczego nie dzisiaj?

- Bo dzisiaj wychodzę, kochanie. A ty popracujesz z guwernantką, odmówisz paciorek i zaśniesz jak aniołek.

Sięgnęła po książkę i położyła ją sobie na kolanach.

- Przyśni mi się kucyk.

- Ucz się francuskiego, a ja postaram się dla ciebie o kuczka. Będziemy go trzymać w Whitley.

Posłała mu dziwnie dorosłe spojrzenie.

- Pojedziemy tam dopiero latem, a przecież jeszcze nawet nie zaczęła się wiosna.

Zanim zaczęła mu wiercić dziurę w brzuchu, Dolan ucałował ją w czubek głowy i wstał.

- Ucz się francuskiego, moja miła Georgino, bo wtedy będziesz miała lepszą pozycję wyjściową. Twoja wartość wzrośnie.

- Zaraz zaczniesz mi mówić o haftowaniu. Nigdy nie dostanę tego kuczka. Na szczęście się uśmiechała.

- Po co komu kuczki, kiedy można mieć czarodziejskie jednorożce? - Dotknął jej noska pokrytym odciskami palcem i wyszedł, zanim zdążyła mu powiedzieć, że nie istnieją żadne jednorożce. Kiedy

**\* *Acushla mo chroi* (irl.) - moje serdeńko (dosłownie: pulsie mojego serca).**

pierwszy raz przekazała mu tę smutną prawdę, Dolan pozwolił sobie na kropelkę whisky w celach czysto leczniczych, choć jeszcze był jasny dzień.

Wiedział, że oznacza to początek końca ery słodkiej niewinności i że niedługo zamiast uległej, grzecznej dziewczynki będzie miał do czynienia z bogatą angielską panienką, którą trzeba będzie poprowadzić ku szczęśliwej, dostatniej dorosłości.

- Ma pan gościa, sir.

Za każdym razem, gdy słyszał akcent Bramptoma, ogarniało go zadowolenie. Udało się podkupić tego lokaja z książęcego domostwa i rzeczywiście był on uosobieniem angielskiej godności i taktu.

Brampton podsunął mu niewielką srebrną tackę - złota tacka, jak Dolan dowiedział się, byłaby zbyt ostentacyjna - na której leżał bilet wizytowy.

- Powiedz markizowi, że ani mnie, ani panny Georginy nie ma w domu i że nie będzie nas przez... - nie, niech ten żalosny żebrak przychodzi tu co dnia i odchodzi z niczym. - Powiedz mu tylko, że nie będzie nas przez resztę dnia.

- Tak jest, sir.

Brampton wyszedł, cichym i zdecydowanym krokiem, który oznaczał, że sprawa jest ważna, ale na tyle wolnym, by zaznaczyć, że nie jest pilna. Dolan obserwował go przez chwilę.

Pewnego dnia Jonathan Dolan odwiedzi dom swojej córki i zobaczy podobnego lokaja, który będzie się zwracał do swojej pani „milady”.

Zszedł do biura i zajął się sprawami złodziei, bandziorów i szarlatanów, z którymi na co dzień prowadził interesy.

- Wyglądasz, jakbyś miał gwoździe w gębie. Niezbyt zachęcający widok dla tych wszystkich słodkich, młodych istotek, które ćwierkają po kątach sali balowej.

Deene znał ten ironiczny bas baryton. Odwrócił się do Josepha Carringtona, lorda Kesmore, który stał tuż za nim i sączył szampana.

- Dobry wieczór, Kesmore. Co cię wykurzyło z ostępów hrabstwa Kent o tak wczesnej porze roku?

Ciemne brwi Kesmore'a opadły w dół.

- Hodowla świń jest obrzydliwie zyskowna. Mówię ci to w najgłębszym zaufaniu jako twój sąsiad i przyjaciel, a także jako człowiek, który widział cię pijanego jak bela, do tego stopnia, że wyśpiewywałeś ody do kobiecych atrybutów pewnej barmanki. Jednakże taki hodowca, zwłaszcza jeśli jest niedawno po ślubie, napotyka pewne trudności, gdy robi się coraz cieplej i trzeba oczyścić chlewy ze świńskiego łajna, które gromadziło się w nich przez całą zimę.

Mimo nieznośnego gorąca, jakie panowało w sali, oraz wyzwania, jakim była dla niego orkiestra, strojąca swe instrumenty, kąciki ust markiza uniosły się w uśmiechu.

- Przyjechałeś do Londynu, żeby uciec przed smrodem świńskiego łajna?

- Aromat świńskiego łajna przesącza się w nocy przez okno sypialni, moja pościel cuchnie świńskim łajnem... zresztą nie mam na co narzekać, bo dzięki Bogu to nie na mnie będą w tym roku polować ambitne mamuśki.

Deene wziął kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok nich lokaja, żeby nie widzieć litości w oczach Kesmore'a, w których zazwyczaj lśniła tylko obojętność.

- Mój kuzyn Anthony, który jest o wiele bardziej towarzyski ode mnie, powiada, że teraz, gdy skończyła się żałoba, powinienem przyjmować wszystkie zaproszenia, zostawiając mu nudne gospodarzenie moimi posiadłościami. Podejrzewam, że jest w tym coś więcej niż al-truistyczne poświęcenie.

- W takim razie chodźmy pograć w karty. Jeśli będziesz ze mną, mało która z tych słodkich pańienek odważy się do ciebie podejść.

Wspaniała propozycja, tylko że w pokoju do gry w karty wszyscy uprawiali hazard. A żeby grać, trzeba mieć sporo pieniędzy na zbyciu.

- Ukryję się między palmami. - Deene przerwał, by napić się wina dla kurazu. - Mamuśki patrolują salę balową, ale w karcianym pokoju czają się ciotki i babki. Jestem jeszcze za mało pijany, by potykać się z takimi smokami. Kesmore spojrzał na niego z politowaniem, a może tylko ze współczuciem, bo sam przecież był dopiero od niedawna żonaty.

- W takim razie zostawiam cię twemu losowi. Zawsze możesz powiedzieć, że odezwała się twoja stara rana i nie możesz tańczyć.

Deene zasalutował kieliszkiem w podzięcie za tę radę i dalej podpierał kolumnę, starając się wtopić w tło. Jednak zważywszy na wysoki wzrost, złociste włosy o odcieniu, który lśnił w blasku świecy, oraz na fakt, że od trzech lat na salonach nie pojawił się równie utytułowany kawaler, nie miał złudzeń. Czekał go przegrany wieczór, a może i życiowa porażka.

W dwie godziny później przekonał się, jak bardzo miał rację.

- Milordzie, koniecznie powinienesz zatańczyć z moją najdroższą Mildred. - Chichot lady Staines zabrzmiał prawie jak charkot. - Jest bardzo nieśmiała, a przecież to najbardziej urocza tancerka, jaka kiedykolwiek pojawiła się w sali balowej.

Niepomiernie nieśmiała panna Mildred Staines była tą samą młodą damą, która dopadła go piętnaście minut temu po drodze do pokoju wypoczynkowego dla dżentelmenów. Miała pazury zamiast paznokci i gdyby nie Kesmore, który nadszedł w ostatniej chwili...

- Och, Deene! Tutaj jesteś! - Nagle znikąd wyłoniła się Eve Windham, złocistowłosa i zielonooka, w jasnoblękitnej sukni, która odsłaniała jedynie odrobinę dekoltu. Ale co go obchodzi jej dekolt, kiedy właśnie lady Staines ze swoim monstrem wciągają go za włosy w otchłań świętego związku małżeńskiego?

- Lady Eve. - Pochylił się nad jej dłonią, słodko pachnącą jaśminem. Eve serdecznie powitała damy, po czym obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Przygotuj się, milordzie. Tancerze już się ustawiają.

Przez chwilę tak krótką jak mrugnięcie patrzyła mu prosto w oczy. Chciała mu powiedzieć, że...

Niech jej Bóg wynagrodzi. Walc. Ostatni taniec przed kolacją.

- Wybacz, lady Eve. Moje urocze towarzyszkę zawróciły mi w głowie. Lady Staines, panno Staines, proszę o wybaczenie.

Poprowadził Eve na taneczny parkiet i skłonił się, jak nakazywała etykieta.

- Dzięki ci za to. Dygnęła z wdziękiem.

- Przysługa za przysługę. - Posłała mu uśmiech, inny od tego uroczego, radosnego - i pewnie fałszywego - którym obdarzyła go w towarzystwie pań Staines.

Zabrzmiały wstępne tony walca, więc wziął ją w ramiona, zgodnie z wymogami tańca.

- Czy my kiedykolwiek tańczyliśmy ze sobą walca, milady?

- Nie miałaś tej przyjemności, odkąd zaczęłam upinać włosy po dorosłem. Ostatni raz tańczyliśmy w święta Bożego Narodzenia, w Morelands. Byłeś na urlopie, razem z Bartem i Devlinem.

Zabrzmiała muzyka. Gdy ruszyli do tańca, Deene sięgnął pamięcią do dawnych czasów. Tańczył ze wszystkimi Windhamównami, nawet z Maggie, która do czasu ślubu z Hazeltonem była kimś w rodzaju rodzinnej pustelniczki.

Tańczył z Eve podczas ostatniego urlopu lorda Barta przed jego śmiercią. Gdy musnął spojrzeniem twarz swej partnerki, zobaczył w jej oczach cień tego samego smutnego wspomnienia i nie mógł tego znieść. Przy następnym obrocie przycisnął ją mocniej.

- Deene. - Wymówiła ten tytuł, tych pięć literek, tonem, który wystarczyłyby za całe kazanie na temat nieprzyzwoitego zachowania.

- Jeśli rzeczywiście chcesz mnie uratować, musisz to zrobić, jak się należy - powiedział z uśmiechem, zadowolony, że spod jej oczu zniknęły cienie - Jeśli nie zobaczą, jak ze sobą flirtujemy, wszystkie lady Staines tego świata uznają, że jestem do wzięcia, w sensie mariażu.

- Bo rzeczywiście jesteś do wzięcia, w sensie mariażu. To, że zagarnęłam cię na jeden taniec, nie znaczy, że będę cię kryła do końca świata.

- Że będziesz mnie kryła... - Spodobało mu się to. - Bardzo sensowny pomysł. Przy kolacji będziesz musiała ze mną usiąść, wiesz?

Lekki grymas zdradził, że nie zamierzała tego uczynić. To znaczy, że jej życzliwość była spontaniczna i że Eve nie obserwowała, jak te babska ścigają go, tropią i osaczają przez cały długi wieczór.

- Walc i kolacja. - Zamilkła, bo znowu zawirowali w tańcu. Tym razem Deene przyciągnął ją do siebie nieco mocniej, a potem puścił. -Lucasie Denning, zachowuj się przyzwoicie albo rozpowiem o twoich niecnym upodobaniach. Poprowadził ją przez całą salę - tańczyła bardzo lekko - uświadamiając sobie, że jego zaczepka obróciła się przeciwko niemu. Ten krótki moment, gdy ich ciała się zetknęły, przyprawił go o dreszcz erotycznego podniecenia.

- To tylko na pokaz, moja droga. Powiedz mi, jak ci się udało uniknąć małżeństwa przez tyle lat. Szczodrze ci zapłacę za zdradzenie tego sekretu.

Na moment podniosła wzrok, który do tej pory uparcie wbijała w jego ramię.

- Deene, ty naprawdę potrzebujesz żony. Nie masz żadnych spadkobierców poza kuzynem, który zresztą też jest nieżonaty. Poza tym niczego nie unikam. Po prostu się nie spodobałam.

- Nie spodobałaś się? - Słyszał, jak jej bracia z ponurymi minami grożą, że niebawem będą musieli odganiać kijem tych wszystkich adoratorów małej Eve.

- Jestem za niska. Prawdziwa angielska piękność powinna być wiotka i wysoka tak jak Jenny. - Posłała mu znów ten swój fałszywy uśmiešek.

- Do mnie pasujesz. - Te słowa wymknęły mu się bezwiednie, choć szczerze. Eve z powrotem wbiła wzrok w jego ramię.

A czekała ich jeszcze kolacja.

- Co słyhać u St. Justa? - Nie najgorszy temat do rozmowy i całkiem wiarygodny. Najstarszy brat Eve służył razem z nim w wojsku, a potem, dwa lata po Waterloo, dostał tytuł hrabiego i majątek w Yorkshire.

- Świetnie sobie radzi w West Riding. Widzieliśmy go w święta i wygląda na to, że tamtejsze góry dobrze mu robią. Chyba że to wpływ małżeństwa i ojcostwa.

Czy mu zazdrościła, czy po prostu za nim tęskniła?

- Może powinienem go odwiedzić. Choć w górach pewnie nadal panuje zima.

Eve zamilkła, a potem rzuciła mu kobiece, badawcze spojrzenie.

- Lucas, to tylko dziewczęta. Wychowano je tak, że nie marzą o niczym więcej niż o mężczyźnie, który je utrzyma i da im dzieci. Twój tytuł, fantastyczny wygląd i liczne posiadłości to tylko wisienka na torcie. Wybierz taką kobietę, z którą będziesz mógł się serdecznie zaprzyjaźnić, i oświadczyć jej.

Serdeczna przyjaźń. Eve opisała mu praktyczną, choć wyrafinowaną formę małżeńskiego związku, której spodziewała się po nim cała

socjeta. Sama Eve chyba też na takie liczyła. Jednak Deene postrzegał je jako wyjątkowo ponury, mroźny krąg piekła przeznaczony specjalnie dla utytułowanych angielskich lordów.

Chociaż po kilku takich wieczorach jak ten nie będzie miał pewnie żadnego wyboru.

Gdy muzyka umilkła i partner odprowadził ją na miejsce. Eve pożałowała impulsu, który kazał jej wyrwać Deene a z paszczy ambitnej lady Staines. Markiz służył swego czasu w kawalerii, miał tytuł i był niesamowicie przystojny. To chyba niemożliwe, żeby myśl o flirtowaniu z kilkoma słodkimi idiotkami zasnęła jego błękitne oczy aż takim smutkiem.

- Zjadłabyś coś, milady? Uśmiechał się do niej pogodnie.

Zapomniała, że przecież był dżentelmenem. Poważny problem związany z przeszłością Maggie został rozwiązany tuż przed jej ślubem, dzięki życzliwości, determinacji i bardzo dyskretnej pomocy markiza. Dama w opałach lub dama pragnąca posilenia się - takie sytuacje budziły w nim poczucie wypełnienia obowiązku.

- Bardzo chętnie, ale nie nakładaj na mój talerz dojrzałych serów i wszystkiego, co mogłoby zawierać czerwone wino.

Podeszła wraz z nim do bufetu i patrzyła, jak wypełnia smakołykami talerz.

- Znajdźmy sobie jakiś cichy zakątek, dobrze? - Pochylił się i szepnął jej do ucha: - Im mniej będę się im rzucał w oczy, tym mniejsza szansa, że mnie ożenią.

Mało brakowało, a parsknęłyby śmiechem. Ktoś taki jak on zawsze przyciąga uwagę. Gdyby nie była córką księcia, w dodatku - teoretycznie - panną na wydaniu, pewnie zostałaby stratowany przez damy, które tłoczyłyby się wokół niego przy bufecie.

- Może na galerii? - zaproponowała. Poprowadziła go korytarzem ku długiej, wysokiej sali, z widokiem na taras. Przez kilka par otwartych balkonowych drzwi napływały chłód i cisza.

- Tutaj. - Wskazał dłonią, w której trzymał talerz. Drugie ramię podał Eve, jakby jej obecność mogła odegnać natrętne mamuśki. Szczerze mówiąc, tak właśnie było.

Pod łukowatym sklepieniem stał stolik - prawdziwa oaza intymności na hałaśliwym, wypełnionym tłumem gości przyjęciu.

- Chyba powinnam cię przeprosić - powiedziała, gdy usiedli. Rozsiadł się wygodnie na filigranowym krześle z kutego żelaza, wyglądającym tak, jakby z trudem mogło utrzymać jego ciężar.

- Za co?

- Właściwie to nie przeprosiny. - Eve podniosła z talerza szklarniową truskawkę i przyjrzała się jej krytycznie. - Uwielbiam truskawki, ale zdaje mi się, że lepiej smakują, gdy pozwala im się rosnać zgodnie z ich naturą.

Włożyła ją sobie do ust i patrzyła, jak Deene robi to samo z drugim, nieco mniejszym owocem.

Miał piękne usta. Nie potrafiła o tym zapomnieć ani na chwilę. Niech go lichy porwie.

- Za co miałabyś mnie przeproszać? - Wziął kolejną truskawkę. Tym razem wzrok Eve skupił się na jego dłoniach. Zdjął rękawiczki, więc widać było, jakie są silne. Dotykał nimi jej ciała. Przyniosły jej ulgę w bólu, a w Boże Narodzenie...

Spojrzała pochmurnie na cząstkę pomarańczy.

- Nie rozgadałaś niczego. Jestem ci za to wdzięczna.

- Nie rozgadałem? - Wyprostował się czujnie jak drapieżnik, który wyczuł zwierzynę. Truskawka zniknęła, nie wiadomo gdzie. - Nie rozgadałem o twoim bólu głowy? Co ze mnie byłby za dżentelmen, gdybym plotkował w klubie o kłopotach damy? Jak to by...

Eve pokręciła głową. Mężczyźni byli tacy niedomyślni. Jej bracia twierdzili, że kobiety są zbyt subtelne i nigdy niczego nie mówią wprost, ale to mężczyźni nie potrafią zrozumieć pewnych ważnych rzeczy.

- O tym, co zdarzyło się w Boże Narodzenie - powiedziała bardzo cicho. W końcu ściany też mają uszy. Wpatrzyła się w kolejną cząstkę pomarańczy. - O pocałunku. Nie przechwalałaś się. Doceniam to.

Konieczniewie chciała podziękować mu za dyskrecję. Miała wrażenie, że w ten sposób prostuje sprawy między nimi, którym pozwoliła dryfować w niewłaściwym kierunku. Docinki i słowne potyczki ją bawiły, ale podziękowanie też mu się należało.

- To bardzo ciekawe. - Deene zwrócił się do dorodnej truskawki, czerwonej, idealnie kształtnej i wyrosniętej. Tylko kiedy on zdążył



przysunąć się tak blisko? - Ja tylko próbuję jakoś sobie radzić bez wpadania w małżeńską pułapkę, zapominam się odrobinę w towarzystwie pewnej młodej, ogólnie szanowanej damy, a ty uważasz, że dbam o twoje dobre imię?

Wrzucił sobie truskawkę do ust i mówił dalej, leniwym, zmysłowym tonem, od którego Eve ogarniała dziwna, wewnętrzna słabość.

- Dlaczego tak się jeżysz, Deene? Chciałam ci tylko podziękować. Skończył gryźć truskawkę. Jedząc, cały czas wpatrywał się w Eve swoimi błękitnymi oczyma.

- Czy nasz pocałunek sprawił ci przyjemność, Evie?

Evie. Tylko rodzina zwracała się do niej zdrobniałym imieniem. On wypowiedział je szczególnym, intymnym tonem, jakiego rodzina nigdy nie używała.

Wyprostowała się.

- Na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi. Jeśli powiem, że nie, to skłamię. W końcu to ja się na ciebie rzuciłam i musiałeś mnie od siebie odsunąć. A jeśli powiem tak, to będzie znaczyło, że jestem zepsuta.

- Bo jeśli sprawił ci przyjemność - mówił Deene, jakby nie słyszał jej słów - a mnie sprawił i to wielką, to może dziękowałaś mi za pocałunek, a nie za utrzymanie tajemnicy, którą zachowałby każdy mężczyzna obdarzony rozsądkiem i mający dobre maniery.

Kiedy tak na nią patrzył, miała trudności ze zrozumieniem sensu jego słów, ale w końcu zdobyła się na ten wysiłek. Czuł się urażony jej podziękowaniami.

Każdy mężczyzna goszczący u jej rodziców byłby tak samo dyskretny w podobnej sytuacji.

Pocałunek sprawił mu przyjemność.

Pochylił się ku niej tak blisko, że poczuła zapach lawendowo-ce-drowego mydła. Tak blisko, że mogła...

Poczuć jego usta, miękkie i doświadczone, na swoim policzku. Mogła też się odsunąć. Tym razem nie miała wygodnej wymówki w postaci kieliszka zaprawionego ponczu, nie było radosnych świąt ani tęsknoty za kolejną siostrą, która wychodzi za mąż.

Ujął w dłoń jej podbródek a potem przekręcił lekko jej głowę, żeby spojrzała mu w oczy.

Miękkie, doświadczone usta przesunęły się ku jej wargom, czule i nieustępliwie. Nie używał siły, nawet nie próbował. Delikatnie nakłonił ją do tego pocałunku.

Wtedy było inaczej. Zaczęło się od buziaka w imię głupiej, świątecznej tradycji, a skończyło na pocałunku bez tchu, który, miała nadzieję, zaskoczył ich oboje.

Tym razem - dobry Boże - tym razem pocałunek był czuły, zdecydowany i rozkoszny jak truskawki, których smak czuła, gdy język Deene'a muskał jej wargi. Ona również położyła dłoń na jego policzku, nie po to, by go przysunąć bliżej, ale by lepiej poczuć na ustach zmysłowy dotyk jego języka.

- Deene, ja nie wiem, jak to się robi.

Nie odezwał się ani słowem, tylko znowu nakrył jej wargi swoimi, otwierając usta. Jego język wybiegł jej na spotkanie, zapraszał, by teraz ona spróbowała jego smaku. Kiedy to zrobiła, poczuła, jak ciało Deene przeszył dreszcz. Poczuła, jak ją mocniej przytula. Zakręciło jej się w głowie. Dotykała go, by nie stracić orientacji, by wiedzieć, gdzie jest góra, dół, północ i południe, gdzie jest on, a gdzie ona, bo działy się z nią niepojęte rzeczy. Deene chyba niedawno się ogolił, bo...

Chwytał jej dolną wargę zębami. Nie ugryzł jej, tylko trzymał. Nie miała wrażenia, że jest w pułapce, tylko że jest z nim. Poczuła jego drugą dłoń, dużą i ciepłą, na swojej szyi. Dotyk był miły, serdeczny, swojski i spokojny, w odróżnieniu od pocałunku.

Chyba wyczuł, że posuwają się za daleko, bo oderwał się od niej wargami, a za to oparł się czołem o jej czoło.

- Powiedz mi, że ci się podobało, Evie. Jeden pocałunek nic nie znaczy, to żaden skandal. Drobną przyjemność, jaką mogą sobie dać ludzie, którzy, jak mi się zdaje, niewiele mają jej w życiu.

Przesunął dłoń ku podstawie jej czaszki, jakby chciał, by ten dziwny pocałunek czół trwał w nieskończoność, a już na pewno do chwili, gdy usłyszy jej odpowiedź. Ona chciała tylko ukryć twarz na jego ramieniu.

- Podobało mi się, choć pewnie nie powinno. Wtedy też mi się podobało. W Boże Narodzenie.

Głupie wyznanie. Ale ten dziwny, intymny uścisk - drugą dłoń położyła na klapie jego surduta - sprawił, że szczerłość wydała jej się

bezpieczna. Szczerość wobec tego mężczyzny. Odsunął się nieco, ale wciąż pieścił dłonią jej podbródek. To niewielkie oddalenie sprawiło, że ochłonęła i zaczęła się sobie dziwić. Jak mogła mu na to pozwolić? Do czego się właśnie przyznała?

- Ostatnia truskawka dla ciebie. - Podsunął jej talerzyk z nieprzeniknioną miną.

Smakował truskawkami.

- Może jeszcze plasterek szynki i melona - powiedziała, wkładając je sobie do ust. Czy doświadczeni ludzie całują się w taki sposób? Między jednym kęsem owocu a drugim, kiedy połowa socjety plotkuje do utraty tchu dwie sale dalej?

Nie musiała się wysilać, by znaleźć jakiś sensowny temat do rozmowy, bo właśnie zjawily się Jenny z Louisą. Powinna z ulgą powitać ich nadejście, a przynajmniej się ucieszyć.

Ale w wirze emocji, które w niej szalały, nie było ani radości, ani ulgi.

Deene doskonale wiedział, że Eve Windham bywa na balach od co najmniej pięciu lat. Miała adoratorów i zalotników, kilku z nich nawet poprosiło o jej rękę, ale całowała się jak... niewinna dziewczynka. W Boże Narodzenie pocałowała go z takim zapamiętaniem, że zastanawiał się, kto kogo trzyma pod tą jemiołą. Już chciał się odsunąć po zdawkowym, świątecznym buziaku, kiedy objęła go za szyję i wydała gardłowy pomruk pełen tęsknoty i zadowolenia. Ten dźwięk - bardziej niż świąteczna atmosfera i kilkumiesięczny celibat - sprawił, że Deene odpowiedział jej namiętnym pocałunkiem.

Dopiero przyływ pożądania kazał mu się odsunąć.

Teraz było nie lepiej. Siedziała naprzeciw niego i posilała się wytwornie, jakby żar i oszołomienie, które ogarnęło ich kilka chwil temu, w ogóle nie zaistniały.

- Ukrywacie się tu we dwójkę. - Lady Genevieve Windham podeszła do nich z uśmiechem mówiącym, że to docinek, a nie oskarżenie. Mina lady Louisy - lady Kesmore - była znacznie mniej przyjazna.

Szczerze mówiąc, typowa dla uroczej Louisy. Deene wstał.

- Miłe panie, zapraszamy. Przynieść więcej krzeseł?

- Nie ma potrzeby - odpowiedziała Louisa, w dalszym ciągu bez uśmiechu. - Przyszliśmy po Evie. Mama jutro wybiera się na proszone śniadanie, więc musimy już wracać do domu.

Eve wstała. Nie widać było po niej ani ulgi, ani irytacji. Kiedy ta mała psotnica zdążyła zmienić się w dorosłą, opanowaną kobietę?

- Dobranoc, Deene. - Przechyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy. - Dzięki za cudownego walca... i za wszystko. - Posłała mu uśmiezek, zupełnie inny od wszystkich, które widywał u niej wcześniej. Słodki i odrobinę tajemniczy. - Mam nadzieję, że przez resztę wieczoru będziesz się bawił równie dobrze, jak ja przed chwilą.

Wzięła siostry pod rękę i odeszła - drobna blondynka między wyższymi od niej kobietami. Mimo to miał wrażenie, że to ona je prowadzi.

Nie odważył się siedzieć w mroku samotnie, będąc w pobliżu lady Staines i jej podobnych, które czekały tylko na chwilę nieuwagi, by poszczuć go swoimi córkami. Zabrał talerz i ruszył prosto do pokoju, gdzie grano w karty.

- Obawiam się, że teraz moja kolej.

Eve poczekała z tą uwagą, aż lokaje odejdą, zostawiwszy tace z herbatą na niskim stoliku przy sofie.

Louisa podniosła wzrok znad książki - zawsze jakąś czytała - i zmarszczyła brwi.

- Jaka kolej? O co ci chodzi? Czy to jakaś nowa zgadywanka, Evie? - Odłożyła książkę i pochyliła się w jej stronę. - Jak dla mnie, teraz jest kolej na jedzenie. I dobrze, bo to już najwyższy czas.

- Co chcesz przez to powiedzieć, kochanie? - Jenny siedziała na drugim końcu sofy. Zdjęła pantofelki, oparła się plecami o podłokietnik i podciągnęła kolana pod brodę.

- Na małżeństwo.

Zanim zapadła chwila milczenia, siostry Eve wymieniły najbardziej irytujące z siostrzanych spojrzeń. Ciszę przerwała Jenny:

- Czy to znaczy, że wybrałaś Trottenhama? Muszę przyznać, że jest bardzo sympatyczny.

- Tylko nie Trit-Trot - powiedziała Louisa, sięgając po czekoladowe ciasteczko. - Jest głupkowaty.

- Racja. - Jej zalotnicy zawsze byli głupkowaci. - Nie mam na myśli nikogo konkretnego. Po prostu czuję, że powinnam sama kogoś wybrać, bo w przeciwnym razie Ich Wysokości sami się tym zajmą i wszystko przepadnie.

- Jak to przepadnie? - Louisa dołożyła sobie trzy następne ciasteczka. - Jeśli małżeństwo oznacza, że wszystko przepadło, to muszę przyznać, że taki koniec całkiem mi odpowiada.

- Louiso, powinnaś zacząć od kanapek - napomniała ją Eve.

- W nadziei że zostanie dla mnie choć parę ciastek, kiedy wy dwie się na nie rzucicie? Nie ma mowy, do kanapki wezmę się później. Co to ma znaczyć, że wszystko przepadnie?

Jenny zsunęła nogi z sofy i odłożyła francuski magazyn mód.

- Ich Wysokości chcą tylko, żebyśmy były szczęśliwe. Maggie miała mnóstwo kandydatów, a papa odrzucał ich wszystkich.

- Maggie była w innej sytuacji - odpowiedziała Eve. - Wytrzymała do trzydziestki i, uznana za starą pannę, była bezpieczna. Sophie wyszła za swojego barona, a Louisa zaprowadziła Josepha przed ołtarz. Teraz rodzice mają tylko nas dwie.

- Nie tylko. - Louisa chmurnie spojrzała na ostatnie ciasteczko. - Papa musi rządzić Izbą Lordów. Mama ma swoje Stowarzyszenie Dystyngowanych Dam. Do tego dochodzą wnuki.

- Tak, ale nas też mają. - Eve zaczęła nalewać herbatę: czarną dla Jenny, z cukrem dla siebie i z mnóstwem śmietanki oraz cukru dla Louisy, co było jawną niesprawiedliwością. Louisa nigdy nie tyła, chociaż jadła bez przerwy. Eve sączyła herbatę, a perspektywa małżeństwa dławiła ją jak ciężar leżący na piersi.

Poprzedniego wieczoru, kiedy wracała z balu z matką i z siostrami, wpadła jednak na pewien pomysł.

Białe małżeństwo.

Nie były aż tak popularne jak niegdyś, w czasach króla Jerzego, ale Eve podejrzewała, że trafiają się całkiem często. Lord i lady Esteridge zawarli właśnie taki związek. Sukcesją pracowicie zajmował się brat Jego Lordowskiej Mości.

- Mamy ci poszukać kandydatów? - spytała Jenny. - Kesmore był z pozoru do niczego, a Louisa zakochała się w nim po uszy.

Louisa rzuciła Jenny spojrzenie w stylu „wybaczcie, ale moja siostra jest idiotką”.

- Kesmore to prostak, jego dzieci to mali rozbójnicy, nie może tańczyć, bo kuleje, i w dodatku hoduje świnie.

- A ty go uwielbiasz - dopowiedziała Jenny ze słodką minką. -A ten sympatyczny pan Perrington?

Jenny doprowadziła do perfekcji sztukę łagodnej perswazji, co zresztą nie dziwiło u córki Jej Wysokości, której perswazja przełamała niegdyś upór samego Wellingtona.

- Pan Perrington nie ma połowy zębów, a druga połowa wkrótce pójdzie śladem pierwszej. - Louisa zabrała się do kanapek. - Dzięki Bogu zasłania usta, kiedy się śmieje, ale przez to wygląda trochę jak panienka. Według mnie dla Evie najlepszy byłby Deene.

- Deene?! - wykrzyknęły jednocześnie Eve i Jenny.

- Uważasz, że Lucas Denning powinien zostać moim mężem? -upewniła się Eve.

Louisa wyprostowała się z kanapką w dłoni.

- Będzie cię dobrze traktował, bo gdyby cię rozczarował, miałby do czynienia z naszymi braćmi. Zresztą, sam nigdy nie naraziłby się na złą opinię Ich Wysokości. Poza tym nie ma żadnych kłopotliwych krewnych. Potrzebuje kogoś z dużym posagiem i całkiem przyzwoicie radzi sobie w tańcu. I nie będzie ci zbyt często zawracał głowy. Moim zdaniem doskonale się nada.

Jenny wydeła wargi.

- Chcesz męża, który pozwoli sobą pokierować?

Eve odpowiedziała, czując przyływ współczucia dla Louisy.

- Taki, którym nie da się kierować, byłby dużo gorszy, prawda?

- Pewnie tak. - Jenny zamrugła, spoglądając na tacę. - Zostawiłaś nam tylko po jednym ciastku, Lou. Nieładnie.

W zielonych oczach Louisy nie było ani śladu poczucia winy.

- A ty zostawiłaś mi tylko cztery kanapki, Jen.

Wybuchły śmiechem jak na komendę, a potem poprosiły o więcej ciastek i kanapek. Eve zaczęła się zastanawiać, czy wystarczy jej odwagi i determinacji, by znaleźć sobie kogoś, kto zgodzi się być jej mężem jedynie z nazwy.

- Wygląda to tak. - Anthony rozsiadł się w fotelu za biurkiem i splótł palce. - Nie jesteś właściwie biedny, ale nie masz zbyt wiele gotówki.

Deene spacerował po pokoju, zastanawiając się, czy jego ojciec też odczuwał podobną irytację i bezsilność.

- Podaj mi liczby, Anthony. Jako markiz przejąłem co najmniej sześćdziesiąt tysięcy akrów, a mam jeszcze moich własnych dziesięć tysięcy akrów. Do tego dochodzi fabryka mydła w Manchesterze i gorzelnia na jakiejś szkockiej wysepce. Jak mogę być biedny?

- Nie jesteś biedny, ale z tych sześćdziesięciu tysięcy akrów trzydzieści tysięcy jest ordynacją. Nie możesz ich sprzedać, ale musisz je utrzymywać. Dbać o ziemię, domy, lasy, nawet o rowy melioracyjne.

Deene popatrzył na kuzyna, odwracając się od półek biblioteki, zapchanej do sufitu książkami, których nikt nigdy nie czytał.

- Na litość boską, jak się dba o rowy melioracyjne?

- Jeśli to kanał odprowadzający wodę deszczową, trzeba go oczyszczać, żeby woda nie rozlewała się w kałuże, bo z tego bierze się cholera i inne draństwa.

Deene dobrze o tym wiedział. Wszyscy młodzi ludzie wychowywani na dziedziców majątków musieli wiedzieć takie rzeczy. Uszczypnął się w nos, czując zbliżający się ból głowy, który zagnieździł się za oczami.

- Wybacz moją irytację. Powinienem od roku wziąć się w karby, a nie tkwić na wsi w Kent pod pretekstem żałoby.

Szczerze mówiąc, trwało to dłużej niż rok. Anthony uśmiechnął się współczująco.

- Zarządzam majątkami od ponad dziesięciu lat, kuzynku, i powiem ci tylko, że Jego Lordowska Mość przez trzydzieści lat próbował wziąć się w karby, podobnie jak ty przez ostatnie dwa lata, i też mu się nie udało. Damy sobie radę, tylko nie przesadzaj z hazardem.

- Czy muszę ożenić się dla pieniędzy?

To pytanie musiało paść. Deene widział, że dywany na górnych piętrach domu są wytarte ze starości, powozy w stajniach stare i niemodne, a tanie stearynowe świece palą się nie tylko w pomieszczeniach dla służby.

Czasem jednak trzeba usłyszeć wyrok wprost, wyrażony w czystej, dobitnej angielszczyźnie.

- Ożenić dla pieniędzy? - Regularne łuki brwi jego kuzyna uniosły się, a potem opadły. - Nie wiedziałem, że w ogóle zamierzasz się żenić.

- A mimo to stale przypominasz mi, że nie chciałbyś odziedziczyć tytułu. - Deene usiadł na krześle po przeciwnej stronie biurka. - Czy w takim razie oddamy cały majątek koronie? Widzę, że ty zdecydowanie nie śpieszysz się do ożenku.

Zbyt późno zorientował się, że jego słowa nie zabrzmiały jak przyjacielski docinek, choć taki miał zamiar.

Anthony z wystudiowaną obojętnością zamknął kilka otwartych ksiąg rachunkowych, które leżały na biurku, wstał i naciągnął rękawiczki.

- Tylko nie śpiesz się za bardzo z tym ślubem - doradził. - Z pewnością pamiętasz, że twój ojciec próbował w ten sam sposób postawić majątek na nogi.

Wet za wet. Trzeba dalej prowadzić tę rozmowę.

- Więc przedstawiś mi konkretne liczby?

- Znajdziesz jej tutaj. - Anthony wskazał mu księgi. - Widzisz, one są jak ruchomy cel. Wiosną sprzedajemy kilka tysięcy jagniąt, ale w następnym miesiącu musimy nająć kilkadziesiąt osób do strzyżenia owiec. Musisz patrzeć na wszystko z perspektywy lat, a nawet dziesięcioleci, w przeciwnym razie liczby okażą się bardzo mylące. Możesz zacząć od rachunków domowych. One są w miarę proste.

Proste. Prostota ostatnio zniknęła z życia Deene'a na wszystkich frontach.

- Anthony, czy ty kiedyś przegryzłeś wzdłuż słodką, soczystą, idealnie dojrzałą truskawkę?

Anthony założył cylinder i uśmiechnął się wyrozumiale.

- Na pewno tak. Czy będziemy uprawiać truskawki?

- Nie od razu. Dzięki za poświęcony mi czas. Chciałbym się przyjrzeć aktualnemu stanowi gotówki, niezależnie od tego, jak płynny jest jej bilans.

Anthony wyszedł. Deene usiadł za biurkiem i otworzył najnowszy rejestr wydatków domowych jego londyńskiej rezydencji, w której zamierzał przybywać przez następnych kilka miesięcy.

W kilka godzin później nabawił się zezą, w skroniach mu huczało i w dalszym ciągu nie rozumiał wydatków, spisanych w tej cholernej



księdze, strona za stroną. Na ostatnim roku studiów w Cambridge był najlepszy z matematyki, ale mimo to nie był w stanie nic wywnioskować z długich kolumn starannie spisanych pozycji.

Za to, gdy poprawił się w fotelu i rzucił pióro na blat, doszedł do wniosku, że jednym z powodów tego zaćmienia umysłowego jest szokujące podobieństwo przegryzionej wzdłuż truskawki do pewnej czarującej i intymnej części kobiecej anatomii.

2

Zatrudnianie rodziny ma dobre i złe strony.

Jego Wysokość książę Moreland wygłosił tę uwagę, spacerując wraz z Deeneem po ogrodzie za pałacem.

- Z jednej strony chcesz zapewnić byt kuzynom i spodziewasz się, że będą bardziej lojalni od obcych ludzi, ale czasem sprawy potrafią się skomplikować.

- Anthony wykonał wspaniałą robotę - odparł Deene. - Poza tym nigdy, słowem ani uczynkiem, nie zdradził żadnych zakusów co do tytułu.

Jego Wysokość zatrzymał się, by powąchać białą różę.

- Zatem masz niesłychane szczęście, bo to przecież jedyny członek twojej rodziny.

- Nie jedyny.

Książę wyprostował się.

- Jest jeszcze ta dziewczynka. Zapomniałem o niej, ale ty na pewno pamiętasz. Co u niej słychać?

Gdy zmarł ojciec Deene'a, Percival, książę Moreland wraz z małżonką złożyli Deene'owi zwyczajową kondolencyjną wizytę. Majątki Morelandów sąsiadowały z majątkami markiza. Poza tym książę i stary markiz od niepamiętnych czasów jeździli razem na konne polowania z psami.

Sąsiedzki gest współczucia przerodził się w coś, czego Deene nigdy w życiu nie zaznał. Książę stał się jego mentorem.

- O ile wiem, czuje się dobrze. Dolan nie pozwala mi na odwiedziny.

- Twojej żony nie mógłby odesłać z kwitkiem.

Deene nie pochlebiał sobie, że Moreland darzy go szczególną przyjaźnią. Być może widział w nim tylko stronnika, gotowego oddać głos na jego ukochane ustawy, ale i tak nie szczędził mu cennych rad w czasie, kiedy Deene nie mógł się poszczycić doświadczeniem ani szczególną mądrością.

- Tylko że ja nie mam żony.

W odpowiedzi książę uśmiechnął się z zaskakującą słodyczą.

- Więc powinienes bezzwłocznie naprawić ten brak. Ponieważ obecnie jestem jedynym mężczyzną w domu, doskonale wiem, co damy mówią o twojej sytuacji. Rozumiem, że debutantki i ich mamuśki chodzą za tobą trop w trop.

- To oczywiste. - Deene nie miał ochoty poruszać tego tematu w pałacu, więc gestem wskazał ławkę, poczekał, aż książę usiądzie, i dopiero wtedy zajął miejsce u jego boku. - Jestem najbardziej utytułowanym kawalerem, jeśli nie liczyć siedemdziesięcioletnich książąt z licznym potomstwem. Do tego potrzebuję dziedzica. Następnym razem, gdy wybiorę się na polowanie z psami, będę miał o wiele więcej współczucia dla lisa niż przedtem.

- Lis ucieka przed psami, bo od tego zależy jego życie. Tak samo nieodpowiednia żona może odebrać ci wszelką chęć do życia.

Na ile szczerości można sobie pozwolić z kimś, kto jest dwa razy starszy?

- Mam wrażenie, że ten opis można by odnieść do związku, jaki połączył moich rodziców.

Jego Wysokość wyciągnął długie nogi, odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

- Wtedy były inne czasy. Małżeństwa układali zazwyczaj rodzice z powodów dynastycznych i ludzie mieli inne oczekiwania co do tej instytucji. Dam ci radę, młody człowieku. Możesz z niej skorzystać lub nie, wedle uznania. Nie żęń się, dopóki nie spotkasz osoby, bez której nie będziesz umiał wyobrazić sobie życia. Możesz to nazywać miłością, afektem, głębokim porozumieniem. Etykiety nie mają znaczenia. Ślub to związek na całe życie, twoje albo jej. Może to być bardzo, bardzo długi czas.

Jego Wysokość wyprostował się i przeszył Deene'a uważnym spojrzeniem.

- Zabieraj ze sobą kuzyna na spotkania towarzyskie, niech cię obserwuje, żebyś nie padł ofiarą jakiejś fałszywej lisicy. Wiem, o czym mówię, młody człowieku, bo w czasach burzliwej młodości wspiałem się na niejednen balkon. Gdyby nie mój brat Tony, nie wiem, co by się ze mną stało.

Te zwierzenia były zaskakujące i... bardzo miłe. Moreland trzymał się prosto jak trzcina, jak przystało na byłego oficera kawalerii, miał gęste, siwe jak mleko włosy kontrastujące z błękitnymi oczyma, które potrafiły wionąć arktycznym chłodem, gdy ktoś postępował niezgodnie z jego wolą.

Ale teraz nie wyglądał jak księżę, tylko jak mąż, ojciec rodziny, uroczy starszy pan, który ceni rodzinę nade wszystko.

- A oto i moja księżna, która nadchodzi, by sprawdzić, czy nie wpadłeś w osłupienie od mojej gadaniny. - Jego Wysokość wstał i ruszył zwirowaną ścieżką w stronę żony.

- Mój miły, przyszedłam po ciebie.

Powitała Deene'a serdecznie, a potem ujęła księcia pod ramię.

- Deene, wybaczysz nam, prawda? Jej Wysokość prosiła, żebym towarzyszył jej z wizytą do Westhavena, a tej przyjemności nie potrafię sobie odmówić nawet za cenę twojego głosu w sprawie poprawek do ustawy o statkach.

Deene skłonił się księżnej, która wyglądała jak ucieleśnienie angielskiej piękności, o jakiej mówiła Eve. Mimo że przekroczyła sześćdziesiątkę, była wysoka i wiotka, w jej zielonych oczach lśniła serdeczność, a złote blond loki otaczały piękną twarz, wciąż niepoznaną zmarszczkami.

- Wasze Książęce Mości, życzę wam miłego dnia. Mój głos należy do ciebie, księżę.

- W takim razie zmykaj do domu. Dziewczęta pewnie już siadają do lunchu. Możesz je zapytać, która z młodych dam pilnie potrzebuje męża, dzięki temu unikniesz najgroźniejszych pułapek.

Jego Wysokość puścił do niego oko, poklepał dłoń księżnej i poprowadził ją w stronę stajni.

Otaczała ich fascynująca atmosfera spokoju i niewymuszonej harmonii, od której Deene'owi zrobiło się dziwnie miękko na sercu.

Nie zamierzał jeść lunchu z damami - było już na to zbyt późno -ale i tak wszedł przez tarasowe drzwi do książęcej biblioteki, żeby skrócić sobie przez nią drogę do wyjścia.

- Patrzcie, lord Deene. Jak miło. - Louisa, lady Kesmore, uśmiechnęła się do niego, odsłaniając proste, białe ząbki, co go z lekka zaniepokoiło. Uśmiech lady Jenny był słodszy, a Eve - wymuszony. Siedziały na sofie, trio ślicznych młodych kobiet, a każda z nich w innym stopniu zirytowana.

- Proszę o wybaczenie za najście bez zaanonsowania. Milady, panie Trottenham. Nie spodziewałem się tu was.

- Deene, witaj. - Trottenham wstał i skłonił się, głośno stukając obcasami. - Im więcej, tym weselej, nieprawdaż? Widziałem, jak twój dwulatek wygrywa z koniem Islinghama o dwie długości. Świetnie, gratulacje i tak dalej. Moim zdaniem Islingham za bardzo utemperował swojego wierzchowca.

Trottenham wyraźnie cierpiał na jakiś nerwowy tik, bo jego brwi podnosiły się i opadały przy każdym słowie. Może zresztą próbował tylko podkreślić łączącą ich dwóch zażyłość.

- Może damy wołałyby, żebyśmy takie tematy omawiali w klubie?

- Damy by wołały, co do tego nie ma dwóch zdań - odparła Louisa. - Siadaj, Deene, i trochę nas zabaw. Pan Trottenham zaraz wychodzi. - Spojrzała znacząco na zegar. Eve nie odezwała się ani słowem i naląła Deene'owi herbaty, choć wcale o nią nie prosił.

- Wychodzę? - Brwi Trottenhama podjęły swoją gimnastykę. -Może i powinienem, ale przedtem muszę poprosić lady Eve, żeby wybrała się ze mną na przejażdżkę po Ringu, w spacerowej porze. Dziś jest piękny dzień, a ja mogę się pochwalić parą pięknych gniadoszy.

Deene bez oporu przyjął podaną mu filiżankę.

- Obawiam się, że nie może przyjąć zaproszenia, Trottenham, w każdym razie nie dzisiaj - uśmiechnął się do Eve, która zamrugła i odpowiedziała uśmiechem. Na moment stała się podobna do Louisy.

- Przykro mi, panie Trottenham. - Zdaniem Deene'a, wcale nie było jej przykro. - Jego Lordowska Mość pierwszy poprosił mnie o spotkanie.

Uśmiech Trottenhama przygasł, ale po chwili znów się pojawił.

- To może jutro?

Tym razem odezwała się Jenny:

- Jutro mamy iść z Jej Wysokością na to weneckie śniadanie.

- A pojutrze są urodziny Jej Wysokości. Niestety, nie możemy ich opuścić - dodała Louisa. - Może pana odprowadzę, Trottenham, a po drodze chętnie posłucham, jak wszedł pan w posiadanie tych swoich gniadoszy.

Wstała i ujęła go pod ramię. Po ich wyjściu zapadła chwila ciszy. Deene pożegnał nieszczęsnego Trottenhama minutą milczenia.

- Umówiłam się z modystką - powiedziała lady Jenny, podnosząc się z sofy. - Lucas, mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Wyszła, zostawiając Eve nad tacą z herbatą i Deene a, który zastanawiał się, co tu się właściwie wydarzyło.

- Powiedziałaś mi o moich rzekomych niecnym upodobaniach?

- Ja nie, ale za siostry nie ręczę. Czy to znaczy, że musimy wybrać się na przejażdżkę?

Przyjrzał się jej i zauważył cienie pod oczami i bladość kremowej skóry. Przejazdźka miała być tylko wymówką, ale właściwie nie miał nic przeciwko wspólnemu wyjazdowi.

- Chyba że nie chcesz. Koniowi może odpaść podkova albo możesz nagle dostać kolejnej migreny.

Skrzywiła się.

- Nigdy nie udaję, że je mam. To byłoby kuszenie losu. Pijesz tę herbatę?

- Nie. - Odstawił filiżankę i spodek, nieco zirytowany jej bladością i zaostrozonymi rysami twarzy. - Co cię gryzie, Eve Windham?

Zamilkła na moment, chyba tylko po to, żeby uświadomił sobie, że drzwi do biblioteki są zamknięte, a na talerzyku leżą truskawki. Oderwał wzrok od tych przeklętych owoców i spojrzał w oczy Eve, ale wcale mu to nie pomogło w stłumieniu bzdurnych myśli, które jej bliskość budziła... to znaczy, raczej prowokowała.

- Nie lubię drobnych oszustw. - Wyjrzała przez okno. Ogród robił, co mógł, żeby się zazielenić, choć noce wciąż były chłodne. - Trudno, jedźmy na ten spacer.

- Tak gorący entuzjazm dla mojego towarzystwa zasługuje na co najmniej jedno kółko po parku. Idziesz się przebrać?

Nie zamierzał tułać się po parkowych alejkach przez godzinę albo dwie, ale przypomniał sobie, że Jego Wysokość radził mu wypytać siostry Windhamówny o debiutantki. Jako były oficer kawalerii doskonale wiedział, że dobre rozeznanie sytuacji to podstawa sukcesu. Eve będzie wiedziała wszystko o nowicjuszkach i łowczyjniach męskich serc, o ambitnych mamusiach i panienkach, o których mówiło się eufemistycznie, że są „w trudnej sytuacji”. Nagle przejażdżka wydała mu się genialnym pomysłem, zupełnie niezwiązanym z niesubordynowanym zachowaniem pewnych części jego ciała.

- Mogę jechać w tym, w czym jestem, tylko wezmę narzutkę. Wstając, wzięła truskawkę i wgrzyła się w jej miąższ. Deene nagle

uświadomił sobie, że niezależnie od tematu rozmowy przejażdżka po Ringu będzie dla niego trudną próbą. Właściwie dla nich obojga.

Gdy książę usiadł obok niej w powozie, Esther, księżna Moreland, ujęła go za rękę.

- Mężu, muszę cię o coś zapytać. Uśmiechnął się wyrozumiale.

- Jeśli zamierzasz mnie wypytywać o to, jak się zachowuję w klubie, to od razu powiem, że bardzo uważam z piciem. Nie ma smutniejszego widoku jak wiekowy lord, który siedzi w fotelu pijany do nieprzytomności, kropelki wina plamią jego gors, a wczorajszy „Times” spoczywa, zmięty, na jego kolanach. Na taki widok młodzi ludzie powinni ślubować abstynencję z samego strachu.

- Chodzi mi właśnie o młodych ludzi.

Czekał w milczeniu, aż zada pytanie. Cierpliwość, z jaką traktowali się nawzajem, była jednym z licznych błogosławieństw, jakie przyniosło im trzydzieści kilka lat małżeństwa.

- Percivalu, czy ty się przypadkiem za bardzo nie mieszasz w pewne sprawy? Zauważyłam, że często zapraszasz do nas Deene'a.

Nie śpieszył się z protestami ani tłumaczeniami, co oznaczało, że pytanie trafiło w sedno.

- Bardzo dobrze się nada, Esther. Evie jeży się w jego obecności, ale Jenny może być dla niego w sam raz.

- Jeży się?

Wymienili spojrzenie pełne rozbawienia i desperacji. Księżę podjął temat.

- Jeszcze nie kazałem przyjrzeć się jego sytuacji majątkowej, jeśli o to ci chodzi. Lubię Deene'a i doskonale pamiętam, jak to było z nami, kiedy odziedziczyliśmy tytuł.

Zawsze tak mówił: „my odziedziczyliśmy”, a nie „ja odziedziczyłem”. Nasze księstwo, a nie jego. Nie był aroganckim mężem, choć potrafił być bardzo aroganckim księciem, czego zresztą Esther wcale nie uważała za wadę.

- Więc, twoim zdaniem, Deene potrzebuje żony?

Poklepał jej dłoń. Pewnie czerpał z tego gestu takie samo poczucie spokoju jak księżna.

- Mężczyzna, któremu potrzeba żony, rzadko kiedy sobie to uświadamia; w latach młodości rzadko kto może poszczycić się taką mądrością jak twój ukochany i kochający małżonek. Przodkowie Deene'a nie dali mu dobrego przykładu w tej mierze. Poradziłem mu, żeby mądrze wybierał.

- Ta aluzja o młodych ludziach, którzy nie wiedzą, że potrzebują żony, była o naszych synach.

Nagrodził ją za to przekornym uśmiechem.

- Ta część o mądrym wyborze również. Wdali się w swojego tatusia. Czy gdyby Deene chciał zostać członkiem naszej rodziny, zgodziłabyś się na to, Esther?

Musiła się zastanowić nad odpowiedzią. Aby pomóc myślom, oparła głowę na ramieniu swego księcia.

- Był bardzo miły dla Evie, kiedy potrzebowała pomocy wczoraj wieczorem.

- Aha. - To małe słówko powiedziało Esther, że mąż odgadł kierunek jej myśli. - Nasze kochanie. - Westchnął i objął księżną ramieniem.

- Oświadczyn jest coraz mniej, ale zdaje mi się, że Tridelphius Trottenham wkrótce poprosi o jej rękę.

- On się nie nadaje.

- Oczywiście, że nie. Evie zdaje się przyciągać mężczyzn, którzy nadają się do wszystkiego, tylko nie na męża. To jakiś ukryty talent.

Nie musieli zgłębiać tego tematu. Eve miała swoje powody, które oboje doskonale znali. Esther znowu ujęła męża za rękę.

- W końcu odzyska odwagę, mężu. Jest Windhamówną. Po prostu jeszcze nie spotkała właściwego mężczyzny.

Jego Wysokość zachował dyplomatyczne milczenie, ale Esther w swojej mądrości i z trzydziestoletnim małżeńskim doświadczeniem wcale nie uznała tego milczenia za przyznanie jej racji.

Świeciło słońce, ale mimo to było niezbyt ciepło. Pęd powietrza przy dwunastu milach na godzinę - z taką szybkością kłusowały konie Deene'a - sprawił jednak, że Evie zrobiło się całkiem chłodno. Pewnie dlatego usiadła bliżej Deene'a, niż pozwalała na to ścisła etykieta.

- Jeśli ci zimno, możesz sobie przykryć kolana pledem spod siedzenia.

- Nie, dziękuję. Spojrzał na nią z ukosa.

- Zbladłaś, Eve. Czy znów masz migrenę?

Sklepy i dostatnie domostwa ekskluzywnej londyńskiej dzielnicy Mayfair pojawiały się i znikwały za powozem. Za kilka godzin ulice będą zbyt zatłoczone na taki szybki kłus.

- Dżentelmen nie powiedziałaby czegoś takiego. Pochylił się bliżej, jakby dzielił się sekretem.

- Dama nie ścisłałaby poręczy tak, jakby się bała, że powożący zaraz nas wywróci.

Niech go licho. Rozluźniła chwyt.

- Weź głęboki oddech i powoli wypuść powietrze. - To także powiedział cicho, tym samym konspiracyjnym tonem. Miała ochotę wymierzyć mu kuksańca w żebra, ale pewnie stłukłaby sobie łokieć, więc zamiast tego odetchnęła tak, jak jej kazał.

Pomogło. Oby z piekła nie wyrzął.

- Za to przed sobą mamy dwóch prawdziwych dżentelmenów. Wymieniłem ich za swoją parę z twoim bratem, Devlinem, i uważam, że lepiej na tym wyszedłem od niego.

- Ile mają lat?



Następny głęboki oddech.

- Kończą sześć i są najbardziej zrównoważonymi końmi, jakie kiedykolwiek chodziły w zaprzęgu.

Eve spojrzała na piękne, lśniące kasztany, oba z białymi skarpetkami na przednich nogach.

- Dlaczego Devlin ich nie chciał?

- Nadają się także pod wierzch i zdaje mi się, że nie miał ochoty ich dalej szkolić.

W głosie Deene'a nie było ani śladu złośliwości, ale Eve cała się zjeżyła.

- Widziałeś Devlina w Boże Narodzenie. Ślub dobrze mu zrobił, o wiele lepiej sobie teraz radzi.

Deene powoził w milczeniu. Skręcił w Bramę Kumberlandzką i wjechał na Ring.

Eve skupiała się na oddechu. Zrozumiała już, przynajmniej częściowo, powód swojego zaniepokojenia.

Od czasu wypadku jeździła powozem tylko z rodziną. Trudno powiedzieć, czy londyńska socjeta odnotowała to dziwactwo, ale ponieważ wszystkie książęce rodziny były bardzo drobiazgowo obserwowane, najprawdopodobniej ktoś to już dawno zauważył.

Bracia mieszkali zbyt daleko, żeby ją wozić. Właściwie, odkąd sięgała pamięcią, jeździła tylko z mamą. Choć Jej Wysokość bardzo dobrze radziła sobie z końmi, a właściwie należała do najlepiej powożących dam, Deene na koźle poczynał sobie zupełnie inaczej niż ona. Był o wiele pewniejszy siebie. Niewątpliwie był o wiele wyższy i lepiej umięśniony, poza tym służył w kawalerii, a nade wszystko był... Deeneem.

- Nie chciałam cię urazić - powiedziała. - Wszyscy martwiliśmy się o Devlina po jego powrocie spod Waterloo.

Deene nie odwracał wzroku od koni.

- Nie tylko wy, lady Eve.

Przez chwilę miała ochotę zadać mu pytanie, którego nigdy nie zadała własnemu bratu. Co sprawiło, że jasnooki, troskliwy brat, pełen serdeczności i szarmancki wobec dam, zmienił się w nawiedzony cień człowieka, który podskakiwał przy każdym głośniejszym hałasie i po wejściu do każdego pokoju kierował się w stronę karafki?

Tylko że sama to wiedziała.

Chyba przysunęła się za blisko, bo Deene zmienił temat na bardziej obojętny.

- Dyszlowy to Księżę, a boczny wałach to Markiz. Są spowinowaceni przez matkę.

- Pewnie mają domieszkę pociągowej krwi - zauważyła. Takich zadów nie uzyskuje się, krzyżując konie z czystych linii wyścigowych. - Mają też dobry pokrój łopatek. Puszczalesz je kiedyś przez przeszkody?

Zasłużyła tym sobie na zupełnie inne spojrzenie.

- Masz rację, rzeczywiście tak jest. Chyba następnym razem, kiedy zabiorę je do Kent, każę chłopakom postawić im kilka płotków. Czy Jego Wysokość dalej poluje z psami?

- W ograniczonym zakresie. Zdaje mi się, że naprawdę zgubiliście podkowę. U Markiza. Przednia prawa.

- Skąd wiesz?

- Poznałam po dźwięku. Kopyto wydaje inny odgłos na twardym podłożu. Wsłuchaj się, a sam się przekonasz.

Kopyta stukwały po bruku, a Eve wyraźnie słyszała w ich rytmie fałszywe uderzenie niepodkutej nogi.

- Twoi bracia zawsze mówili, że wszystkie siostry zazdrościły ci dosiada - rzucił po kilku chwilach. - Kiedy opowiadali mi, jak galopowałaś na ogierze Jej Wysokości, chociaż ci zabraniano, byli pełni podziwu.

- Miałam wtedy dwanaście lat i chciałam jechać do Hiszpanii zaopiekować się bratem. Pomyślałam, że jeśli sobie poradzę z Meteorem, to mi pozwolą.

- Ale chyba ci się nie udało.

Zapomniała już o tamtej historii. Meteor miał wielkie serce, potrzebował tylko trochę pewności siebie. Teraz był już na emeryturze, pasł się na wybiegach w Morelands. Pysk mu posiwiiał, ale poza tym wcale nie było po nim znać upływu lat. Eve od czasu do czasu karmiła go jabłkami. - To była fantastyczna jazda.

Rzeczywiście tak było. Pierwszy prawdziwy wyścig z przeszkodami, kross z Morelands do wsi i z powrotem, z pędzącymi za nią stajennymi, którzy darli się na nią wniebogłosy, i z bratem Bartem,

który przyłączył się do pościgu. Kiedy wrócili do stajni, rozpętało się prawdziwe piekło.

- Założę się, że zdrowo dostałaś za to w skórę. Musiała się uśmiechnąć.

- Wcale nie. Jego Wysokość fukał i huczał i krzyczał na mnie chyba z godzinę, nie za to, że dosiadłam konia, tylko za to, że wzięłam konia bez jego pozwolenia. A potem za karę kazał mi przez miesiąc wyrzucać gnój ze stajni. Mama chciała zamknąć mnie o chlebie i wodzie i zbić tak, żebym już więcej nie mogła usiąść w siodle.

- Pewnie szczerze żałowałaś, kiedy kara się skończyła. Rozsądny człowiek. Poza tym znał ją z dawnych czasów. Rozmowa znowu zahaczyła o ten wielki przełom w życiu Eve.

Życie przed wypadkiem i życie po wypadku. Zmusiła się, by nie przerywać konwersacji, bo ten przełom był jej prywatną sprawą, o której nie wiedział nikt inny.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Bardzo dużo się przez ten miesiąc nauczyłam, obserwując konie i słuchając stajennych. Przyglądałam się, jak je trenują na ujeżdżalni. Nauczyłam się dbać o rząd, czyścić konie starannie, a nie bawić się zgrzebłem i szczotką, dowiedziałam się, jak je siodłać i rozsiodływać, kiedy skończyć rozstępowanie, co robić, kiedy koń się podbije, i jak chłodzić ścięgno, kiedy się zerwie.

Zamilkła. W pewnym sensie to był najszcześniejszy miesiąc jej dzieciństwa.

Albo nawet życia.

Deene wyprostował się nagle. Poszła śladem za jego wzrokiem: jakaś dziewczynka rzucała patyki spanielowi. Na pobliskiej ławce siedziała guwernantka albo niania i czytała książkę. - Weź lejce, Evie.

Zanim zdążyła się sprzeciwić, że nie może, nie chce i tego nie robi, Deene wcisnął jej ramię do rąk.

Wyskoczył, zanim powóz się zatrzymał, i podszedł do dziecka.

- Wujek Lucas! - wykrzyknęła dziewczynka i pomknęła ku niemu jak strzała, z wyciągniętymi ramionkami. Konie trochę się przestraszyły i zatupały, a Evie poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

- Spokojnie, panowie.

Na szczęście nie straciła jeździeckiej umiejętności przemawiania spokojnym głosem w sytuacji pełnej napięcia. Gdy Deene chwycił dziewczynkę w ramiona, Eve rozluźniła dłonie i barki, a potem kręgosłup, żeby konie nie wyczuły jej napięcia i nie uznały, że czas opuścić park dzikim galopem.

Narzuciła myślom taką samą dyscyplinę jak ciału.

- Prr. - Wałachy posłusznie zatrzymały się w miejscu. - Stać, panowie.

Lekko poluzowała wodze i dzięki Bogu, albo trenerskim umiejętnościom Deene a, konie stanęły jak wryte w ziemię.

- Mam je przytrzymać, panienko?

Hajduk - o którego istnieniu kompletnie zapomniała - wygramolił się zza powozu i patrzył na nią, mrugając.

- Nie trzeba. Jego Lordowska Mość nie zabawi długo, jak sędzę.

Niania mówiła coś do Deene'a cichym głosem, skubiąc dłonią kołnierzyk sukni. Deene trzymał dziewczynkę na biodrze, ale w pewnym momencie wyjął kobiecie piłkę z ręki. Rzucił ją daleko, a kiedy pies pomknął za nią, postawił dziewczynkę na ziemi.

Eve przyglądała się tej scenie. W pewnym momencie Deene wziął dziewczynkę za rękę i podprowadził do kariolki.

- Lady Eve, chciałbym ci kogoś przedstawić. To moja siostrzenica, panna Georgina Dolan. Georgie, lady Eve jest moją przyjaciółką. Ukłoń się ładnie.

Dziewczynka grzecznie zrobiła idealny dyg.

- Miło panią poznać, milady.

Na jej twarzyczce pojawił się uśmiech, bo wiedziała, że zachowała się dokładnie tak, jak ją uczono.

Eve uśmiechnęła się do jej rozbawionych, błękitnych oczu i do złotych, gęstych loków.

- Mnie również jest bardzo miło, panno Georgino. - Pochyliła głowę, nie przestając się uśmiechać. - To twój piesek?

- Charles. Jest fantastyczny. Tata mi go dał na siódme urodziny. To twoje konie?

- Nie, twojego wujka.

Deene stał obok i trzymał małą za rękę.

- Nazywają się Księżę i Markiz. Wujek na pewno pozwoli ci je pogłaskać.

- Mogę? - Spojrzała prosząco na Deene'a. - Nie chcę ich głaskać, chcę na nich pojeździć.

- A potem będziesz miała całą sukienkę w sierści, kochanie, i twoja niania dostanie apopleksji.

Guwernantka, schludna blondynka, i tak była już zdenerwowana. Stała nieopodal, z piłką u stóp. Zziębiony spaniel usiadł koło niej.

- Dawno temu wsadziłeś mnie na konia - powiedziała dziewczynka. - Jak byłam malutka.

- Byłaś malutka, ale wcale nie było to tak dawno temu - odpowiedział Deene z wymuszonym uśmiechem. - Tata na pewno cię przewiezie konno, jeśli go poprosisz.

Na uroczej buzi pojawił się niechętny grymas, upodabiający dziewczynkę do jej wujka.

- Nie przewiezie. Jest strasznie zapracowany i ciągle mówi, że dostanę kucyka, jak się nauczę mówić po francusku i jak pojedziemy na wieś, a to będzie za całą wieczność, bo przecież nawet jeszcze nie zakwitły róże.

Deene zacisnął wargi. Dziwna reakcja na zwyczajne dziecięce marudzenie.

- Założę się, że potrafisz pięknie narysować kucyka - wtrąciła się Eve. Z kokardami w grzywie i pewnie nawet w ogonie.

Dziewczynka posłała jej niechętnie spojrzenie.

- Myślałam, że wstążka w ogonie znaczy, że koń kopie.

- Owszem, ale to na polowaniu. Na twoim rysunku może być tylko dla ozdoby.

Niania podeszła bliżej, z udęconą miną. Widać było, że nie jest przyzwyczajona, by ktoś zabierał jej dziewczynkę spod opieki. Deene posłał jej zabójcze spojrzenie, ale na szczęście nad głową dziewczynki, która tego spojrzenia nie zauważyła.

- Możesz porzucić ze mną patyki Charlesowi, wujku?

- Eve, masz coś przeciwko temu?

- Czy mogę się do was przyłączyć? - Z jakiegoś powodu nie chciała zostawiać Deene'a, dziewczynki i niani samym sobie.

- Och, cudownie! - zawołała Georgina, klaszcząc w dłonie. Koń o imieniu Markiz cofnął się o krok, co powinno przyprawić Eve o atak paniki.

- Spokój, Markiz. - Koń zastrzygł uchem w jej stronę i zatrzymał się spokojnie.

Wystarczyło jedno spojrzenie Deene'a, a hajduk podbiegł, chwycił konie za uzdy i przytrzymał je, gdy jego pan pomagał Eve wysiąść z kariolki.

- Możemy pobawić się piłką - cieszyła się Georgina, łapiąc ich oboje za ręce. - A Charles będzie za nią biegał jak szalony. On uwielbia biegać i spacerować po parku. Ja też lubię park. Zdaje mi się, że pannie Ingraham też się tu podoba. Czyta powieści o strachach, ale nie powiem o tym papie.

Takie są dzieci. Eve kiedyś zgłosiła się na ochotnika jako opiekunka maluchów w kościele, ale zdążyła już zapomnieć o ich bezpośredniości. Sama też kiedyś była taka szczerą.

„Nie chcę ich głaskać, chcę na nich pojeździć”.

Zaczęli rzucać do siebie piłkę. Eve nie szczędziła Deene'owi wyrzutów, kiedy celował za wysoko nad głową małej. Sama rzucała piłkę prosto w ręce dziewczynki i miała na oku zaniepokojoną guwernantkę. Kiedy nawet pies tak się zmęczył, że miał dosyć zabawy, Deene przyklęknął.

- Uściskaj mnie, Georgie. Muszę odwieźć lady Eve do domu, a ty będziesz musiała nieść Charlesa, jeśli jeszcze trochę pobiega za piłką.

Dziewczynka przytuliła się mocno i objęła go za szyję. Deene głaskał dłonią blond główkę, a w jego oczach była... pustka.

Pocałował małą w policzek, wstał i odprowadził ją do opiekunki.

- Dzięki za cierpliwość, miss.

Kobieta odpowiedziała tak cicho, że Eve nie zrozumiała słów. Deene pomógł Eve wsiąść do powoziku. Hajduk usiadł z tyłu, a Deene usadowił się na koźle i ani drgnął.

Nie wziął lejc w dłonie.

Nie odezwał się ani słowem.

- Deene? - Eve nigdy nie widziała u niego takiej miny, gniewnej i zdeterminowanej zarazem. - Lucas?

- Będziesz musiała powozić, Eve.

Nie zaprotestowała. Widziała, że w tym stanie nie powinien kierować końmi. Odwinęła lejce z kołka, złapała kontakt z końskimi pyskami, rzuciła okiem do tyłu, sprawdzając, czy hajduk trzyma się powozu, i ruszyła stępą.

- Co cię tak wytrąciło z równowagi, Deene? Prychnął lekceważąco.

- Wytrąciło z równowagi? Ładnie to ujęłaś. Jest po temu wiele powodów. Między innymi to, że ten nowobogacki, irlandzki łajdak, który spłodził moją siostrzenicę, podarował jej psa, któremu nadał imię mojego ojca. Lekceważenie Dolana jest równe subtelne jak furgon pełen piwa, który stacza się samopas z górki.

Siedząca obok Eve prowadziła konie spokojnym klusem, a Deene nagle sobie uświadomił, że zgrzyta zębami, czego w żadnym razie nie wypadało robić w obecności damy.

- Wybacz moje słownictwo, lady Eve.

Nawet nie odwróciła wzroku od koni, tylko dalej spokojnie siedziała na ławce.

- Nie wiedziałam, że masz siostrzenicę.

Powinien odgadnąć, że prowadzą małą do parku o nietypowych godzinach. Wysyłał szpiegów rano, kiedy większość guwernantek wychodziła na spacer z swoimi podopiecznymi. Teraz będzie wiedział, że trzeba próbować o różnych porach.

- Rzadko mi pozwalają występować w charakterze jej wuja.

- Jej ojciec jest aż tak opiekuńczy?

Deene policzył do dziesięciu, najpierw po angielsku, potem po łacinie i na koniec po francusku.

- On ledwie zasługuje na miano ojca. Traktuje małą jak więźnia w jej własnym domu i nie pozwala jej się z nikim przyjaźnić. Nie pozwala mi jej odwiedzać, choć wolno mi przysyłać jej prezenty i od czasu do czasu dostają od niej oględnie sformułowaną kartkę z podziękowaniami. Dolan nigdy nie odmawia przyjmowania prezentów, ale traktuje ją jak...

To był właściwie wybuch gniewu, ale Eve wcale nie wyglądała na urażoną.

- Podniósł opiekuńczość do rangi wulgarnej sztuki - dokończył. Dolan traktował Georgie jak swoją własność, jak cenną zdobycz.

Eve skręciła w Park Lane, a Deene liczył w myśli do dwudziestu, tym razem po włosku.

- Co takiego powiedział Trit-Trot o twoim młodziku? Że wygrał z koniem Islinghama?

Ach, postanowiła zmienić temat. Niech ją niebiosy błogosławią. Deene z wdzięcznością podjął rozmowę.

- Zmęczyłem się przechwałkami staruszka i postanowiłem dać się wybiegać Królowi Williamowi.

Cmoknęła na konie, które odrobinę przyspieszyły kroku.

- Król William to twój koń?

Deene zaparł się nogami o przód powozu.

- Król William to moc natury zaklęta w postać czterolatka. Będzie moim czołowym ogierem wyścigowym, jeśli tylko potrafię odpowiednio zrównoważyć jego treningi z okresami odpoczynku.

Eve uśmiechnęła się do koni.

- To znaczy, że ma serce wojownika. Pewnie biega nawet wtedy, kiedy powinien odpocząć dzień lub dwa, prawda?

- Dokładnie tak. Nie chodzi o to, że on lubi biegać, on ma wewnętrzny przymus, żeby pokazać wszystkim kolegom, kto tu jest najszybszy. Wystaw go do wyścigu z klaczą, a pójdzie jak naoliwiona błyskawica.

Mistrzowsko przeprowadziła konie przez ciasny zakręt, obok stojącego na łuku furgonu.

- Zapomniałam, że stadnina Devlina była kiedyś jednym z twoich folwarków. Spędzasz dużo czasu na wsi?

Deene nawet nie zauważył, gdzie i kiedy ulotniła się jego furia na ojca Georgie, nagromadzona frustracja, a nawet - choć mężczyzna nie powinien się przyznawać do takich uczuć - coraz większa bezradność. Zastąpił je entuzjazm prawdziwego koniarza. W dodatku Eve nie słuchała jego wywodów z bolesnym uśmiechem znamionującym nudę, tylko dyskutowała z nim z równym zapałem, wysłuchując coraz bardziej elokwentnych peanów na cześć ogiera.

- Nigdy w życiu nie spotkałem konia z tak bogatym charakterem jak Wiluś. Stajenni kochają go, jakby był ich pierworodnym synem.



- Można mu dawać jabłka?

- W rozsądnych ilościach. Za to kocha cukier i wszelkie słodczyce.

- Jak każdy chłopiec. - Powiedziała to z takim uśmiechem, że Deene poczuł się, jakby sam miał w ustach kostkę cukru. Ten uśmiech mówił, że Eve jest zadowolona z jego towarzystwa, z siebie, z życia i ze wszystkiego. Wystarczyło tylko porozmawiać z nią o koniach.

Kiedy zajechali na podjazd przed pałacem Morelandów, Deene prawie żałował, że to już koniec przejażdżki. Pomagając Eve wysiąść z powozu, zatrzymał się na moment, nie odrywając dłoni od jej talii.

- Nie zdążyliśmy porozmawiać na temat, który chciałem z tobą poruszyć.

Opierała się dłońmi o jego ramiona. Znowu sobie uświadomił, jaka jest z niej kruszyna.

- Co to za temat?

Postawił ją na ziemi i gestem polecił hajdukowi wyprząc konie. Wziął Eve pod rękę.

- Odprowadzę cię do domu, ale idźmy przez ogród, dobrze? Zrozumiała, o co chodzi, i w milczeniu szła u jego boku, aż oddalili się od ulicy.

- Miałem inne plany na to popołudnie niż zanudzanie cię na śmierć rozmową o Królu Williamie.

Usiadła na ławce osłoniętej żywopłotem i poklepała miejsce obok siebie.

- Miałeś ratować mnie przed panem Trit-Trotem, ale obawiam się, że już jest za późno. Spoglądał na mnie tym wzrokiem pełnym ślepej determinacji. - Trit-Trotem? - Gdy usiadł obok, Eve zdjęła kapelusz, odłożyła go na bok i przeczesła palcami włosy.

Skończywszy ten manewr opóźniający, uśmiechnęła się krzywo.

- To Louisa wymyśla przezwiska dla wszystkich moich nieszczęsnych absztyfikantów. Od czasu ślubu jeszcze jej się pogorszyło. Tridel-phius Trottenham, czyli Trit-Trot. Doskonale pasuje.

- Nasz drogi Trit-Trot ma problem z hazardem.

Takich tematów zwykle nie poruszało się z damami, ale jeśli ten idiota postanowił oświadczyć się którejś Windhamównie, ktoś powinien przecież zatrzeć na alarm.

Poza tym sama myśl, że Trit-Trot - który w myślach Deene'a będzie teraz nosił ten nieszczęsny przydomek do końca świata - mógłby pocałować jedną z córek księcia Moreland, a szczególnie Eve, sprawiła, że doskonały nastrój Deene'a... nieco przygasł.

- I strzela obcasami w okropny sposób - dodała Eve, wpatrując się w grządkę optymistycznie żółtych tulipanów. - I nie potrafi rozmawiać, tylko ćwierka. Oblizuje palce po jedzeniu ciastek, chociaż z drugiej strony nieźle tańczy i ma dobre serce.

Jasnożółte tulipany miały jakieś znaczenie w języku kwiatów. Aha: jestem beznadziejnie zakochany. W czasach durnej młodości Deene wysłał kilka takich bukietów różnym tancerkom baletowym i wesołym wdówkom.

Szybko porzucił te myśli i skupił się na siedzącej obok dziewczynie.

- Nigdy się nie zastanawiałem nad tym, że wy, damy, musicie znosić towarzystwo waszych adoratorów, kimkolwiek by byli. Czy to jest aż tak nieprzyjemne?

Podniosła wzrok na majestatyczny dąb, z gałęziami czerwonymi od młodych listków, które jeszcze się nie rozwinęły.

- Teraz jest gorzej, bo Sophie, Maggie i Louisa już powychodziły za mąż. Dużo się mówi o czworobokach piechoty, które pod Waterloo zwierzały się raz za razem, kiedy szarżowała na nie francuska kawaleria. Mam wrażenie, że my, dwie najmłodsze siostry, jesteśmy w podobnej sytuacji.

Dębowe liście. Symbol odwagi.

Odpowiedział powoli, jakby jego zmysł praktyczny był pociągowym koniem, który przeciąga słowa przez otchłań dumy.

- Może mógłbym ci w tym pomóc, Eve, w zamian za pomoc z twojej strony. Teraz wpatrywała się w krzak bzu, który pewnie za tydzień zakwitnie. Symbol pierwszych miłosnych uczuć.

- Ty już mi bardzo pomogłeś, Lucas. - Powiedziała to bardzo cicho i zgarbiła się, zaciskając palce na krawędzi ławki.

Nazwała go Lucasem. Kiedyś cała rodzina Windhamów go tak nazywała, a teraz nikt nie mówił do niego po imieniu, poza Georgie. Nie był pewny, czy powinien się cieszyć, że się tak do niego zwróciła, czy wręcz przeciwnie.

- Mogę zamienić parę słów z Trit-Trotem, jeśli chcesz, żebym go przepędził.

Machnęła ręką.

- Mogę mu powiedzieć, że mam tylko dwa tuziny pantofelków, a przecież sezon wkrótce się zacznie. Albo że nigdy nie wstaję przed południem, bo co noc muszę brać krople na sen. Mój nerwowy chichot trochę go zniechęcił, a jeśli on nie podziała, stanę się pobożna.

Była taka beztroska, siedząc na tej ławce i przesuwając pantofelkiem po żwirze. A mimo to Deene miał poczucie, że rozmawia ze znużoną weteranką wielu wojen.

Niewiele myśląc, pochylił się i zerwał dla niej żonkila.

- Za co to?

Wzięła kwiat, nie zdejmując rękawiczki, i podniosła do nosa, żeby go powąchać.

Żonkile za odwagę.

- Żebyś poweselała. Obawiam się, że moja propozycja była zbyt arogancka.

- Co to za propozycja?

- Zamierzałem ci pomóc w ocenie różnych zalotników, którzy się wokół ciebie kręcą, a w zamian ty opowiedziałabyś mi o damach, które interesują się mną.

Kiedy powiedział to głośno, plan wydał mu się niegodny dżentelmena, ale Eve się nie obraziła. Wyprostowała się i troskliwie położyła kwiat na ławce.

- Przez ostatnich kilka lat dużo podróżowałeś - odpowiedziała. - Przez tak długi czas rzeczywiście można wypaść z towarzyskiego obiegu.

Egipt, obie Ameryki - byle tylko nie słuchać gniewnych tyrad starszego pana.

- W najbliższej przyszłości zamierzam zostać na domowym podwórku. Masz rację. Nie mam pojęcia, kto nadużywa laudanum, kto jest przesadnie zadłużony u modystek i czyja mamusia za głęboko wtyka nos w nie swoje sprawy.

Teraz, gdy wymienił kilka zagrożeń, wydało mu się nagle, że życie niebacznego kawalera jest pełne pułapek. Eve spojrzała na noski pantofelków.

- Zanim chłopcy się pożenili, bez przerwy ze sobą plotkowaliśmy. Jestem pewna, że nie mówili nam wszystkiego, ale to, co mówili, zupełnie nam wystarczało. A my z siostrami odpłacałyśmy im tym samym.

Prawdopodobnie z tego powodu żadnego z młodych Windhamów nigdy nie przyłapano publicznie w kompromitującej sytuacji... podobnie jak żadnej panny Windham. A teraz Windhamowa piechota została sama, bez wsparcia kawalerii i dział.

A on od zawsze maszerował samotnie, co podczas bitwy równa się wystawieniu się na niebezpieczeństwo.

- Co wiesz o pannach Staines? Wyglądają na bardzo zdeterminowane... aż za bardzo.

Spytał ją o to, bo naprawdę chciał się dowiedzieć, a nie miał innej zaufanej osoby, do której mógłby się zwrócić. Poza tym wyczuwał -albo raczej miał nadzieję - że Evie brakowało plotkowania z braćmi.

- Lady Staines ma siostrę - powiedziała, przeciągając czubkiem pantofelka po żwirze. - Ta siostra ciągle przebywa na wsi w Northumbrii, ale mówi się, że jest wyjątkowo wybuchowa.

- Aha. A córka?

Eve przygryzła wargę i wzięła do ręki żonkila.

- Została wprowadzona do towarzystwa dopiero jako dziewiętnastolatka. Nikt nie wie dlaczego, a lady Staines nie pozwala dziewczynie na żadne kontakty towarzyskie i dosłownie wisi jej nad głową przez cały czas. Szkoda nam tej Mildred, ale ona ignoruje wszelkie przyjazne gesty, chyba że jej matka je zaakceptuje.

A on prawie na poważnie rozważał oświadczenie się o rękę tej dziewczyny, chyba tylko po to, żeby zastąpić znajome problemy nieznanymi. Przesiedział na tej ławce następne pół godziny, słuchając, jak Eve Windham delikatnie sugeruje, które damy mogłyby się sprawdzić w arystokratycznym małżeństwie, a które nie. - Twoje wywody są bardzo niepokojące, milady. Właściwie czuł się przygnębiony tym wszystkim, co usłyszał, oraz tym, że Eve wie tyle nieprzyjemnych rzeczy o różnych osobach. - W jakim sensie niepokojące?

- Nigdy bym nie podejrzewał, że te uprzejme, urocze, młode pupilki naszej socjety muszą sobie radzić ze wszystkim, poczynając od

brutalnych ojców, poprzez braci, którzy sieją nieślubnych potomków po całym hrabstwie, aż po ciotki, które cierpią na choroby nerwowe. Myślałem, że to próżna, nieciekawa społeczność, a teraz zobaczyłem jej ponurą stronę.

Nie zaprzeczyła. Powąchała żonkila.

- Przyda ci się ta wiedza?

Czuł się jej zobowiązany, więc zdobył się na szczerość, przynajmniej do pewnej granicy.

- Bardzo mi pomogłaś. Może w zamian za to wybierzesz się ze mną w przyszłym tygodniu do Surrey, żeby zawrzeć znajomość z Królem Williamem?

Specjalnie ubrał swoje zaproszenie w formę podziękowania albo nawet wynagrodzenia za pomoc, tak jakby nie zamierzał już więcej rozmawiać na te plotkarskie tematy.

Cienkie blond brwi powędrowały ku górze. Dotknęła kwiatem warg.

Śliczne były te wargi, wdzięcznie wygięte, cudownie różowe, przypominające barwą dojrzalą...

Chyba to wiosenne powietrze tak działa na jego męskość.

- Pojadę z tobą pod warunkiem, że zgodzisz się zabrać Jenny i Louise, jeśli Kesmore ją puści. Ucieszą się z wycieczki, a Król William na pewno będzie zadowolony z odwiedzin.

- W takim razie jesteśmy umówieni.

Wstał i pochylił się nad jej dłonią w rękawiczce, czując lekkie niezadowolenie z tej rozmowy.

Po drodze do furtki odwrócił się i pomachał jej ręką. Odmachnęła, ale kiedy spojrzał na nią, jak siedziała na tej ławce z pojedynczym kwiatem w dłoni, coś ścisnęło go w sercu. Dzięki Bogu, że nie jest w jego typie. Lubił kobiety pełne barw i namiętności. Takie, z którymi zawsze wiesz, na czym stoisz i ile trzeba wydać na jubilerski drobiazg, dzięki któremu będzie można stanąć znacznie bliżej.

Ale Eve Windham znała się na koniach, okazała się sensownym sprzymierzeńcem i lubił się z nią całować. Poza tym doskonale powoziła, jakby urodziła się z lejcami w dłoni.

Co za przedziwna kombinacja zalet.

- Co Deene mówił do panny Georginy?

Dolan powiedział to spokojnie, choć najchętniej ryknąłby tak, żeby sufit się zatrząsł. Panna Amy Ingraham nie była strachliwą duszyczką, ale też nie zasługiwała na to, by ją straszyć. Stała po przeciwnej stronie jego ogromnego biurka, z miną na poły beznamietną, na poły pełną szacunku, typową dla dam w ciężkiej sytuacji, które rozmawiają z pracodawcami.

- Jego Lordowska Mość mówił bardzo niewiele, sir. Bawił się z nią piłką i przedstawił ją lady Eve Windham.

Windham?

- Jednej z córek Morelanda?

Gdyby była mowa o księżnej, guwernantka powiedziałaaby „Jej Wysokość”, a nie „lady”. Dolan opanował już takie szczegóły, choć na myśl o całej tej hierarchii i sposobach zwracania się do osób na jej różnych szczeblach miał ochotę kopać meble, jak przystało na syna prostego irlandzkiego kamieniarza.

- Zdaje mi się, że lady Eve jest najmłodsza z nich, sir.

To właśnie była korzyść z zatrudnienia dystyngowanej angielskiej guwernantki, wnuczki wicehrabiego, ni mniej, ni więcej. Latem przesiadywała do późna w noc nad almanachem rodów szlacheckich i arystokratycznych autorstwa Johna Debretta przy wąłym świetle naftowej lampki i potrafiła z pamięci wymieniść, z której arystokratycznej hodowli pochodziły wszystkie utytułowane szczeniaki, z jakimi Dolan się stykał.

- W jakim wieku jest ta cała lady Eve?

- Bywa w towarzystwie od kilku lat, z tego co wiem.

- Czy coś mówiła do Georginy?

Panna Ingraham odetchnęła głęboko, co uwypukliło jej kobiece kształty. Zatrudniając ją, Dolan zwrócił uwagę na jej elegancką sylwetkę, ładną twarz i jasne włosy. Uznał, że nikt nie zabroni mu zatrudnić ładnej guwernantki. Chociaż, znając Anglików, na pewno istniały jakieś ograniczenia w tym względzie.

- Dama pochwaliła pannę Georginę za ładny dyg, komplementowała pieską, napominała Jego Lordowską Mość, że za wysoko rzuca piłkę, i podziękowała pannie Georginie, że dzięki spotkaniu z nią konie miały chwilę wytchnienia.

Lady Eve napominała Jego Lordowską Mość. Dolan z pewną niechęcią skłonił przed nią głowę w myśli, mimo że była córką księcia. Deene'owi należała się niejedna reprimenda, choć pewnie nie był gorszy od całej reszty tych aroganckich, zadufanych...

- Czy zdarzyło się coś jeszcze, panno Ingraham? Jakimś cudem zdołała wyprostować się jeszcze bardziej.

- Mów szczerze, kobieto. Nie karzę moich pracowników za uczciwość, ale nie znoszę nieuczciwości.

- Panna Georgina bardzo ucieszyła się z towarzystwa swego wuja, podobnie jak ze spotkania z lady Eve.

Przyjrzał się pannie Ingraham trochę uważniej. Jej piękne szare oczy wpatrywały się w niego, a szerokie, pełne usta rozciągnęły się w płaską, pełną dezaprobaty kreskę.

- Ile pani płacę, panno Ingraham?

Wymieniła kwotę, za którą dwunastoosobowa rodzina Dolana przeżywałaby się cały rok na ziemniakach, choć był to raczej miernik ich biedy niż wysokości jej pensji.

- Od dziś podwajam pani pensję. Proszę zabierać pannę Georginę na spacer do Regent's Park. To wszystko.

- Czy przyszedłeś do papy na jakieś polityczne spotkanie, czy też Anna wygoniła cię z domu, żebyś się przewietrzył?

Gayle Windham, hrabia Westhaven, uśmiechnął się do siostry na to bezpośrednie pytanie.

- Też się cieszę że cię widzę, Louiso.

Oddał wodze chłopcu stajennemu i przeniósł wzrok na twarz Jenny, a potem z powrotem na Louise.

- Zdaje mi się, że coś knujecie.

Stały ramię w ramię - kwiat dystygowanej angielskiej socjety. Wymieniły siostrzane spojrzenia, w jednej chwili ustalając, która zacznie, która będzie mówiła, co należy powiedzieć i jaka będzie riposta. Wszystkie Windhamówny wymieniały między sobą takie spojrzenia, jak sięgnąć pamięcią, a mimo tego Gayle w dalszym ciągu nie potrafił rozszyfrować ich znaczenia.

Pocieszał się jedynie wyznaniem Maggie, która niegdyś powiedziała, że wymiana braterskich spojrzeń jest równie zagadkowa dla sióstr.

- Przejdź się z nami.

Jenny wzięła go pod ramię, Louisa stanęła z drugiej strony. Dwuosobowa siostrzana grupa nacisku poprowadziła go do ogrodu za pałacem.

- Bardzo chętnie. Mam nadzieję, że u was wszystko w porządku? Jenny posłała mu swój zwykły, łagodny uśmiech, który nie zmylił

go nawet na sekundę. Genevieve Windham doskonale potrafiła wykorzystać swoją wrodzoną dyskrecję i była w tym niemal równie skuteczna jak Louisa, która osiągała to, co chciała, zwykłą bezczelnością. Gayle mimo wszystko zachował spokój. Zdradzą swoje przewrotne sekrety, kiedy same będą miały na to ochotę. Nie sposób było wyciągnąć ich na słówka.

- Co nam wiadomo o perspektywach małżeńskich Lucasa Denninga? - Louisa wystrzeliła swój największy pocisk bez ostrzeżenia.

Westhaven zatrzymał się i puścił ramię Jenny.

- Czy wy w ogóle musicie o coś takiego pytać? Jestem pewny, że gdybym was spytał o ilość pól i ras bydła w posiadaniu dowolnego kawalera z towarzystwa, a nawet o stan jego uzębienia, któraś z waszej piątki na pewno znałaby dokładną odpowiedź.

Źródła takiej wiedzy były niezmiernie niepokojące dla mężczyzny, nawet jeśli był bardzo szczęśliwy w małżeństwie.

- Ma wszystkie zęby - stwierdziła Jenny i znowu wzięła go pod rękę. - Orientujemy się, że zawartość rodzinnych kufrów... co nieco się zmniejszyła, w wyniku rozrzutności zmarłego markiza. Wiemy też, że Deene ma stadninę koni wyścigowych i utrzymuje całkiem przyzwoitą stajnię w mieście. Chcemy dowiedzieć się o jego perspektywach.

Westhaven pozwolił sobie usiąść na ławce, w pobliżu grządki żółtych tulipanów. - Nie mam pojęcia, moje kochane.

To przecież były jego siostry. Czasem trzeba być nieco brutalnym, żeby przywrócić właściwy porządek relacji między rodzeństwem. Louisa wsparła się pod boki i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Nie pytamy z ciekawości, ty ośle. Musimy to wiedzieć, a jeśli nie puścisz farby, po prostu spytamy Kesmore'a. Lucas fruwał po świecie za życia starego markiza, a potem zaszył się na wsi, pod pretekstem żałoby, więc nasze zwykłe źródła niewiele wiedzą. Czy rozgląda się za żoną?



Każdy przyszły księżę powinien od czasu do czasu usłyszeć, że jest osłem, a obowiązek dopilnowania tego zazwyczaj spoczywał na jego siostrach.

- Ma tytuł, Lou, i tylko jednego kuzyna w drugiej linii jako dziedzica. Jestem prawie pewny, że szuka żony... jeśli tak życzysz sobie określać święte więzy małżeńskie.

Znowu wymieniły między sobą spojrzenia, pełne satysfakcji i samozadowolenia, w stylu „a nie mówiłam”?

- Dlaczego chcecie to wiedzieć? Jenny usiadła obok niego.

- Widzisz, braciszku, widziałyśmy, jak Evie wyjeżdża z Deene'em na spacer, co samo w sobie byłoby już ewenementem.

Nie pytał, co jeszcze mają do powiedzenia, bo mina Louisy jasno świadczyła, że za chwilę padnie z jej ust kolejna rewelacja. Usiadła z drugiej strony.

- Wiemy też, że kiedy wrócili, Deene rozpieął się na siedzeniu jak kalif Mayfair, a Evie sama powoziła.

Evie. Powoziła. Sama. To rzeczywiście była rewelacja. Westhaven wstał i zmierzył je stanowczym spojrzeniem.

- Nie wolno wam poruszać tego tematu z Eve ani donosić Ich Wysokościom.

- Za późno.

Jenny wyraźnie się zmartwiła, a Louisa zirytowała, co dla niej było ekwiwalentem zaniepokojenia.

- Mama akurat wyszła nam pomachać, kiedy szłyśmy na spacer, więc też to widziała.

A niech to wszyscy diabli.

- Trzeba ostrzec Evie - mruknął Westhaven. Takie są skutki odwiecznego ostrzegania rodziców, w celach czysto towarzyskich i słuchania łagodnych napomnień żony, nakłaniającej go, by więcej czasu poświęcał rodzeństwu.

Teraz to ich przekłete spojrzenia były wymierzone w niego i dobrze wiedział, co to oznacza.

Jenny, jak zwykle chętna do pomocy, życzliwie ujęła sens spojrzenia w słowa.

- Tak, braciszku, koniecznie trzeba ostrzec Evie.

Zostawił je na ławce, gdzie bez wątpienia dalej knuły, planując dla niego kolejne krępujące zadania. Kiedy jego rodzinie to odpowiadało, stawiali go w roli dziedzica i przyszłego księcia, i oczekiwali, że poradzi sobie z różnymi niewygodnymi sprawami, którymi nikt inny nie miał ochoty się zająć.

Miał szczerą nadzieję, że Ich Wysokości dożyją biblijnego wieku i nigdy nie będzie musiał dziedziczyć tytułu. Pomodlił się w duchu w tej sprawie, a potem odnalazł Eve w pokoju muzycznym.

- Cześć, siostró. - Siedziała przy fortepianie, który jeszcze bardziej pomniejszał jej drobną sylwetkę.

- Gayle! - Zeskoczyła ze stołka i objęła go z całej siły.

Jeśli ktoś ma pięć sióstr, nie ośmieli się wyróżniać żadnej z nich. Każdą kochał za co innego: Maggie za odwagę i rozum, Sophie za spokój, umiejętność radzenia sobie ze wszystkim i zmysł praktyczny, Louise za niezależność i głęboko skrywane dobre serce, Jenny za determinację i dobroć.

Ale Evie... Evie była po prostu kochana. Jenny uśmiechała się i ciągnęła go za rękę tam, gdzie chciała, Louisa wyzywała go od osłów, a Evie wystarczyło objąć go mocno i wymówić jego imię.

- Chciałaś zagrać etiudę? - spytał, podprowadzając ją do sofy pod ścianą.

- Chciałam pobyć trochę sama. Zadzwoń po herbatę?

- Nie, dziękuję. Gdy tylko Jego Wysokość zorientuje się, że jestem w pobliżu, na pewno zostanie doprowadzony do gabinetu i postawiony przed licznymi tacami z jedzeniem oraz karafką, a potem wysłucham dłuższego wykładu o ustawach, które ostatnio nie dają spać naszemu ojcu. Po czym opuści mnie apetyt. Ładnie wyglądasz, Evie.

Rzeczywiście tak było. Eve była śliczną, drobną kobietką, ale dziś jej policzki były bardziej różane i wydawała się mieć więcej energii niż zwykle.

- Byłam na świeżym powietrzu, a to zawsze dobrze robi wiosną. Jak tam Anna?

Zawsze chętnie opowiadał o swojej hrabinie, ale tym razem nie zamierzał dać się Evie wymknąć tak łatwo.

- Pojechałaś na spacer z Deene'em. Wyraźnie przygasła.

- Będiesz na mnie krzyczał? Wiem, że Lucas wyrobił sobie nie najlepszą reputację.

- Jak każdy nieżonaty, bogaty mężczyzna w jego wieku, czy na to zasługuje, czy nie.

W sumie miała rację. Zanim Deene zaczął podróżować, miał nieco przesadny apetyt na pewne przyjemności.

Nieco przesadny? Czy w ogóle można tak powiedzieć?

- W towarzystwie zachowuje się przyzwoicie. - Eve nie tyle go broniła, ile uzasadniała swoje własne zachowanie.

- Jest zaprzysięgłym przyjacielem rodziny. Nie poruszyłem tego tematu, żeby cię w jakikolwiek sposób krytykować, Evie. Po prostu się o to spytałem, bo ciekaw byłem, jakim cudem temu człowiekowi udało się namówić moją siostrę do wzięcia lejc do ręki, podczas gdy cała rodzina bez powodzenia nakłania cię do tego od wielu lat.

Gayle doskonale sprawdzi się jako książę. Było w nim to spokojne zdecydowanie, które jest niezbędne posiadaczowi eksponowanego arystokratycznego tytułu, a także głowie dużej rodziny. Ale nie nauczył się jeszcze ukrywać smutku i niezrozumienia, które Eve widziała w jego oczach za każdym razem, gdy na nią patrzył.

- Nie mam pojęcia, co zrobił. - Wstała z sofy. Gayle, jako kochający brat, pozwolił jej na odrobinę dystansu i nie wstał wraz z nią. - Myślę, że ważniejsze jest to, czego nie zrobił.

- W takim razie chciałbym się dowiedzieć, czego w takim razie nie powinienem robić. Podobnie jak Louisa, Jenny i, przykro mi, Jej Wysokość.

- Wielkie nieba.

Wstał w końcu, ale podszedł do fortepianu, zamknął wieko i oparł się o nie łokciem.

- To tylko przejażdżka po parku, Evie. Jeśli chcesz mojej rady, zachowuj się, jakby się nic nie stało. Patrz na nich z góry. To jedna z ulubionych taktycznych sztuczek Jej Wysokości.

Usiadła obok niego na stołku, bo uświadomiła sobie, że ma ochotę z kimś porozmawiać o tej przejażdżce.

- Po prostu oddał mi lejce i wyskoczył z powozu, zanim konie zdążyły się zatrzymać.

Na samo wspomnienie tej chwili coś ścisnęło ją w brzuchu ze zdenerwowania, a potem ogarnęło ją radosne zdziwienie.

- Założył, że potrafisz powozić parą koni. I rzeczywiście potrafisz. Gayle zmarszczył brwi, jakby i on był zdziwiony.

- Nie potrafię. - Wstała. - Nie potrafiłam.

Znowu pozwolił jej przejść samej przez pokój, obserwując ją z ciekawością zielonymi oczyma. Deene był podobnie zbudowany jak West-haven, który był wysoki i raczej umięśniony niż szczupły, ale miał ciemnobrązowe włosy, podczas gdy Deene był przystojnym, niebieskookim blondynem.

- To ja sama zakładałam, że nie potrafię - wyjaśniła. - Pokazał mi, że jestem w błędzie. Nigdy nie byłam szczęśliwsza z powodu pomyłki. Tylko... dlaczego on?

- Czy to ważne? Byłaś na miłym spacerze i dowiedziałaś się czegoś cudownego o sobie.

Jak zwykle jego logika była nie do podważenia.

- Wspaniała para, ten jego Markiz i Księżę. Ma jeszcze ogiera, Króla Williama.

Czuła się jak naiwna dziewczynka, opowiadając o tym bratu, tak jakby zwierzała mu się, że Deene wziął ją za rękę albo pocałował w policzek.

- Miałem przyjemność poznać Jego Końską Wysokość i jeśli dobrze go wychowają, to zgadzam się z Deene'em: jest jeden taki koń na milion. St. Just też się nim zachwyca.

- Devlin zachwyca się wszystkim, co ma grzywę i ogon.

W tym momencie Westhaven uderzył z zapierającą dech w piersiach precyzją:

- Ty też kiedyś taka byłaś.

Co za drań, Uczciwy, genialny, odważny drań. Jak Anna może wytrzymać z takim mężem?

Eve opadła z powrotem na sofę, ale tym razem przez dłuższą chwilę unikała spojrzenia brata. Tych pięć krótkich słów uświadomiło jej prawdę, do której wolała nie przyznawać się sama przed sobą: wypierając się miłości do koni i jeździectwa, zamknęła raz na zawsze nieszczęśliwy rozdział swego życia i znacznie zmniejszyła prawdopodobieństwo, że znowu stanie jej się coś złego.

Tyle że przez to zrezygnowała z jednej z największej radości tegoż życia, tłumacząc sobie, że tak będzie najlepiej.

- Popeliłam pewien drobny błąd z radości, że znowu miałam wodze w rękę - przyznała się.

Gayle czekał. Miał niewyczerpaną, szatańską cierpliwość.

- Nie chciałam być zobowiązana Deene'owi, więc zgodziłam się mu pomóc w odsiewaniu ziarna od plew, czyli rozszyfrowaniu panien na wydaniu, które w tym roku bywają na salonach. Nie ma sióstr...

Zamilkła, nie chcąc wdawać się w dalsze tłumaczenia. Nie była pewna, czy w ogóle można znaleźć jakieś wytłumaczenie jej postępowania, za wyjątkiem nietypowych rozrachunków, jakie zaczęła mieć z markizem Deene.

- Z pewnością będzie ci bardzo wdzięczny, Evie.

W ironicznym głosie Westhavena nie było złości. Nigdy nie dokuczał rodzeństwu, choć czasem bywał surowy i poważny.

Wstał, przeszedł przez pokój, pocałował Eve w czoło i poszedł zobaczyć się z księciem.

Dobry człowiek, cudowny brat, a nawet wspaniały przyjaciel.

Mimo to Eve nie powiedziała mu, że umówiła się na kolejną przejażdżkę z Deene'em. Siostrom też.

Deene wgryzł się w bułkę, ale po chwili odsunął ją od ust i spojrzał na nią nieufnie.

Twarda jak kamień, w żadnym wypadku nie została upieczona przed godziną.

- Coś nie tak, kuzynku? - Anthony rozsiadł się na krześle z drugiej strony stołu, z „Timesem” pod łokciem i stojącym przed nim parującym talerzem z jajecznicą, gotowanymi śledziami i grzankami.

- Nic, czego nie naprawiłaby porcja omletu - odparł Deene i zabrał się do jedzenia. Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego „Times” nie leżał przy jego nakryciu.

Anthony podniósł wzrok znad gazety.

- Jedziesz dziś do Surrey?

- Owszem, w towarzystwie trzech uroczych dam. Możesz mi pozazdrościć.

- Trzech? Słyszałem, że od czasu do czasu zabawiasz dwie naraz, ale trzy to ambitny projekt, nawet jak na ciebie. - Anthony dolał sobie herbaty z imbryka, który stał obok jego nakrycia.

- Mój rekord to cztery, jeśli już koniecznie musisz wiedzieć. Wszystko dla honoru rodu Denningów. I wszystkie cztery były rude. Podaj mi imbryk, dobrze?

Tamta noc była po prostu głupotą i marnowaniem czasu. Pięć osób z trudem mieści się w wielkim łożu, nawet w różnych akrobatycznych pozycjach.

- Dlaczego w ogóle próbowałeś zadowolić cztery kobiety naraz? -W głosie Anthony'ego brzmiała autentyczna ciekawość. Podsunął mu imbryk.

- To one miały zadowolić mnie i raczej im się udało, a poza tym musiałem zadać kłam pewnym pomówieniom dotyczącym straszliwej przypadłości, znanej jako „zwis po przepiciu”, którym dał asumpt pewien znany nam hrabia, będący spadkobiercą markiza.

- To zdumiewające, do czego musiałeś się posunąć, by bronić honoru rodziny, Lucasie.

Anthony wrócił do lektury, na wypadek, gdyby Deene nie wyczuł ironii w jego wypowiedzi. Kiedy markiz sięgnął po dokładkę, Anthony podniósł wzrok.

- Kim są damy, które będziesz dzisiaj próbował zadowolić?

- Louisa, hrabina Kesmore, oraz Genevieve i Eve Windham. Zamierzamy odwiedzić Króla Williama, a ja będę im towarzyszył, a nie je zadowalał.

- Urocze trio, ale o ile mnie pamięć nie myli, dwie z nich są wolne, a więc stanowią zagrożenie.

- Podobnie jak ja, o ile mnie pamięć nie myli. Kiedy będziesz miał dla mnie gotowe te rozrachunki, Anthony?

Anthony spojrział w gazetę i przewrócił strony.

- Jakie rozrachunki?

- Dotyczące pieniędzy, gotówki, brzęczącej monety.

Anthony znieruchomiał. Widać było, że nawet nie próbuje czytać, tylko patrzy na gazetę, zastanawiając się, jak sformułować uprzejmą odpowiedź. Wyprostował się i popatrzył na talerz z chmurną miną.

- Jeszcze ci nie przeszło? Naprawdę chcesz się grzebać w zapleśniałych księgach i zawitych rozliczeniach sprzed wielu lat? To chwalebny zapał, ale czeka cię długa, skomplikowana praca, która wcale nie da ci lepszego rozeznania, niż masz teraz.

- Chcę wiedzieć, na czym stoję.

Właściwie nawet musiał wiedzieć, ale nie zamierzał przyznawać się do tego Anthony'emu, mimo że byli spowinowaceni.

- Nic się nie martw - odparł Anthony z sardonicznym uśmiechem. - Mamy dość pieniędzy, żebyś mógł zabawiać się z rudowłosymi dziewczynkami tak długo, jak zdołasz wygodnie czterem naraz.

Deene pochłonął resztę swojej porcji i wstał.

- Może zaczniemy przeglądać księgi jutro po śniadaniu. Zabrzmiało to jak propozycja skierowana do członka rodziny, ale

Anthony powinien zrozumieć, że jest to raczej polecenie wydane przez pracodawcę podwładnemu.

Anthony podniósł filiżankę, jakby wznosił toast.

- Sługa uniżony. Baw się dobrze z damami. Tylko nie przesadzaj. Cokolwiek miałyby to znaczyć.

Dzień był ładny, chociaż niezbyt ciepły. W przypiływie optymizmu Deene kazał zaprząć konie do landa. Powóz został sprowadzony z zagranicy tuż przed śmiercią starego markiza i był najelegantszy w całym mieście. Deene postanowił, że sam będzie powoził, zamiast siedzieć przez całą drogę tyłem do koni i rozmawiać o głupstwach z Windhamównami.

Kiedy wszedł do pałacu, powitała go lady Eve, ubrana do wyjścia, ale z niechętną miną.

- Aha, jesteś tutaj.

To nieprzyjazne powitanie było znakomitą okazją do słownego pojedynku. Przezornie zachował dyplomatyczną obojętność, mimo że miał ochotę się uśmiechnąć. - A co, miałem być gdzie indziej?

- Nie ty. - Zamaszyście przeszła przez pokój, szeleszcząc spódnicami. - Moje siostry miały tu być, gotowe do wyjazdu, ale nic z tego. Louisa się wykręciła, a Jenny po prostu przysłała Hammet z wiadomością, że koszmarnie, fatalnie, okropnie się czuje i że nie da rady dzisiaj z nami pojechać.

Eve była wyraźnie zirytowana. Deene miał ochotę zaproponować, żeby przełożyli wycieczkę albo ją całkiem odwołali, ale powstrzymał się, widząc wyraz jej twarzy.

- Lady Eve, czy będziesz rozczarowana, jeśli nie pojedziemy? Suknie znowu zaszeleściły. Podeszła do okna i zapatrzyła się na ogród.

- Rozczarowana? Niemożnością spędzenia kilku godzin na wsi i skakania między wonnymi dowodami obecności czworonogów? Oczywiście, że nie.

Była rozczulająco kiepską kłamczuchą. Staął za nią, chwycił ją za ramiona, żeby w końcu przestała się miotać i szeleścić, i powiedział bardzo cicho, prosto w jej ucho:

- Byłabyś ogromnie rozczarowana.

Czuł, jak dygoce z urazy, że siostry opuściły ją w potrzebie. Odwróciła się, zmuszając go, by opuścił ramiona. Ale nie odsunął się ani o krok.

- Zapowiada się piękny dzień, milordzie. Nie byłam na wsi od świąt, spędzonych w Morelands, a w dodatku jestem prawie pewna, że dziś po południu zjawi się pan Trottenham, żeby rozmówić się z papą.

Nie zamierzała przyznawać się, że ma wielką ochotę zobaczyć tego konia, ale Deene był niemal pewny, że o to jej głównie chodziło. Szedł o zakład, że pod koniec dnia skłoni ją, żeby się do tego przyznała.

- Jedźmy mimo wszystko, lady Eve. Mam lando, moi ludzie nas się spodziewają, a kiedy zacznie się sezon, żadne z nas nie będzie miało czasu, żeby się wyrwać na wieś. Zawahała się. O mało nie zaczęła obgryzać paznokcia, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że jest w rękawiczkach. - Albo zostań sobie w domu. - Trzepnął swoimi rękawiczkami po udzie. - Dużo więcej uda mi się zdziałać, jeśli nie będę zmuszony pełnić honorów domu wobec kogoś, kto nie ma ochoty nawet na taki niewinny wypadek ze starym przyjacielem rodziny.

Jej zaciśnięte w pięści dłonie powędrowały na biodra.

- Zmuszony, Deene? Czy to ja wymusiłam na tobie to zaproszenie? Zmusiłam cię, żebyś piał peany na temat zdolności zwykłego konia, jakich setki biega na wyścigach? Zmusiłam cię, żebyś wziął otwarty powóz, choć o tej porze roku pogoda bywa bardzo niepewna?

Podszedł bliżej, ale mówił niewiele ciszej od niej.



- Takiego konia nie zobaczysz na żadnych wyścigach, chyba że zdecyduję się go wystawić. Nigdy w życiu. Król William ma więcej serca, mocniejszy zad i więcej ognia niż...

- Przepraszam... - W progu stała Esther, księżna Moreland, z lekko zaaferowaną miną. - Eve, myślałam, że już pojechaliście. Rzadko kiedy wiosną trafia się tak piękny dzień. Dzień dobry, Deene.

- Wasza Wysokość. - Skłonił się odpowiednio głęboko. Ciekaw był, czy księżna słyszała, jak nieomal wydzierał się na Eve.

- Nie zamierzam jechać bez Jenny ani Louisy, mamó. Byłoby im przykro, gdyby ominęła je taka wycieczka.

Uśmiech na twarzy Jej Wysokości utracił nieco wdzięku, a nabrał determinacji.

- Nonsens. Dlaczego masz pozbawiać się świeżego powietrza i towarzystwa tak sympatycznego dżentelmena jak Deene, tylko dlatego, że one wolą wylegiwać się w domu? Przecież on jest praktycznie członkiem rodziny. Jedźcie już. Deene, przywieź ją z powrotem o sensownej godzinie, bo będziesz miał ze mną do czynienia.

Powiedziała to z wielką serdecznością, ale Deene zrozumiał ostrzeżenie.

- Naturalnie, Wasza Wysokość.

Podał ramię Eve, bo nie zamierzał sprzeciwiać się księżnej. Odetchnął z ulgą, kiedy dotknęła go odzianą w rękawiczkę dłoń.

- Bawcie się dobrze, moi mili.

Gdy prowadził Eve przez drzwi, zauważył, że księżna wpatruje się w niego znacząco. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, chyba przypadkiem wpadło jej coś do oka. Gdyby nie to, można by było odnieść wrażenie, że do niego mrugnęła.

### 3

Niech licho porwie Lucasa Denninga, że ją do tego zmusił. To wszystko była jego wina. Eve zatrzymała się gwałtownie przed stajnią i puściła jego ramię.

- Deene, gdzie są lokaje, gdzie jest twój stangret?

- Pewnie siedzą nad kuflem piwa, pomimo wczesnej pory. Ruszył w stronę landa, podczas gdy Eve z trudem opanowała się,

by nie stłuc go parasolką. Kiedy odwrócił się do niej po kilku krokach, spoglądał z uśmiechem, który można było określić tylko jako złośliwy.

- Eve Windham, bez problemu dam sobie radę z powożeniem przez te niespełna dwie godziny, które nas dzielą od The Downs. Jeśli już o tym mowa, ty też sobie poradzisz. Znasz tę parę, obaj są idealnie grzeczni, a dzień jest spokojny. Wsiadaj.

Błysk niebieskich oczu powiedział jej, że doskonale sobie zdaje sprawę, jakie wyzwanie jej właśnie rzucił - tym, że pochwalił jej umiejętność powożenia, i tym, że wydał jej polecenie, by wsiadała.

Podeszła do Księcia.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość. Ślicznie pan dzisiaj wygląda. Wyjęła z torby woreczek pokrojonych jabłek i poczęstowała go

prysmakiem. To był dowód złych manier - nie powinno się karmić cudzego konia bez pozwolenia. W dodatku wędzidło będzie teraz oślinione i lepkie.

Podeszła do Markiza i potraktowała go w ten sam sposób, a potem podrapała go po szyi.

- Rozluźnij wypinacze, Lucas. Kiedy wyjedziemy z miasta, konie będą się chciały trochę rozruszać, a twoi stajenni zaprzęgli je tak, żeby ładnie wyglądały, a nie żeby im było wygodnie.

Zamrugął, co było niezmiernie satysfakcjonującą reakcją, biorąc pod uwagę, że nie był przyzwyczajony, żeby mu rozkazywać, i że uroda i samozadowolenie nieco uderzyły mu do głowy.

Kiedy zajmował się uprzężą, Eve usiadła na koźle. Nie zamierzała tkwić sama na siedzeniu dla pasażerów i przekrzykiwać turkotu kół przez następne dwie godziny. Deene raczej nie planował poddania jej aż takiej próbie, ale po kilku milach Eve powiedziała sobie w duchu, że czuje się jak na skrzydłach, siedząc za taką wspaniałą parą koni, i wcale nie czuje strachu. Wtedy Deene w końcu się odezwał.

- Czy specjalnie włożyłaś brązowy komplet pasujący do brązowych rękawiczek? A rękawiczki wybrałaś, bo nie widać na nich sierści, kiedy się głaszczesz konie? Przyznaj się.

Tak było. Zdziwiła się, że to odgadł.

- Komplet, jak sam zauważyłeś, milordzie, jest całkiem atrakcyjny, a spódnica na tyle krótka, że można w niej chodzić po stajni, nie martwiąc się, że się ubrudzi. Poza tym podobno brązowy dobrze pasuje do moich włosów.

Spojrzał na nią z taką irytacją, że Eve wyczuła zbliżającą się kłótnię, choć wcale nie chciała się z nim spierać. Już drugi raz w tym tygodniu odważyła się wybrać na przejażdżkę z kimś spoza rodziny, a do tego był piękny dzień.

- Opowiedz mi o The Downs, Lucasie. St. Just powiada, że odziedziczyłeś ten majątek jeszcze w dzieciństwie.

Nie zamierzał ułatwiać jej zadania, ale nie na darmo była córką księcia. Gdyby nie potrafiła poprowadzić uprzejmej rozmowy z przyjacielem rodziny, nie zasługiwałaby na swój tytuł.

- Co cię tam ciągnie? Masz wiele majątków, a jednak tym interesujesz się najbardziej. Przez chwilę wydawało jej się, że Deene nawet na to będzie się krzywił, ale w końcu rozluźnił ramiona.

- Mój kuzyn Anthony jest głównym nadzorcą dóbr Deene'ów i doskonale sobie radzi z tą ogromną i niewdzięczną pracą. Każdy majątek ma własnego zarządcę, który przed nim odpowiada. Ale The Downs należy wyłącznie do mnie...

Zamilkł. W ciszy słyhać było tylko stukot kopyt.

- Ja też mam mały majątek - powiedziała Eve, nie chcąc, żeby cisza przedłużała się w nieskończoność. - To śliczna posiadłość, nieco mniej niż trzy mile od Morelands. Należy do dóbr posagowych mojej mamy.

- Czy to Lavender Corner?

- Tak. Urządziłam dom według mojego gustu i czasem jeżdżę tam tylko po to, żeby się cieszyć urodą tego miejsca.

- I pobyć sama?

Znowu spojrzał na nią z ukosa, kiedy próbowała wymyślić odpowiedź, która byłaby uczciwa, ale nie zaczepna. Nagle coś przestraszyło konie - cień, zając albo sarna w lesie przy drodze. Względny spokój i opanowanie Eve w jednej chwili ustąpiły miejsca ślepej panice. Gdy lando ruszyło gwałtownie do przodu, złapała kurczowo poręcze i z trudem powstrzymała się, by nie wyskoczyć dla bezpieczeństwa.

Tylko że to nie miałyby nic wspólnego z bezpieczeństwem, bo konie pędziły czterdzieści mil na godzinę, a teren był nierówny. Drzewa w pędzie zwały się w jedną ścianę zieleni. Eve aż nazbyt dobitnie przypomniała sobie, że z końmi nigdy nie jest się naprawdę bezpiecznym.

- Wolniej, głuptasy. Spokojny głos Deene'a wzniósł się ponad turkot powozu. - Wystarczy już tego. To był tylko cholerny zając, wy durnie. Koniec ze smakołykami, jeśli zamierzacie się tak zachowywać w towarzystwie damy.

Napominał je spokojnie, niemal serdecznie. Ku przeogromnej uldze Eve konie zwolniły do równego galopu, a potem przeszły do kłusa.

- Lucas, chyba zwymiotuję. Kiedy zdążyła chwycić go pod rękę?

- Nie zwymiotujesz. Jeśli je teraz zatrzymam, to nauczą się, że wystarczy się spłoszyć, żeby zasłużyć na postój i pewnie na jakiś smakołyk. Niech przebiegną jeszcze jedną lub dwie mile, żeby ich małe końskie mózdzki zapomniały o tych wygłupach. Dopiero wtedy staniemy.

Eve zamknęła oczy i, głęboko nieszczęśliwa, oparła czoło o muskularne ramię Deene'a. Miła będzie się ciągnąć w nieskończoność, ale miał absolutną rację - każdy doświadczony koniarz by to potwierdził.

- Wrócę do miasta piechotą, Lucas. W każdym razie teraz mam taki zamiar.

Poczuła, jak ten przeklęty niegodziwiec zachichotał. Gdyby nie to, że trzymał lejce, wymierzyłaby mu solidnego kuksańca.

- Widziałem, jak radzisz sobie w siodle z o wiele trudniejszymi sytuacjami niż ten drobiazg, Eve Windham, i to z uśmiechem na twarzy. Za chwilę znajdziemy się w miejscu z ładnym widokiem. Zwykle tam się zatrzymuję na odpoczynek.

Wdychając cedrowo-lawendowy aromat jego surduta, który wyraźnie leczył nie tylko migreny, ale także i nerwicę żołądka, doszła do wniosku że może rzeczywiście troszeczkę przesadnie zareagowała.

Uniosła głowę, ale nie puściła jego ramienia.

- Miałaś mi opowiedzieć o The Downs.

- Miałaś mi opowiedzieć o Lavender Corner.

Mogli się też pokłócić o to, kto zacznie pierwszy. Pomimo niepokoju oraz przykrej konieczności powrotu do miasta powozem, Eve uśmiechnęła się w końcu.

Ale nadal nie puszczała ramienia Deene'a.

Od niepamiętnych czasów warunkiem przeżycia dla koni było rzucenie się do galopu na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa. Zwykle zatrzymywały się potem o dwie mile dalej, by zastanowić się, czy warto było uciekać, i zaczynały spokojnie się paść, leniwie oganiając się ogonami od much.

Deene nie miał pretensji do swoich koni o zdrowy instykt samozachowawczy, choć mocno go zirytowały, strasząc Eve Windham. Wybaczył im jednak ten brak opanowania, uświadomiwszy sobie, że strach każe Eve kurczowo trzymać się jego ramienia. Drobniutka, emanująca ciepłem, krańcowo zdenerwowana młoda dama mimo wszystko zastanawiała się, czy ma się z nim dalej wyklócać, czy też prowadzić kolejną rundę salonowej konwersacji.

Wybrała konwersację, co go odrobinę rozczarowało.

- Rzeczywiście odwiedzam Lavender Corner, żeby pobyć w samotności - przyznała. - Zawsze znajduję jakąś wymówkę, a to spotkanie z gospodynią, a to muszę sprawdzić, jak idzie praca przy ogrodach, ale najczęściej... - ucichła, a Deene wszedł jej w słowo, jednocześnie zastanawiając się, co takiego przemilczała.

- Wychowałem się tylko z siostrą, i to starszą o pięć lat, więc Marie zawsze wydawała mi się dorosła. Marzyłem o mnóstwie braci i siostr, ale to pewnie też ma swoje wady.

Jej uchwyt odrobinę zelżał.

- To wspaniały układ, chyba że któreś z nich nie wraca z wojny albo przez długie lata umiera na przekłete suchoty. Choć nawet pomimo tego nie zamieniłabym ukochanej rodziny za nic na świecie.

Co mógł na to odpowiedzieć? Jego ukochana rodzina składała się z siostrzenicy, którą ledwie pozwolono mu widywać, i z Anthony'ego, którego nie należało mylić z kimś bliskim. To byłby błąd,

- Widać, że się kochacie - powiedział, czując, że to nie jest odpowiedni moment na kolejną sprzeczkę. - Jesteście wobec siebie tole-

rancyjni i szczerzy, stajecie w swojej obronie. O, właśnie zajechaliśmy w to miejsce, o którym mówiłem.

I całe szczęście, pomyślał. Miłość to temat dla kobiet, bo często prowadzi do idiotycznych rozmów na temat zakochania. Zatrzymał konie, zaciągnął hamulec i zeskoczył na ziemię.

- Może rozprostujemy trochę kości?

To właściwie nie miało być pytanie. Eve była wciąż blada, więc trochę ruchu dobrze jej zrobi.

- Puścisz je na trawę? - spytała z kozła.

- Nie zasługują na to, ale mogę, jeśli chcesz. - Wyciągał ramiona, żeby pomóc jej zsiąść. Zawahała się. Już miał ochotę skarcić ją za nieuprzejmość, ale zrozumiał, że boi się ruszyć, kiedy nikt nie trzyma lejc. - Chodź tu, Evie.

Ściągnął ją z kozła - był na to wystarczająco wysoki - i pozwolił jej zsunąć się po sobie, aż dotknęła nogami twardego gruntu. Chciał się odsunąć, ale oparła czoło o jego pierś.

- Jestem idiotką.

- Możliwe, ale ślicznie pachnąca. - A do tego szczupłą, ciepłą i zadziwiająco miłą. Otoczył ją ramionami i trzymał, katalogując w myśli te urocze cechy. Pozwolił sobie odetchnąć zapachem jaśminu.

- Spanikowałam, kiedy konie się spłoszyły.

Była wyraźnie nieszczęśliwa z tego powodu. Otoczył ją ramieniem i odprowadził kilka kroków na bok.

- Wiem, że miałaś okropny upadek tuż przed twoim pierwszym bale, Eve. Strach z powodu takich urazów to nie wstyd. Ja w dalszym ciągu cały się trzęsę na dźwięk armatnich wystrzałów, nawet jeśli to jest normalny sygnał z portu. Nie wspominając o grzmotach, które wpływały na niego w ten sam sposób, i o galopujących stadach koni. Odsunęła się nieco. Puścił ją i poluzował wytoki w uzdach, żeby konie mogły się paść. - Lęki narastające przez długie lata wojny to nie to samo co jeden, jedyny wypadek, który nadal zmienia mnie w trzęsącą się galarete, choć od tego czasu minęło już siedem lat i dwa miesiące.

Pewnie mogłaby też podać dokładną liczbę dni. Zrobiło mu się jej żal.

- Wybacz, ale nie zgadzam się z tobą, choć to nie uchodzi dżentelmenowi. Podczas przejażdżki po parku niczyje konie się nie płoszą,

chyba że zobaczą kapelusz lady Dandridge. Jeśli to był pierwszy raz od kilku lat, kiedy konie cię poniosły, zdziwiłbym się, gdybyś się tym nie zdenerwowała. Przejdźmy się trochę. - Podał jej rękę. - Za tymi drzewami jest polanka porośnięta konwaliami, którą naprawdę warto zobaczyć.

Rzuciła niespokojne spojrzenie na konie, które spokojnie pasły się na skraju drogi.

Równie ostrożne spojrzenie posłała w kierunku Deene'a.

Dopiero wtedy zrozumiał Eve Windham, jej lęki i ich przyczynę. Szedł z nią w milczeniu, ręka w rękę, wściekły z powodu swoich myśli.

O wiele łatwiej było patrzeć na nią jak na dobrze wychowaną młodą pannę, o wielkiej pewności siebie, jak przystało na osobę książęcego rodu, obdarzoną kobiecą urodą i dość wyniosłą. Wolał nie myśleć, że można ją zranić i że ktoś już to zrobił.

- Siadaj - powiedział po chwili. Zdjął surdut i rozłożył go na ziemi.

Inna pewnie by się spierała, że to głupia propozycja, bo nie uchodzi, by dama oddalała się od uczęszczanej drogi, będąc w towarzystwie dżentelmena, i w dodatku siedziała z nim na jego surducie, ale Eve widać wolała się z nim spierać o jeszcze większe bzdury, bo bez protestu z wdziękiem usiadła na ziemi, zdjęła rękawiczki i podciągnęła kolana pod brodę.

Usiadł obok. Przez chwilę milczał, pozwalając, by plusk pobliskiego strumyka podkreślił ciszę - miał nadzieję, że kojąca. Powietrze przenikał mocny aromat konwalii, ale mimo tego wyczuwał nutę jaśminu.

I Eve.

W takiej chwili Lucas Denning powinien skraść jej kilka cudownych pocałunków, ale nie, siedział obok niej na trawie z powagą. Idealny dżentelmena.

Mała ochotę krzyczeć i tłuc niewinną trawę parasolką.

Ze złości na te durne konie, na własną głupotę i na tego ciołka obok, który siedział nadęty przyzwoitością, choć mógłby się jej lepiej przysłużyć. Bardzo by jej pomogło, gdyby poczuła to ciepło, te usta,

które kazały zapomnieć o wszystkim innym, te mięśnie i bliskość jego ciała...

Nagle wpadła na pewną myśl. Zupełnie nową. Chyba po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że jeśli mężczyzna jest tak głupi, że nie wie, kiedy powinien pocałować kobietę, to kobieta powinna zdecydowanie dowieść swej mądrości i odważyć się...

Odwróciła się do niego i przerzuciła nogę przez jego ciało, zanim ten genialny pomysł skryształizował się do końca w jej umyśle. Zaskoczony Denning pozwolił przewrócić się na plecy... a zupełnie zbędne dżentelmeńskie opory pozwoliły jej zamknąć mu usta wargami, zanim zdążył zareagować.

Choć jego reakcja była wręcz zachwycająca. Mruknął coś gardłowo prosto w jej usta, objął ją ramionami i przeturlał się, tak że znalazła się pod nim, między konwaliami, a pocałunki mieszały się z cudownym zapachem kwiatów, zgniecionej trawy i chłodem ziemi pod jej plecami.

Potem znieruchomiał na chwilę, co ją tak rozczarowało, że miała ochotę uderzyć go po ramieniu... ale po chwili znowu poczuła jego usta, słodkie, powolne, lekkie jak piórko albo jak westchnienie muskające jej policzki i wędrujące ku wargom. Odprężenie ogarnęło jej ciało i umysł. Nie zamierzał jej odmawiać. Jak to miło z jego strony... przeczesła palcami jego włosy, zachwycając się ich miękkością i barwą - jakby przesiewała światło przez palce. Jego język też był miękki, a do tego gorący i kuszący. Cudowny jest taki męski język. Kiedyś tak nie myślała, a w przyszłości pewnie nie będzie miała okazji, ale teraz... Myśli nagle wstrzymały bieg, bo Lucas przycisnął ją trochę mocniej i poczuła go w miejscu, gdzie przez siedem lat samotność i wstyd splatały się ze sobą, tworząc ciężar, jakiego nie potrafiła nawet nazwać. Pod jego ciałem ten ciężar przesunął się, zelżał i stał się niemal przyjemny.

- Evie.

Westchnął między jej wargami, wymawiając jej imię głosem, jakiego nigdy jeszcze nie słyszała, pełnym tęsknoty i namiętności.

Boże, jak to przyjemnie czuć jego rozchylone wargi na skórze. Jakby koń radośnie cwałował w jej ciele, jakby...

Wygięła się ku niemu, doskonale wiedząc, co oznacza wzbierająca tam twardość jego ciała. Powinna ją zgorszyć ta bliskość i zachwyty, jaki



wzbudziło jego pożądanie, ale zamiast tego, gdy poczuła jego dłoń na piersiach, wtuliła nos w jego gardło i poddała się fali radości.

Tyle czasu już minęło. Przecież po to jest taka cudowna wiosna. Po to jest młodość i życie.

Zacisnął dłoń na jej piersi i zaczął ją pieścić palcami. Poczowała, jak błyskawica przeskakuje stamtąd prosto do jej brzucha. Cudowna, słodka, przenikająca rozkosz, która kazała jej wtulić się w niego, prosząc o więcej.

Już miała zacząć zdzierać z niego ubranie, kiedy rozległ się jakiś dźwięk. Prostacki, niewłaściwy dźwięk, który sprawił, że Lucas znieruchomiał i uniósł się na łokciach i kolanach, wyciągając szyję.

Po przeciwnej stronie zagajnika zaturkotały koła dużego furgonu. Usłyszała przez turkot męski głos.

- ...Pewnie poszedł w krzaki się odlać. Podaj mi flaszkę, Jordie...

Deene wypuścił oddech, który do tej pory wstrzymywał.

Mężczyźni dzielili się na szarmanckich oraz takich, którym czasem brakło ogłady, ale nigdy prawdziwego honoru. Eve przyznała Deene'owi kilka dodatkowych punktów za to, że nie odsunął się od niej jak oparzony, tylko na moment przytulił się do niej i pogładził jej włosy, odsuwając je z czoła.

Ta kojąca pieszczota pomogła jej uspokoić umysł i ciało. Dzięki niej nie ogarnął jej z powrotem ten okrutny wstyd, który wciąż gnieździł się w jej brzuchu, tłumiąc ciepło, które zaczynało stamtąd promieniować.

Wprawdzie to ona zapoczątkowała pocałunek, ale Deene pokazał swoim zachowaniem, że i on go pragnął. Kiedy wtuliła twarz w jego dłoń, pocałował ją w policzek i odsunął się odrobinę.

- Evie, powiedz mi, że wszystko w porządku.

- Tak.

Wiedziała, że kiedy Deene się odsunie, będzie niepoczyszona, ale szczerza troska w jego głosie pozwoliła jej pogodzić się z tą myślą.

Dotknął czołem jej czoła i podniósł się, zostawiając ją leżącą wśród konwalii, przenikniętą zalem, ale też pocieszoną jego smutnym uśmiechem. - Masz niezły cios, milady.

Cios. Zaśmiała się na myśl, że nawet nie potrzebowała do tego parasolki.

- Nie wiedziałam, czy mam cię pocałować, czy zrobić ci coś innego.

Przyjemnie leżało się w tych konwaliach, choć jej modny brązowy komplet pewnie bardzo przy tym ucierpiał.

- A twoje pocałunki są cudowne, Lucasie. Odwaga kazała jej powiedzieć choć tyle.

- Twoje też. Ale mało brakowało, Eve.

Ta poważna uwaga sprawiła, że Eve nagle opuściła radość poranka, tak cudownie pachnącego, i uświadomiła sobie, że leży na ziemi, wygląda okropnie i pewnie zniszczyła bezpowrotnie tę odrobinę niechętnego szacunku, jaką miał dla niej Deene.

- Nie złość się na mnie.

Deene przesunął palcem po jej czole na linii włosów, a potem podał jej rękę i podciągnął do pozycji siedzącej.

- Na moim landzie nie ma herbu, a ten furgon, który nas minął, na pewno nie należał do nikogo z towarzystwa.

Ale ostrzeżenie było wystarczająco wyraźne: gdyby nie te dwie okoliczności, jej reputacja byłaby zrujnowana. Gdyby ktoś z towarzystwa zauważył herb Denninga, na pewno puściłby plotkę, że markiz Deene poszedł w krzaki z lady Eve Windham. Pewnie musiałyby trochę powęszyć, żeby się zorientować, z kim Deene wyjechał z miasta, ale ktoś - a raczej mnóstwo pomocnych i wielce rozradowanych ktosiów - na pewno widział Eve na koźle, kiedy wyjeżdżali z May-fair.

- Boże litościwy. - Eve oparła czoło o kolana. - Przepraszam, Lucas. Nie pomyślałam. Nie miałam...

- Cicho. - W dalszym ciągu był przy niej. Widać wcale nie śpieszył się, by wstać. - Jeśli mało brakowało, to oznacza, że nie wydarzyła się żadna katastrofa, a ja nigdy w życiu nie pożałowałbym tak przyjemnego interludium, gdyby nie to, że stawia pod znakiem zapytania zaufanie, jakim obdarzyła nas twoja rodzina.

Skinęła głową. Spodobało jej się, że nie kręcił i nie obwinał siebie, choć przecież to ona się mu narzuciła. Gdyby spróbował jej odebrać tę przewagę, naprawdę dostałby parasolkę.

- To był tylko pocałunek - powiedziała. - Całowaliśmy się już przedtem.

- I zawsze było cudownie. - W jego głosie brzmiało zdziwienie, zadowolenie i odrobina urazy, co sprawiło, że Eve się uśmiechnęła, pomimo że odgadła drugą część zdania: „Ale trzeba z tym skończyć”.

On musiał się ożenić, a ona wykręcić od małżeństwa. Jeśli będą się tak dalej całować, to w końcu te wszystkie szczęśliwe trafy i sprzyjające okoliczności ulegną niechybnej mocy towarzyskiej obmowy.

A na to nie mogła sobie pozwolić.

Był przecież obytym w świecie trzydziestolatkiem, więc to, że pocałunek przyzwoitej młodej damy z Mayfair do tego stopnia nim wstrząsnął, wydało mu się... nie tyle poniżające, ile zadziwiające. A Lucasa Denninga mało co potrafiło zadziwić od czasu jego pierwszej bitwy na Półwyspie Iberyjskim.

Gdyby miał siostry, mógłby je zapytać, czy to normalne, żeby dama, która w jednej chwili zabawiała go dystygowaną rozmową, siedząc na kozle landa, w następnej uległa skrajnej panice, a potem zapłonęła zarem namiętności.

Tylko że poglądy dam z towarzystwa miały pewnie niewiele wspólnego z zachowaniem Eve. Najbardziej przypominało mu ono oblężenia miast, które widział w Hiszpanii. Kiedy w końcu wdzierano się za mury miasta, których obrona padła, wybuchało pandemonium. Odznaczeni orderami weterani zachowywali się jak zwierzęta, gdy ich prymitywne popędy brały górę nad wyższymi uczuciami.

Wcale nie podobała mu się myśl, że Eve Windham nieustannie dręczył strach.

Natomiast bardzo ucieszyła go - choć może i trochę zirytowała - reakcja Króla Williama na jej widok.

- Gdybym go nauczył ukłonów, padłby przed tobą na oba kolana, Eve Windham. To fatalne zachowanie jak na konia, którego czeka kariera sportowa.

- Ale on jest taki cudowny. Jak mogłabym się w nim nie zakochać? Posłała koniowi czarujący uśmiech, pełen takiego uczucia, że

Deene nie był w stanie odwrócić od nich oczu. Jak zaczarowany patrzył, gdy roztkliwiała się nad wielkim kasztanem. Willy flirtował z nią

bezwstydnie, mrugał wielkimi, pięknymi oczyma, dmuchał w jej dłoń i skubał wargami jej włosy, idiota jeden. Nie powinno się pozwalać na takie rzeczy.

- Chcesz się ze mną przejechać, Eve? Uśmiech zniknął.

- Nie jestem odpowiednio ubrana. Ale dzięki za zaproszenie. Nie oczekiwałem, że się zgodzi, chciał tylko usłyszeć, co odpowie.

Przysunął się do niej w boksie, na tyle blisko, żeby móc pogłaskać konia i żeby stajenni go nie słyszeli.

- Posadziłbym cię na Willy'ego. Pod siodłem jest łagodny jak baranek.

- Dałbyś mi wsiąść na swojego wyścigowego czempiona? - Tęsknota w jej głosie była niemal dotykalna.

- Myślę, że w twojej obecności nie widzi, nie słyszy i nie będzie słuchał nikogo innego. Willy się zakochał.

Przeklęty zwierzak zarżał gardłowo, jakby się zgadzał.

- Jest kochany. - Eve, która dawno już zdjęła rękawiczki, podrapała ogiera za uchem jak psa. Skóra na tylnej nodze konia zmarszczyła się na tę pieśczętę.

Czy coś jest nie w porządku z człowiekiem, który ma ochotę powiedzieć koniowi: „Mnie głaskała najpierw, więc nie wyobrażaj sobie za dużo”?

- Bardzo bym chciała cię na nim zobaczyć, Lucas. Założę się, że ma fantastyczne chody.

Tym razem uśmiech był skierowany wprost do niego. Nawet koń spoglądał prosząco.

- Nie wypada rozczarować gościa. Zjemy drugie śniadanie w domu, a przez ten czas chłopcy go osiodłają.

Gdy Deene prowadził Eve do wyjścia, Willy autentycznie wyglądał na przygnębionego, a potem zaczął niechętnie skubać siano.

- Niektóre konie mają w sobie to coś, prawda? - odezwała się Eve, gdy znaleźli się w ogrodzie. - Mają własny charakter. Częściej się to zdarza gorącokrwistym, ale moja siostra Sophie ma parę pociągowych, które...

Gadała jak nakręcona, jak typowa koniara, a Deene zastanawiał się, czy by nie skraść jej jeszcze jednego całusa, w zielonym rozarium.

Przecież rozaria wymyślono jako zakątki do całowania. W każdym razie tak mu tłumaczył ojciec, w kilka miesięcy po tym, gdy Deene wyjechał na studia.

Tylko że... Deene przypominał sobie księżną, która pomachała im na pożegnanie kilka godzin temu, przypominał sobie strach na twarzy Eve, gdy konie się spłoszyły... i przypominał sobie, jak długo trwało, zanim pewne niepokorne części jego ciała uspokoiły się, kiedy ją pocałował - a raczej ona pocałowała jego - na polance z konwaliami.

Pocałunki świadomych i opanowanych dorosłych nie miały w sobie nic złego, ale tamten pocałunek przekraczał wszelkie granice, jakie Deene nakreślił sobie dla pocałunków między osobami, które nie mają co do siebie żadnych zamiarów. Tak czy siak, zapach, który symbolizował powrót szczęścia, zawsze już będzie mu się kojarzył z przerwą w podróży i namiętnymi pocałunkami cudownej kobiety - która zakochała się w jego koniu.

- A jeśli wrócilibyśmy tu na przykład za tydzień, wybrałabyś się ze mną na przejażdżkę, lady Eve?

Zatrzymała się, sięgając po herbatę - swój ulubiony darjeeling - i wydeła wargi.

- Owszem.

- Co cię w takim razie do tej pory powstrzymywało, Evie? Rzuciła filiżance gniewne spojrzenie.

- Nic.

Znowu kłamała, ale musiał jej na to pozwolić. Tylko ona sama wiedziała, co się wtedy naprawdę zdarzyło. W każdym razie nie siedziała na koniu od lat.

- Opowiedz mi o tym wypadku. Podniosła wzrok.

- Nie zamierzasz się chyba ze mną droczyć i kusić mnie tym zaproszeniem, odsuwając je spoza mojego zasięgu, a potem udając, że nic a nic cię to nie obchodzi?

Teraz z kolei on się zirytował, bo wymieniła jego ulubione taktyki prowadzenia wojny podjazdowej.

- A pomogłoby ci to? Poprawiła się na krześle.

- Czasem pomagało. Kiedy kazałeś mi powozić do samego domu... Od lat nie miałam lejc w dłoniach, Lucasie. A tu nagle musiałam powozić parą w samym środku miasta. Myślałam, że zwariuję.

To nie było stwierdzenie, tylko zwierzenie. Podzieliła się z nim swoim zaskoczeniem, z nim i z nikim innym. To było równie intymne jak pocałunek, a nawet jeszcze wspanialsze.

- Wierzę w ciebie, Eve Windham. Dobrze ci szło w siodle, zapowiadałaś się na wspaniałego jeźdźca. Chciałbym znowu zobaczyć cię na koniu, jeśli by cię to uszczęśliwiło.

Nie posłała mu tego swojego wspaniałego uśmiechu, choć jego szlachetna przemowa została wygłoszona właśnie w tym celu. Wyglądała jakby - na litość boską! - za chwilę miała się załamać i zalać łzami, na samym środku słonecznego tarasu jego wiejskiej posiadłości.

Trzeba ją było zatem koniecznie uspokoić, co mogło się okazać całkiem przyjemne, jeśli tylko zabierze się do tego we właściwy sposób.

- Przepraszam pana, sir.

Aelfreth Green stanął na skraju tarasu z kapeluszem w dłoni.

- Aelfreth? - Stajenni byli równie oczarowani Eve jak ten cholerny ogier. Aelfreth za nic nie przeszkodziłby swemu panu w sam na sam z damą, chyba że wybuchłby pożar, konie uciekły albo zdarzyła się inna katastrofa.

- Przepraszam, że przeszkadzam, milady, milordzie, ale Bannister mówi, że ma pan koniecznie przyjść.

Deene poczuł, jak złe przeczucie ściska mu pierś.

- Eve, mogę cię przeprosić?

- Oczywiście.

Wstał, widząc oczyma duszy Willyego, który stoi w stajni z ponurą miną, na ugiętych nogach, w ataku straszliwej kolki.

- To Franny, wasza miłość - mruknął Aelfreth na odchodnym. - Nie może się wyżrebić.

Deene usłyszał za plecami szuranie odsuwanej krzesła.

- Chodź, Lucas. - Eve złapała go za ramię i pociągnęła w stronę stajni.

- Jeśli żrebak się zablokował, nie mamy czasu do stracenia.

Wyzwolił się z jej uścisku.

- Eve, to nie uchodzi, żebyś patrzyła na żrebiecie się klaczy.

- Wypchaj się z przyzwoitością, nieraz pomagałam już przy źrebieniu. W Morelands mamy spore hodowlane stado, a to, że nie jeżdżę, nie powożę i tak dalej, nie znaczy, że teraz będziemy się sprzeczać. Nie ma czasu.

Miała rację, niech ją pioruny. Zwierzęta, które w stanie dzikim muszą rodzić bez ochrony przed drapieżnikami, musiały rozwinąć umiejętność szybkiego porodu, więc klacze bardzo źle znoszą przedłużające się skurcze porodowe.

- Panienska może się przydać - wtrącił Aelfreth. - Kobyły czasem lubią babskie towarzystwo, jak ze źrebieniem idzie coś nie tak.

- Na litość boską, przecież to nie herbatka powitalna.

Nikt nie zaszczyił tego okrzyku odpowiedzią, a kiedy Deene znalazł się w stajni, sytuacja rzeczywiście wyglądała poważnie. Bannister, siwy trener i główny masztalerz, stał przed boksem z ponurą miną.

- Mały nic a nic nie idzie, wasza miłość. A jej się zaraz odechce przeć.

Kara klacz leżała na grubej wyściółce ze słomy, z wydętym brzuchem i szyją mokrą od potu. Deene zaczął ściągać surdut.

- Co się dzieje?

- Żrebak... - Bannister spojrzał na Aelfretha.

- ... się nie wysuwa, o tym już wiem. Zaglądałeś w nią? Kolejne spojrzenie - na Aelfretha, potem na Deene'a, na klacz...

wszędzie, byle nie na lady Eve Windham.

Eve położyła dłoń na owłosionym przedramieniu masztalerza, jakby znali się od stu lat.

- Panie Bannister, niech pan mówi, co się dzieje. Poszła krew? Przerwała worek płodowy?

- Nie wim, panienko. Ale żrebak powinien wyliżć przed półgodziną, jak nie wcześniej.

Deene nie zaklął na głos, ale w wyobraźni klął jak szewc na swoich podwładnych, którzy przez pół godziny pozwolili mu raczyć się herbatką z ciasteczkami, kiedy klacz tak bardzo cierpiała.

- Przynieście wodę z mydłem - powiedział tylko, podał Evie surdut i zaczął rozpinąć kamizelkę. - Mocne mydło i ręczniki. Eve, wracaj do domu. Frankincense to pierworódka, jest mała i to się nie skończy dobrze.

- Czasem pierwsze źrebie po prostu dłużej trwa, Lucas. Nie panikujmy.

Przyglądała się klaczy, kiedy Deene podał jej kamizelkę i zdjął koszulę.

- A czasem panika może uratować komuś życie. Szybciej z tym cholernym wiadrem.

Nie podniósł głosu, żeby dodatkowo nie niepokoić klaczy, która jęczała i rzucała się w kolejnym skurczu.

Eve odwiesiła jego rzeczy na wieszak do siodła i zaczęła rozpinąć swój żakiet.

- Jest malutka, Lucas. Ja to zrobię.

Deene zamarł z wyciągniętą ręką, którą chciał jej rzucić koszulę.

- Ty? Mam ci pozwolić wsadzić tam rękę? Nic z tego.

- Owszem, masz mi pozwolić. Robiłam to już wcześniej i to z powodzeniem, Lucas. W takich przypadkach drobna budowa to połowa sukcesu. Porównaj wielkość naszych rąk i pomyśl o tej klaczy.

Wyciągnęła do niego bladą, szczupłą rękę o średnicy o połowę mniejszej od średnicy jego ręki.

Stanął nieruchomo, obnażony do pasa, prawie dusząc się ze strachu o konia, a Eve opuściła rękę i wskazała na boks.

- Skup się na tym problemie, a nie na mnie, Deene. Jedna noga podwinięta, co najmniej.

Klacz jęknęła, a pod jej ogonem pojawiło się maleńkie kopytko.

- Panienska ma rację - potwierdził Bannister. - Żrebak powinien wyliźać z nosem do przodu, między oboma kolanami. A tyn pokazał ino nogę.

Spojrzał na Deene'a i odwrócił się, ruszając w stronę siodłami, w której trzymano też strzelby.

- Lucas, nie przeszkadzaj. - Eve zdążyła się już rozebrać do ślicznej koszulki i bluzeczki, które nie okrywały jej ramion co najmniej do połowy.

- Pozwolę ci spróbować - odpowiedział. - Tylko dlatego, że nie ma czasu, żeby cię przywieść do rozsądku.

Przyszedł Aelfreth z wiadrem i Eve zaczęła szorować ręce.

- Skurcz mija, więc teraz jest dobry moment na badanie. Mów do niej, Lucas, na pewno jest przerażona i wyczerpana.



To, że poprosiła go o pomoc, stanowiło niewielką pociechę, ale nie zamierzał zostawić jej samej sobie, w boksie razem ze zwierzęciem, które i tak jest pobudliwe, a teraz do reszty wariuje z bólu. Wszedł do boksu, podszedł do głowy klaczy i ukucnął.

- Pomożemy ci, Franny. Zaraz się pozbędziesz tego małego łobuza. Będziecie go podziwiać razem z Willym, będziesz się nim chwalić przed całą resztą stada...

Gadał i gadał, głaszcząc klacz po szyi w kojącym rytmie. Eve klęczała obok, na słomie, zachowując spokój, i badała brzuch klaczy.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Też jestem kobietą, a Deene ma rację. Zaraz skończymy z tą histerią, a ja ci obiecuję, wierząc na słowo mojej matce, że pierwszy poród jest zawsze najgorszy.

Deene podjął swoją przemowę, a Eve zaczęła badać klacz od wewnątrz. Kiedy Franny znowu jęknęła, jego serce prawie zamarło.

- Eve?

- Ze mną wszystko w porządku, a źrebakowi utknęło kopyto. - Mówiła stłumionym głosem, a Deene aż za dobrze wiedział, jaki ból sprawia potężne parcie rodzącej klaczy, jeśli ktoś trzyma rękę w jej drogach rodnym.

Bannister — doskonały zarządca wyścigowej stajni - zarzekał się, że taka siła może nawet złamać kość.

Deene miał nadzieję, że jego masztalerz przesadzał, żeby oszołomić laików.

- Eve, dasz radę je wyprostować?

- Tak, tylko potrzebuję... - Klacz westchnęła potężnie i znieruchomiała. - Muszę się o coś zaprzeć, żeby wepchnąć źrebaka do środka.

Potrzebowała dodatkowej siły, żeby między skurczami wepchnąć źrebaka z powrotem do macicy, a potem rozplątać mu nogi i przywrócić prawidłowe ułożenie do porodu.

- Trzymaj się. - Poklepał klacz po szyi i obszedł ją dookoła.

- Daj mi moment.

Tylko tyle czasu im pozostało.

Ostatni raz robiła coś takiego, kiedy miała trzynaście lat. Poproszono ją o pomoc w podobnej sytuacji - drobna klacz i bardzo trudny

poród, który mógłby się skończyć tragedią i dla niej, i dla żrebaka. Udział Eve był ostatnią szansą dla obojga, i tylko dlatego St. Just wybłagał pozwolenie u Jego Wysokości. I klacz, i żreback przeżyły.

To wspomnienie dodało Eve sił, ale nie miała o co się zaprzec, żeby pomóc klaczy. Klęczała bezradnie na słomie, ale po chwili poczuła z tyłu za sobą mocną męską pierś, a silna, umięśniona ręka podparła jej ramię.

- Masz żrebaka, Eve?

- Tak, muszę tylko jeszcze trochę...

Jeszcze parę cali, jeszcze tylko cal. Deene spokojnie przyblokował jej bark, więc mogła zagłębić rękę w klaczy i udało jej się resztką sił przesunąć żrebaka z powrotem.

- Możesz znaleźć nadgarstek albo łokieć, cokolwiek, za co możesz pociągnąć, żeby odblokować tę nogę?

Zbliżał się kolejny skurcz i Eve rozpaczliwie próbowała na ślepo rozplątać śliskie kończyny żrebaka.

- Mam łokieć. - Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Pociągnij delikatnie, żeby wyprostować nogę.

Klacz była drobna, ale Eve ledwie mogła dosięgnąć żrebaka i nie miała ani trochę miejsca do manewru.

- Pchaj mocniej, Lucas. Nie mam jak go wyciągnąć.

Naparł mocniej, prawie wduszając jej twarz w spocony zad klaczy. Zabolało, ale dzięki temu zyskała ten ułamek cala, którego jej brakowało. Pchnęła, pociągnęła, szarpnęła i nagle nacisk ustąpił, a noga przemieściła się do przodu.

- Zrobione. - Bezsilnie opadła na pierś Deene a, ale on, gdy tylko wysunęła rękę z klaczy, postawił ją siłą na nogi.

- To chodźmy stąd szybko, bo Franny za chwilę zacznie znowu przec.

Eve pozwoliła się wyprowadzić z boksu, bo klacz rzeczywiście zaczęła się napinać i jęczeć.

- Byłam już nieraz przy żrebieniu, Lucas.

Protest kiepsko jej wyszedł, bo nagle zakręciło jej się w głowie. Pewnie dlatego, że zbyt gwałtownie wstała po takim wysiłku.

- Pewnie też nieraz dostałaś kopniaka, co nie będzie dla mnie żadnym usprawiedliwieniem, jeśli zarobisz następnego - odpowiedział szorstko i równie szorstkim gestem wytarł jej całą rękę, od pachy po palce, czyściutkim, wilgotnym ręcznikiem.

Musiał na nią za coś nakrzyczeć; ta świadomość nappełniła Eve dziwnym poczuciem szczęścia.

- Na pewno masz rację, Lucas.

Kiedy wytarł ją dokładnie, odłożył ręcznik, złapał ją za przegub ręki i pociągnął za sobą przez stajnię, zatrzymując się tylko na moment, żeby podnieść surdut.

- Nigdy w życiu nie robiłem czegoś takiego. - Narzucił jej surdut na ramiona. Jego zapach był równie kojący jak ciepło. - Byłem przy cieleniu właściwie tylko raz, i przy koceniu owiec, ale one nie potrzebowały pomocy. Ale nie przy koniach, na litość boską. Mogła cię kopnąć albo przetoczyć się na ciebie. Jeśli twoi rodzice dowiedzą się, na co ci pozwoliłem, nie pozwolą mi nawet...

Przyłożyła dwa palce do jego warg, żeby nie hałasował i nie niepokoił klaczy.

- Mój tata pozwolił mi na to samo w Morelands, ale tylko raz, wiele lat temu. A teraz bądź już cicho.

Był nagi od pasa w górę, rozsierdzony i po męsku spanikowany. Eve oparła głowę o jego mostek i objęła go w pasie. Pozostała tak, aż poczuła, że obejmuje ją ramionami, powoli i delikatnie. Ogarnęła ją fala ciepła.

Opadł podbródek na czubku jej głowy.

- W dalszym ciągu cię nie doceniam, Eve Windham. Odwróciła głowę, żeby posłuchać jego serca. Jak się okazało, przytulanie się do nagich mężczyzn ma i tę dobrą stronę.

- Ja siebie też.

Trwali tak, objęci, a Eve miała wrażenie, że ten uścisk jest kojący dla obojga. Deene nie puścił jej, aż Bannister zawołał stłumionym głosem z drugiego końca stajni:

- Mamy galantego ogierka, ale strasznie wielki jest skurczybyk, za pozwoleniem milady.

Deene pochylił się i szepnął jej do ucha:

- Dziękuję. To pierwszy żrebak Willy'ego, a ja... po prostu ci dziękuję.

Puścił ją i zaczął wydawać polecenia, a Eve stała w jego surducie i zastanawiała się, co było lepsze: pocałunki markiza Deene a, czy żrebiecie się jego klaczy.

Ten cholerny koń wyraźnie się popisował, każdy jego krok był pełen ekstragracji i sprężystości, każde wygięcie bardziej okrągłe i wdzięczniejsze niż zwykle. Wszyscy stajenni rozsiedli się na płocie, żeby popatrzeć, a Deene był coraz bardziej przekonany, że Willy wie, że Eve go podziwia, i celowo roztacza przed nią swoje końskie wdzięki.

Co to była za jazda... Ogier nigdy nie był tak zebrany, nigdy nie szedł z taką płynnością, prawie nie dotykając ziemi. Kiedy Deene zrobił idealnie symetryczne zatrzymanie przed Eve, która siedziała na górnym drągu, jej oczy dosłownie rzuciły iskry.

- Lucas, wcale go nie przechwaliłeś. Jest cudowny. Dżentelmen-mędrzec-poeta-atleta i artysta w jednym, a do tego niesamowicie przystojny.

- Chcesz go występować?

Koń się prawie wcale nie spocił, ale traktowano go z najwyższą troskliwością, więc po każdym wysiłku należało go stępować co najmniej przez kilka minut.

- Pewnie że tak.

Zeskoczyła z płotu i precyzyjnie się między żerdziami, podczas gdy Deene podciągnął strzemiona i połuźnił popręg. Kiedy się odsunął, Eve wzięła wodze i zaczęła prowadzić konia po placu treningowym.

- Jeszcze tak nie chodził, Wasza Lordowska Mość. Bannister śledził wzrokiem Eve i konia.

- Te wszystkie kłusy... nigdy w życiu tak nie tańcował.

- Dorasta.

Bannister otaksował Deene'a wzrokiem.

- Mnie się widzi, że to milady ma na niego swoje sposoby. Niech Wasza Lordowska Mość ją niedługo znowu przywiezie.

Bannister odszedł kołyszącym się krokiem weterana torów wyścigowych, a Deene zapatrzył się na kobietę i konia, spacerujących po ścieżce wokół placu. Eve mówiła do ogiera cichym, serdecznym głosem, a on sprawiał wrażenie, że przysłuchuje się jej z uwagą.

Przez myśl Deene'a przemknęła postać Mildred Staines. Widział ją kilka dni temu w parku, jak jechała na ładnej, gniadej klaczy. Miała dobry dosiad, ale w tym obrazku nie było nic atrakcyjnego. Modny rajtrok, przyzwoicie poskładany koń, wszystko to miało robić dobre wrażenie, ale...

Eve w dalszym ciągu miała na sobie surdut Deene'a, jej suknia pogniotła się nieodwracalnie, pantofelki pokrył kurz, a we włosach tkwiły żdźbła słomy. Zatrzymała się, żeby zmienić kierunek, i pogłaskała ogiera po umięśnionej łopatce.

Powinienem się z nią ożenić.

Myśl ta pojawiła się w głowie Deene'a nieoczekiwanie, kompletna i kusząca. W jednej chwili zaczęła ukorzeniać się w jego zdrowym rozsądku.

Jest utytułowana.

Jest śliczna.

Jest namiętna.

Dostanie dobry posag - zmusił się, by dodać to do listy jej zalet. I bez trudu oczarowała Króla Williama.

Dlaczego nie? W wyobraźni Deene'a pojawiły się pierwsze listki na drzewie różnych możliwości.

Doskonale znał jej rodzinę i wiedział, że nie będzie musiał radzić sobie z żadnymi niewygodnymi ciotkami ukrytymi w zapadłej Cumbrii.

Przyjaźnił się z jej braćmi, którzy nie mieli zwyczaju rozsiewać nieślubnego potomstwa po całym hrabstwie.

Jeszcze nie urodził się taki Windham, który straciłby głowę przy hazardzie.

W dodatku Eve Windham cudownie całowała.

Do diabła, dlaczego nie? Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł.

Eve uśmiechała się od ucha do ucha, podprowadzając konia do ogrodzenia.

- Znalazłam wreszcie idealnego towarzysza spacerów, Deene. Nie gada głupot, nie strzela obcasami, nie cuchnie porami ani cygarami i nigdy nie będzie pił ponad miarę. Pewnie mam go odprowadzić do stajennych, żeby się nim zajęli?

- Tak jest. - Razem z nią odprowadził konia do bramy. - Nie zamierzałem zostać tu tak długo, a do tego chyba się chmurzy.

- Nieważne. - Poklepała konia na pożegnanie. - Zdobyłam dziś nowego przyjaciela. Warto było się ruszyć z domu.

Zakochali się w niej, obaj. Trochę to było krępujące, obawiać się, że kiedy nadejdzie idealny moment do oświadczeń, dama może się bardziej interesować koniem niż propozycją małżeństwa. Deene zaprowadził Eve do dworku, żeby doprowadziła do porządku swój strój, i czekał na nią na tarasie.

Kiedy pojawiła się znowu, była trochę bardziej przykurzona niż rano, ale - według niego - bardziej odprężona.

- Kazałem postawić dach landa, lady Eve. Aelfreth będzie powoził.

Ściągnęła brwi, gdy Deene wkładał surdut, który zaanektowała na tych kilka godzin.

- To nie jest tak całkiem... - zamilkła. - Zresztą, kiedy dojedziemy do Londynu, będzie już ciemno, a poza tym nie mam ochoty zmoknąć.

- To samo i ja pomyślałem.

Chociaż, gdyby się uparła, był gotów pojechać wierzchem obok tego cholernego pudła na kołach, żeby zachować pozory przyzwoitości. Ale kiedy wspiał się do środka, nie skomentowała tego ani słowem.

Kiedy usiadł obok, również tego nie skomentowała, potwierdzając jego przecucie, że Eve Windham naprawdę stanowiła idealny materiał na żonę. Oparł się o poduszki, wciągnął w płuca miły aromat jaśminu i zaczął się zastanawiać nad ożenkiem z siedzącą obok damą.

Dzień był naprawdę cudowny. Eve wsiadła do powozu pełna zadowolenia, jakiego nie zaznała od wielu lat.

Deene usadowił się obok niej - bardzo blisko - i to też było cudowne. Przez cały dzień był dla niej taki serdeczny. Wyciągał źdźbła słomy z jej włosów, brał ją za rękę, stawał odrobinę za blisko...

Pewnie nawet nie zauważył tych drobiazgów, ale ona miała cudowne poczucie, że ktoś się o nią troszczy, choć przez chwilę.

- Denerwujesz się, Eve? - Objął ją ramieniem, pewnie po to, by dodać jej odwagi.

Szczerze mówiąc, była wystarczająco odważna, ale nie protestowała z powodu jego poufałości.

- Uważasz, że powinnam się denerwować, bo siedzę w zamkniętym powozie, pogoda się psuje, a my jesteśmy całe mile od Londynu?

- Chciałem to delikatnie ująć. Oparła się o niego.

- Konie nie są wypoczęte, lekki deszcz ich pewnie nie zdenerwuje, a poza tym...

Poza tym co? To, że Deene siedzi tuż obok? Chodziło o coś więcej, chociaż jego obecność rzeczywiście dodawała jej pewności siebie.

- Tak?

- Poza tym to, co się dziś wydarzyło, dobrze mi zrobiło. Powinnam się denerwować, choć nigdy nie zdarzył mi się wypadek w powozie, jestem tylko trochę niespokojna.

Nie kazał jej się uspokoić, nie próbował jej przekonywać, tylko wziął ją za rękę.

- Więc spodobał ci się nasz Wiluś? Aha, będziemy rozmawiać o koniach.

- Jestem nim zachwycona. Kiedy zamierzasz go wystawić do wyścigu?

- Najprawdopodobniej na miejscowym torze przed czerwcowymi zawodami w Epsom, chociaż Bannister próbuje mnie utrzymać w przekonaniu, że takie decyzje wyczytuje się w kurzych wnętrznościach albo w herbacianych fusach.

- Powinieneś z nim ćwiczyć kontrgalopy, Deene. Sama szybkość to podstawa, ale będzie mu też potrzebna siła i kondycja, bo wypali się przed ósmymi urodzinami.

Mila mijają za milą, a oni prowadzili dyskusję - nie kłótnię - o zaletach pracy na wzniesieniach, treningu z przeszkodami i na płaskim terenie. Po pewnym czasie Eve pożałowała, że Londyn nie jest o dwadzieścia mil dalej, i z tego również była zadowolona.

Deene wciąż trzymał ją za rękę, gdy nagle zmienił temat.

- Czy zechcesz nadać imię temu źrebakowi?

Stajenni zdecydowali, że to ona powinna nazwać źrebaka Franny. Deene przyklasnął temu pomysłowi i stało się: Eve miała zostać matką chrzestną źrebaka.

Właśnie to ją odmieniło. Była użyteczna, włączyła się do pracy pomimo wymogów etykiety. To dlatego bez śladu niepokoju wsiadła do landa zaprzęzonego w konie, które poprzednio tak ją przerażyły.

- Od wieków nie wymyślałam imion dla koni.

Choć kiedyś nadawała imiona wszystkim klaczkom w Morelands.

- Pierwszy syn rozplodowego ogiera musi mieć poważne imię, które odpowiednio podkreśli jego zalety. Kiedy byłyśmy młodsze i upi-nałyśmy sobie nawzajem fryzury z siostrami, zawsze przy tym wymyślałyśmy imiona dla naszych przyszłych dzieci.

Wymknęło jej się to być może z powodu zapadającego zmierzchu i miłego ciepła, jakim emanowało ciało Deene'a.

- Więc jednak chcesz mieć dzieci?

Głupie pytanie. Każda kobieta chce mieć dzieci i własny dom. Szkoda, że takie głupie pytanie musiało nadwątlić jej samopoczucie.

- Nie zawsze ma się to, co się chce, Lucas. Niektóre rzeczy są poza naszą kontrolą.

Zmusiła się, żeby nie zabrać ręki. Zbliżała się kolejna sprzeczka, a ona nie miała już ochoty się z nim spierać. Ani teraz, ani nigdy.

- Chętnie dałbym ci dzieci, Eve Windham. Moglibyśmy je wychować w Kent, blisko twoich rodziców. Mam tam tyle ziemi, że mógłbym przenieść całą stajnię, gdybyś chciała. Myślę, że świetnie byśmy do siebie pasowali.

- Tak myślisz? - Głos jej nie drżał w reakcji na taką niemożliwą propozycję. W końcu była księżącą córką i doskonale potrafiła się opanować. Wielki Boże, nie spodziewała się czegoś takiego.

Chciał popsuć taki cudowny dzień... popsuć go bezpowrotnie, a ona zastanawiała się tylko, gdzie też mogła podziąć swoją parasolkę.

- Dobrze by nam było razem. Mamy odpowiednią pozycję, znamy swoje rodziny, nasze ziemie prawie ze sobą sąsiadują, a ty nie musiałabyś się już więcej użerać z Trit-Trotami tego świata.

Do diabła z jego zdrowym rozsądkiem. Gdyby mówił z serca, bez tych praktycznych, męskich argumentów, mogłaby przez chwilę pozachwycać się jego słowami, zanimby go odrzuciła.

- A ty byłbyś bezpieczny od wszystkich Mildred Staines tego świata.



- Sezon jest tuż-tuż, więc to całkiem poważna sprawa. Poza tym jest jeszcze coś, co przemawia na korzyść naszego związku.

Oświadczał się, ale nie poprosił jej wprost o rękę. Całkiem sprytnie... i rozczulająco. Ku jej zdziwieniu małżeństwo z Deene'em wydało jej się nagle całkiem przyjemną perspektywą, tym bardziej że postanowił oświadczyć się najpierw jej, a nie poprosić o jej rękę księcia. Mimo wszystko trzeba go odrzucić, tak jak wszystkich innych.

- A co to takiego, milordzie? - Pewnie chodzi mu o zgodne z książęcymi poglądy polityczne. I o to, że walczył we Francji z Devlinem i Bartem. Nie bał się Louisy i nie dał się zwieść słodkiej, miłej Jenny...

Jedynym ostrzeżeniem były jego nieobleczone w rękawiczki dłonie na podbródku. Delikatnie uniosły jej głowę do pocałunku, tak czułe, że oszołomił ją bez reszty. Dotknął miękkimi wargami jej ust, jego dłoń przesunęła się z podbródka na tył głowy.

Tylko nie to. Nie to cudowne ciepło, które budzi się w brzuchu, rozprzestrzenia na całe ciało i tłumi głos rozsądku. Nie to gorące pragnienie, by wsunąć się pod niego, smakować jego skórę i oddychać jego zapachem.

Samotność ciała zagarnęła ją całą, gdy pieściły ją wargi Deene'a. Nikt nie potrafił stworzyć tak intymnej bliskości, nikomu nie pozwoliła się dotykać, jeśli nie liczyć przelotnego kontaktu dozwolonego zasadami dobrego wychowania czy rodzinnymi uczuciami. Otworzyła się dla niego, zacisnęła palce na jego włosach i przyciągnęła go bliżej.

Do bólu pragnęła, by po raz ostatni dał jej posmakować przyjemności i rozkoszy, ale on odsunął się i dotknął jej czoła swoim.

- Łączy nas namiętność, Eve Windham. A to niemało.

Namiętne pocałunki nie zawsze były dowodem uczucia. Eve dobrze o tym wiedziała z własnego, gorzkiego doświadczenia. Mężczyzna, nawet bardzo młody mężczyzna, potrafił całować jak księżę z marzeń, sprawić, by dziewczyna straciła resztki zdrowego rozsądku, a potem jego najbardziej intymne zachowanie okazało się... po prostu niesmaczne. A nawet bolesne. Deene, wręcz przeciwnie, byłby cudownym kochankiem, szczodrym, doświadczone, pięknym...

Odrzuciła tę myśl i zmusiła się, by odpowiedzieć ostrym, bezlitosnym tonem:

- Doceniam ten zaszczyt, Lucasie, ale twoje oświadczenia interesują mnie nie bardziej niż zaloty pana Trottenhama. Nie pasowalibyśmy do siebie.

Odsunął się i wyprostował. Musiała obojętnie znieść tę stratę. To było konieczne, jeśli chciała go przekonać, że mówi serio.

- Eve Windham, jeżeli takie pocałunki to według ciebie dowód, że do siebie nie pasujemy, to niech Bóg pomoże komuś, kto będzie do ciebie pasował. Zajmie się żywym ogniem, ledwie zdążysz poruszyć rzęsami.

- Nie będzie nikogo takiego.

Sprzeczką załatwiłaby sprawę, ale, niestety, Deene siedział spokojnie obok niej, obejmował ją ramieniem i leniwie gładził kciukiem jej szyję.

W końcu poddała się pokusie i oparła mu głowę na ramieniu. Zaraz dojadą do Londynu, będzie można wysiąść z powozu i skończy się ten dzień, który zaprowadził ją z piekła do nieba i z powrotem.

Później przyjdzie czas na płacz.

- Gdzie jest, u diabła, lord Andermere?

Rozmawiając ze służbą, Deene zwykle używał tytułu Anthony'ego, choć rzadko mówił o nim z taką irytacją, a prawie nigdy przy tym nie klął.

- Jego Lordowska Mość został wezwany do Kent, milordzie. -Gowers odpowiedział z kamiennym spokojem lokaja, który służył u Denningów od czterdziestu lat.

- Kiedy go tam wezwano?

- Zdaje mi się, że wczoraj rano, milordzie. Powiedział, że pan Bassingstoke przysłał do niego list.

Bassingstoke był zarządcą Denning Hall. Wezwanie w sprawach majątku było bardzo prawdopodobne, ale fakt, że Anthony wyjechał bez słowa, choć mieli spędzić ranek, przeglądając księgi rachunkowe, wcale się Deene'owi nie spodobał.

- Zawiadom Hookera, że zajrzę do niego przed południem. Gower skłonił głowę.

- Doskonale, milordzie. Czy to wszystko?

- Nie, nie wszystko.

Nie mogąc dobrać się do ksiąg, Deene postanowił ruszyć sprawę z innej strony.

- Przyslij do mnie panią Hitchings za dwadzieścia minut. Będę w bibliotece.

Gower wyszedł bez hałasu, jak zwykle. Deene nalał sobie kolejną filiżankę herbaty, dokończył czytać artykuł finansowy, który zaczął przy śniadaniu, i zjadł jajka na grzance.

Kiedy wszedł do biblioteki, pani Hitchings już na niego czekała.

- Dzień dobry, pani Hitchings. - Deene usiadł za biurkiem, bo nie chciał krążyć po pokoju, denerwując ją bez potrzeby. - Proszę usiąść.

Kiedy przycupnęła na brzeżku krzesła, ulga rozjaśniła jej zmęczoną twarz. Siedziała wyprostowana jak trzcina, wpatrując się nieruchomo w punkt nad lewym ramieniem Deene'a.

- Jak długo pani tu służy?

Gospodyni, zawsze odziana w biały czepek i szarą suknię, pracowała w tym domu, odkąd Deene sięgnął pamięcią.

- Prawie dwadzieścia lat, Wasza Lordowska Mość.

Ale odpowiedź. Ani jednego słowa ponadto, co niezbędne. To nie były łatwe lata.

- Ile mamy pokojówek?

- W tej chwili dwadzieścia, Wasza Lordowska Mość, ale ciągle się zmieniają.

- A lokajów? Zmarszczyła brwi.

- Lokajami zarządza pan Gower, Wasza Lordowska Mość. Wydaje mi się, że jest ich mniej więcej tyle samo, co pokojówek.

- Ile im płacimy?

Na to pytanie - i tylko wtedy - jej wzrok musnął na moment twarz Deene'a. Oczy zdradzały konsternację i czujność.

- Nie wiem tego na pewno, Wasza Lordowska Mość. Pensjami zajmuje się lord Andermere.

- A wydatki na jedzenie? Spisujesz je jakoś?

- Pod koniec każdego miesiąca zgłaszam je lordowi Andermere, Wasza Lordowska Mość. Jeśli go nie ma w mieście, przekazuję je panu Gowerowi.

Wyglądało na to, że ten dom nie ma zarządcy - jeśli nie liczyć Anthony'ego.

- Będę wdzięczny, jeśli w przyszłości będzie pani informowała i mnie o tej sumie. To wszystko. Proszę przysłać do mnie Gowera.

Gower wygłosił bardzo podobną litanie, tyle że naturalnie na stojąco. Żadne z nich nie wiedziało nic o finansach domu, poza sumą, jaką podawali Anthony'emu.

Deene polecił, żeby osiodłano mu konia, i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie Anthony w ten sposób utrzymuje spokój wśród służby, która, jak wiadomo, zawsze skarży się na niskie pensje, złe warunki pracy i sknerstwo pracodawców.

Podczas jazdy do miasta Deene miał dość czasu, by zastanowić się nad wczorajszą rozmową z Eve Windham, a raczej po raz kolejny się nad nią zastanowić, bo nie spał przez pół nocy, roztrząsając każdy jej szczegół.

Pociągał ją, co do tego nie było żadnych wątpliwości.

A mimo to bez wahania odrzuciła oświadczyńca całkiem atrakcyjnego kawalera, choć od zadziwiająco długiego czasu obracała się w kręgu socjety, czekając na męża. Jej odmowa zabolęła go bardziej, niż myślał. Do tego była zagadkowa, a zatem cholernie irytująca.

Prawnicy też byli cholernie irytujący, ale na nich przynajmniej można było nakrzyczeć i trochę się wyładować.

- Milord zażyczył sobie spotkania prawie bez uprzedzenia. - Hooker wyprostował się z ukłonu i ujął dłońmi aksamitne klapy swego surduta. - Prawie bez uprzedzenia. Czy mogę wiedzieć, cóż to za pilna kwestia sprowadza do nas Waszą Lordowską Mość?

Jak ci prawnicy to robią, że tak mistrzowsko potrafią zawstydić klienta, który płaci im żywą gotówką?

Deene nie usiadł, co oznaczało, że Hooker też będzie musiał stać. Jego szczupły, młodszy współpracownik tkwił przy kominku, w którym - jak Deene nie omieszkał zauważyć - buzował wesoło ogień, choć dzień był w miarę ciepły.

Na ile to obciążało i tak już nadwątlone finanse Deene'a?

- Ta kwestia, skoro tak ją chcesz nazwać, to odbiór sprawozdania na temat petycji, które poleciłem wam sporządzić ponad tydzień temu.

Hooker wydał wargi. Puścił klapy i na moment wbił wzrok w podłogę.

Kiedy już się na nią napatrzył, a Deene zacisnął szczęki z gniewu, podniósł wzrok i zwrócił się do swojego współpracownika:

- Przynieś mi akta Jego Lordowskiej Mości.

Tamten prawie wybiegł z pokoju. Deene pozwolił, by cisza się przeciągnęła.

- Może Wasza Lordowska Mość zechciałby się napić herbaty?

- Nie, dziękuję.

- To może zatem kawy? Albo jakąś przekąskę? Mamy tu skromne wyżywienie, ale z pewnością zadowolili Waszą Lordowską Mość i pozwoli się nieco wzmocnić.

Ojciec nauczył Deene'a, że najmocniejsze napomnienia mają pozory uprzejmości.

- To nie jest towarzyska wizyta, Hooker.

- Naturalnie, Wasza Lordowska Mość. Jeśli wolno zapytać, czy w niedalekiej przyszłości będziemy się przyglądać umowie małżeńskiej?

Próba interrogacji i element zaskoczenia. Jeśli ten stary piernik był choć w połowie tak dobrym prawnikiem jak by na to wskazywały pozory, to z pomocą jeszcze jednego, niezbyt lotnego pomocnika Deene wkrótce przejmie opiekę nad swoją siostrzenicą.

- Czy widziałeś już ogłoszenie w „Timesie”, Hooker?

- Ogło...? Nie, Wasza Lordowska Mość.

Deene odwrócił się do okna i zapatrzył na wąską uliczkę, pozwalając, by do Hookera dotarło, że prawnicy będą wiedzieć o jego prywatnym życiu dokładnie tyle samo co reszta publiki.

Rozległo się ciche stukanie i w drzwiach stanął prawnik o wyglądzie naukowca.

- Akta, panie Hooker.

Podał swemu pryncypałowi opasłe, przewiązane tasiemką tomiszczce z takim namaszczeniem, jakby odprawiał jakiś religijny rytuał.

Odgrywają tu teatr, podczas gdy Deene tylko chce przytulić swoją siostrzenicę i wiedzieć na pewno, że jest szczęśliwa, że dobrze jej się wiedzie, widywać ją od czasu do czasu i wbić do głowy towarzystwu, że dziecko należy do Denningów, pomimo niewygodnych koneksji ze strony jej ojca.

- Ach, tak. Tu jest.

Hooker pochylił się nad aktami i porozkładał dokumenty na kupki po całym biurku.

- Całkiem nam dobrze idzie z tymi petycjami, milordzie. Zajmuje się tym obecny tu Bitters.

- Chciałbym zobaczyć projekt.

Hooker wyprostował się, a jego twarz przybrała wyraz życzliwej troski.

- Milordzie, musi pan zrozumieć, że takie przedsięwzięcie wymaga znajomości ściśle prawniczego języka, normańskiego prawa, wiedzy o odpowiednich precedensach i bardzo dogłębnych przygotowań.

- Od chwili, gdy zleciłem przygotowanie tych dokumentów, minęły prawie dwa tygodnie, sir. Poproszę projekt.

Cierpiętnicze spojrzenie, jakim poczęstował go Hooker, powinno być przedmiotem aktorskich studiów na Drury Lane. Podał mu pojedynczą kartę dużego formatu. Deene rzucił okiem na jej zawartość.

- To jest lista spraw sądowych.

W dodatku bez daty. Bardzo możliwe, że ktoś ją w pośpiechu wetknął w akta pięć minut temu. - Takie sprawy zaczyna się od spisania odpowiednich precedensów, milordzie, i od dokładnego zbadania, jak się one mają do aktualnej sprawy. Jak już mówiłem, to jest skomplikowane, trudne prawne przedsięwzięcie. Pozwolę sobie obiecać, że z całym szacunkiem zajmiemy się sprawą w możliwie najbardziej drobiazgowy, profesjonalny sposób. Deene rozluźnił szczęki i odłożył kartkę na biurko.

- Ja zaś pozwolę sobie powiedzieć, Hooker, że nie otrzymacie pieniędzy za te wszystkie dokładne i trudne badania, które, naturalnie, w pełni doceniam, do chwili, gdy dostanę do ręki petycję w formie odpowiedniej do złożenia we właściwym sądzie. Do widzenia panom.

Z satysfakcją odnotował, że brwi prawnika opadły.

- Aha, jeszcze jedno, Hooker. Liznałem trochę prawa na uniwersytecie, przynajmniej na tyle, na ile powinien ktoś, kto pewnego dnia będzie musiał przyjąć oficjalne obowiązki. Te sprawy wypisane na kartce dotyczą umów handlowych i kontraktów cywilnych. Choć nie jestem prawnikiem, trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób opieka nad małoletnią wiąże się z tymi aspektami prawa.

Wychodząc, nie trzasnął drzwiami, co było drobnym zwycięstwem nad sobą. Krótco się nim cieszył, bo miał świadomość, że Hooker i jego kompani przez cały ten czas siedzieli na tłustych tyłkach, żłopiąc

herbatę - albo kawę - i opychając się ciasteczkami, i nie zrobili nic, żeby wyrwać Georgie z łap tego karierowicza, który nazywał się jej ojcem.

Idąc do konia, zorientował się, że coraz bardziej zastanawia się nad nielegalnymi sposobami przejęcia opieki nad Georgie. Ustawiony pojedynek, oszustwo przy grze w karty, porwanie... niehonorowe, niebezpieczne sposoby, które kusily go z coraz większą siłą.

4

Czyż to nie złośliwość Opatrzności, że spotykamy się w ten, skądinąd przyjemny, wiosenny dzionek? - Dolan posłał swemu szwagrowi beczelny uśmiech, który nie sięgał oczu. - Dzień dobry, Deene. Markiz przerwał szybki marsz po chodniku.

- Witaj, Dolan. Chciałbym zobaczyć się z siostrzenicą.

Jakiś giez widać uciał Romantycznego Marzyciela - jak Marie czasem nazywała swego młodszego brata - bo jego błękitne oczy rzucały iskry, a szczupła postać emanowała niechęcią.

- Nie zawsze ma się to, co się chce, Wasza Lordowska Mość.

Deene z trudem zachowywał spokój, wiedząc, że wszczęcie awantury na ulicy, choć bardzo kuszące, nie przyniosłoby nikomu nic dobrego, a na pewno nie zbliżyłoby go do Georginy.

- Może Jego Lordowska Mość zechciałby mi wyłuszczyć powody, dla których chciałby się zobaczyć z siostrzenicą? - Dolan zawrócił i ruszył w tym samym kierunku co Deene. - Dorośli mężczyźni niechętnie przebywają w towarzystwie dziewczynek, jeśli nie muszą.

Deene, zdaje się, zrozumiał, że nie powinien robić sceny. Na Anglików zawsze można było liczyć w takich sprawach, bo poszedł w ślad za Dolanem.

- Nie muszę chyba tłumaczyć, dlaczego od czasu do czasu chciałbym spotkać się z jedynym dzieckiem mojej siostry.

Celnie trafił, ale nic nie uzyskał.

- Może Panu Najwyższemu nie musisz się tłumaczyć, milordzie, ale tak się składa, że jestem jej ojcem.

Och, co za przyjemność powiedzieć coś takiego spokojnym, chłodnym tonem. Dolan doszedł do wniosku, że częstsze spotkania z jego nieoświeconą, szwagrowsko-lordowską mością uprzyjemniłyby mu codzienne spacerowanie po mieście.

Inteligencja Marie była jedną z wielu jej cech, za którymi Dolan wciąż tęsknił.

- Pozwól, że ujmę to tak, Dolan. Albo pozwolisz mi się z nią zobaczyć, albo podejmę odpowiednie środki, żeby to zrobić bez twojego pozwolenia.

- Ze strachu o mało co nie wyskoczę z moich ubłoconych w bagnie kamaszków, Wasza Wysokość. - Dolan powiedział to z zauważalnym irlandzkim akcentem. W tym momencie spostrzegł, że ulicą żwawo zmierza w ich stronę nie kto inny, lecz sama księżna Moreland. - Słyszałem, że twój koń wreszcie pokazał temu durnemu pyszałkowi Islinghamowi, gdzie jego miejsce. Cieszę się, że mam rzadką okazję złożyć ci szczere gratulacje, Deene, tym bardziej że robię to w miejscu publicznym.

- A ja dziękuję ci za uprzejmość, równie publicznie. Przynajmniej powiedz mi, jak się ma Georgie.

Marie zaklinała się na wszystkie świętości, że jej brat jest zupełnie inny niż starzy markiz i markiza, ale ona zawsze była ślepa na wady tych, których kochała. Dolan w duchu przeprosił uświęcone wspomnienie swojej żony i pozwolił sobie zwątpić w szczere intencje Deene'a.

- Georgina jak zwykle świetnie się ma pod moją opieką, Deene. A ty módl się, żeby twój koń nie musiał ścigać się z moim Goblinem.

Twarz Deene'a zmieniła się w nieruchomą, przystojną maskę obojętności, której Dolan mógł mu jedynie pozazdrościć. Anglicy byli aroganccy, niewdzięczni i niegodni zaufania, a kiedy im to było na rękę, potrafili udawać kompletnych głupków.

- Wasza Wysokość. - Deene złożył elegancki ukłon księżnej, która uśmiechnęła się promiennie do tego durnia.

- Witaj, Deene. - Z tym samym uśmiechem zwróciła się do Dolana, czekając, aż Deene ich sobie przedstawi.

Co za słodki moment - być przedstawionym księżnej i to przez piniącego się z wściekłości szwagra, na oczach całej ulicy.



- Wasza Wysokość, czy mogę przedstawić mojego szwagra, pana Jonathana Dolana? Dolan, to Esther, księżna Moreland.

W jednej chwili urok prysł, bo Dolan zapomniał, jak dżentelmen powinien się zachować w takiej sytuacji.

Deene skłonił się. Dolan złożył ukłon tej samej głębokości i podnosząc głowę, uśmiechnął się najlepiej, jak potrafił. Przyszło mu to z łatwością, bo Jej Wysokość była piękną kobietą, mimo że liczyła sobie piętnaście lat więcej niż Dolan. Emanowała wdziękiem, jakiego próżno by szukać u typowych arystokratów.

Nie żeby Dolan znał ich na pamięć.

- Panie Dolan, bardzo mi miło. Wczoraj moja córka zachwycała się pana Georginą. Jeśli wychowanie pięciu córek daje mi prawo do jakichkolwiek uogólnień, dziewczynka niedługo przyprawi pana o siwiznę i zacznie łamać męskie serca. Deene, oczekuję cię na kolacji we wtorek. Będę miała kłopot z usadzeniem gości, jeśli odmówisz.

Pożegnała się tak słodko i elegancko, że Dolan prawie wybaczył jej przynależność do cholery arystokracji.

- Słyszałem, że wybrałaś się na przejażdżkę z jej córką. Miło by było, gdyby córka księcia została ciotką Georginy.

Deene mocno trzymał nerwy na wodzy. Rzucił Dolanowi nieprzyjemnie pobłażliwe spojrzenie.

- Dolan, wybierając żonę, trzeba patrzeć na coś więcej niż korzyści, jakie to przyniesie tobie i twojej rodzinie z chałupy na bagnach.

- Czy jedyną córkę swojej siostry też zaliczasz do rodzinie z chałupy na bagnach, Deene?

Znowu zeszli do poziomu obelg, które trafiały niebezpiecznie blisko czułych miejsc, więc znizyli głosy. Patrząc na przystojną twarz swojego szwagra, Dolan pomyślał, że wprawdzie nauczył się obrażać ludzi jak prawdziwy angielski dżentelmen, ale to nie jest chyba powód do dumy.

- Módl się, żeby twój Goblin nigdy nie stanął na torze obok Króla Williama, bo będę wtedy musiał wyjaśnić mojej siostrzenicy, dlaczego angielska krew jest lepsza od innych krwi, nawet w przypadku niższych stworzeń.

Dolan uśmiechnął się na tę typowo angielską obelgę.

- Może i masz rację, milordzie, przynajmniej jeśli chodzi o umiejętność szybkiego biegania. Czy rozstaniemy się po tej serdecznej pogawędce, jak na entuzjastycznych koniarzy przystało, czy też zaczniemy następne trzy rundy?

Przez jedną, niepokojącą chwilę oczy Deene'a błysnęły ponuro.

- Do widzenia, Dolan. Pozdrów ode mnie Georgie i powiedz, że o nią pytałem. Muszę ci też podziękować za kwiaty na grobie Marie.

- Do widzenia, Deene.

Rozstali się w ten zaskakująco uprzejmy sposób, choć Dolan poczuł, że musi zająć na chwilę w jakieś spokojne miejsce, żeby usiąść i przetrwać w myśli całą rozmowę. Dopiero potem ruszy, by udzielić zwykłej cotygodniowej reprymendy swoim prawnikom.

Marie kochała brata. Można powiedzieć, że od chwili, gdy zmuszono ją do małżeństwa z Dolanem, kochała tylko brata. Dolan musiał przyznać, że pewnie Deene też ją kochał. Obaj ją kochali, choć każdy na swój sposób.

Do tego, od chwili, gdy zobaczył to przelotne przygnębienie w oczach Deene'a, przysięgłby, że markiz dzielił z nim jeszcze jedno uczucie do Marie. Uczucie trudniejsze niż miłość.

Ciekawe, z jakiego powodu Deene żywił poczucie winy wobec siostry - jeśli Dolan dobrze odczytał uczucie, które błysnęło w błękitnych oczach markiza.

- Eve Windham, czemu, u licha, siedzisz w czterech ścianach, kiedy wszystkie rozsądne żywe istoty wyszły na dwór, by cieszyć się tym cudownym dniem?

Louisa też siedziała - nieproszona i niemile widziana - u boku Eve, na małej sofie.

- Robię listę, jeśli już koniecznie musisz wiedzieć.

Eve odłożyła listę, choć wiedziała, że i tak nie ukryje przed siostrami żadnego sekretu.

- Co to za lista? - Louisa, korzystając z tego, że miała dłuższe ręce, złapała zapisaną kartkę. - To przecież nazwiska mężczyzn.

- Moja siostra jest geniuszem.

Louisa uśmiechnęła się tylko i przebiegła listę wzrokiem.

- To wszystko kawalerowie, ale zebrałaś tu niesamowitą kolekcję, Eve. Trit-Trot, sir Cleaveridge Oldman, znany lepiej jako sir Żuraw, Harold Enderbend, dla przyjaciół Harold Wielbłąd.

Louisa czytała i pochmurniała coraz bardziej.

- Kandydaci do twojego białego małżeństwa, nieprawdaż?

- Na początek.

Choć spisanie tych kilku nazwisk zajęło Eve całe rano.

- Wykreśl Trit-Trota. Joseph mówi, że to hazardzista.

Eve spełniła polecenie, wcale nie żałując tej straty. Trit-Trot zanudziłby ją w tydzień swoimi ukłonami i paplaniną.

Żuraw nie potrafił trzymać rąk przy sobie i zaglądał damom w dekolty.

Enderbend pił jak wielbłąd, a jego upodobanie do zakładów doprowadziłoby ich do bankructwa przed upływem roku. Eve obgryzała ołówki.

- Masz jakieś inne pomysły? Pamiętaj, to ma być tylko zabezpieczenie.

- Powinniśmy spytać Jenny. Ma zmysł obserwacyjny. Przed taką dyskusją trzeba się pokrząpić.

Louisa nie wyśmiała jej pomysłu, co z jednej strony dodało Eve pewności, a z drugiej ją zaniepokoiło. Gdy Lou zadzwoniła po tace -w liczbie mnogiej - Eve posłała lokaja po Jenny, która spacerowała w ogrodzie.

- Próbuje znaleźć Eve kandydata do białego małżeństwa, ale ciężko nam idzie - wyjaśniła Louisa nowo przybyłej. - Potrzebny nam ktoś, kto zostawi ją w spokoju, ale będzie troskliwy i uprzejmy. Musi być na tyle przystojny, żeby związek wydawał się wiarygodny, i musi mieć wszystkie zęby.

Jenny zasiadła w bujanym fotelu i przebiegła wzrokiem listę, marszcząc brwi.

- Musi zapewnić Eve styl życia, do jakiego przywykła.

Zanim przyniesiono tacę, siostry Eve ułożyły listę, ale nie kandydatów na mężów, tylko cech, jakie taki kandydat powinien posiadać.

Musi lubić podróże - najlepiej do odległych krajów na dłuższe okresy.

Musi być łagodny, ale konsekwentny.

Musi być uczuciowy, ale nie przesadnie. Przydałoby się, żeby miał już dziedzica.

Ale żadnych krewnych, którzy interesowaliby się charakterem tego małżeństwa.

Siostry bardzo się starały, tworząc listę dla Eve, ale nie uwzględniły na niej cech, które mogłyby sprawić, że białe małżeństwo dałoby się jakoś znieść:

Musi być dobry.

Musi być jednym z nielicznych mężczyzn, którzy potrafią się zaprzyjaźnić z dorosłą kobietą.

Musi być lojalny - bo wierność w tych okolicznościach nie wchodzi w grę.

I szczerze mówiąc, najlepiej byłoby, gdyby też kochał konie.

- Eve odplynęła daleko - stwierdziła Jenny w godzinę później, gdy Louisa opychała się kanapkami i ciastkami.

- Myślę - odparła Eve, niewiele mijając się z prawdą. Myślała o tym, że nigdy nie zobaczy, jak dorasta źrebak Franny, nigdy nie nada mu imienia ani nie pogłaszcze Willy'ego po aksamitnym nosie. Nigdy nie pocałuje mężczyzny, przy którym w jej brzuchu wzbierała fala gorąca i tak cudownie było się czuć zdrową, młodą kobietą...

- Jenny wpadła na genialny pomysł. Musisz wyjść za tego malarza portrecistę, o którym tyle teraz się mówi. Zapomniałam jego nazwiska, choć serdecznie się przyjaźni z Josephem.

Eve zmusiła się, by wziąć udział w rozmowie, bo w przeciwnym razie entuzjastyczne siostry mogłyby ją zaręczyć z tym człowiekiem, choć nawet nie została mu przedstawiona.

- Elijah Harrison. I ma jakiś tytuł, ale go nie używa - powiedziała Jenny. - Jest dobrze wychowany i spokojny, bardzo utalentowany, i do tego został członkiem Akademii Królewskiej. Jednym z najmłodszych.

Louisa wstała, oparła się o kominiek i skrzyżowała ramiona.

- A na modnych przyjęciach przeważnie przysypia pod paprotkami.

- Bo musi od rana pracować, a nie wysypiać się do południa. Poza tym świetnie tańczy.

- Ho, ho, ho. - Wargi Louisy zadrgały, podobnie jak Eve.

- Jenny się zakochała - wygłosiła Lou. - Za-ko-cha-ła. Trzeba go skreślić z twojej listy, Evie. Koniec z tobą i milordem artystą.

Eve oparła się pokusie, by podokuczać Jenny. Siostra tak rzadko mówiła coś o sobie, że Louisa prawdopodobnie dobrze odgadła jej uczucia. Zresztą ona prawie zawsze miała rację. Jak to: sami pijacy i jeden malarz? Spojrzała na listę.

- Chyba trzeba zadzwonić po następną herbatę.

Na twarzy Jenny odmalowała się ulga. Louisa uparcie próbowała dalej, dzięki czemu lista wymagań rosła w nieskończoność. Natomiast lista nazwisk pozostała bez zmian.

- Żółć cię zalewa, Deene, czy też twoje wściekłe spojrzenia mają utrzymać swatki na odległość?

Zadane z zaskoczenia pytanie Kesmore'a wytrąciło Deene'a z zamyślenia.

- A ty czemu się skradasz między paprotkami, Kesmore?

- Może tropię tu kawalerów, skrywających się przed nagonką. Takie zachowanie jest zdecydowanie nie w twoim stylu, Deene, tym bardziej w obecności kwiatu angielskiej socjety.

Rzeczywiście tak było, a winą za ten żałosny stan rzeczy Deene przypisywał lady Eve Windham.

- Cleaveridge mało się nie ślini w dekolt swojej partnerki.

- Rzeczywiście ma śliczny dekolt. Wszystkie kobiety Morelan-dów są piękne.

Ta swobodna uwaga z ust mężczyzny, który nigdy nie zdradzał zainteresowania cudzymi dekoltami, ładnymi czy też wręcz przeciwnie -z wyjątkiem dekoltu jego własnej hrabiny - sprawiła, że Deene o mało nie wyskoczył na parkiet i nie wyrwał Eve z ramion Cleaveridge'a.

- Ona coś knuje.

- Jak każda dama. Uwielbiamy je za to, a w eleganckim towarzystwie mówimy, że są tajemnicze i kobiece.

Deene popatrzył na Kesmore'a, który stał w cieniu, rzucanym przez balkon dla orkiestry.

- Z wyjątkiem twojej niedawno poślubionej hrabiny. Jeszcze nie widziałem, żebyś zachwycał się jakąś kobietą, od czasu kiedy opuściłeś

nasze szeregi, Kesmore. Ale czasem słyszy się plotki o tobie i twojej trzodzie.

- Moja trzoda ciężko pracuje, napełniając rodzinne kufry. Muszą pękać w szwach, kiedy przyjdzie czas na wydawanie córek za mąż. Nie obrażaj świnek, bo drogo za to zapłacisz.

Choć Kesmore powiedział to ze spokojem, Deene miał wrażenie, że naprawdę broni dobrego imienia swoich świń. Ten temat był źródłem niezliczonych docinków, jakich nie szczędzili mu oficerowie, służący niegdyś pod Wellingtonem, ale w jakimś sensie był też pocieszający. Jak widać, można wylądować gorzej niż ktoś, kto pragnie bronić damy, która dała mu kosza, kiedy pierwszy raz w życiu się komuś oświadczył... chociaż Kesmore raczej nie był zazdrosny o knury, które zalecały się do jego macior.

- Cleaveridge ma rzeczywiście niespotykany talent do gapienia się na niewłaściwe części kobiecej anatomii, prawda? - Kesmore mówił cicho, za to Deene, który obserwował końcówkę tańca Eve, miał ochotę wrzasnąć do Cleaveridge'a, żeby wreszcie ją puścił.

Przy ostatnim ukłonie ten łajdak skłonił się pod idealnym kątem, żeby zapuścić żurawia w dekolt swej partnerki, a może nawet poczuć zapach jej piersi.

- Deene. - Kesmore położył rękę na jego ramieniu, nie pozwalając mu ruszyć w tamtą stronę. - Enderbend właśnie rozpoczął szarżę, porzucając wazę z ponczem.

- Zdaje mi się, że lady Eve podjęła jakąś miłosierną misję i tańczy ze wszystkimi aspirującymi kandydatami na mężów, którzy nigdy nie awansowali do statusu pożądaných.

Zdaniem Deene'a jej misja polegała na pozbawieniu go resztek zdrowego rozsądku. Strategiczny odwrót wydał mu się w tej sytuacji jedynym sensownym rozwiązaniem.

- Idę zagrać w karty. Przyłączysz się?

Kesmore odpowiedział nieodgadnionym spojrzeniem. Był tego samego wzrostu co Deene, ale miał ciemniejszą karnację, mocniejszą budowę, a gdzieś na środku Hiszpanii na zawsze zapomniał, jak wygląda uśmiech.

- Weź to. - Podał Deene'owi pusty kieliszek i pokuśtykał przed siebie.

Deene mógł tylko patrzeć skonsternowany na tłum pośpiesznie rozstępujący się przed Kesmore'em, jak przed każdym kaleką skazanym na utykanie do końca życia.

Jego konsternacja zmieniła się w niepomierne zdumienie, gdy Kesmore podał ramię lady Eve i odeszli razem, zostawiając Enderbenda na środku parkietu, z miną zakochanego na zabój durnia.

Deene czym prędzej usunął się do pokoju przeznaczonego dla graczy, by i jego nie przyłapano z dokładnie taką samą miną.

Eve była kompletnie zaskoczona, gdy jej najnowszy szwagier Joseph, hrabia Kesmore, oświadczył, że przecież po kadrylu obiecała mu spacer po ogrodach.

Powinna odmówić, tym bardziej że pan Enderbend wyraźnie marzył o tańcu - zaczerwieniony, zemocjonowany i roztaczający gęste alkoholowe opary. Poczula zapach jego oddechu i pośpiesznie przyjęła nieoczekiwane zaproszenie Kesmore'a.

Kesmore, poza tym że poślubił Louise, był od dawna ich sąsiadem. W spokojnym, zasiedziałym Kent oznaczało to, że traktowano go jak przyjaciela rodziny jeszcze przed jego małżeństwem. Często jeździł z księciem na polowania z psami, organizowane przez okolicznych lordów. Bywał na spotkaniach towarzyskich i balach. Składał wizyty i rewizyty, szczególnie w wakacje.

Mimo wszystko Eve nie uważała go za swojego osobistego przyjaciela. - Ja też potrafię tańczyć, wiesz?

- Przepraszam Waszą Lordowską Mość?

Spojrzał na nią z góry, z rozbawioną miną, tyle że na jego melancholijnej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

- Lady Eve, jeśli odprawiasz jakąś pokutę, tańcząc z najgorszymi mętami naszej socjety, powinnaś dopisać mnie do tej listy. Walc z kaleką będzie miał co najmniej taką samą wartość jak tańce z pijakami i zbereźnikami.

Był szorstki. Wdowcy, nawet nieutykający, bywają tacy szorstcy, ale to było... dokuczliwe.

- Jeśli odmówię dżentelmenowi bez powodu, milordzie, muszę potem przesiedzieć resztę zabawy. A jaki jest sens w przychodzeniu na bale, jeśli się nie tańczy?

Spojrzał na nią znowu, jakby taksował ją wzrokiem.

- Też się zastanawiam, jaki to ma sens.

Eve dopiero teraz połapała się, jak niegrzecznie go potraktowała.

- Wybacz, milordzie, ale mam wrażenie, że nie tańczysz dlatego, że nie chcesz, a nie dlatego, że nie możesz.

Trochę złagodniał, a w jego spojrzeniu błysnął cień tęsknoty.

- Zapewniam cię, że z odpowiednią kobietą tańczę całkiem niezgorzej, twoja siostra świadkiem. Wyjdziemy na taras?

W sali było duszno, hałas ranił uszy, a kolację podano dopiero co.

- Dziękuję, bardzo chętnie.

Zatrzymał się przy wazie z ponczem, żeby nalać im coś do picia, a potem wyprowadził ją z sali na taras, gdzie stały dwie inne pary, oparte o balustradę i pograżone w cichej rozmowie.

- Usiądziemy, lady Eve?

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Wybrała ławeczkę pod ścianą, bardziej w cieniu niż w świetle lamp.

Kesmore trzymał szklanki, czekając, aż Eve pouklada fałdy sukni, a potem z westchnieniem opadł na ławkę obok niej.

- Wprawdzie nie jestem mistrzem tańca, ale przed ślubem prędeży szlag by mnie trafił, niż usiadłbym z wdowami, jakbym był emerytem w uzdrowisku. Więc woląłem stać, co do reszty zniszczyło moje przekłete kolano, a to z kolei doprowadzało mnie do szewskiej pasji. Wybacz moje słownictwo.

- Jego Wysokość potrafi używać jeszcze barwniejszego. Kesmore popatrzył na szklanki.

- O, z pewnością. Wolisz zaprawiany czy bezalkoholowy? Ostrzegam, jeśli wybierzesz zaprawiany i zostawisz mi ten paskudny kompot, podtruję nim najbliższy żywopłot.

Eve oparła się chętnie, by przyjrzeć mu się bliżej, i z prawdziwą ulgą powitała jego bezpretensjonalność.

To był człowiek, który skradł serce Louisie, choć do tej pory nikomu nie udało się odkryć, jakim cudem.

- Mogę pociągnąć tylko łyk tego mocniejszego? W końcu damie przystoi okazać trochę ciekawości, prawda?



Zasłużyła tym sobie na kolejne rozbawione spojrzenie bez uśmiechu. Podał jej szklanę, dzięki czemu zauważyła, że nie nosi rękawiczek.

- Tylko powoli, panienko. Gospodarze szczerze nas dziś uraczyli. Zdjęła rękawiczki i pociągnęła łyk z podanej jej szklanki.

- Na litość... mój Boże. Jak wy, panowie, możecie ustać na nogach po czymś takim?

Podał jej drugą szklanę, ale nie skosztowała napoju, dopóki pożar w jej brzuchu nie przygasł, zmieniając się w miłe ciepło.

- Niektórzy nie mogą, szczególnie po północy. Co próbowałaś osiągnąć, lady Eve, zadając się z Enderbendem o tak późnej porze?

Brzmiało to prawie jak reprimenda, znacznie wykraczająca poza zwyczajne szorstkie zachowanie.

- Proszę się tak nie przejmować moim wyborem partnerów, milordzie - odpowiedziała najłagodniej jak mogła, tłumacząc sobie, że może boli go kolano i że Louisa wyciągnęła go na ten bal tylko dlatego, iż chciała być lojalna wobec swoich niezamężnych sióstr.

- Właściwie wcale się nie przejmuję. Jeszcze łyczek? - Uniósł swoją szklanę.

- Ale tylko jeden. - Napój był doskonały, smakował owocami, a Jego Lordowska Mość miał rację co do szczodrości gospodarzy. Poncz, choć o tej porze już zimny, rozgrzewał cudownie, jeśli piło się go małymi łykami.

Eve zadumała się nad tymi sprzecznościami, pociągając kolejny łyk.

- Przepraszam, lady Eve, jeśli odniosłaś wrażenie, że napominam cię z powodu wyboru partnerów. Ale na tych wszystkich spotkaniach nie mam nic do roboty, poza obserwowaniem całego towarzystwa i jego bzdurnych zachowań. Nie uwierzę, że czujesz się w jakiś sposób zobowiązana wobec tych bufonów, z którymi zaczęłaś się zadawać. Ale jesteś piękną kobietą, z posagiem i w odpowiednim wieku do małżeństwa. A do tego bardzo konsekwentną.

Zmierzał do czegoś, więc Eve pozwoliła mu mówić do woli. Jeśli zamierzał wygłosić jakiś namaszczony wykład, przynajmniej posmakuje przez ten czas jego ponczu.

- Widzę, że doceniasz moją urodę.

- Owszem, choć nie wykorzystujesz jej tak, jak byś mogła. Ale to także jest dla ciebie typowe. Choć nienawidzę wtrącać się w nie swoje sprawy, jestem dżentelmenem i uważam, że łączy mnie przyjaźń z twoimi rodzicami, więc spytam wprost. Czy potrzebujesz przyjaciela, lady Eve?

Zapatrzyła się w swoją szklanę - a właściwie jego szklanę, z resztkami ponczu na dnie - próbując odgadnąć, o co mu chodzi.

- Każdy potrzebuje przyjaciół.

Czy Kesmore ich miał? Nigdy się nad tym nie zastanawiała. Podejrzewała, że Louisa jest jego przyjaciółką - co było dziwne i trochę niepokojące.

Czy Deene miał jakichś przyjaciół? Ciepło, krążące w żyłach dzięki ponczowi, pozwoliło jej się trochę odprężyć. Próbowwała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała Lucasa z przyjaciółmi, na przejażdżce po parku albo na dachu powozu, podczas wyścigów konnych.

Kesmore wyjął jej szklanę z dłoni.

- Traktuję tę odpowiedź jak kobiecą wersję potwierdzenia i pozwolę sobie wystąpić w tej roli. Posiedźmy tu jeszcze chwilę, zanim wrócimy do reszty towarzystwa.

Pary tkwiące niedaleko nich gwarzyły cicho, a tłum w sali zaczął walca. Eve zmarszczyła nos, pociągnawszy łyk niedoprawionego ponczu, i próbowała odgadnąć, czemu do licha Kesmore złożył jej tę dziwną propozycję.

W pewnym momencie przyszło jej do głowy, że na jej liście cech, jakie powinien mieć mąż poślubiony z rozsądku, zabrakło jednej i najważniejszej: powinien być zdolny do przyjaźni z dorosłą kobietą.

Dziwnym zbiegiem okoliczności małomówny małżonek Louisy mógł się pochwalić tą umiejętnością.

Jej towarzysz przerwał ciszę.

- Wybierasz się na przyjęcie u Andersona w piątek, milady?

Nie miała pojęcia, dlaczego jej nowy, samozwańczy przyjaciel interesuje się rozkładem jej zajęć, ale nie widziała powodu, by odmówić odpowiedzi.

- Nie. Wybieramy się z Jenny na dwutygodniowy odpoczynek w Morelands, zanim sezon zacznie się na dobre. Stęskniłyśmy się za Sophie.

- Zawsze było dla mnie niepojęte, dlaczego sezon towarzyski zaczyna się akurat na początku wiosny. Przecież to najpiękniejsza pora roku, szczególnie na wsi, a my spędzamy ją w mieście, przesypiając całe dnie, tylko po to, żeby wieczorem zlewać się potem w cuchnących salach balowych.

Zazwyczaj dżentelmeni nie wspominali w obecności damy o takich rzeczach jak pot, chyba że chodziło o konie. Eve wołała nie wypominać tego Kesmore'owi.

Poklepała go po muskularnym ramieniu.

- Louisa mówi, że tęsknisz za swoimi świnkami. Może też powinienes pojechać na odpoczynek, milordzie.

Uniósł brwi i - o dziwo - uśmiechnął się do niej. Ta drobna zmiana rozjaśniła jego twarz, dodając jej niezwykłego uroku. Oczy utraciły twardość antracytu i otoczyły je kurze łapki, a usta, które przedtem wydawały się Eve tak surowe, emanowały radością.

- Naprawdę za nimi tęsknię. Lady Louisa ma rację.

- Jak zwykle. Z czasem można się przyzwycząić.

Uśmiech nie zniknął do końca, pozostał w oczach Kesmore'a, gdy mężczyzna wstał i podał Eve ramię. Zostawili puste szklanki na ławce, a Eve musiała przyznać, że krótka przerwa spędzona w towarzystwie przyjaciela - nawet tak nietypowego - bardzo podtrzymała ją na duchu.

Mimo to, gdy Kesmore pochylił się nad jej dłoń i poszedł się męczyć na stojąco w drugi koniec sali, pewnie przez następną godzinę, zorientowała się, że znowu przebiega oczyma salę, by ujrzeć choćby przelotnie postać markiza Deene'a.

- Chodź, Deene.

Deene o mało się nie przewrócił, gdy Kesmore złapał go za ramię i pociągnął ku schodom w rogu sali balowej.

- Branie do niewoli angielskich parów przestało być modne parę lat temu, Kesmore, nawet u Francuzów.

- Nie biorę cię do niewoli, ale jeśli mamy wyruszyć z samego rana, to nie możemy tu tkwić do późnych godzin.

- Więc to nie tylko niewola, ale i porwanie?

Zresztą nie miał nic przeciwko wyjściu z balu. Przy kolacji Mildred Staines bezwstydnie gapiła się na jego spodnie. Zaczął współczuć

nieszczęsnemu pieczonemu prosięciu, które podano w całości wśród innych dań na bufetowym stole.

- Wyjeżdżasz na odpoczynek na wieś, musisz dokonać inspekcji posiadłości i tak dalej przed siewami. Potem będzie ci wolno wrócić do miasta, które wybierze twoja narzeczona.

Deene zatrzymał się u szczytu schodów.

- O ile dobrze pamiętam, to mężczyzna powinien się oświadczyć damie, a nie odwrotnie.

- Śnij dalej, jeśli cię to pociesza, a tymczasem jutro wyjeżdżamy na dwa tygodnie do Kent.

Odpowiedź zamarła Deene'owi na wargach.

Kolejne dwa tygodnie patrzenia, jak byle kto ślini się na widok Eve Windham, gapi się na nią, potyka się o jej nogi i tańczy z nią wzdłuż i w poprzek całej balowej sali, bez wątpienia przyprawiłyby go o obłąd.

- Zobaczę się z zarządcą i pokażę się dzierżawcom. Doskonały pomysł.

Rwał się do wyjścia z sali, choć przyzwoitość kazała pożegnać się wpierw z gospodynią.

- Możemy się już pożegnać, Kesmore?

Kesmore nie odpowiedział od razu. Deene przyjrzał mu się i zobaczył, że spojrzenie jego towarzysza skierowało się ku lady Louisie, która wirowała po parkiecie z wdziękiem sylfidy, w ramionach przystojnego młodego kawalera.

- Każ zajeżdżać. Ja zabiorę żonę i zakończę męki tego nieszczęśnika, który z nią tańczy.

Deene patrzył, jak Kesmore schodzi po schodach zdecydowanym krokiem. Ciekaw był, czy lady Louisa zaprotestuje, choćby dla formalności, że tak wcześnie wychodzą z towarzyskiego spotkania.

Evie dawno temu doszła do wniosku, że Ich Książęce Wysokości musiały wydać jakiś edykt, stanowiący, że żadnemu powozowi Windhamów nie wolno stawać na popas ani nawet poić koni w miejscowości Bascoomb Ford. Czyniła zadość temu książęcemu nakazowi, zabierając ze sobą jakąś książkę do poczytania w podróży albo robótkę, by zająć ręce. Poza tym zawsze mogła się zdrzemnąć.

Siedząc razem z siostrami w ładnym, wygodnym powozie, nie miała żadnego powodu, by przypuszczać, że tego dnia podróż do Morelands będzie się różniła od poprzednich.

Oznaczało to, że znowu mogła odsunąć od siebie dręczącą myśl, że kiedyś, w odpowiednim momencie, kiedy będzie podróżować sama, zajedzie do Bascoomb Ford, by odwiedzić miejsce, z którym wiązały się najgorsze wspomnienia jej życia.

- Zastanawiam się, czyby nie wykrecić się od tegorocznego sezonu. - Wypaliła nagle Louisa, przerywając kojącą ciszę.

Jenny podniosła wzrok znad robótki na drutach.

- Ten pomysł zawsze ma słodki smak zakazanego owocu, prawda? Tylko że mama musiałaby się za nas tłumaczyć. My możemy zrezygnować z bywania, ale jej nie wolno.

Takiej bezpośredniej wypowiedzi Jenny nie można było zlekceważyć.

- Papa też nie zrezygnował - dodała. - Musi powydawać za mąż swoje ukochane dziewczynki.

Louisa ukryła uśmiech.

- Albo zaaranżować dla nich małżeństwa z rozsądku. Widziałam, jakie dogłębne poszukiwania prowadziłaś wczoraj na balu, Eve. Jakies postępy?

W oczach Louisy było zrozumienie. Ani śladu docinków albo kpin.

Eve wyjrzała przez okno. Bascoomb Ford było już za pagórką, na łagodnie opadającym stoku doliny. Doskonale znała drogę do miasteczka, ale gospoda, łąka i kościół... ledwo majaczyły w pamięci, choć zarazem wryły się w nią z niesłychaną ostrością.

- Powinnam rozszerzyć listę. Zastanawiam się nad kilkunastoma innymi kandydatami. Powinniśmy zacząć od zwolenników greckiej miłości.

Ciche podzwanianie drutów Jenny ustało.

- Takie upodobania mogą zaprowadzić mężczyznę na szubienicę, moja droga. Oznaczają też kasatę tytułu i konfiskatę dóbr. Dlaczego chcesz się narażać na coś takiego?

No właśnie dlaczego? I kto by pomyślał, że Jenny może wygłosić taką praktyczną, bezpośrednią poradę?

- Mam największe szanse na białe małżeństwo, jeśli mężczyzna zobaczy w nim korzyść dla siebie. Alternatywą są łowcy posagu, co zresztą nie gwarantuje, że mój małżonek dotrzyma umowy.

- Żadne prawo tego nie zagwarantuje - zgodziła się Louisa.

Eve utraciła niewinność, przekonując się, że mężczyzna, zamierzający ją wykorzystać, by dorobić się majątku, nie zważa na nic - na jej czystość, ufność oraz na to, że potem przez długie miesiące nie mogła chodzić, a nawet stać bez odczuwania straszliwego bólu.

- Moje panie - powiedziała Jenny, odkładając robótkę do koszyka. - Muszę was poprosić o zgodę na przerwanie podróży w najbliższym zajeździe. Natura wzywa mnie z niezwykłą determinacją.

Louisa tylko ziewnęła.

- Nie obrażę się na możliwość rozprostowania nóg, a konie chętnie napiją się wody.

Tak więc, bez większego zamieszania, po siedmiu latach, w czasie których oglądała to miejsce tylko w koszmarach sennych, Eve Windham znalazła się po raz drugi w skromnej pocztowej gospodzie w Bascomb Ford.

- Za minutę wrócę - powiedziała, widząc zajeżdżający z turkotem drugi powóz z pokojówkami i lokajami. - Też mam ochotę się przejść.

Nawet po sobie nie spojrzały. Jenny wzięła Louise pod rękę i zniknęły w gospodzie Pod Myśhowskim Psem. Eve dotarła aż do trawnika za gospodą, choć nawet to nie było łatwe. Nogi się pod nią uginały, oddychała urywanie. Usiadła na przygodnej ławeczce, bo nie mogła iść dalej.

Niewielki budynek gospody po drugiej stronie pełnej kolein drogi - wiosna zawsze była porą kolein i śliskiego błota - wyglądał obskurnie i przytulnie zarazem. Przy frontowych drzwiach pyszniła się kępa bratków w białej, błyszczącej donicy, tak jak siedem lat temu. Były fioletowo-żółte, z jednym pomarańczowym buntownikiem na środku.

Pomarańczowego wtedy nie było, ale poza tym nic się nie zmieniło.

Biała glazura doniczki była tak samo przybrudzona, skrobaczka do butów zardzewiała i oblepiona błotem, a rosnący na środku dziedzińca olbrzymi dąb obiecywał cień w letnie dni.

Taka zwykła, nic nieznacząca gospoda, a jednak... Eve nie widziała jej ścian, tylko to, co zaszło w środku, w tamtej sypialni na górze.

Canby nawet nie zaciągnął zasłon, nie wynajął dla nich zacisznego pokoju z tyłu. Wsadził krzesło pod klamkę, mrucząc, że nie ufa zamkom w takich starych dziurach.

Zapomniała o tym. Zapomniała, jak taszczył to krzesło, zapomniała, jaka była wtedy zemocjonowana i przestraszona, wiedząc, co się zaraz wydarzy.

Tylko że tak naprawdę nic nie wiedziała. Nie miała pojęcia, że mężczyzna może wyznawać miłość i obdarzać ją czułościami przez długie tygodnie, a potem, kiedy dojdzie do intymnego zbliżenia, zmienić się w rzeczowego biznesmena. Nie wiedziała, że uderzy ją w twarz i każe być cicho, żeby nikt się nimi nie zainteresował, bo wtedy jego słodkie pieniądze wymkną mu się z chciwych łap.

Jego słodkie pieniądze... nie chodziło mu nawet o posag, który dostałby po ślubie, ale o okup, który rodzina Windhamów miała mu zapłacić za milczenie o tym, że zrujnował jej reputację. Kiedy z nią skończył i zabrał się do butelki, żeby świętować swoje zwycięstwo, poczekała, aż upije się do nieprzytomności. Potem długie godziny leżała, bojąc się, że on się obudzi i znowu się do niej dobierze, aż wreszcie dotarło do niej, że ma jeszcze jedną możliwość.

Była tak szczupła, że bez trudu wysliznęła się przez niewielkie okno, gdy tylko niebo zaczęło się rozjaśniać. Przeszła po dachu i zeskoczyła na przyłękę brudnej słomy zgrabionej w rogu dziedzińca, a potem, drżąc na każdy szelest i pisk, ruszyła do stajni.

Teraz wezbrał w niej ten sam strach, który dławił ją wiele lat temu jak wielka, gorąca kula emocji. Nie było w nim nic z niespokojnego, radosnego oczekiwania, z jakim tu wtedy jechała. Zmusiła się, żeby oddychać. Wdech, wydech... wdech, wydech... ale kula mimo to rosła i rosła. Próbowwała obserwować to potworne uczucie, które od tak dawna wyparła z pamięci, jakby przyglądała się wyścigom, w których nie obstawiła żadnego konia. Ale ono zmieniło się w potworny ból, który ogarnął wszystkie funkcje jej ciała - tętno, myśli i oddech. Pewnie by zemdląca na tej wiekowej ławce, gdyby do jej świadomości nie dotarł jakiś dźwięk.

Tętent kopyt, regularny i rytmiczny. Zbliżało się kilka koni. Nie cwałem na łeb, na szyję, jak jej bracia, którzy w końcu przybyli jej na

ratunek, ale eleganckim, rozkołysanym galopem. Nawet obrócenie głowy kosztowało ją wiele wysiłku, ale było warto.

Drogą zbliżało się dwóch mężczyzn na szlachetnych, dużych wierzchowcach. Kasztan po lewej wydał jej się szczególnie znajomy.

Serce, instynkt, nienazwane, zwierzęce wyczucie rozpoznały go szybciej niż mózg.

- Bestia.

Koszmarne uczucie zbladło i choć nie zapadło się w niepamięć, w której zamknęła je wiele lat temu, ale przygasło na tyle, że Eve uświadomiła sobie pewną rzecz. Nie było na świecie konia, którego przybycie powitałaby z większą ulgą.

Może za wyjątkiem pewnej siwej klaczy, o której dalszych losach nie chciała nic wiedzieć od siedmiu lat z okładem.

- Niech ja skonom, na powozach jest herb Windhamów. Moja pani nadała całkiem niezłe tempo.

Deene był zbyt wstrząśnięty tym, czego dowiedział się po drodze, żeby zawracać sobie głowę pytaniami, dlaczego Louisa podróżuje powozem Windhamów, a nie Kesmorea. Choć przyszło mu do głowy, że może jedzie z siostrami. Nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby znowu spotkał na swej drodze Eve Windham. Może by ją udusił, a może pocałował. A może jedno i drugie, tylko w odwrotnej kolejności.

Wtedy ją zobaczył, jak siedziała na ławeczce po drugiej stronie drogi, spokojna i śliczna jak zwykle.

- Daj mi wodze, Deene. Zajmę się końmi i każę podać coś do jedzenia.

- Wodze?

- Chyba że wolisz jeszcze tu trochę postać i gapić się na nią jak wioskowy przyglup. Lady Eve na pewno spodoba się twoja facjata pod tą warstwą błota.

Kesmore wyjął mu z ręki wodze i skinał Eve głową. Uniosła dłoń, ale naturalnie nie wstała, gdyż była damą, a Deene był... dżentelmenem.

- Dzień dobry, lady Eve. - Podszedł do niej i skłonił się elegancko. - Mogę się przysiąść?

- Deene, witaj. Oczywiście, że możesz.



Zebrała suknię tym subtelnym gestem, którym kobiety informują, że nie życzą sobie, by mężczyzna choćby dotknął ich skraju, wbrew ciepłym słowom powitania.

- Rozumiem, że twoja matka i siostry są w środku?

Jego Wysokość pewnie jechał wierzchem. Nawet księżę z trudem zdobyłby się na odwagę i wsiadł do powozu z czterema damami naraz, chyba że wymagałoby tego dobro ojczyzny.

- Louisa i Jenny, razem z trzema Mojrami.

- Przepraszam, z kim? - W głosie Eve było coś dziwnego. Brzmiał głucho, jakby dochodził z wielkiej odległości.

- Z naszymi pokojówkami.

Zamilkła. Przyjrzał jej się bliżej i wydała mu się dziwnie blada. Usta zacisnęła w niezwykłą dla niej ponurą kreskę, jakby właśnie ktoś ją skrzyczał albo jakby sama bardzo chciała kogoś skarcić.

Może balowanie z tymi wszystkimi pijaczkami i zbereźnikami tak ją zmęczyło.

- Kesmore poszedł zamówić drugie śniadanie. Mają je podać w miejscu, które w tym przybytku uchodzi za prywatny gabinet. Pewnie zmieni się w małe przyjęcie, jeśli się nie mylę.

- W tej gospodzie jest prawdziwy salonik i cztery pokoje na górze. Dwa z tyłu, dwa z przodu. Frontowe pokoje powinny być tańsze, ze względu na większy hałas i kurz, ale właściciel gospody uważa, że jest z nich ładny widok na łąkę, więc różnica w cenie jest niewielka.

Nie tyle powiedziała, ile wyrecytowała te informacje. W jej głosie brzmiał taki sam subtelny dystans jak w spojrzeniu zielonych oczu. I dlaczego ona, prawdziwa dama, znała ceny pokoiów w takiej niepozornej gospodzie? Przyjrzał jej się jeszcze bliżej i opuściły go wszelkie chęci, by podokuczać jej na temat wyboru partnerów do tańca - i innych życiowych wyborów.

- Pójdziemy na lunch, Eve? - Wstał i podał jej rękę.

Wpatrywała się w nią - w rękę osłoniętą dobrze skrojoną, nieco podniszczoną i bardzo wygodną jeździecką rękawiczką - a potem wsparła się na niej.

Deene z niejakim niepokojem skonstatował, że wcale nie zrobiła tego z grzeczności. Naprawdę potrzebowała jego pomocy, żeby wstać.

A kiedy już stanęła obok niego, nawet nie próbowała się odsunąć. I nie puściła jego ręki.

Zgiął łokieć, żeby poprowadzić ją do gospody, ale jednocześnie przykrył jej dłoń swoją.

- Eve, dobrze się czujesz? Czy zaczyna cię boleć głowa?

- Głowa jest w porządku. Chodźmy do gospody.

Głowa w porządku, ale coś innego nie. Coś prawie tak samo nieprzyjemnego jak migrena albo nawet gorszego. Podczas lunchu mówiła niewiele, a jadła jeszcze mniej, nie zwracając uwagi na zaniepokojone spojrzenia sióstr. Kesmore okazał się zadziwiająco dobrym gawędziarzem, a jego gospodarskie anegdoty rozbawiły nawet opanowaną lady Jenny.

Po lunchu Deene zaproponował, że odprowadzi Eve do powozu. Zatrzymała się u podstawy schodów w głównej izbie.

- Deene, zechciałbyś spełnić mój kaprys?

- Naturalnie.

Choć dobrze wiedział, że to nie będzie żaden kaprys.

- Chciałabym obejrzeć jeden z frontowych pokoi.

Wspiął się z nią na schody. Napięcie wzrastało z każdym krokiem. To nie był pogodny kaprys. Nie był rozsądny. A jednak Deene jej nie powstrzymywał. Drzwi do pokoi były otwarte. Dwa wejścia w przedniej części korytarza, z tyłu pewnie jeszcze dwa, tak jak powiedziała. Eve odsunęła się do niego i stanęła bez ruchu w drzwiach pokoju po prawej stronie. Ponad jej ramieniem widział skromne wyposażenie: zapadnięte łóżko, na którym zmieściłyby się dwie osoby, pod warunkiem że łączyłaby je przyjaźń i byłyby drobnej postury. Umywalka, podrapane biurko pociemniałe ze starości i jedno z tych wiekowych, pracowicie rzeźbionych, ciężkich krzeseł, koszmarne niewygodnych i praktycznie niezniszczalnych. Zasłony tak sprane, że stały się cienkie jak muślin, biała narzuta, na której pewnie kiedyś był jakiś wzór. Zwykły pokój, jak tysiące innych w gospodach rozsianych przy drogach wesołej, starej Anglii.

A jednak... Dotknął ramienia Eve, choć tak naprawdę chciałby ją przytulić albo - jeszcze lepiej - zabrać z tego miejsca na zawsze, żeby już tam nigdy nie wróciła.

Przez dłuższą chwilę, kiedy mógł jedynie zgadywać jej myśli, Eve rozglądała się po pokoju. Przesunęła spojrzeniem po łóżku, podeszła do okna.

- Dzięki Bogu za to okno.

Powiedziała to cicho,, ale z dziwnym ogniem w głosie. Stała tak dłuższą chwilę, aż w końcu poczuł jej dłoń na swojej. Palce miała zimne jak lód.

- Dziękuję ci, Deene. Możemy już iść.

Mimo to nie zrobiła ani jednego kroku, więc Deene wziął ją w ramiona.

- Zostaniemy tu, aż będziesz naprawdę gotowa do wyjścia, Eve Windham.

Była zupełnie sztywna i zimna. Kimkolwiek była ta kobieta, w niczym nie przypominała cieplej, serdecznej Eve, z którą przeżył tyle uroczych, ukradkowych chwil. Zadrzała i odsunęła się.

- Zaprowadź mnie do powozu, Lucas.

Jej głos wciąż miał to okropne, ostre brzmienie.

Sprowadził ją na dół i choć pragnął od razu zapakować ją do środka, zamknąć drzwi i nakazać stangretowi, żeby ruszał do Morelands co koń wyskoczy, musiał się pogodzić ze zwykłymi opóźnieniami, typowymi dla damskich podróży.

Lady Jenny postanowiła jechać z pokojówkami, żeby ktoś trzymał jej włóczkę, którą zamierzała nawinać na kłębek. Służąca Louisy musiała jeszcze się przejść, naturalnie, do wygodki.

Kesmore znosił to wszystko ze zdumiewającą cierpliwością, ale przecież miał doświadczenie w podróżowaniu z małymi dziećmi. To dopiero musiała być prawdziwa próba ognia.

Eve stała obok Deene'a bez słowa, nieruchoma jak głaz.

- Chcesz się przejść, Eve? Cisza, a potem:

- Tak, chętnie. Tamtędy.

Wskazała na drogę, w kierunku nieogrodzonej wiejskiej łąki.

Kiedy w końcu ruszyła, wydawało się, że doskonale wie, dokąd zmierza. Deene usłyszał z tyłu, jak lady Jenny uspokaja półgłosem lady Louise:

- Pozwól jej tam pójść, kochanie. Tak będzie lepiej.

Jeśli miał przedtem jakiegokolwiek wątpliwości co do znaczenia tego miejsca, to po tym komentarzu przestał je mieć. Eve szła w kierunku głównej drogi, na przeciwny skłon pagórka, który zasłonił ich przed wzrokiem reszty towarzystwa.

W pewnym momencie puściła jego ramię i ruszyła żwawo, wyraźnie chcąc się od niego oddalić.

- Daj mi tylko chwilę, Lucas.

- Mam cię tu zostawić?

To było nie do pomyślenia. Zbladła jak duch, a jej oddech stał się dziwnie charczący. Nie odpowiedziała, tylko odwróciła się od niego, więc odszedł parę kroków dalej i przysiadł na wielkim głazie.

Nie mógł się ożenić z tą kobietą - powiedziała mu to wprost - ale los lub też interwencja pewnych dobrze życzących im osób postawiły Deene'a na jej drodze w tym trudnym momencie, więc zamierzał pozostać, jak długo mógł jej być pomocny.

Stała bokiem do niego, nieruchoma jak posąg, krzyżując ramiona na piersi. Wiatr szarpał pasma jej jasnych włosów.

Wyraźnie działo się z nią coś bardzo złego.

- Eve?

Jej ramiona drgnęły konwulsyjnie.

- Nie mogę oddychać. Nie zbliżaj się do mnie.

Nie słyszał tak histerycznej nuty w głosie żadnej kobiety od czasu, kiedy jego siostra dowiedziała się, że sprzedano ją za męża jakiemuś obcemu bydlakowi. Podeszedł do niej, czując ten sam zimny dreszcz opadający wzdłuż kręgosłupa, co wtedy.

- Idź stąd, Lucas. - Wyciągnęła rękę, jakby myślała, że go tak łatwo powstrzyma. - To jest...

Wzięła głośny, urywany, rozpaczliwy oddech. Objął ją, uznawszy, że to najlepszy sposób, by ją powstrzymać, gdyby chciała uciec.

- Eve, wszystko będzie dobrze.

- Idź stąd, do cholery. Zostaw mnie samą. Nic nigdy nie będzie dobrze.

W jej głosie drżały łzy. Łzy byłyby o wiele lepsze od tej martwej ciszy.

- Nigdzie nie pójdę.

- Nie mogę oddychać. Lucas, ja nie mogę...

Położył dłoń z tyłu jej głowy i przytulił ją do piersi.

- To nie oddychaj, ale na miłość boską, rozplącz się wreszcie, Evie.

Tulił ją mocno, tak mocno, że czuł, jak w jej ciele wzbiera kataklizm. Nie zwykła burza, ale prawdziwa nawałnica, która wreszcie wyrwała się z wieloletniej niewoli.

Łkała rozdzierająco, po tak długim milczeniu. Gdyby jej nie trzymał, pewnie upadłaby na ziemię, przygnieciona rozpaczą. Choć przed chwilą była lodowato zimna i sztywna, teraz płonęła żarem i bezwładnie zwiślała w jego ramionach.

Właściwie wcale się nie uspokoiła - jej łzy były o wiele głębszym przeżyciem niż zwykły hałaśliwy wybuch - ale dygotała coraz mniej gwałtownie. Deene wziął ją na ręce i zaniósł do głazu. Pragnął wziąć ją na kolana i tulić w objęciach, ale zamiast tego usiadł obok i objął ją ramieniem.

- To tutaj upadłaś.

Podniosła twarz wtuloną w jego ramię.

- Tak, właśnie tu upadłam. Masz chusteczkę?

Podał jej cienkie płótno z monogramem, przypominając sobie, że ma na nią nie patrzeć, kiedy będzie jej używać.

- Twój zapach jest uspokajający, Lucas, przynajmniej dla mnie.

- W takim razie zawsze musisz trzymać moje chusteczki przy sobie.

Rozumiem, że nie odwiedzałaś tego miejsca od dłuższego czasu.

Westchnęła głęboko, hałaśliwie.

- Od siedmiu lat. To miejsce, to wspomnienie, dopadło mnie dzisiaj, choć wydawało mi się, że starczy mi odwagi, żeby się z nim uporać.

Tym razem nie liczyła miesięcy. Zawsze to jakiś postęp.

- I starczyło ci odwagi.

Przypomniał sobie pustkę w jej oczach, gdy patrzyła na to skromne łóżko, i miał ochotę wyć i wygrażać pięścią Bogu w niebiosach.

- Nie jestem pewna. Nie spodziewałam się, że ogarnie mnie taki gniew.

Jeśli pozwoli jej na dalsze zwierzenia, będzie tego żałowała. Zresztą, nie był pewien, czy z kolei jemu starczy odwagi, żeby ich wysłuchać.

Wypoczynek na wsi, akurat.

- Leżałaś w łóżku przez długie miesiące, Eve. Masz absolutne prawo do gniewu.

Podniosła głowę. Choć oczy miała zaczerwienione i błyszczące od płaczu, ucieszył się, że znowu nie unika jego wzroku.

- Co? Nie umiem czytać w twoich myślach, Evie.

- Łatwo ci mówić, że mam prawo do gniewu.

- Twój koń się potknął i upadł na tym cholernym, śliskim, wiosennym błocie. To normalne, że konie się potykają, ale tym razem spadłaś i musiałaś na nowo uczyć się chodzić. Mimo pogodnych liścików, jakie pisałaś do braci, wszyscy wiedzieliśmy, że przeszłaś przez piekło.

- To naprawdę było piekło.

Powiedziała to, jakby przymierzała te słowa niby suknię. Potem powtórzyła je znowu.

- To było piekło.

W jej głosie zabrzmiała pewność.

- Naprawdę było strasznie. Cholerna tragedia, i to nie tylko dla mnie.

Wiedział, o czym mówiła, bo jej bracia rozmawiali między sobą o wszystkich kłopotliwych szczegółach.

O poniżeniu, kiedy trzeba załatwiać czynności fizjologiczne, będąc przykutym do łóżka, o cierpliwości, z jaką trzeba znosić najbliższych, proponujących lekturę książki, którą dawno przestało się lubić, o nudzie tak porażającej, że w porównaniu z nią ból wydaje się niemal rozrywką.

Eve Windham nie brakowało odwagi. Nigdy w to nie wątpił.

- Możesz chodzić, Eve?

Z namysłem zagryzła dolną wargę.

- Pytasz, czy dojdę do powozu?

- Czy możesz chodzić? Nachmurzyła się.

- Mogę.

- To wściekaj się, ile wlezie, jak długo jest w tobie ten gniew, ale oprócz tego pogratuluj też sobie, bo kto inny zostałby na zawsze przykuty do łóżka, a ty dałaś sama sobie bezcenny dar: możesz znowu chodzić. A to niemało.

Nie spierała się, nie pomniejszała swojego osiągnięcia. I bardzo dobrze, bo pokłóciłyby się z nią o to na śmierć.

- Cały czas zastanawiałam się nad jedną rzeczą, Lucas. - Próbowała mu oddać pogniecioną, mokną chusteczkę, ale odsunął jej dłoń.

- Nad czym?

- Czy papa zastrzelił moją klacz?

Aha, poczucie winy. Naturalnie, tłumiąc cały ten gniew, do którego miała przecież prawo, wypierając wszystkie psychiczne rany i szok, musiała rozwinąć w sobie poczucie winy. Deene z trudem powstrzymał się, by nie pocałować jej skroni.

- Twoi bracia mu to wyperswadowali, prawdopodobnie przy znacznym udziale twojej matki. - Skąd to wiesz?

- Obłączenia to najgorszy sposób prowadzenia wojny, w pewnym sensie. Najgorszym wrogiem jest niewiarygodna wprost nuda.

Zamilkł, gdy wspomnienia odezwały się echem w jego myślach.

- Żołnierze kopią transeje całymi dniami, a nawet tygodniami, saperzy dźbią swoje podkopy, artyleria bombarduje mury, i po niedługim czasie całe morale idzie do diabła. Wybacz mój język. Zaczyna się picie, bójki, ludzie nie śpią po całych nocach, a kiedy mury są już na tyle wątle, żeby ryzykować atak, żołnierze zgłaszają się na ochotnika nawet na samobójcze misje, byle tylko skończyć oblężenie.

- Co to ma wspólnego z moją klaczą?

- Kiedy nie mogliśmy spać, a nasz Stary Dziwkarz, czyli księżę Wellington, nie pozwalał swoim sztabowcom upijać się na umór, gadał w łóżkach albo siedząc przy ognisku. Twój brat St. Just był szczególnie zadowolony z tego, że razem z lordem Bartem udało im się zdjąć twoją klacz z celownika Jego Wysokości, zanim wrócili do Hiszpanii i z powrotem stanęli w szeregu.

Eve jakby zapadła się w siebie i wydała mu się jeszcze drobniejsza.

- Nazywała się Słodka, ale miała niesamowitą energię. Wiem, że zerwała wtedy oba ścięgna na przodach. Kiedy leżałam na ziemi, ledwie mogła stać, ale nie odeszła ode mnie ani na krok. Wmawiałam sobie, że jeśli papa ją zastrzelił, to zrobił to z dobrego serca.

Deene siedział obok niej, starając się zachować spokój. Wcale nie chodziło jej o zastrzelenie konia. To ona sama zastanawiała się, czy nie

odebrać sobie życia. Siedząc tam, na tym cholernie twardym kamieniu, Deene złożył jej w duchu obietnicę, która nie miała nic wspólnego z oświadczeniami, za to bardzo dużo z dżentelmeńskim poczuciem honoru.

- Zerwane ścięga można wyleczyć. Wystarczy długi odpoczynek i właściwa opieka.

Eve to nie wystarczyło.

- Koń po takim urazie nigdy nie będzie jak nowo narodzony, Lucasie.

- Nikt z nas nie jest jak nowo narodzony.

Wstał, bo bał się, że obejmie ją mocno i nigdy nie wypuści z ramion.

- Wydaje mi się, że twoje siostry już się pozbierały. Tym razem nie podał jej ręki. Wstała o własnych siłach.

- Pewnie tak. Szkoda, że nie mogę powiedzieć o sobie tego samego.

Deene nie podjął kuszącego tematu. Zamiast tego ruszył obok niej i nawet jej nie dotknął po drodze do gospody.

- Piękny dzień na spacer. - Kesmore powitał ich radośnie. -Lady Jenny pojechała przodem z lady Louisą i pokojówkami. Deene, twój koń jest przywiązany za powozem. Mam nadzieję, że mi wybaczycie, ale pojedę przodem, bo inaczej będę łykał kurz za powozem przez resztę dnia.

Skłonił się Eve, wskoczył na swego karosza, zasalutował palcatem i z miejsca ruszył galopem.

- Dotrzymasz mi towarzystwa, Lucas?

Wcale nie miał na to ochoty. Chciał znaleźć się jak najdalej od jej cierpienia. Ale zdawał sobie sprawę, że zbyt długo dźwigała ten przemożny ciężar, bez żadnej sensownej pomocy, i z własnego doświadczenia wiedział aż za dobrze, jak ciężki bywa taki samotny marsz.

Wsiadł do powozu i usiadł obok niej, ale tylko tyle mógł dla niej zrobić. Nie objął jej ramieniem.

Szczerze mówiąc, miał nadzieję, że idąc za głosem rozsądku, który podpowiadał mu spokojny powrót do Londynu po dwóch tygodniach -już nigdy nie weźmie w ramiona tej kobiety.



Myśli Eve rozpierzchły się jak kręgle trafione bilą. Siostry zostawiły ją samą, bez zastanowienia - ale czy na pewno? Siedzący obok Deene był taki miły, ale jak tu się do niego odezwać po takim wybuchu? Była głodna.

Co Kesmore wywnioskował z całej tej sytuacji?

A kiedy nuda podróży stępiła wszystkie emocje, pozostała tylko jedna myśl: Dlaczego czuję taki straszny gniew?

W pewnym momencie ujęła dłoń Deene'a i położyła ją sobie na ramieniu, żeby się na nim oprzeć.

Starał się być delikatny, jak sam to kiedyś określił. Nie odzywał się z szacunku dla jej uczuć. Niech go diabli wezmą.

Chciała, żeby ją pocałował - nie w niegodziwy, nieprzyzwoity sposób, ale serdecznie, na pociechę, żeby z powrotem zadomowiła się we własnym ciele, żeby nabrała większej odwagi. To było głupie marzenie, bo przecież od tej pory mieli być tylko dobrymi znajomymi, i na tym koniec. Będzie musiała przesunąć na sam dół swej listy wszystkich kandydatów, którzy mieli rodowe siedziby w Kent.

Wykluczy przez to możliwość przypadkowych spotkań z Deene'em... i jego przyszłą markizą.

- Dlaczego Mildred Staines gapiała się na ciebie, jakbyś schował w spodniach wszystkie deserowe łakocie, Lucas?

Żeby nie zabrał ręki, splotła jego palce ze swoimi.

- No właśnie, dlaczego? Kesmore powiedział mi, że ktoś rozpuszcza plotki na temat mojej przeszłości, między innymi.

- Jesteś najlepszym kandydatem na męża w tym sezonie, więc to oczywiste, że o tobie plotkują.

- Ale to są złośliwe plotki.

Niech diabli porwą tę jego delikatność.

- Czy te plotki mają coś wspólnego z rudowłosymi pięknościami o wątpliwej reputacji?

Poczuła, jak się napiął, a potem rozluźnił.

- Też je słyszałaś?

- Nie. Westhaven, jako przyszły książe, nic nam nie powtarza. A jeśli nawet mówi coś Annie, ona zatrzymuje dla siebie wszystkie najlepsze kąski. Prawie nie widzimy się z Maggie, odkąd wyszła za

Hazeltona. Tak przy okazji, wiem, że przyłożyłeś do tego rękę, Lucas, więc wymyśl sobie jakieś wiarygodne kłamstwa, bo kiedyś cię o to zapytam. Ale jeśli chodzi o plotki na twój temat, to zdaje mi się, że zwykle rodzą się one w szulerniach, gdzie panowie przekazują je sobie poza zasięgiem kobiecych uszu.

- To prawda.

Nie powiedział nic ponadto, ale Eve woląa zagłębiać się w jego problemy niż we własne.

- Czy to fałszywe plotki?

- Są mocno przesadzone i niedokładne, a poza tym zaczęły się w najgorszym możliwym momencie.

- W takim razie pewnie pochodzą od dżentelmenów, którzy chcą pozbyć się ciebie jako konkurenta do ręki najbardziej atrakcyjnych dam. Walka o żony jest bezlitosna i krwawa. Życzę ci powodzenia.

W końcu zabrał tę rękę.

- A ty dobrze się bawisz własnymi osiągnięciami w tym sporcie? Odrzuciłaś moją propozycję, Evie, i teraz szukasz bardziej odpowiednich kandydatów?

Wyraźnie miał ochotę na ostrą kłótnię, ale Eve była zbyt zmęczona, żeby sprawić mu tę przyjemność.

- Zlitowałam się nad nieszczęśnikami, podobnie jak panowie, którzy obtańcowują damy, podpierające ściany. Czy czułbyś się bardzo urażony, gdybym się teraz zdrzemnęła, Lucas?

W żadnych okolicznościach nie mogła dopuścić pytań o tragedię, która rozegrała się w Bascomb Ford. Najpierw sama musiała sobie odpowiedzieć na kilka z nich.

- A śpij sobie, jeśli zdołasz.

Znowu położyła sobie jego dłoń na ramionach, żeby poczuć się bezpiecznie. To był wyjątkowy dzień, więc pozwoliła sobie na luksus jego bliskości. Tylko i wyłącznie dlatego.

Kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze spotkają się sam na sam? Przecież wkrótce sezon zacznie się na dobre i każde z nich wyruszy na łowy, szukając odpowiedniej partii.

Eve Windham nie chrapała i wyglądała prześlicznie, nawet kiedy spała. Deene dręczył się, wypatrując w niej takich drobiazgów, które powinny być znane tylko mężowi. Ale wolał to od wysłuchiwania jej zwierzeń.

Zdawał sobie sprawę, że z nieszczęśliwym upadkiem Eve wiąże się coś poważniejszego, o czym się nie mówiło otwarcie, i wolał tego nie zgłębiać, dla spokoju własnego umysłu.

Niech pogada z siostrami albo ze swoją mamą. Niech pisze listy do Devlina na północy, niech uczy się życia od rodziny, która kocha ją od urodzenia. Bo gdyby Deene wysłuchał teraz jej najbardziej intymnych zwierzeń, nigdy by się nie zgodził - nie mógłby się zgodzić - by ktoś inny przyjął odpowiedzialność za jej przyszłość. Nie miałby innego wyjścia.

A wszelkich sytuacji bez wyjścia, zwłaszcza związanych z kobietami, należało unikać jak ognia.

Żeby zmienić temat, zaczął się zastanawiać nad plotkami, które powtórzył mu Kesmore. Tym razem nawet dotyk głowy Eve, spoczywającej na jego udzie, nie zdołał go rozproszyć. Według pogłosek krążących w klubach rozwiązały poczynania Deene'a na trzech kontynentach - a może nawet na czterech, zważywszy, że Turcja jest przecież częścią Azji - spowodowały pewne przykre zdrowotne komplikacje, które mogły potencjalnie zaszkodzić urodzie, zdrowiu, a nawet życiu przyszłej markizy Deene.

Objawy tej choroby - nikt nie nazywał jej wprost syfilisem - były aż nazbyt widoczne u zmarłego lorda Deene'a, nieprawdaż? Napady złego humoru, rozrzutność, niepohamowane pijaństwo...

Fakt, że wielu starzejących się arystokratów zachowywało się kubek w kubek tak samo, ewidentnie nie miał dla plotkarzy żadnego znaczenia. Zresztą, szczerze mówiąc, tego rodzaju plotki były tylko nieprzyjemne.

Natomiast informacje, że Deene jest bliski finansowej ruiny, były o wiele trudniejsze do zniesienia.

Zważywszy, że rozpowszechniono je na samym początku sezonu, w którym Deene zamierzał szukać żony, mogły mieć tylko jedno źródło.

Deene przysiągł sobie, że Jonathan Dolan bardzo szybko zapłaci za każde złośliwe, podłe, wulgarne, odrażające kłamstwo, które wyszło z jego ust.

Jenny popatrzyła na jabłko, które trzymała w dłoni.

- Może to nielojalne, ale doskonale się bawię na tym wyjeździe bez mamy i taty. Taki tu spokój, kiedy jesteśmy same, tylko z cicią Gladys.

Eve przerwała obieranie następnego owocu.

- Nie jesteś nielojalna, tylko szczerza. Mama pewnie mówi tacie to samo na nasz temat, może nawet w tej chwili.

Louisa pożerała swoje jabłko z głośnym chrupaniem.

- Eve ma rację, a ja dzięki temu będę mogła spędzić na wsi kilka następnych tygodni, u boku mojego drogiego Josepha. Wystarczy na jeszcze jedną szarlotkę?

Eve popatrzyła na stosik obranych, pokrojonych na ćwiartki owoców. Zwykle starała się, żeby jej z jabłkami nie kojarzono, ale ponieważ dzieliła z siostrami sekretne upodobanie do gotowania, musiała się zgodzić na szarlotkę, którą one dziś wybrały.

- Naprawdę musimy upiec aż siedem?

- Wystarczy pięć, jeśli liczyć tylko nas i zarządców. - Jenny dołożyła swoje jabłko do reszty. - Ale jeśli upieczemy sześć, będziemy miały jedną w zapasie dla Kesmore'a.

- Żeby nasz potomek z piekła rodem miał co rozmazywać po włosach.

- Louisa wstała ze stołka i zaczęła zdejmować fartuch.

- Eve, może zanieziesz resztę jabłek do stajni? Jenny może pójść ze mną, żeby rzucić ciasto na pożarcie hordzie Wandalów w dziecinnym pokoju.

Z którą to hordą Eve nie miała siły się zmierzyć w takim smętnym nastroju jak dziś.

- Posprzątam tu jeszcze.

Na szczęście nie miały zamiaru się z nią spierać. Kesmore widział jej zaczerwienioną twarz i załzawione oczy. Odjechał galopem, żeby jej nie krępować swoją obecnością, albo po prostu starał się być delikatny.

Nieważne. Od przyjazdu do Morelands tydzień temu Eve dużo spała, całymi godzinami wpatrywała się w przestrzeń i chodziła na długie spacerunki.

Idąc, przypominała sobie, że ma być wdzięczna za tę możliwość. Ale spokój jej umysłu zakłócały dziwne myśli.

Canby stale ją nazywał „Ewą kusicielką”. Wtedy uważała, że przydaje jej to dorosłości, uroku i tajemniczości. Teraz na myśl, że być może sama była winna jego zachowania, że to z jej winy złamał wszystkie zasady przyzwoitości, roznosiła ją wściekłość.

Jabłka naprawdę źle się jej kojarzyły.

Jak zwykle zaproponowała, że zajmie się dziećmi, kiedy służba będzie miała wolne. Ale tym razem... tym razem patrzyła na pełne energii, zdrowe dzieciaki o niewinnych twarzyczkach i radosnych uśmiechach, i myślała tylko o tym, że w jej życiu nie będzie miejsca na radość macierzyństwa. Przez resztę życia, kiedy jej siostry będą wychowywać dzieci i jej bracia będą wychowywać dzieci, i jej kuzynostwo będzie wychowywać dzieci, ona jedna pozostanie... bezdzietna.

To także doprowadzało ją do szału.

A teraz Louisa i Jenny wskoczą do giga i pojedą do Kesmore'a, nie troszcząc się o swoje bezpieczeństwo, o nerwy i o to, czy uda im się opanować konie, kiedy z lasu wyskoczy zając albo zacznie się burza.

Eve kochała swoją rodzinę, ale mnóstwo rzeczy ją ostatnio irytowało.

Zebrała jabłka, które zostały po pieczeniu szarlotki, i zawinęła je w ściereczkę.

Na dworze świeciło słońce, zdrowie jej dopisywało i miała całe popołudnie dla siebie. Może uda jej się nie zdenerwować z tego powodu.

Meteor był na wybiegu, który dzielił z wiekowym kucem imieniem Grendel. Oba podniosły głowy na widok Eve, ale tylko Meteor przysunął się do płotu.

- Cześć, staruszk.

Meteor miał czułe miejsce pomiędzy ganaszami, gdzie szyja łączyła się z głową. Nie mógł tam sam sięgnąć i uwielbiał, gdy go ktoś podrapał. Ich spotkania zawsze zaczynały się od drapania, które stało się rytuałem dla obojga. Meteor mało komu pozwalał na takie poufałości.

- Byłeś kiedyś tak rozgniewany, że niedobrze ci się od tego robiło?

Kuc strzepnął uchem, ale ponieważ był tylko kucem, nie zamierzał odrywać się od pasienia tylko po to, żeby patrzeć, jak głaszczą innego konia.

- Deene mówi, że gniew to normalna rzecz. Ale co on tam wie? Chcesz jabłko?

Koń nie odpowiedział, poza tym że pochłonał podany mu kawałek i spojrzał na Eve wielkimi, brązowymi, proszącymi oczyma.

- Jesteś prawdziwym dżentelmenem, przyjacielu.

Deene też był dżentelmenem. Eve będzie mu musiała podziękować, i to też było irytujące. Ale jeśli nie podziękuje, zirytuje ją to jeszcze bardziej.

Wszystko ją irytowało.

- Prawie nie mogę myśleć, taka jestem ostatnio zdenerwowana. Gdybym była młodsza, osiodłałabym cię i pogalopowaliśmy, zostawiając stajennych daleko za sobą, a wiatr zwałby pajęczyny z mojej duszy. Jeszcze kawałek? Zaraz przyjdzie Grendel sprawdzić, co tu się dzieje.

Grendel wprawdzie nie podszedł wprost, ale posuwał się w ich kierunku bokiem, nie przerywając skubania trawy.

- Ciągle przypominam sobie różne rzeczy, takie bezsensowne szczegóły. Tamtego roku wiosna przyszła wcześniej, ale potem spadł śnieg, więc kiedy leżałam tam w błocie, czułam zapach świeżej trawy i śniegu. Śnieg nie ma zapachu, ale tamtego dnia pachniał.

Podążyła ogierowi następne jabłko.

- Nie wzywałam pomocy, bo bałam się, że Canby mnie znajdzie. Boże, co to był za wstyd, leżeć tak w błocie, bezradna i zboląta.

Bała się, że się tam zsika ze strachu. Grendel uniósł łeb, jakby kalkulował, czy uda mu się wycyganić kawałek jabłka, i zrobił kolejny krok w kierunku ogiera.

- Myślałam tylko o jednym. Że już nigdy nie będę mogła spojrzeć w oczy mojej rodzinie. Chociaż, gdybym się tak nie śpieszyła z powrotem, może nie zmuszałabym klaczy do galopu ponad jej siły i nie okulałabym nas obu. Dzięki Bogu mój brat Devlin znalazł mnie pierwszy. Byłam taka beznadziejnie głupia. Nic wtedy nie rozumiałam.

Meteor miał jeszcze jedno ulubione miejsce do drapania, tuż pod kłębem. Kiedy Eve była mała, drapała je zawsze z takim zapałem, że

bolą ją potem ręka. Zostawiła jabłka pod płotem i przeszła między deskami

- Wcale nie muszę wychodzić za mąż. Wiem o tym.

Kiedy zaczęła drapać liniejącą wiosenną sierść, na ziemię posypała się kaskada ciemnych włosów.

- Tylko kim wtedy będę? Ukochaną córcią tatusia, troskliwą ciocią, starą panną, która nie jest dziewicą.

Która nigdy już nią nie będzie.

Która oddała swój największy skarb bezwartościowemu krętaczowi, kłamcy, manipulatorowi i podlecowi.

Gniew uderzył w nią jak pierwszy potężny podmuch zapowiadający gwałtowną burzę i zmusił do wtulenia się w szyję Meteora; w przeciwnym razie powaliłby ją na ziemię.

Tak, była rozgniewana, była wściekła, szalała ze złości, nienawidziła przeszłości, której nie można było odmienić, i przyszłości, która dawała jej tak niewielki wybór.

Deene miał rację, ale kiedy Grendel w końcu przysunął się do płotu, wepchnął pod niego nos i Chapman jabłko, Eve rozpoznała uczucie, które było źródłem targającego nią gniewu i zapewne też wstydu.

Gdy łzy znowu popłynęły jej z oczu, zrozumiała, że to gorzki, rozdzierający smutek.

- Gdzie ty się podziewałeś, do diabła?

Na głos Deene'a Anthony zatrzymał się jak wryty. Sądząc z jego miny, nikt go nie ostrzegł, że Deene przybył do Denning Hall.

- Też cię mile witam, kuzynku. - W okamgnieniu na twarzy Anthony'ego pojawił się nikły uśmiešek.

- Nie sądzę. - Deene rzucił znaczące spojrzenie lokajom, stojącym przy śniadaniowym bufecie. Wyszli z pokoju bez słowa. - Myślałem, że wezwano cię tu z Londynu, a kiedy przyjechałem w ślad za tobą, okazało się, że mojego kuzyna nigdzie tu nie ma.

- Czy mam cię teraz informować o każdym swoim ruchu? - spytał łagodnie Anthony, nakładając sobie kopiasty talerz jedzenia.

- Ponieważ jesteś moim jedynym dorosłym krewnym, moim spadkobiercą i kierujesz wszystkimi zarządcami, myślę, że to byłoby zarazem uprzejmie i rozsądne. Herbaty?

- Poproszę.

Deene przesunął imbryk, który czekał po lewej stronie jego nakrycia, i postawił go po prawicy Anthony'ego.

- Przyjechałem tu, żeby się z tobą zobaczyć, Anthony, i zamiast tego przez dłuższy czas musiałem się zastanawiać, co się z tobą dzieje. Nie najlepiej się z tym czułem.

- To wzruszające. Podaj śmietankę, jeśli łaska.

Wolał odbyć tę rozmowę przy pierwszej nadarzającej się okazji, niż wezwać kuzyna do biblioteki, zasiąść za potężnym biurkiem, a jego postawić na dywaniku jak sztubaka, któremu należą się różgi za wagary.

To by się na nic nie zdało. Przede wszystkim byli przecież rodziną, a dopiero potem pracodawcą i pracownikiem. Taką przynajmniej Deene miał nadzieję. Podał mu tę śmietankę i cukier.

- Byłem w Surrey i należą mi się gratulacje. Znowu zostałem ojcem. Gdzie jest sól?

Deene podał mu solniczkę, ale podjął rozmowę dopiero po chwili namysłu.

- Ojcem? Znowu? Czyżbym przegapił ślub, Anthony?

- Naturalnie, że nie. W tym omlecie jest ser.

- Lubię omlety z serem, a ponieważ kuchnia nie miała pojęcia, że zaszczycisz nas swoją obecnością, śniadanie podano według moich upodobań. Anthony, wytłumacz mi się z tego.

- Nie ma się z czego tłumaczyć.

Anthony nałożył łyżkę jajecznicy na tosta i odgryzł kęs.

- Mam swój dom w Surrey i jak to zwykle bywa w domach, z czasem pojawiają się tam dzieci. Dwie dziewczynki, a teraz chłopak. Przedtem ich matka poroniła, więc teraz trochę się denerwowała.

Deene spojrział na kuzyna, który żuł grzanek z jajkiem, i zobaczył znajomą osobę: jasne włosy, niebieskie oczy, szczupła, elegancka sylwetka i rysy twarzy wspólne dla wszystkich Deene'ów. A jednak to był ktoś obcy.

- To zrozumiałe, że zбочyłeś z drogi, żeby powitać na świecie swego syna. Rozumiem, że matka i dziecko, to znaczy dzieci, czują się dobrze?



- Jest z chłopskiej rodziny. Mary Jane potrafi o siebie zadbać, a ja szczerze łożę na nią i na dzieci. Czy mam rozumieć, że lubisz też cynamon na grzankach?

Deene spojrzał na niewielki słoiczek obok masła.

- Owszem, czasami. Dodaję go też do kawy.

- Trochę to ekstrawaganckie, nie sądzisz?

Swobodne pytanie, a raczej próba zmiany tematu na inny niż nieślubne potomstwo Anthony'ego i sprowadzenia Deenea do defensywy.

A może londyńskie plotki bardziej zachwiały pewnością siebie Deene'a, niż mu się wydawało?

- Mam poważniejsze problemy niż zawartość stojaka z przyprawami, Anthony. A może raczej powinienem powiedzieć: my mamy poważniejsze problemy.

Anthony spochmurniał.

- Jeśli zaczniesz znowu dręczyć mnie księgami, to wiedz, staruszkule, że nie spałem od tygodnia, a poza tym większość dokumentów jest w Londynie.

- Anthony, podczas gdy ty cieszysz się luksusami swego bezpretensjonalnego domostwa i kobiety, ja będę musiał wkrótce zacząć szukać żony.

Anthony dolał sobie herbaty i wbił wzrok w talerz.

- Wiem, wiem. Zdaje ci się, że powinieneś się ożenić, Deene, ale przecież nie musisz się z tym śpieszyć. Jeśli będzie trzeba, sam założę sobie małżeńskie jarzmo na szyję. Przynajmniej wiadomo, że mogę mieć dzieci. Mary Jane rozpęta prawdziwe piekło, ale czasem odrobina ożywienia miewa bardzo przyjemne konsekwencje.

- Ożeniłbyś się, żebym ja nie musiał tego robić? Spojrzenie Anthony'ego było nieprzeniknione.

- Jestem twoim spadkobiercą, jedynym dorosłym krewnym i kuzynem. Tak, ożenię się, jeśli mnie o to poprosisz. Nie podoba mi się myśl, że spędziłem większość czasu na pielęgnowaniu winnic Denningów tylko po to, żeby Prinny położył tłuste łapska na całym tym bogactwie, jeśli tytuł wróci do Korony.

W piersi Deene'a obudziły się wątpliwości, niepokój, a także uczucia zbyt niewygodne, żeby je nazwać.

- Nie masz pojęcia, jaki ci jestem za to wdzięczny, Anthony. To naprawdę może się okazać konieczne.

Przesiedzieli przy śniadaniu prawie godzinę, analizując każdą plotkę, badając jej możliwe efekty.

- Kesmore nie jest plotkarzem, ale bywa wszędzie, gdzie spotykają się dżentelmeni, w klubach, na kartach, u Tattsa. Ufam jego słowom.

Anthony zamyślił się.

- A motywom?

- W jakim sensie?

Dobrze było się z kimś dzielić myślami, ale Deene'owi nie podobał się kierunek rozumowania kuzyna.

- Jest mężem Windhamówny, która ma jeszcze dwie niezamężne siostry. Jeśli nie podobają mu się twoje zaloty do jej sióstr, będzie cię chciał zdyskredytować. W miłości, jak na wojnie, prawda?

Eve mówiła to samo.

- Służyłem razem z nim w Hiszpanii, Anthony, i na ile go znam, w takim przypadku powiedziałby mi wprost, żebym zostawił dziewczynę w spokoju. Nie brak mu odwagi i nie jest przewrażliwiony jak panienka. Poza tym byłoby bez sensu, gdyby donosił mi o własnych plotkach. Moim zdaniem to sprawa Dolana.

Anthony skrzywił się i przełożył sztućce na pustym talerzu.

- A ten jaki ma motyw?

- Złośliwość. Z tego samego powodu nie zgadza się na nasze kontakty z Georginą. Nie słysząc odpowiedzi, Deene podniósł imbryk, żeby dolać sobie herbaty, ale okazało się, że jest już pusty.

- Czego nie chcesz mi powiedzieć, Anthony?

- Ze wszystkich ludzi ja mam największe powody, by nienawidzić Dolana. Maria i ja... - Anthony odwrócił głowę i zapatrzył się na pastwiska na wzgórzach za ogrodami. - To stara historia, choć czasem zastanawiam się, jak by się to wszystko ułożyło. Nie powinienem sobie tym zawracać głowy, ale pamięć nie zawsze poddaje się nakazom zdrowego rozsądku. To był śliski temat. Deene postanowił się nie odzywać.

- Jednak nawet ja - ciągnął Anthony - który nie mogę znieść wzmianki o tym człowieku, nie przypisywałbym mu takiego

zachowania. Przede wszystkim, gdyby wybuchł skandal z powodu twojego zdrowia lub finansów, ucierpiałyby na tym również Georgina. Mów sobie, co chcesz, ale Dolan nie jest przecież głupi.

Miał rację, choć nie było to wcale przyjemne. Mimo wszystko Deene nie zamierzał rezygnować z oskarżania Dolana o rozsiewanie plotek, które z pewnością sprawiały mu nielichą frajdę.

- Masz rację, Dolan jest chytry jak lis, ale to parweniusz. Nie wie, że socjeta nawet po dziesięciu latach pamięta skandale i plotki. Może sobie równie dobrze myśleć, że teraz pokrzyżuje mi plany, ale w przyszłości, gdy Georgie będzie wchodziła w towarzystwo, nikt nie skojarzy jej z moją ruiną. Niepokoję się o tę małą.

- Niepokój się o nią do woli, ale to nie zmieni faktu, że o jej matkę nikt się nie zatroszczył, kiedy było trzeba. Choć naturalnie doceniam twoje działania dla dobra tego dziecka, Deene.

Wygłosivszy ten przygnębiający komentarz, Anthony wstał od stołu. Deene siedział przy nim jeszcze dobre pół godziny, wpatrując się w pusty imbryk.

Księżna Moreland wyglądała czarująco. Jej szczęśliwy od ponad trzydziestu lat małżonek zamknął drzwi gabinetu i przez chwilę radował oczy jej widokiem. Zawsze uważał, że to szczególnie przywilej.

Zwinęła się w kłębek na sofie stojącej najbliżej okien, z książką w rękę i eleganckimi okularami księcia na nosie. Na odgłos zamykanych drzwi podniosła wzrok i uśmiechnęła się do męża.

Dwa lata temu, po ataku serca, leżał wśród splendoru swej książęcej rezydencji i gorąco się modlił, żeby dane mu było przeżyć jeszcze kilka lat i kapać się w ciepłe tego uśmiechu.

- Percy Windham, nie powinienes tego robić.

Spojrzał na bukiet żółtych tulipanów, które trzymał w dłoni.

- Oszczędziłem róże, ale w końcu to jest mój własny ogród, do cholery. Mogę sobie zrywać bratki dla ładnej dziewczyny, kiedy mi się tylko spodoba.

Podszedł do kredensu, nalał wody do wazonu i postawił kwiaty na parapecie. Pewnie żona, przechodząc, przesunie parę łodyżek, poprawi liście i zamiast śmiesznego wiechcia powstanie elegancki bukiet, godny książęcego gabinetu.

To także w niej podziwiał.

Odłożyła powieść. To, że ją czytała w ciągu dnia, oznaczało, że żadnego z dzieci nie ma w domu. Zaprosiła go gestem, by usiadł obok.

- Co to za okazja?

- Czy miłość potrzebuje okazji? Przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie.

- Poproszę odpowiedź.

- Rocznicą naszego trzeciego pocałunku.

Uśmiech rozkwitł na nowo, a bystre oko męża spostrzegło w nim niejaką złośliwość.

- Pożaru lasu.

Esther ponadawała nazwy ich najwcześniejszym miłosnym schadzkom.

Pożar lasu. Zasadzka. Porażka zdrowego rozsądku. Pokonanie oporu.

Szczególnie lubił wspominać tę ostatnią i miał wrażenie, że księżna podzielała jego uczucia. Nic nie jest miłsze dla męża niż lista jego miłosnych wyczynów opatrzona intymnymi nazwami, jakie nadała im księżna.

- Tak, pożaru lasu. - Usiadł obok i oboje w jednej chwili wyciągnęli do siebie ręce. - Nie mogę przepuścić takiej okazji, by okazać ci moje uczucia.

- W dodatku mamy cały dzień dla siebie.

- Ukochana, choć wiem, że raduje cię moje towarzystwo, jakoś nie słyszę w twoim głosie zadowolenia, że jesteśmy w domu tylko we dwoje, nawet bez jednego dziecka.

Westchnęła donośnie. Wyczytał z jej twarzy, że intuicja tym razem go nie zawiodła.

- Niepokoję się o dziewczynki.

Stale się o kogoś niepokoiła: o dzieci, o ich małżonków i małżonki, o wnuki. I o męża. - Dadzą sobie radę. Co mogłyby zmalować, kiedy wiedzą, że służba zaraz nam o tym doniesie, a w dodatku mają Kesmore'a pod ręką? - Donosy to dobra rzecz, ale najlepiej by było, gdyby ktoś ich pilnował i zapobiegał kłopotom, zanim się wydarzą.

Jego Wysokość miał w tym względzie trochę odmienne zdanie. Dzieci powinny popełniać błędy, potykać się i poprawiać od

najwcześniejszych lat, przynajmniej w teorii. W praktyce, zdawał sobie sprawę, mógł sobie pozwolić na luksus takiego podejścia do życia - bo było to podejście do życia - tylko dlatego, że księżna była tak bardzo przewidująca i troskliwa.

Szczerze mówiąc, zwykle próbowali obu sposobów na zmianę.

- Martwisz się o naszą Evie - powiedział. - Czy może się myłę?

- Głównie o nią. Sezon jeszcze się nie zaczął, a już oświadczają się o jej rękę, prawda? - Skąd ona wie takie rzeczy?

- Trottenham poprosił w zeszłym tygodniu o rozmowę w cztery oczy. Z innych kierunków także dochodzi mnie to i owo.

- Trottenham. - Księżna westchnęła w sposób, który wiele mówił o matczynej frustracji. - Percy, ona zaczęła ten rok od trzeciej fali. Co będzie, jeśli któryś z nich ją wykorzysta? Ona nie wytrzyma drugiego takiego przypadku.

Trzecia fala. Myśliwski termin odnoszący się do trzeciej fali jeźdźców w pościgu za zwierzyną. Tych, którzy są zbyt ostrożni, mają kiepskie konie albo - jak książę się niejednokrotnie przekonał - są zbyt pijani albo zbyt mało zainteresowani łowami, żeby dotrzymać kroku prawdziwym myśliwym.

Co do nieszczęśliwego przypadku Eve... lepiej tego nie komentować.

- Od czasu, gdy Evie weszła w towarzystwo, wiele się nauczyła, kochanie. Wierzę w nią.

- Ja też w nią wierzę, jak zwykle. Natomiast nie ufam towarzystwu, w jakim zaczęła się obracać.

Trottenham był poza wszelką krytyką, ale reszta...

- Siostry będą dla niej lepszymi przyzwoitkami niż ktokolwiek inny. Są wobec niej bardzo opiekuńcze i wymagają tego samego od swoich mężów.

Wszyscy byli wobec niej opiekuńczy. Szkoda, że dopiero teraz, a nie siedem lat temu, kiedy było to o wiele bardziej konieczne.

- Maggie o czymś mi powiedziała.

Poklepał jej dłoń. Maggie, odkąd poślubiła hrabiego Hazeltona, zaczęła być w wielkiej komitywie z księżną. Do diabła, najwyższy czas.

- Nie trzymaj mnie w napięciu. Hazelton nigdy nie zdradziłby kobiecych sekretów. - No, powiedzmy, że prawie nigdy. Kobietom

wydawało się, że w klubach dżentelmenów tylko gra się w karty, pochłania befsztyki i przegląda gazety.

- Powiedziała mi, że jedyną rzeczą, która w ostatnich latach utrzymywała ją przy zdrowych zmysłach, był własny dom. Dawał jej prywatność i poczucie, że panuje nad swoim światem. Myślę, że Evie też by się to przydało.

To była typowa strategia księżnej: przedstawić swój radykalny pomysł w taki sposób, że wydawał się jedynym racjonalnym rozwiązaniem. Z pozoru miała absolutną rację, ale mimo wszystko...

- Evie jest o wiele za młoda, żeby mieć własny dom, kochanie. Gdybyśmy na to pozwolili, wyglądałoby to tak, jakbyśmy... jakbyśmy przestali się nią przejmować. Odsunęli ją na bok. Nie możesz ode mnie czegoś takiego wymagać. - Myśl, że Evie, ich maleńka dziewczynka, zostanie zupełnie sama i będzie wieść życie bez otaczającej ją rodziny, o mało nie przyprawiła go o atak serca.

Księżna poklepała go po ręce, która coraz bardziej przypominała poznaczoną odciskami żołnierską łapę, podczas gdy jej własna dłoń została gładka i śliczna jak zwykle.

- Masz rację. To nie jest odpowiedni czas i bardzo możliwe, że taki czas nigdy nie nadejdzie, ale pomyślałam sobie, że może powinnam trochę uporządkować Lavender Corner.

- To są kobiece sztuczki, Esther. Czy zamierzasz rozbudować dom o połowę, czy posłać tam służbę na wielkie sprzątanie?

- Służba stale dba o to miejsce. Myślałam, że warto by było zadbać o ogrody, przewietrzyć bieliznę, odświeżyć saszetki w szafach. Matka dostrzega rzeczy, które gospodynie często przegapiają.

Teraz już rozumiał, o co chodzi. Ależ był głupi, że nie dotarło to do niego wcześniej.

- Innymi słowy, musiałabyś pognać do Kent co koń wyskoczy, prawda?

- Sezon jeszcze się nie zaczął. Nie ma co zwlekać, a poza tym wróć tak szybko, że nawet za mną nie zdążysz zatęsknić.

Całkiem wiarygodna była ta jej beztroska poza. Oczywiście, nie dał się oszukać. Zresztą, sam też potrafił spiskować w imię rodzicielskiej troski.

- Mam lepszy pomysł. - Uniósł jej dłoń do warg i ucałował kostki palców. - Może ruszymy jutro, bez pośpiechu, i zatrzymamy się na popas Pod Dzwonkiem Królowej?

Z satysfakcją odnotował, że jej oczy otwały się szerzej, a na wargach zakwitł ten jej specjalny uśmieszek.

- Och, Percy. - Wzięła go pod brodę i pocałowała w policzek. -Pod Dzwonkiem Królowej wiosną. Czekolada o północy. Co za cudowny pomysł.

Rzeczywiście, nie chwałąc się, cudowny. Esther oparła głowę na jego ramieniu. Kolejna chwila, którą książę zamknął w sercu, żeby móc ją wspominać później, w chwilach beczynności.

Uśmiech Esther stał się pełen zadowolenia, ale bynajmniej nie chytry. W księżnej nie było ani odrobiny chytrości. Książę uświadomił sobie nagle, że znowu osiągnęła cel, nie uciekając się nawet do prośby.

Zawsze jej się to udawało, a on prawie zawsze orientował się po fakcie. I to była kolejna cecha, którą w niej uwielbiał.

Bycie dorobkiewiczem, dziadem z bagien, nowobogackim prostakiem i nababem z kamieniołomu wymagało ciężkiej pracy, ale Jonathanowi Dolanowi wcale to nie przeszkadzało.

Szczerze mówiąc, praca była dla niego sensem życia, nawet jeśli musiał tkwić do późnej nocy w kamieniołomie, na budowach i w składach materiałów budowlanych. Mniej podobały mu się negocjacje i targi, ciągnące się nieraz godzinami, grzebanie się w księgach i przesiadywanie w zadymionych szulerniach.

Zdecydowanie mniej.

- Nic mnie nie obchodzi, że nie potrafisz zmusić tych swoich obiboków, żeby porządnie pracowali przez cały dzień. Odszkodowanie za straty zostanie oszacowane zgodnie z wynegocjowaną umową, Sloane.

Sloane nerwowo spacerował po przestronnym biurze Dolana, przeczesując palcami rzednące, mysie włosy. Dolan obserwował go zza biurka, na którym nie było śladu nieporządku ani nawet stosu papierów.

- Twoje odszkodowanie puści mnie z torbami, Dolan. Mówiłem ci już, że oni nie tyle nie chcą, ile nie mogą wydobyć tego kamienia.

Całe Dorset stoi pod wodą po wiosennych deszczach. To nie jest zła wola, tylko siła natury.

Nie dało się słuchać bełkotu tego idioty.

- Naprawdę? To wina pogody? To znaczy, że zamiast rozmawiać o karach umownych, powołujemy się na klauzulę siły wyższej?

Dolan starał się mówić rzeczowo, chociaż pozorowanie spokoju wzbudzało w nim obrzydzenie.

W zezowatych, ciemnych oczach Sloane'a zabłysła ulga. - Tak! To siła wyższa, właśnie tak było. Ulewne deszcze, nie dało się pracować. Wiedziałem, że rozsądny z pana gość. Twardy, ale uczciwy, tak o panu mówią.

- Miło to słyszeć. Czy mówią też, że potrafię czytać i pisać po angielsku?

O ile znał plotkarzy, insynuowali coś wręcz przeciwnego. Z satysfakcją spostrzegł, że w oczach Sloane'a błysnęła ostrożność.

- Słucham?

- Umieję czytać, panie Sloane. Myślę, że z radością powita pan wiadomość, że mimo wszystko umiem czytać w kilku językach, między innymi po angielsku, choć nie jest to bynajmniej mój ulubiony. Ze względu zaś na fakt, że jestem właścicielem kamieniołomu w Dorset, prenumeruję też lokalną gazetę. Mam panu przeczytać prognozy pogody?

Dolan otworzył szufladę biurka i wyjął złożoną, pojedynczą płachtę papieru sprzed dziesięciu dni.

- Ponieważ hrabstwo żyje głównie z rolnictwa, sadownictwa i hodowli bydła, wydawcy przywiązują dużą wagę do informacji pogodowych i prognoz. Sloane miał dość rozsądku, żeby się zamknąć.

- Proszę siadać, panie Sloane. - To nie było zaproszenie, co także powinno stanowić źródło satysfakcji, zważywszy, że ten człowiek był Anglikiem od stóp do wymanikiurowanych, okrytych rękawiczkami, niestwardniałych od pracy paluszków.

Sloane opadł na krzesło.

- Po prostu potrzebuję trochę więcej czasu.

Trochę więcej czasu, parę trochę więcej ziemniaków, trochę więcej dziennego światła... Te lamenty były stare jak świat i szczerze, ale bezużyteczne.



- Spóźnia się pan z dostawami, bo proponuje pan za niskie płace, żeby przyciągnąć odpowiedzialnych pracowników. Ponieważ ma pan za mało ludzi, furgony i konie są zaniedbane, ulegają awariom i wypadkom. Ponieważ wszyscy wiedzą, że ma pan napięte terminy, kowale, kołodzieje i dostawcy wykorzystują pana, każąc sobie płacić krocie za nagłe naprawy i dostawy. Żeby zaoszczędzić, korzysta pan z usług największych oportunistów i partaczy w okolicy.

Nie dodał: „Jest pan idiotą”. Nie musiał.

- Mam rodzinę. - Te słowa, powiedziane ze spokojną desperacją, były najgorszą częścią bycia nababem z kamieniołomu. Miał dość patrzenia, jak dorośli ludzie dosłownie pocą się ze strachu, poświęcając własną godność na rzecz krótkowzrocznej pazerności.

- Ma pan też kochankę, bardziej na pokaz niż z innych względów. Trzyma pan zbyt wiele hunterów, na których nigdy pan nie jeździ, i ma pan córki, które chce pan wydać ponad stan, bo w przeciwnym razie żona będzie się na panu mścić za wszystkie pańskie słabości i błędy.

Sloane skinął głową, a Dolan ciekaw był, czy tak samo czują się księża w konfesjonale: zmęczeni, pełni niesmaku i... schwytani w pułapkę ozdobnych szat i wymyślnie rzeźbionych, drewnianych klatek.

Sloane siedział bez ruchu i trząśł się jak tłusty, pięknie odziany zając, który czeka na atak lisa.

- Okłam mnie jeszcze raz, Sloane, a dorwę twoje skrypty dłużne i wykorzystam je, żeby cię zdyskredytować w całym kraju. Skończą się kochanki, stajnia, eleganckie ubrania, nie wspominając o rodzinie godnej tego miana. Po upływie dwóch tygodni zacznę naliczać kary. Wynocha.

Ulga Sloane'a była obrzydliwa, dosłownie cuchnęła. Miał małe szanse, żeby zdążyć z dostawą w ciągu dwóch tygodni, ale Dolan uwzględniał opóźnienia w wynegocjowanych przez siebie terminach, czasem nawet podwójne, bo w Dorset wiosną rzeczywiście ciągle lało jak z cebra.

Kiedy upewnił się, że Sloane na dobre opuścił biuro, złapał kapelusz, rękawiczki i laskę, a potem wyszedł z pokoju, zamykając drzwi na klucz.

Sekretarz podniósł wzrok znad swego biurka.

- Nie będzie mnie do jutra. Rano mam spotkanie z Rutłwenem. Gdy tylko przyjdiesz, połóż mi dokumenty na biurku, poślij po ciasteczka i powycieraj te cholerne kurze przed moim przyjściem.

- Oczywiście, panie Dolan.

Na dworze było pięknie: ciepło i bardzo słonecznie, bo drzewa nie wypuściły jeszcze liści. Dolan ruszył w kierunku Mayfair, chociaż najchętniej spędziłby ten dzień w spokojnym, pełnym wdzięku Whitley.

W domu czekała go praca, potem krótka przerwa na położenie Georginy spać, i znowu praca po samotnej kolacji.

Dlaczego nabab z kamieniołomu czuje się takim samym niewolnikiem jak w czasach, kiedy miał pięć lat i zawsze zimne palce, uwalane gliną przy sadzeniu ziemniaków?

To wspomnienie nie opuszczało go prawie nigdy, co w jakimś stopniu tłumaczyło, dlaczego niemal wpadł na szczupłą kobietę śpieszącą z przeciwnej strony z jakimiś paczuszkami w ręku. Zakupy rozsypały się po chodniku, ona sama się potknęła, Dolan złapał ją za ramiona, a ona oparła się o niego, by odzyskać równowagę.

Kiedy się wyprostowała, Dolan zobaczył znajome piękne szare oczy.

- Panno Ingraham. Proszę o wybaczenie.

- To ja przepraszam, panie Dolan. Chciała się cofnąć, ale jej nie puścił.

- To moja wina. Nie uważałem, dokąd idę.

Nieco wytarty kołnierzyk i dość znoszone rękawiczki dopełniały jej, skromnego, lecz godnego wyglądu.

- Rozumiem, że dziś ma pani wolne popołudnie?

- Tak, proszę pana. Jeśli odda mi pan te paczki, nie będę pana zatrzymywać.

- Bzdura. Dokąd się pani wybierała?

Wrodzone maniery nie pozwolą jej przemilczeć pytania, ale jest przecież kobietą. Może rozminąć się z prawdą i on nic na to nie poradzi.

Zamiast tego uczyniła coś dziwnego i nieoczekiwanego: zarumieniła się i uśmiechnęła.

- Do parku.

Park, pomnik angielskiej demokracji, miejsce, gdzie każdy może się cieszyć świeżym powietrzem i słońcem. Dolan sięgnął pamięcią wstecz, ale nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział u niej ten spokojny uśmiech. Dobrze pasował do jej szarych oczu i doskonałej figury.

- W takim razie mamy spory kawałek drogi.

Wziął paczki w jedną rękę, a drugą podał jej z galanterią. Do dia-ska, czemuż ten kobiecie uśmiech przygasł, a ona spojrzała na niego z wyrzutem?

- Na litość boską, to jest po prostu zwykła grzeczność z mojej strony, panno Ingraham. Przecież nie jest pani podkuchenną.

Wyprostowała się sztywno, przyjęła podaną rękę i ruszyli przed siebie. Dolan skorzystał z rzadkiej sposobności, by przyjrzeć się guwernantce swojej córki, kiedy nie zajmowała się małą.

- Była pani na zakupach? - Głupie pytanie, przecież to oczywiste, że była. Dolan po raz kolejny pożałował, że żona za mało czasu poświęciła na wbiecie mu do łba różnicy między towarzyską rozmową a wypytywaniem. Jakoś ciągle mu się to mieszało.

- Kupiłam kilka drobiazgów dla siebie. Naprawdę nie musi pan tego robić, sir.

Nie odpowiedział. Niech ona się zajmie prowadzeniem rozmowy. Na pewno potrafi, chociaż nie wiadomo, czy zechce się nad nim zlitować.

- Lubię francuskie mydełka. - Powiedziała to bardzo cicho, umykając wzrokiem w bok. - Są bardzo drogie, ale mają taki wspaniały zapach. A u Twininga jest wyjątkowo dobra herbata. Każdy powinien mieć swój ulubiony gatunek.

Miała piękne szare oczy, uroczy uśmiech, doskonałą figurę i potrafiła konwersować.

- Ma pani absolutną rację, panno Ingraham. Ja najbardziej lubię Darjeeling. A pani?

Eve przez cały dzień starała się rozpoznać własne splątane myśli i nieokreślone uczucia, jakie nią targały. Przy śniadaniu słuchała gadaniny cioci Gladys o tym, jak ślicznie jest teraz w ogrodzie, i miała ochotę powyrywać wszystkie tulipany, co do jednego.

Z trudem zniosła towarzyską wizytę Louisy i Kesmore'a, starając się nie zauważać troski w ich oczach i nie pozwalając, by w jej oczach zobaczyli pragnienie, by roztrzaskać imbryk do herbaty o kamienną płytę kominka.

Pomogła Jenny zwijać włóczkę, obiecując sobie, że udusi siostrę, jeśli jeszcze raz usłyszy słowo „najdroższa”.

Przez pół nocy przewracała się z boku na bok, a rano zasnęła. Wstała, przysięgając, że wyrzuci z pracy całą służbę za to, że jej nie obudzili. Przejrzała śliczne, przyzwoite i nudne suknie w szafie, mając ochotę spalić je wszystkie, i nagle jej wzrok padł na strój, którego nie miała na sobie od wielu lat.

Na pewno nadal będzie na nią pasował.

Gdy przyglądała się temu ubraniu, przyszła jej do głowy myśl - wielki Boże, nareszcie jakaś jasna myśl - nie chciała niszczyć, chciała działać.

Koniec z płaczem, dumaniem i snuciem się po domu. Wyciągnęła suknię z szafy, rzuciła ją na łóżko, zdjęła koszulkę i obejrzała w lustrze swoją nagą postać.

Wypadek nie pozostawił żadnych widocznych blizn ani deformacji. Mogła chodzić, była zdrowa, więc już czas, by zacząć się zachowywać jak normalny człowiek.

Zaplotła włosy w wygodny warkocz i upięła go w kok nisko nad szyją. Wyciągnęła spod łóżka buty do konnej jazdy, których nie zakładała od siedmiu lat. Omijając pokój śniadaniowy, zajrzała do kuchni, żeby pokroić kilka jabłek.

Wychodząc z kuchni, uświadomiła sobie, że jej wgląd we własne myśli był mimo wszystko niepełny. Rzeczywiście naszedł czas, by działać, tylko jakie to ma być działanie?

- Pewnie ty też tego nie wiesz? - Podała Meteorowi plasterk jabłka, ale nie dostała odpowiedzi.

Grendel podsunął się bliżej, a ona przeszła przez płot, żeby podrapać ogiera po kłębie. - Za chwilę pękne ze złości, koniu. Albo zrobię taką awanturę, że wszyscy popamiętają, albo podpalę salon...

I co jeszcze?

Dała mu następny kawałek jabłka, a potem podrapała pod ganaszami, aż wyciągnął szyję na całą długość.

- Wcale mi nie pomagasz. Przyszłam w nadziei, że spłynie tu na mnie mądrość, a zamiast tego mam tylko sierść na ubraniu.

Grendel podszedł jeszcze bliżej. Widać było, że nie pozwoli się dłużej ignorować. Wyciągnęła do niego rękę z kawałkiem jabłka.

Kuce nie roztrząsały własnych myśli. Prowadziły byle jaki żywot wśród dużych koni, wymagających i mało troskliwych dzieci albo dożywały emerytury na pastwisku, zapomniane przez dawnych jeźdźców. Zwykle zostawiano je samym sobie i radziły sobie zupełnie nieźle.

Grendel nie wziął jabłka.

Popatrzył na nią oczyma, które wydały jej się zarazem mądre i puste.

- Weź to jabłko, idioto, bo Meteor nie pozwoli mu się zmarnować. Grendel zbliżył się znowu o krok, a Eve podsunęła mu owoc pod kosmaty, zarośnięty pysk.

- Co z ciebie za kucyk, jeśli nie zauważasz takiego kąska. Oj! Bodnął ją w brzuch głową. Raz, ale solidnie.

- To było chamstwo.

Oddała jabłko przez ramię Meteorowi i stanęła przed kucem z rękami na biodrach. Wydało jej się, że odpowiedział jej buntowniczym spojrzeniem. Coś takiego wystarczy, żeby kobieta, która i tak wychodzi już z siebie ze złości...

Właśnie.

Ależ tak. Tak, tak i jeszcze raz tak.

- Ty - złapała Grendla za grubego chmyza na głowie. - Pójdiesz ze mną i nawet nie próbuj się opierać, bo się z tobą rozprawię.

Kuc ruszył za nią. Nie stawiał żadnego oporu.

Deene wskoczył na siodło, poklepał wałacha po szyi i ruszył wzdłuż podjazdu. Anthony wyjechał kilka dni wcześniej. Miał wybrać się na rekonesans po klubach i salach balowych, żeby przeprowadzić prywatne śledztwo. A Deene... grzebał się w księgach rachunkowych, z których nie mógł wyczytać nic sensownego, odwiedzał dzierżawców, którzy byli ostrożni i taktowni, cierpliwie znosząc jego wizyty, układał listy kandydatek do małżeństwa, obdarzonych odpowiednim posagiem i charakterem... i nie odwiedzał ani Windhamówien, ani nawet Kesmore'a.

Musiał się skupić, a bliskość Eve Windham tylko go rozpraszała.

Martwił się o nią. Martwił się o Georgie. Martwił się o swoje finanse. Martwił się o Anthony'ego, który niedawno został ojcem, ale próbował udawać, że mu na tym nie zależy.

- Tylko o ciebie się nie martwię.

Bestia zastrzygł uszami do tyłu, a potem do przodu.

Jako wałach rzadko się martwił o cokolwiek, chyba że nie zadano mu owsa na czas. Deene pozwolił beztroskiemu stworzeniu przegalopować przez prawie całe pola należące do Denning Hall, a potem skierował go na drogę dzielącą jego posiadłość od lasu Morelandów.

Ziemia budziła się już z zimowego snu. Drzewa okrywała zwiewna, jasna zieleń, gleba pachniała wiosennym chłodem i świeżością, spomiędzy żywopłotów mrugały żonkile. Deene przejechał granicę posiadłości Eve, tego lawendowego czegoś, a potem wjechał na pagórek, żeby zobaczyć dom - typowy dworek z epoki Tudorów, wtulony we wzgórze. Przyjrzał się panoramie z poczuciem, że coś jest nie tak. Tu i ówdzie kwitły bratki, okna lśniły w południowym słońcu, podjazd był starannie wygrabiony, tylko że ...

Stajenny prowadził po nim tłustego kuca, zaprzęzonego do jednoosobowego powoziku.

Bestia - a może jednak Deene - postanowił podjechać bliżej i sprawdzić, co się tam dzieje. W posiadłości Eve miało nie być nikogo poza służbą, więc nie powinni tam zajeżdżać żadni goście.

Przywiązał Bestię do koniowiązu - w stajniach był pewnie tylko ten jeden stajenny - i ruszył w stronę domu. Nikt nie odpowiedział na stukanie, więc pchnął drzwi i wszedł do środka.

Wnętrze domu nie rozczarowało go. Było równie atrakcyjne jak dworek widziany z zewnątrz, ciepłe, miłe i przytulne. Eve będzie się dobrze czuła w tych jasnych pokojach.

Dostrzegł ją pierwszy, zanim zdążyła zauważyć jego obecność. Stała przy oknie w mniejszym, prywatnym saloniku, utrzymanym w kolorach złota, beżu i jasnego brązu. Ona też była ubrana na brązowo, z beżowymi i czerwonymi dodatkami - dyskretną tasiemką, pasemkiem koronki.

Do diabła, dlaczego ona musi być taka ładna?

Odwróciła się i opuściła skrzyżowane na piersi ręce.

- Lucas.

Podeszła do niego, a siła jej promiennego uśmiechu niemal zwała go z nóg. Nigdy się do niego w ten sposób nie uśmiechała. Miał nadzieję, że do nikogo innego też nie.

Promieniowała radością, blaskiem, ciepłym zadowoleniem.

Zrozumiał, że zaraz go obejmie - z całego serca przyklasnął temu pomysłowi - i resztką świadomości uświadomił sobie, co widzi. Miała na sobie strój do powożenia.

Obejmował ją przez długą, bezcenną chwilę, ciesząc się szczęściem i dumą, które lśniły w jej oczach.

- Powoziłaś sama.

Skinęła głową, łaskocząc go w podbródek włosami.

- Przyjechałam tu sama, Lucas. Przyjechałam sama i nie mogę się doczekać przejazdu z powrotem do domu. Cieszę się, nawet kiedy o tym mówię. Jest po prostu cudownie.

Objął ją mocniej, podniósł i zawirował z nią w kółko.

- Przyjechałaś tu sama i sama pojedziesz do domu. I będziesz jeździć sobie, dokąd tylko zechcesz.

Śmiała się tak cudownie. Wspaniale było czuć jej ciężar. Dzielił z nią tę radość i ulgę.

- Będę sobie jeździć, gdzie tylko zechcę, kiedy zechcę i jak zechcę. Nikt nie będzie bezpieczny przed Eve Windham, jeśli przyjdzie jej do głowy ruszyć w drogę. Może nawet pojedę do Yorkshire i wpadnę do St. Justa albo do Oksfordu, zobaczyć, jak się ma Valentine. A już na pewno odwiedzę Westhavena w Surrey, i Sophie, i Maggie i... wszystkich. Będę mogła do nich pojechać, kiedy tylko zechcę.

Postawił ją na ziemi, pozwalając, by się po nim powoli zsunęła.

- Może zajrzysz też do Surrey, żeby zobaczyć, jak się miewa żrebak Franny. Albo obejrzysz następne wyścigi w Epsom.

Stała przed nim rozpromieniona, odmieniona własną odwagą.

Musiał ją pocałować. Taka chwila wymagała pocałunku, a nawet gdyby nie wymagała, i tak musiał to zrobić. Nic by go nie powstrzymało

Każdy pocałunek Eve był cudownym doświadczeniem: tamten pod jemiołą, odważny i idący do głowy jak poncz, ten pełen zaskoczenia

i zaru wśród paproci, i ten słodki, niepewny siebie w zamkniętym pudle landa...

A teraz, gdy była pełna energii i kipiała entuzjazmem ze swego osiągnięcia, jej pocałunek był... nie do opisania. Jej pewność siebie była zaraźliwa, a jej radość wyniosła go pod niebiosa.

Między gorączkowymi oddechami wyparowały wszelkie myśli o kłopotach czekających go w Londynie i o nadchodzącym, nudnym sezonie... w ogóle wszystkie myśli. Zostały tylko wrażenia.

Guziki jej zakietu uwierały go w mostek.

Pociągnęła go za włosy u podstawy szyi, zaciskając na nich dłoń.

Bez skrepowania wtuliła się w jego wzbierającą erekcję, wywołując miłe ciepło w tym miejscu.

Czuł się cudownie, trzymając ją w objęciach.

Cichy głos rozsądku przemówił do jego sumienia: powinien zamknąć drzwi. Na klucz.

Czemu nie. Wziął ją na ręce, pchnął półotwarte drzwi, żeby je zamknąć, i ułożył ją na sofie. Leżała na plecach, z sekretnym, zadowolonym uśmieszkiem. Miał wrażenie, że jest równie oszołomiona jak on.

- Całuj mnie jeszcze, Lucas. Twoje pocałunki są... Zatrzymał się, pochylony nad nią, ciekaw, jakich dobierze słów,

ale ona zamiast tego wyciągnęła ręce, chwyciła go za ramiona i potrząsnęła nim niecierpliwie. Zrzucił kurtkę i opadł niżej.

- Powinniśmy zdjąć buty, Evie. Zabłocimy...

Co za bzdury. Gadał jakieś bzdury, ale po chwili nawet one umknęły z jego świadomości, bo Eve dotknęła jego warg swoimi i objęła jego nogi swoimi obutymi stopami. Odsunął się, zadowolony, że jej oddech był równie gorączkowy jak jego.

Wpatrywała się w niego spojrzeniem pełnym radości, podniecenia i czułości. To spojrzenie w jednej chwili zmieniło nastrój i radość z osiągnięcia stała się radością oczekiwania. Pochylając głowę, by dotknąć policzkiem jej włosów, zrozumiał, że Eve jest teraz jak żołnierz, który pragnie splądrować miasto po zwycięskiej bitwie, jak gracz, który musi się upić po wygranej w zaciętej potyczce lub w zakładzie, w którym dawano mu niewielkie szanse.



A jego przywilejem było upewnić się, żeby nie stała jej się żadna krzywda, kiedy będzie się radować tymi kilkoma chwilami oszałamiającej radości... żadna, ale to żadna krzywda.

Chciał zatonać w jej żarze, chciał, żeby wykrzyknęła jego imię w chwili rozkoszy, chciał, żeby płonęła z pożądania.

- Lucas? - Rozczarowanie w jej głosie, kiedy się podnosił, było rozdzierające.

- Ściągaj buty, Evie. Mam pomysł. Zaufaj mi.

Trzy pełne zdania, jedno twierdzące, dwa rozkazujące. Spore osiągnięcie jak na mężczyznę, którego członek o mało nie wyskoczył ze spodni. Podniósł ją jedną ręką i ukląkł, żeby zdjąć jej buty.

Siedziała, zdziwiona i odrobinę nastroszona, patrząc, jak rozwiązuje jej kokardę i zdejmuje z ramion żakiet, a potem zaczyna rozpinąć bluzkę.

- A będzie mi się to podobało?

- Na pewno.

- A czy ja też mam ciebie rozebrać? Usiadł na piętach, dumny z jej odwagi.

- Czemu nie.

Wtedy słońce w jej oczach przesłoniła chmura.

- Lucas, trzeba postawić granicę...

Aha, ją też dopadł zdrowy rozsądek. Położył palec na jej wargach.

- Trzeba. Wiem o tym. Obiecuję, że będziesz ze mną bezpieczna, Eve.

Nie zawahała się ani na sekundę. Wyciągnęła ręce i zaczęła rozwiązywać mu fular.

Zanim zdążył wziąć oddech żeby się uspokoić, jego koszula była rozpięta, a Eve przesuwiała palcem po jego torsie wzdłuż mostka w dół.

- Wracając do mojego pomysłu... Jej wargi zadrgały w uśmiechu.

- Bardziej mi się podoba, jak mnie całujesz, Lucas, a nie opowiadasz o swoich pomysłach. - Jej psotna mina i upór w przesuwaniu palca sprawiły, że poczuł silne pulsowanie w lędźwiach.

- W takim razie wróćmy do pocałunków. Podniósł ją i usadowił sobie okrakiem na kolanach.

Zanim zdążyła dotknąć jego warg swoimi, szeroko otworzył oczy ze zdziwienia.

- Do licha, co ty masz na sobie, Eve Windham?

Musnęła wzrokiem piękny, kolorowo haftowany gorset, sznurowany od przodu - dzieło bezimiennego geniusza innowacji, przed którym Deene miał ochotę paść na kolana z wdzięczności.

- Jenny takie robi. Pocałuj mnie w końcu.

Musiał się dobrze skoncentrować, by, całując ją i rozsznurowując jednocześnie ten genialny gorset, nie doznać spełnienia od samego dotyku jej ciepłych, gładkich jak jedwab piersi.

Musiał się też nieco pogimnastykować, żeby wsunąć jej dłoń pod spódnicę, podczas gdy ona językiem - gorącym, wilgotnym i giętkim - dotykała jego ucha i wyginała się, napierając piersiami na jego dłoń.

Potem wykazał się cierpliwością, nieskończoną cierpliwością, odsuwając jej spódnicę, odnajdując rozcięcie w desusach i całując ją znowu, gdy przeszył ją dreszcz zaskoczenia po dotknięciu przez niego słodkiego, wilgotnego, gorącego zakątka jej ciała.

- Lucas, co ty...

Nie odpowiedział, tylko ponowił pieszczony kciukiem maleńkiego pączka. Zaniechanie tej pieszczoty przez podnieconego mężczyznę zwykle przynosiło mu klęskę.

Oddychała gwałtownie. Oparła czoło na jego, ramieniu, a on dotknął ją tam znowu, mocniej.

- Och... Lucas.

Zawarła w tym jednym słowie zdumienie i uległość. Uspokoił się, pewny, że pozwoli mu dać sobie rozkosz, że przyjmie dar, który jej oferuje. Ale nie od razu. Musiał trochę poeksperymentować z naciskiem i szybkością, musiał przerwać na chwilę, by wargami popieścić jej piersi, a potem znowu przerwać, by samemu wziąć się w garść.

Mógł dać im obojgu tylko tyle, nie więcej... Więcej... było im wzbronione.

Oparła się o niego jeszcze mocniej.

- Właśnie tak, Eve. Poruszaj się, jeśli ci to sprawia przyjemność. Usłyszała go. Wiedział o tym, bo zaczęła poruszać biodrami powoli, leniwie, w rytm ruchów jego kciuka. Kręciła nimi tak rozkosznie

i zmysłowo, że podniecony Deene musiał zacząć liczyć oddechy, by nie skończyć zbyt wcześnie.

Nie jęczała, ale wyczuwał, jak spazmy rozkoszy targały jej ciałem. Zacisnęła palce na jego włosach, oddychała urywanie, a potem naparła na jego kciuk i znieruchomiła. Nawet nie będąc w niej, czuł, jak zaciska się w sobie, przeżywając długą chwilę milczącej ekstazy.

Nie mógł się już dłużej powstrzymać, mimo że przytuliła się doń, bezwładnie uczepona jego szyi. Rozpiął spodnie i doznał spełnienia w ciągu pół minuty. A może nawet szybciej. Na własnym brzuchu.

A potem... cudownie było ją trzymać w ramionach. Tulić ją i zachwycać się tym, co się właśnie stało. I żałować, że między nimi nie mogło być niczego więcej.

Eve drzemała na ramieniu Deene'a, ale wrażenia docierały do niej z niezwykle wyrazistością.

Otoczający go zapach lawendy i cedru.

Kojąca pieszczota dłoni, która powoli gładziła ją po włosach.

Uderzenia jego serca i jego naga pierś na jej nagich piersiach.

Ciepło jego szyi, dotknięcie policzka na włosach.

Nieznana do tej pory świetlista lekkość przenikająca jej ciało.

Wszystkie uczucia przenikały jej świadomość jasne i doskonale jak bicie dzwonów.

A to był tylko początek, tylko cudowny przedsmak tego, z czego musi zrezygnować na resztę życia. Jeszcze bardziej intymne przeżycia nie były dla niej i dzięki Bogu, który miał dziś widać szczególny przypływ łaskawości, Deene to doskonale rozumiał.

Za nic nie chciałaby go rozczarować, nie zniosłaby, gdyby ciepło i akceptację w jego wzroku zastąpiły pogarda i wyrachowanie.

Komu oddała cnotę?

Z iloma się zabawiała?

Czy przez rozwiązłość zaraziła się jakąś chorobą? A może nawet urodziła dziecko po jednej z takich igraszek? Ale nie, Deene nie rozczarował jej, nie zawiódł jej, pytając o zbyt wiele ani dając jej zbyt mało.

Wszystkie obietnice Canby'ego - cudowne przeżycie, nie da się z niczym porównać, potem będziesz tego ciągle pragnęła, będziesz mnie ciągle pragnęła - cóż to były za kłamstwa.

Deene o nic nie prosił i dał jej prawdziwą rozkosz.

Jaka szkoda, że nie jest im przeznaczone nic więcej.

Eve zbierała się na odwagę, żeby zejść mu z kolan, kiedy nagle zacisnął palce dłoni, którą ją głaskał. Z progu dobiegł ich wstrząśnięty, doskonale znajomy głos.

- Boże w niebiosach, zlituj się.

A potem głos Jenny, cichy, nalegający i nieszczęśliwy:

- Mamo, wyjdź stamtąd. Bardzo cię proszę. Zamknij te drzwi.

## 6

Eve chciała zsunąć się z kolan mężczyzny, który tulił ją tak czule, ale on tylko objął ją mocniej.

- Już ich nie ma, kochanie. Zostań jeszcze chwilę. Pośpiech niczego nie zmieni. Musimy porozmawiać, jak rozwiązać ten problem, zanim zmierzymy się z twoją rodziną.

Kochanie? Teraz nazywa ją swoim kochaniem?

- Puść mnie. Nie mogę oddychać. - Chciała się wyrwać z jego ramion, ale trzymał ją jedną ręką za szyję, a drugą obejmował ramiona.

Frontowe drzwi nie zamknęły się, tylko trzasnęły z hukiem, który odbił się echem jak strzał z dubeltówki, wstrząsając całym domem i całym żalonym, przeklętym życiem Eve.

- To mama trzasnęła tymi drzwiami, Lucasie Denningu. Jej Wysokość, księżna Moreland, trzasnęła drzwiami z mojego powodu, z powodu mojej głupiej, samolubnej, bezużytecznej, pazernej, idiotycznej, debilnej...

Zabrakło jej słów, by opisać głębię zdrady, jakiej się dopuściła wobec swojej rodziny.

Opadła na pierś Deene'a, a jej żal zogniskował się w gardle jak sucha, drażniąca rana.

- Eve, wiele par przeżywa zbliżenie przed ślubem, włączając w to niektóre osoby dość blisko związane z księżną Moreland.

Ten spokojny argument sprawił, że zacisnęła pięści.

- Nie wyjdę za ciebie.

Za każdego, byle nie za niego. Ta myśl pozwoliła jej uspokoić rozbiegany umysł.

Deene nie spierał się z nią. Kiedy kłótnia była niezbędna, on się nie spierał. Gładził ją powoli po włosach, podczas gdy instynkt walki, płonący w jej ciele, próbował zmierzyć się z zalewającą ją rozpaczą. Zauważyła, że Deene oddychał spokojnie, nieśpiesznie, w harmonii z ich intymną pozycją. Ona instynktownie przejęła rytm tego oddechu, ale w odwrotnej kolejności: jej wdech na jego wydech.

- Nie możemy wziąć ślubu, Deene. Nie zgodzę się na to. Zaakceptuję tylko białe małżeństwo i to z odpowiednim mężczyzną... Z takim, który nigdy nie będzie chciał mnie zmusić... do wypełnienia obowiązku małżeńskiego.

Ramiona mu opadły i to wtedy, kiedy najbardziej potrzebowała ich uścisku.

Lepiej, żeby nie zaglądał jej w twarz, lepiej, żeby nie widziała, jak jego piękne niebieskie oczy stają się zimne i obojętne.

- Musimy cię doprowadzić do porządku.

Dłonie na jej bluzce były zręczne i bezosobowe, palce ledwie dotykały jej skóry. Ten dystans miał być pewnie uspokajający, ale zamiast tego... ranił.

- Lucas, nie mogę myśleć.

- Przemyślimy to oboje i gwarantuję ci, że nikt nie przejdzie przez te drzwi, dopóki nie zdecydujemy się wyjść na zewnątrz.

- Twój spokój doprowadza mnie do szału.

A co gorsza, ten spokój był także zachwycający, przynajmniej do pewnych granic. Deene nie rzucał się po pokoju, starając się zrzucić na nią winę, przeklinając los i starając się wywinać z sytuacji. Nie odsunął jej na bok, żeby się uspokoić, zostawiając ją, żeby drżącymi palcami i z rozdygotanym umysłem sama doprowadziła się do porządku.

Kochała te proste, opiekuńcze gesty, choć miłość doskonale potrafi iść w parze z nienawiścią. Nauczyła się tego po wypadku, kiedy Jenny

albo Louisa przychodziły do niej z propozycją, że poczytają jej jakieś sielankowe wierszydła, i robiły to całymi godzinami.

- Czuję się, jakbym leżała na tamtym obrzydliwym pastwisku, czuję wszędzie smród owiec i zimno w kościach...

Zacisnęła szczęki. Co ona, do diabła, wygaduje? Deene przestał zapinać koszulę i dotknął jej twarzy ciepłymi dłońmi. Trzymał je tak długo, aż zdołała spojrzeć mu w oczy.

- Jeśli znalazłaś się znowu na tym obrzydliwym pastwisku, tym razem ja jestem tam z tobą. Czy w tym domu jest jakaś herbata?

Herbata. Aha, naturalnie. Herbata.

- Tak.

Mimo wszystko nie zszedł jej z kolan.

Patrzyła, jak wyciąga z kieszeni chusteczkę i wyciera swój płaski brzuch.

Miał całkiem sporo włosów na piersi.

To, że w takiej chwili zwracała uwagę na takie drobiazgi - Canby w ogóle nie miał tam włosów - sprawiło, że zwątpiła w swój zdrowy rozsądek. Nie miała ochoty odwracać wzroku, najchętniej by się do niego znowu przytuliła.

Ciekawe, jak to by było, głaskać takie włosy? W spóźnionym przy-  
pływie samodyscypliny powstrzymała się od zaspokojenia tej drobnej ciekawości.

Kiedy już oboje prezentowali się w miarę przyzwoicie, Deene położył dłoń z tyłu jej głowy i przytulił ją na powrót do swego ramienia.

- Nawet nie próbuj się o to obwiniać, Eve Windham. Jesteś damą, która nie wie, co to nieprzyzwoitość, a ja zламаłem wszelkie zasady obowiązujące dżentelmena.

No, może nie wszelkie, ale w tym momencie nie robiło to żadnej różnicy. - Lucas, nie masz pojęcia jak.

Ucisnął tył jej szyi z taką delikatnością, jak kilka tygodni temu, kiedy cierpiała na migrenę.

- Jakoś sobie z tym poradzimy, Eve. Nie masz za co przepraszać ani mnie, ani Ich Książęcych Mości, ani nikogo.

To złamie serce papy. Zamknęła oczy na tę myśl. Jej Wysokość będzie rozczarowana, w oczach księżnej pojawi się napięcie i pośle

spojrzenie w stylu „gdzie popełniłam błąd”, usta zaciśnie w wąską kreskę, ale tata...

- Chodźmy. - Deene poklepał ją po biodrze. - Napijemy się herbatki, bo okropnie zbladłaś. Nie będzie tak źle, Eve.

Począł, aż zsunie się z jego kolan. Potrwało to trochę, bo zeszywniało jej biodro. Właściwie nie miała z nim już żadnych problemów, ale naturalnie tego dnia się odezwało. Kiedy stanęła na nogach, Deene także wstał i zawiązał jej kołnierzyk na piękną, elegancką kokardę. Zajął się też swoim fularem, a potem podał jej ramię.

Ujęła je nawykowo, ale złościła się za to na siebie po drodze do nieskazitelnie czystej, pustej kuchni.

- Mogę poszukać czegoś do jedzenia? - spytał, gdy układała rozpalkę na palenisku z węglem i zdejmowała czajnik z haka.

- W szafce powinien być chleb.

Może to był męski instynkt samozachowawczy albo stare, żołnierskie nawyki, ale zanim Eve przygotowała herbatę, Deene zdobył już chleb, masło, truskawkowy dżem i ser. Zadomowili się w kuchni, w dziwnie kojącej ciszy. Gdy herbata parzyła się w prostym, ceramicznym imbryku, Eve uświadomiła sobie, że Deene daje jej w ten sposób czas na uspokojenie. Albo sobie - ta myśl trochę ją pocieszyła.

Kiedy usiadła na ławie przy stole, przysiadł się tak blisko, że musiała się przesunąć.

- Nie uciekaj.

Nalał jej herbaty, posmarował chleb masłem, a potem szczerze nałożył dżemu.

Czyniąc zadość przysłowiu, postanowiła ugryźć rękę, która próbowała ją nakarmić

- Nie jestem bezradna, Lucas. Odpowiedział jej spokojnym spojrzeniem.

- Miło słyszeć. Podaj mi cukier.

Siedzieli tak obok siebie, racząc się herbatą, i nawet się nie pokłócili. Kiedy Eve napełniła żołądek - jedzenie okazało się świetną pociechą, podobnie jak siedzący obok Deene - zaczęła godzić się z losem. Dołała im obojgu herbaty.

- To gorsze, niż gdyby naszli nas tu obcy.

- Twoja matka i siostra nigdy nie zdradzą, co tu widziały, jeśli je o to poprosisz, Eve.

Eve przyjrzała się jego profilowi. Naprawdę wydawało mu się, że to zrobiłoby jakąś różnicę?

- I tak nikomu tego nie zdradzą, choć księżna pewnie powie tacie. Różnica polega na tym, że o tym wiedzą, Lucas. Ja wiem, że o tym wiedzą, i na tym polega różnica. Dla mnie.

- Dla mnie również. Oficjalnie ponawiam prośbę o twoją rękę, Eve. Zostaw mi trochę masła.

- Odmawiam, choć robisz mi tym wielki... a ty zostaw mi trochę dżemu.

- Chcesz białego małżeństwa. Nie mogę ci tego dać. Spoczywa na mnie odpowiedzialność za przedłużenie rodu, pomimo gotowości Anthony'ego, by ją ode mnie przejąć w razie potrzeby. Ciekaw jestem, czy twój ojciec mnie wyzwie na pojedynek.

Powiedział to, sięgając po następną kromkę chleba, tak swobodnym tonem, że Eve miała ochotę dać mu w twarz. Równie dobrze mógłby spytać: „Ciekawe, czy Islingham wystawi swojego konia w drugim wyścigu w Epsom”. Jego słowa dodały kolejny horror do listy jej strachów.

- Na pewno nie. Papa cię przecież lubi.

Herbata w jej żołądku zaczęła się burzyć na myśl o jego nieruchomym ciele, leżącym twarzą w dół na jakiejś zamglonej łące i wykrwawiającym się na śmierć... Albo o tacie, leżącym twarzą w dół... Albo - zdarzało się czasem i tak - o nich obu, martwych albo dożywotnio okaleczonych z powodu jej głupoty. O, litościwe nieba.

- Albo raczej zajmie się tym Westhaven - zastanawiał się dalej Deene - bo Jego Książęca Mość nie będzie chciał włączać się w skandal na tym etapie życia. Wszyscy twoi bracia są doskonałymi strzelcami. Podejrzewam, że mogą wybrać lorda Vala, bo pobyt we Włoszech zwykle dobrze wpływa na znajomość fechtunku.

Żuł chleb, podczas gdy Eve powoli dochodziła do wniosku, że nie ma na świecie gatunku, który byłby bardziej uparty od honorowego angielskiego dżentelmena władającego parą pojedynekowych pistoletów - albo szpad, rapierów i innych takich narzędzi.



I to ona jest przyczyną całej tej absurdalnej sytuacji. Co tu robić?!

Posprząтали kuchnię i salon, układając poduszki tak, by nie widać było śladów błota, które pozostawiły jej buty. Wykonując proste, przyziemne czynności, zaczęła sobie uświadamiać, że gdy poprzednim razem kompletnie straciła rozsądek i poczucie przyzwoitości, konsekwencje były katastrofalne.

Tym razem, jeśli wyjdzie za Lucasa Denninga, czeka ją podobna katastrofa.

A jeśli za niego nie wyjdzie, będzie jeszcze gorzej.

Kiedy stajenny wyprowadził Grendla, zaprzęzonego do turkoczącego po żwirze powoziku, Deene przywiązał Bestię z tyłu i podsadził Eve na ławeczkę dla powożącego. Usiadł obok niej, ale nawet nie dotknął lejc.

Nie zamierzała powozić. Chyba zwariował, jeśli myślał, że ona da sobie z tym radę w obecnym stanie ducha. Grendel tupnął małym kopytkiem, wiedząc chyba, że jadą do domu, z powrotem na jego ulubione, trawiaste pastwisko.

- Deene, to niczego nie dowodzi.

- Nie jesteś bezradna, wiem to z najlepszego źródła. Do domu masz mniej niż dwie mile, po dobrych drogach. Znasz teren jak własne łóżko.

Jak własne łóżko. Dać mu kuksańca, czy nie? Nienawidziła go, co do tego nie było dwóch zdań. Nienawidziła jego, swojego życia, tego dnia i samej siebie. Ale wzięła te lejce.

Jej Książęca Mość nigdy nie spacerowała po pokoju, nie obgryzała paznokci, nie zdradzała objawów niepokoju.

Książę obserwował, jak robi wszystkie te trzy rzeczy naraz, aż w końcu nie mógł już tego dłużej znosić.

- Esther, usiądź obok mnie. Należę ci herbaty i razem obmyślimy, co robić.

Zatrzymała się przy oknie ich prywatnego saloniku, wyprostowana jak trzcina, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Desperację zdradzało tylko napięcie ramion.

- Percival, byli w intymnej sytuacji. Wyczułam to. Wielki Boże...

Jeśli książę się nie mylił, przez ostatnich dwadzieścia minut wezwała imienia boskiego częściej niż w ciągu ostatnich dwudziestu lat -i to wszystko z powodu dwojga młodych ludzi, którzy zachowywali się dokładnie tak, jak wszyscy normalni młodzi od początku świata. Wziął ją za rękę, posadził na sofie i przysiadł się do niej.

- Kochanie, co cię aż tak zdenerwowało w tej sytuacji? Deene to honorowy chłopak. Jeśli Eve go chce, to nie ma żadnego problemu.

- Ale Eve... - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Wychowaliśmy dziesiątkę cudownych dzieci, Percivalu. Wiemy, co to rozpacz i żałoba.

Takie słowa były u niej niezwykle. Książę zaczął się niepokoić. Po ponad trzydziestu latach wspólnego życia wystarczały im spojrzenia i chwile milczenia, bez potrzeby wypowiedziania na głos tych wszystkich bolesnych rzeczy.

- Poznaliśmy też zachwyty i radość bez granic, Esther.

- Dwóch z nich pochowaliśmy, Percivalu.

Nie sposób było się z tym spierać, ale na litość boską, tylko dwóch. Większość rodzin przeżywała żałobę z powodu niemowląt, które nie dożyły pierwszych urodzin, starszych dzieci, które padały ofiarą choroby. .. tak jak on o mała nie padł.

- W dalszym ciągu mamy ich ośmioro, Esther, i choć nie wynagrodzi nam to straty Victora i Bartholomew, stanowi pewną pociechę, podobnie jak wnuki.

Skinęła głową, ale książę wiedział, że próbuje doprowadzić się do płaczu. Będzie to dla niego okropne, ale bez tego nie uda się zacząć normalnej rozmowy na temat ostatniego wysoku Eve.

- Percy, zawsze będę za nimi tęskniła, zawsze będę się martwić o pozostałych, ale Eve... Objął ją ramieniem.

- Mówi dalej, kochanie.

- Śmierć czeka każdego z nas, a dla Victora była niemal błogosławieństwem. Wiem, to samolubna opinia, byłam złą matką...

Takie absurdy wymagały natychmiastowego sprzeciwu.

- Nigdy w życiu nie byłaś złą matką, Esther.

- Ale Eve... Nasi dwaj synowie odeszli i to było straszne, ale Eve... Percy, to mi złamało serce i ciągle łamie. Płakałam nad nią

z żalu każdego dnia, kiedy leżała w tym łóżku i cierpiała na ciele i na duchu. Nigdy w życiu nie byłam tak wściekła, nigdy nie byłam tak zdesperowana jak wtedy, gdy widziałam, że nasza córeczka utraciła całą radość życia, całą energię i pewność siebie.

Ten okropny, straszny człowiek, którego przyjęliśmy pod swój dach i daliśmy mu pracę... chciałam go zadusić gołymi rękoma. Chciałam w niego wycelować pistolet. Prosto w niego. Chciałam oblać go gorącym olejem i patrzeć, jak płonie...

Kochał w niej tę dzikość, ten pierwotny instynkt, który nakazywał jej bronić wszystkich, których kochała.

Za to nienawidził jej załamania.

- Eve została zraniona, ale nie przegrała wojny, Esther. Jak długo ją kochamy, nigdy nie utraci danej od Boga woli walki. Jest Windha-mówną, zahartowaną w młodości straszliwym przeżyciem, jakiego jej rodzeństwo nie potrafi sobie nawet wyobrazić. W końcu zwycięży.

Księżna zerwała się na nogi i podeszła do okna.

- Nie uda jej się. Nie dostrzeże, że los podsuwa jej szansę na radość i szczęście, na które zasługuje. Będzie się dręczyć, a Deene jest zbyt wielkim dżentelmenem, by ją zmusić do małżeństwa. Siedziała na jego kolanach, Percy, i obejmowała go nogami...

Ojcowie nie powinni wyobrażać sobie takich rzeczy, choć księżę pozwolił sobie na cień zadowolenia z faktu, że jego dziecko przejęło inicjatywę nawet w takiej chwili. Młody Deene prawdopodobnie nie miał żadnych szans.

- To znaczy, że jej do niczego nie zmuszał, Esther. Jest dorosła i dokonała wyboru.

Księżna uniosła brwi.

- To jest jakiś argument.

- To jest bardzo znaczący argument. Zamyśliła się.

- O ile pamiętam, pewnego dnia ty też się doigrałeś i uraczyłam cię podobnym argumentem.

O tak, pamiętał tamten dzień. To były nieliczne igraszki.

- Właśnie, kochanie. Chodź tu i napij się herbaty. Musimy omówić naszą strategię.

Trudno było siedzieć obok Eve, nie dotykając jej.

Ale siedzieć obok niej i nie przekonywać jej do swoich racji? Z napięcia zaciskał zęby i pięści, recytując w pamięci *Ojciec nasz* po łacinie, grecku, francusku i niemiecku.

Ślub z Eve byłby doskonałym wyjściem. Kiedy zastanawiał się nad tym ostatnio, nie krążyły o nim plotki, które kazały Mildred Staines wpatrywać się w jego spodnie, a bywalcom klubów witać jego wejście chłodną ciszą. Teraz to małżeństwo wydawało się nie tylko sensowne, ale także po prostu niezbędne, dla nich obojga.

Lista argumentów, które za tym przemawiały, obracała się w jego myślach szybciej niż koła pojazdu, który wiozł ich na rozmowę z jej księżęcymi rodzicami.

Oboje mieli równą pozycję społeczną.

Dzielili podobne upodobania.

Ich ziemie sąsiadowały ze sobą.

Pasowali do siebie pod każdym względem - praktycznym i intymnym.

On musiał się dobrze ożenić, a Eve potrzebowała dobrego męża, dzieci i kochającej rodziny, bo jej się to należało. Dałby jej tyle dzieci, ile by chciała, i to z radością.

Białe małżeństwo, na litość boską...

Gdy Eve skrzywiła w alejkę prowadzącą do pałacu Morelandów, doszedł do wniosku, że w jakiś pokrętny, niepojęty, kobiecy sposób Eve próbuje chyba zwolnić rodzinę z konieczności troszczenia się o nią i ukarać siebie samą, pakując się w to idiotyczne białe małżeństwo. Nie mógł się na to zgodzić. Zasługiwała na coś o wiele lepszego. Zasługiwała na szczęście rodzinne i prawdziwy dom, i na więcej, ze względu na... ze względu na wszystko.

Zajechała powozikiem pod dom, a potem do stajni. Powoziła bez zarzutu. Wiedział, że tak będzie.

- Nie musisz wchodzić do środka, Lucas.

- Chciałbym pożyć dłużej niż tydzień, więc nie mogę cię tam puścić samej.

Skrzywiła się lekko, co dało mu cień nadziei, że jedyny plan, który udało mu się obmyślić, może się powieść. Nie miał szans, by przekonać

ją, że będą do siebie świetnie pasowali, ale za to mógł ją postraszyć, żeby zgodziła się na ślub.

Teraz z kolei on się skrzywił na tę myśl. Pomógł jej wysiąść z po-woziku, gdy stajenny przytrzymał kuca, żeby odprowadzić go do boksu. Stali we dwójkę na dziedzińcu stajni. Trzymał ją mocno w talii, żeby nie uciekła.

- Powtarzam raz jeszcze, lady Eve, nie masz za co przepraszać ani z czego się tłumaczyć. To ja cię wykorzystałem i ja poniosę konsekwencje.

- Cicho bądź. Jestem już wystarczająco wściekła na ciebie i na siebie.

Wzięła go pod rękę i ruszyła stanowczym krokiem, niemal ciągnąc go w stronę domu.

Chciała wsunąć się bocznym wejściem, ale poprowadził ją ku frontowym drzwiom, prowokując westchnienie o sile huraganu.

- Trzeba zacząć we właściwy sposób, a wtedy wszystko pójdzie zgodnie z planem, Eve.

- Nie ma żadnego planu, Lucas. Nie wyjdę za ciebie. Ojcu nawet przez myśl nie przejdzie, żeby cię wyzwać, więc moi bracia ci nie zagrają. Przecież my nawet nie...

Machnęła ręką.

- Księżna ma na ten temat inne zdanie.

Znowu się skrzywiła. Więc znowu obrócił nóż, tkwiący w jej czułym sumieniu.

- Lady Jenny też.

Zatrzymała się na najwyższym stopniu przed drzwiami, na nowo skonsternowana.

- O Boże... Jenny. Kochana, słodka...

Co się stało, to się nie odstanie, a Deene nie mógł chwycić ukochanej w ramiona na eleganckim podeście jednego z najbardziej szacownych pałaców w całym hrabstwie.

Drzwi frontowe otworzyły się szeroko, ale nie stał w nich major-domus. Widać nawet zaufanej służbie nie pozwolono być świadkami nadchodzącej konfrontacji. Drzwi otworzył im sam książę. Błękitne oczy rzuciły błyskawice, twarz zastygła w maskę nieprzebieganej, ledwo hamowanej furii.

- Młoda damo, pójdiesz natychmiast do salonu, gdzie czeka twoja matka.

A Deene miał tak po prostu zostać na schodach, wydany na pastwę niepewności?

- Wasza Książęca Mość, proszę dać nam szansę wytłumaczenia się z tego, co się stało...

- A ty, sir! - Jego Książęca Mość nie zwykł był przyciszać głosu nawet w chwilach, gdy dyskrecja byłaby mile widziana. Wszyscy jego bliscy doskonale o tym wiedzieli. Grymas na twarzy stojącej obok Eve pogłębił się.

- Wasza Wysokość, nerwom lady Eve szkodzą takie wybuchy, choć przyznaję, że książę ma wszelkie powody, by być na mnie gniewny.

Książęce brwi podjechały do góry.

- Mam wszelkie powody, żeby cię zabić, młody człowieku. Krzywda, jaką uczyniłeś, jest niewybaczalna i niewytłumaczalna, i nic jej nie wynagrodzi mojej córce.

W tym momencie Eve powinna postąpić o krok do przodu i powiedzieć, że właśnie się zaręczyli, że to była tylko niedyskrecja, raczej pomyłka niż grzech. A już na pewno nie skaza na honorze damy.

Książę zmierzył córkę spojrzeniem, gdy cisza się przedłużała. Deene miał ochotę przyklęknąć przed tą przekłętą kobietą i błagać ją, żeby za niego wyszła.

- Puść moją córkę, Deene.

Eve odsunęła się od niego i zniknęła w drzwiach. Książę odczekał, aż echo jej kroków ucichnie, a potem rozejrzał się wokół.

- Chodź, młody człowieku. I przestań się tak srożyć. Jej Wysokość za żadne skarby nie będzie karcieć Eve za winę, którą możemy złożyć wyłącznie u twoich, skądinąd foremnych i dobrze obutych, stóp.

Czyżby wzrok księcia co nieco zmięknął? Deene nie odważyłby się dać za to głowy.

Gdy Jego Książęca Mość prowadził go do swoich pokoi na piętrze, Deene spostrzegł, że nigdzie nie było lokajów, pokojówek ani innych ciekawskich uszu.

- Uważam, Wasza Książęca Mość, że powinieneś mnie wyzwąć na pojedynek.

Moreland otworzył drzwi do swego gabinetu i wszedł pierwszy. Zamknął je starannie, odwrócił się i bez ostrzeżenia strzelił Deene'a prosto w twarz, aż trzasnęło.

- Może rzeczywiście będę cię musiał wyzwać, Deene. Rozegrajmy to więc przekonywająco, dobrze?

- Mamo, nie możesz pozwolić, żeby papa zrobił coś nieprzemysłanego.

Eve stała przy oknie ze skrzyżowanymi rękami, wyprostowana jak trzcina, dzielnie zadzierając podbródek.

Dzielny żołnierz był z tej ich małej dziewczynki.

Księżna usiadła na sofie, przy stoliku z nakryciem do herbaty.

- Szczerze mówiąc, nie przypisywałabym twojemu ojcu winy za dzisiejsze nieprzemysłane zachowania.

- Ale Luc. - Eve zacisnęła zęby i zamilkła na czas potrzebny do napełnienia filiżanki herbatą. - Deene też nie jest winny. Nie może być żadnego pojedynku.

- Czy to znaczy, że mam ci pogratulować zbliżającego się ślubu? Kolejna chwila milczenia. Księżna posłodziła herbatę i dołała do niej śmietanki.

- Oczywiście, że nie. Przecież wiesz, że nie mam zamiaru wychodzić za mąż.

- Wypij herbatę, Eve. Nie wiedziałam o tym. Bywałaś na balach, wielu kawalerów ci się oświadczało. Czas się ustatkować i urodzić dzieci.

Księżna bezgranicznie ufała taktyce swojego męża, ale z trudem mogła sprostać postawionemu jej zadaniu. Szczególnie, gdy w oczach Eve lśniła taka determinacja.

- Mamo... - Eve wpatrywała się w pusty kominek. - Ja nie... Ja nie mogę...

Esther podała jej filiżankę. Serce jej pękało, gdy słuchała, z jakim trudem córka próbuje wyrzucić z siebie słowa, które czekały na to siedem długich lat.

- Napij się, kochanie. Jeśli nie zdecydujesz się na ślub, musimy się przygotować na serię pojedynków.

Eve z brzękiem odstawiała filiżankę na spodek.

- Na serię...!

- Nie muszę ci mówić, że ksiązę jest staromodnym człowiekiem, jeśli chodzi o honor dam. Twoi bracia są jeszcze większymi konserwatystami niż on.

- Mamo, jak możesz tu siedzieć i popijać herbatę, i mówić o takich strasznych rzeczach, jakby... jakby... Przecież ktoś może zostać ranny, ktoś może nawet zginąć.

- To by było straszne. - Esther upiła łyk herbaty, modląc się w duchu, by Percy'emu łatwiej poszło z Deene'em.

- Nie mogę wyjść za Lucasa Denninga. - Eve pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. - Po prostu nie mogę, mamo.

Książę przekonał ją wcześniej, że, jak sama widziała, Eve bynajmniej nie wzdragała się przed intymną stroną małżeństwa - mężczyźni potrafią być tacy bezpośredni! - dzięki czemu sprawy przedstawiały się w zupełnie innym świetle.

- Jeśli potrafisz w biały dzień zadawać się na kanapie z mężczyzną, Eve Windham, to obawiam się, że nie masz racji. Możesz za niego wyjść, tylko nie chcesz.

Eve popatrzyła na nią nie jak grzeczna, skłopotana, udręczona córka, tylko jak dorosła kobieta, która gorzko żałuje sytuacji, w jaką się wplątała.

- Tak, mogę za niego wyjść. Tylko nie chcę. Czy to się liczy, że oświadczył mi się już dwa razy, a ja go odrzuciłam?

Esther zapatrzyła się we wnętrze filiżanki. Od dłuższego czasu miała wrażenie, że Deene był całkiem poważnie zainteresowany jej córką. Z trudem powstrzymała się od okazania zadowolenia, że miała rację. Dwukrotne oświadczenia w tak krótkim czasie dowodziły sporego zapału.

- Twoje odmowy nie mają znaczenia. Deene powinien najpierw porozmawiać z twoim ojcem, a dopiero potem zdradzić ci swoje intencje.

- Mamo, nie jestem dzieckiem, do którego można się zwracać tylko za pozwoleniem ojca.

- Owszem, nie jesteś dzieckiem, ale zachowujesz się dziecinnie. Odmowa przyjęcia bardzo korzystnej propozycji zagrozi życiu twojego ojca, a może nawet i braci, oraz w znacznym stopniu zrujnuje wszelkie szanse Jenny na założenie rodziny. Dało się zauważyć, że nie wstydzisz



się wypełniania małżeńskich obowiązków, Eve, a to był jedyny sensowny argument, jaki mogłabym zaakceptować. Jesteś więc po prostu uparta. Nie odpowiada mi to.

Ostatnie zdanie było czystym okrucieństwem. Sugerowało brak akceptacji zachowania córki, co nie odpowiadało prawdzie. Esther nigdy jej nie potępiała. Ale karać przez siedem lat siebie - i przy okazji rodziców - za jeden, zrozumiały poniekąd, błąd, to o wiele za długo.

- Nienawidzę tego dnia.

- Ale nie Deene'a.

Te słowa pogłębiły smutek w oczach Eve.

- Bardzo go lubię. Zależy mi na nim, ja...

Księżna pozwoliła, by cisza wybrzmiała w miejsce słów, które -gdyby zostały wypowiedziane - zaskoczyłyby nawet samą Eve.

- Jeśli rzeczywiście ci na nim zależy, to chyba nie powinnaś narażać jego życia dla głupiego kaprysu, prawda?

Esther udawała, że popija herbatę i patrzyła, jak Eve opuszcza wola walki.

- Narażam życie Deene'a, papy, moich braci... - Zapadła się w sobie. - Ale nie mogę tego zrobić, a Deene nigdy się nie zgodzi na moją ucieczkę na kontynent i ukrywanie się tam przez parę lat.

- Naprawdę byś tak zrobiła?

Percy'emu nie przyszło do głowy, że Eve mogłaby uciec i gdzieś się ukryć, ale księżna rozważała taką możliwość całkiem na serio.

- Nie, nie zostawicie mnie w spokoju w jakiejś sielskiej francuskiej wiosce, bo ci idioci, moi bracia, obwiniają o to Deene'a i będą go napastować, niezależnie od tego, co bym zrobiła albo powiedziała. Wszyscy pomyślą, że wyjechałam z kraju, żeby urodzić jego dziecko, i los Jenny zostanie przypieczętowany.

- Masz absolutną rację.

Eve opadła na poduszki, a Esther pozwoliła sobie na ostrożny płomyk nadziei. - Jeśli chcesz, załatwimy specjalną licencję, a ślub odbędzie się tutaj. Wszystkie debiutantki będą ci zazdrościć tego związku.

- Jak sobie Wasza Książęca Mość życzy.

Wasza książęca Mość. Chłód, wiejący od tego zwrotu, sprawił, że Esther zwątpiła w mądrość planu Percy'ego.

- To twój ślub, Eve, powinnaś...

Ale Eve wstała już z sofy i była w połowie drogi do drzwi.

- Przepraszam Waszą Księżęcą Mość. Potrzebuję chwili samotności. Otworzyła drzwi. Esther zamierzała pozwolić jej wyjść bez słowa, ale w progu stał już książę i... narzeczony Eve, którego prawy policzek był znacznie bardziej zaczerwieniony od lewego.

Ojciec miewał napady złego humoru, wrzeszczał, bez przerwy wyklinał członków Izby Lordów i Prinny'ego, zżymał się na sposób traktowania starego, chorego psychicznie króla, ale nic, co Eve widziała wcześniej, nie przygotowało jej na lodowate spojrzenie zupełnie obcego człowieka, który stał obok Deene a.

Wiedziała, że książę służył w kawalerii, że przeżył kanadyjskie zimy, ataki wilków i jeszcze gorsze rzeczy, ale to jego spojrzenie...

Pierwszy raz w życiu Eve Windham przestraszyła się własnego ojca. Nie bała się, że mógłby ją skrzywdzić, ale tego, że nie cofnąłby się przed niczym, by ją bronić, nawet jeśli ta ochrona byłaby zupełnie absurdalna.

Odsunęła się, bo książę wpadł do pokoju jak bomba. Deene szedł o kilka kroków z tyłu.

Książę go spoliczkował. Takie uderzenie w kontekście pojedynku oznaczało, że żadne przeprosiny nie mogą już naprawić sytuacji. Do rozlicznych nieszczęść dręczących Eve dołączyły się początki migreny.

- Eve. - Książę obrzucił ją lodowatym spojrzeniem. - Deene ma ci coś do powiedzenia. Radzę ci go wysłuchać, ale zważ, że żadne jego przeprosiny nie naprawią ujemy, jaką dziś wyrządził mnie osobiście i mojemu domowi. Wasza Księżęca Mość - zwrócił się do żony, podając jej ramię. - Masz dziesięć minut, Deene. Proponuję, żebyś je spędził na kolanach, na modlitwie, jeśli nie stać was na nic innego.

Wyszli z godnością, zostawiając ją samą z człowiekiem, który miał wszelkie powody, by uznać ją za idiotkę albo jeszcze gorzej.

- Nie tutaj. - Deene ujął ją za rękę i doprowadził do balkonowych drzwi. - Postawili lokaja w korytarzu, a to, co mamy sobie do powiedzenia, jest naszą prywatną sprawą.

Poprowadził ją do ogrodu, co trochę zmniejszyło klaustrofobiczny ucisk, dławiący jej pierś. Kiedy szli wśród tulipanów i hiacyntów,

mimo otepienia zauważyła, że dłoń Deene'a jest ciepła i sucha, a nie zimna i wilgotna jak jej własna.

- Siadaj - wskazał jej ławeczkę za żywoplotem. Róże rosnące obok okryły się już liśćmi, ale ciasno zwinięte pączki jeszcze się nie rozwinęły. Kiedy usiadła, usadowił się obok i znowu wziął ją za rękę.

- Jak poszło? - wykrztusiła.

- No cóż. - Zrobił coś dziwnego. Rozprostował jej dłoń i ucałował wnętrze. - Pocałunek na odwagę. Książę dał mi trzy dni na powiadomienie sekundantów. Anthony jest w Londynie, mam nadzieję, że Kesmore zgodzi się wystąpić jako drugi. Jego Książęca Mość wybrał Rothgreba i Sindala. Uzgodniliśmy, że chirurgiem będzie Fairly.

Jednym słowem, zaplanowali małe, sympatyczne morderstwo w ścisłym rodzinnym gronie.

- Trzy dni?

- Trochę biblijny termin, ale uznaliśmy obaj, że trzeba zamknąć sprawę przed rozpoczęciem sezonu.

Uzgodnili to. Uzgodnili coś koszmarnego, ale Eve była jeszcze gorsza, bo pozwoliła im na to.

- Deene, gdybym za ciebie wyszła, czekałoby cię większe rozczarowanie, niż możesz sobie wyobrazić.

Miała nadzieję, że przemówi mu do rozsądku.

- Wolałbym mimo wszystko być rozczarowany niż martwy, ale rób, jak uważasz. Nie mogę ci obiecać, że twój ojciec strzeli w powietrze, Eve, choć ja na pewno to zrobię. Poza tym nie postawił żadnych ograniczeń, więc twoi bracia też na pewno mnie wyzwą, a żaden z nich nie zwykł pojedynkować się na darmo.

Oznaczało to, że Eve czterokrotnie postawi Deene'a przed plutonem egzekucyjnym. Poza tym nikt nie powstrzyma jej szwagrów, gdyby też chcieli przyłączyć się do zabawy. Nie pamiętała, żeby jej ojciec z czegoś się wycofał, choćby raz w życiu, Bracia byli tacy sami jak on.

A ona... Też okazała się potwornie, morderczo uparta. Żaden z nich nie tknąłby Deene'a palcem, gdyby przyjęła jego oświadczenia. Nagle błysnęła jej iskierka nadziei. A może Deene w noc poślubną nie zauważy, że ona nie jest dziewicą?

Na pewno zauważy. Nie jest głupi ani niespostrzegawczy.

- Chciałbym ci coś obiecać, Eve Windham. Właściwie nawet kilka rzeczy.

- Tylko nie składaj mi tu żadnych przysiąg. Nie znoszę tego.

- Jeśli za mnie wyjdiesz, skonsumujemy związek zgodnie z prawem, żeby mieć to z głowy. Potem nie będę żądał od ciebie niczego do chwili, aż sama powiesz, że chciałybyś ze mną współżyć jak z mężem.

Spojrzała na niego. Jego policzek przybrał już normalną barwę.

- Jedna noc, a potem zostawisz mnie w spokoju?

- Nie całkiem. Dla zachowania pozorów będziemy razem mieszkać, dzielić pokoje i jadać razem śniadanie. W towarzystwie będziemy robić do siebie słodkie oczy i zalecać się do siebie na przyjęciach, ale nie będę cię do niczego zmuszał.

Maleńki, chwiejny płomyk nadziei rozgorzał nieco mocniej. Ten plan dawał jej szansę uniknięcia katastrofy. Nie wiedziała, skąd u niego ta idiotyczna szczodrość. Zresztą, bardzo możliwe, że po nocy poślubnej nie będzie chciał z nią mieć nic wspólnego.

- A jeśli nigdy się nie okaże, że interesuje mnie małżeńskie łóżko?

- Nigdy to bardzo długi czas, a ja jestem stanowczy i bardzo mnie pociągasz. Poza tym potrzebuję dziedziców i jestem pewny, że mi ich nie odmówisz. Płomyk prawie zgasł. Oczywiście, potrzebował dziedziców.

- To niesprawiedliwe, Lucas.

Jeśli nie liczyć faktu, że on zdobył się na kompromis, a Eve praktycznie naładowała cztery pistolety i wymierzyła je w jego pierś.

- Przecież masz dziedzica.

- Który jest nieżonaty, starszy ode mnie i z powodów, o których nie będziemy teraz dyskutować, nie jest odpowiednim kandydatem do małżeństwa. Zapewnienie sukcesji jest moim obowiązkiem, Eve. Zbyt długo się od niego wymigiwałem.

Zostało jej co najmniej dziesięć lat na rodzenie dzieci. Może nawet dwadzieścia. Czy uda jej się przebrnąć przez te lata u boku tego człowieka? Zawsze był dla niej taki życzliwy.

To może być równie dobrze okres nieznośnie długiej żałoby po nim, jeśli wydarzy się najgorsze.

- Możemy wziąć ślub na twoich warunkach, że po nocy poślubnej nie będziesz korzystał ze swoich praw, jeśli nie będę miała na to

ochoty. Tylko nie miej pretensji, że cię nie ostrzegałam, jeśli będziesz na siebie wściekły za tę decyzję i jeśli mnie znienawidzisz.

- Nigdy cię nie znienawidzę. I nie będę na siebie wściekły za tę decyzję. Przysięgam ci to uroczyście.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do niego jej głowę. Siedzieli wśród kolczastych róż już jako para narzeczonych.

Deene obejmował swoją narzeczoną na twardej ławce skąpanej w promieniach wiosennego słońca. Ogarnęła go fala ulgi, nieproporcjonalnej do sytuacji. Jego Książęca Mość okazał się sprytny jak lis, praktyczny i znacznie bardziej zainteresowany szczęściem swojej córki niż morderstwem w imię honoru.

- Jesteś pierwszym mężczyzną, któremu Eve od czasów wejścia w towarzystwo pozwoliła na coś więcej niż obwąchanie skraju jej sukni, Deene. Jeśli cię zechce i jeśli będę musiał, podam cię jej na tacy gotowego do schrupania jak pieczony półgęsek.

Napili się po dobrze zasłużonym kieliszku, a potem Deene wysłuchał planów genialnej w swej prostocie kampanii, jaką w międzyczasie uknuł stary wiarus. Rodzina Eve znowu zebrała się pod jej sztandarem, choć ona nawet tego nie zauważyła.

- Pójdziemy już, Eve? Jeśli nie pojawimy się w domu za pięć minut, ojciec wyśle po nas uzbrojonych zwiadowców.

Skinęła głową i wstała, trzymając go za rękę. Była tak blada, że widział piegi na jej nosie. W jej oczach dostrzegł ten sam ból, co wiele dni przedtem.

- Jakoś to przetrzymamy, Eve. Nie będzie aż tak źle, obiecuję.

- To?

Nie przypuszczał, że jej twarz może być aż tak pozbawiona wyrazu.

- Rozmowa z twoimi rodzicami, zaręczyny, ślub. Nic. Nie skrzywiła się, nawet nie skinęła głową.

Wrócili do salonu. Księżna siedziała na sofie, obok stolika z zastawą do herbaty, a książę stał oparty o kominek i taksował ich gniewnym spojrzeniem.

Eve usiadła obok matki. Deene nadal stał.

- Wasze Książęce Mości, z przyjemnością informuję, że lady Eve przyjęła moje oświadczenia.

Chwila ciszy. Podejrzał, że księżę potrzebował jej, by ukryć ulgę.

- Ja również się cieszę - odpowiedziała cicho księżna. - Bardzo, bardzo się cieszę. Witaj w rodzinie, Lucasie.

Księżę sapnął donośnie.

- W takim razie poślę po specjalną licencję, a wy oboje odbędziecie obowiązkowe spotkanie z pastorem. Księżno, rozumiem, że zajmiesz się zaproszeniami. Mam wrażenie, że Sophie i jej baron zjawią się dziś na kolacji, żeby świętować tę okazję razem z nami. Możliwe, że przyjadą z dziećmi, bo pogoda się poprawia.

Deene patrzył na Eve, kiedy jej ukochany papcio z powrotem zmieniał się z rozgniewanego patriarchy w troskliwego ojca. Wciąż była blada i widać było napięcie w jej oczach. Zaryzykował, obserwując uważnie jej reakcję.

- Wasze Książęce Mości, nie ma potrzeby zdobywania specjalnej licencji.

Brwi księżnej podjechały do góry, a z twarzy księcia odpłynęła jowialna wesołość.

- Co to ma znaczyć, że nie ma potrzeby, Deene?

- Oznacza to, że pomimo tego, co wydaje się Jej Wysokości, wcale nie musimy się śpieszyć. Wolałbym, i wydaje mi się, że Eve też, mieć kilka tygodni na ogłoszenie zapowiedzi, zaplanowanie ceremonii i przygotowania do ślubu. W ten sposób wszyscy będą mieli wspaniały początek sezonu i przyzwyczają się do nowych okoliczności.

Rzucił starszemu mężczyźnie znaczące spojrzenie, pragnąc, żeby zrozumiał, że nowe okoliczności w kontekście małżeństwa oznaczają ustalenia finansowe, a te z kolei oznaczają konieczność negocjacji. Do negocjacji potrzebni są prawnicy, więc trzeba przeznaczyć co najmniej kilka tygodni na ich pokrętne machinacje.

- Evie? - Jego Wysokość spojrzał pochmurnie na córkę. - Co o tym myślisz? Moim zdaniem Deene ma rację. Lepiej, żeby nikt nie pomyślał, że zostaliśmy postawieni pod ścianą.

- Zgadza się z Deene'em - przytaknęła księżna. - Kilka tygodni da nam więcej czasu na przygotowania i więcej przyjemności.

- Wolałabym, żebyśmy dali na zapowiedzi - powiedziała Eve. - Nie ma potrzeby się śpieszyć, Deene ma rację.

Książęca para wymieniła nieco zdziwione spojrzenia, ale Deene niemal słyszał, jak stwierdzają w myśli, że trzytygodniowy wcześniak nie będzie żadnym problemem.

- W takim razie należy odpowiednio oblać tę okazję - stwierdził książę, któremu wrócił dobry humor. - Mamy jeszcze w piwnicy kilka butelek rocznika osiemdziesiątego dziewiątego, który powinien okazać się godny tej chwili.

- Czy z całym szacunkiem mógłbym odmówić temu zaproszeniu, Wasza Książęca Mość? - Deene przeszedł przez salon i podał Eve dłoń. - Lady Eve pewnie przydałby się moment prywatności, a ja z przyjemnością odprowadzę ją na górę.

W oczach Eve błysnęła zauważalna ulga, co oznaczało, że przynajmniej jedną rzecz zrobił dobrze w ciągu tego szalonego dnia. To było pocieszające. Milczała, gdy prowadził ją przez dom, milczała, gdy zatrzymał się przed drzwiami jej sypialni i wziął ją w ramiona.

Westchnęła, ale, ku jego zadowoleniu, objęła go w talii.

- Czemu wzdychasz, kochanie?

- To wszystko wydarzyło się zbyt szybko i wcale się z tym nie pogodziłam. Lubię cię, Lucas, bardzo cię lubię...

Argumenty, jakimi niewątpliwie zamierzała sypnąć, zmieniły się w kolejne westchnienie, gdy zaczął masować jej szyję.

- Ja też cię bardzo lubię, więc jakoś sobie damy radę, Eve. Uwierz mi. Zajrzę do ciebie jutro, przed wyjazdem do Londynu, i mam nadzieję, że do mnie wyjdiesz. Nie zostawisz mnie samego, żebym w pojedynkę odbierał te wszystkie gratulacje.

Im dłużej rozcierał napięte mięśnie szyi, tym mocniej się o niego opierała. - Daj mi tydzień, Lucasie.

- Zrób coś dla mnie.

Powoli stawała się ciepłą, bezwładną masą kobiecości, która ogarniała go swym ciepłem. Efekt był równie przewidywalny, jak niemoralny.

- Co takiego?

- Wybierz się na przejażdżkę. Zaprzęgnij tego malucha, który cię dziś woził, albo weź jednego z tych wielkich zwierzaków twojej siostry, ale nie tkwij tutaj, doprowadzając się do hysterii. Wyjedź w świat, Eve Windham. Ciesz się słońcem, objeżdż sąsiadów z dobrą

nowiną albo pozwól, żeby księżna cię obwiozła, ale potem weź lejce we własne dłonie, i to szybko.

Odsunęła się odrobinę i spojrzała na niego.

- To dziwna prośba, ale na pewno ją spełnię.

- I w dodatku jedyna, jaką ode mnie usłyszysz, przed wyjazdem do Londynu.

Zamrugła.

- Ból głowy mi przeszedł.

Potrafił ją uleczyć z migreny... i bardzo go lubiła.

Pocałował ją w policzek, poczekał, aż wejdzie do pokoju, a potem zszedł na dół posmakować tego wina, o którym wspominał książkę.

Eve zgodziła się wybrać na przejażdżkę. To naprawdę należało uczcić.

Zdaniem oddanej, kochającej młodszej siostry małżeństwo niesłychanie służyło Maggie Windham Portmaine. Eve dostrzegła w niej miękkość, ciepło spojrzenia, łagodność, których w niej nie było, zanim hrabia Hazelton nie uczynił z niej swej małżonki.

Mimo wszystko rozmowa, jaką Eve chciała z nią przeprowadzić, była pewnie najtrudniejszą w jej życiu.

- Jestem zachwycona, że usidliłaś Deene'a, Evie. Jest więcej niż przystojny i od dawna podejrzewałam, że darzy cię specjalnym uczuciem.

- Oczy Maggie błysnęły w uśmiechu, cudownie kontrastując ze wspaniałą grzywą rudych włosów.

- Przynajmniej oszczędziłaś sobie zachwytów nad bliskością Denning Hall i Morelands, przyjaźnią Deene'a z St. Justem i Bartem oraz równą naszej pozycją społeczną.

Wielkie nieba, nie zamierzała powiedzieć tego tak niechętnym tonem.

Maggie odstawiła filiżankę i otaksowała siostrę wzrokiem.

- Czy to małżeństwo ci odpowiada, Eve? Jeśli nie chcesz wychodzić za mąż, zawsze możesz zamieszkać u nas. Benjamin już się zgodził, na ciebie albo na Jenny, w każdej chwili. Cumbria na pewno by ci się spodobała.

Zamieszkać u nich? Nurzać się w małżeńskim szczęściu pary, która związała się pomimo licznych przeszkód, osiadła na włościach



i błyskawicznie dochowała się potomka? Przynajmniej tego Deene jej oszczędzi.

- Cieszę się, że za niego wychodzę, ale nie przyjechałam tu rozmawiać wyłącznie o ślubie.

Maggie uśmiechnęła się chytrze.

- Pewnie, że nie. Po co rozmawiać, kiedy wspaniały pierścionek mówi sam za siebie?

Eve spojrzała na pierścionek, który Deene dał jej następnego dnia po tym... po tym wszystkim. Teraz w jej życiu były dwa kamienie milowe: wypadek i tamten dzień.

- To rodowy klejnot Denningów, nie należy do mojego osobistego majątku.

Pierścionek był śliczny. Zielone szmaragdy w delikatnej, złotej oprawie nie pomniejszały jej dłoni. Deene założył go jej na palec i szepnął, że resztę kompletu dostanie po nocy poślubnej.

Prawie jakby mieli naprawdę...

- Jeśli nie przyjechałaś pochwalić się pierścionkiem i wspaniałym połowem, to zdradź, co to za ważny temat chciałabyś ze mną omówić?

Eve spojrzała na półotwarte drzwi i zebrała się na odwagę, by wstać i je zamknąć, ale właśnie wtedy do środka zajrzał mąż Maggie.

- Mogę wam przerwać na chwilę?

- Meżu. - Maggie wstała i objęła Hazeltona w tali serdecznym, naturalnym ruchem. Eve dołala sobie herbaty.

- Witaj, Benjaminie. Dobrze wyglądasz.

Dobrze, korzystnie, jak zadowolony człowiek, spokojnie promieniujący szczęściem, zupełnie jak jego żona.

Eve znowu miała ochotę roztrzaskać imbryk o ścianę.

- A ty wyglądasz na zaręczoną. - Hazelton na moment odszedł od żony, żeby pocałować Eve w policzek. - Nie muszę ci mówić, że Deene jest doskonałym kandydatem na męża, Eve Windham. Kto jak kto, ale ja dobrze o tym wiem.

Deene zaangażował się w jakąś sprawę, która stała na przeszkodzie związkowi Maggie z Benjaminem, ale Eve nie знаła szczegółów. Może, kiedy wezmą ślub...

Chyba jednak raczej nie.

- On o tobie też bardzo dobrze mówi, Benjaminie. Mamy zostawić dla ciebie ciasteczka czy wychodzisz?

- Umówiłem się na lunch w klubie z moim kuzynem Archerem, więc dziękuję. Opychajcie się nimi same. Najdroższa, wróce, żeby pojechać z tobą na przejażdżkę, jeśli będziesz miała ochotę.

Wymienili spojrzenia, które mówiły, że propozycja przejażdżki nie budzi w Maggie szczególnego zachwytu. Eve zjadła dwa ciastka jedno po drugim, kiedy Maggie wyszła na moment, żeby odprowadzić męża do wyjścia.

- Możesz zamknąć drzwi - powiedziała Eve po powrocie siostry.  
-Chciałam ci zadać delikatne pytanie w imieniu mojej przyjaciółki.

Maggie zamknęła drzwi i z powrotem usiadła na sofie.

- Pytaj. Jeśli będę znała odpowiedź, to ci powiem, ale jeśli chodzi ci o noc poślubną, to od razu zapewniam cię, że będzie cudownie. Te idiotyczne plotki, które krążą wśród debiutantek, są tylko plotkami.

Cudownie? Eve zobaczyła przed oczyma postać Canby'ego, z ręką uniesioną do ciosu.

Przypomniała sobie, jak bolały ją plecy, kiedy przeciskała się pod podnoszonym do góry oknem, a potem jak siodłała klacz w bladym świetle przedświt, trzęsącymi się rękami, z żołądkiem wywracającym się na nice.

Teraz jej ręce nawet nie zadrżały na to wspomnienie. Chyba coś się jednak zmieniło...

- Rzeczywiście, pytanie dotyczy nocy poślubnej, tyle że nie mojej. Jestem pewna, że Deene jest w tych sprawach jak najbardziej kompetentny. - Jenny powiedziała to samo, gdy niepokoiłam się o ciebie.

Zniknęło następne ciasteczko, a Eve przebiegła w myślach wszystko, co Jenny mogłaby powiedzieć, po czym wkroczyła na jeszcze bardziej niebezpieczne terytorium.

- Moja przyjaciółka martwi się, że w noc poślubną jej mąż mógłby przeżyć rozczarowanie, gdyby zorientował się, że postąpiła niewłaściwie... tylko raz, wiele lat temu.

- Mógłby? - Maggie ściągnęła brwi. Eve zjadła ostatnie ciasteczko z czekoladową polewą. Te z migdałami też zaczęły jej się wydawać apetyczne.

Maggie zagryzła paznokiec.

- Obawia się, że on spostrzeże, iż kiedyś niewłaściwie postąpiła, choć zdarzyło się to wiele lat temu? Obawia się, że cielesny dowód jej czystości został bezpowrotnie utracony?

Prosto z mostu. Maggie, mimo że wyszła za mąż i szalała za swoim mężem, w dalszym ciągu potrafiła być szokująco bezpośrednia.

- Właśnie. Czy będzie mógł to poznać?

To ciężkie pytanie legło między Eve a jej siostrą w całej swojej brzydocie, tak jak leżało między Eve i jej nadziejami na spokojną przyszłość u boku Deene'a.

- Czy twoja przyjaciółka nie mogłaby się poradzić położnej? -Maggie wpatrywała się w imbryk, jakby nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego.

- Położne plotkują. Moja przyjaciółka jest pod baczną opieką rodziny, trudno by jej było nawet umówić takie spotkanie.

Poza tym nie starczyłoby jej odwagi.

- Benjamin wiedział - powiedziała cicho Maggie, wpatrując się w przestrzeń. - Zorientował się, że jest pierwszy, ale dopiero wtedy gdy...

- Dopiero gdy stał się tym pierwszym. Rozumiem. To nie była wymarzona odpowiedź na jej pytanie.

- Czy twoja przyjaciółka nie może porozmawiać ze swoim narzeczonym na osobności?

- Nieraz ją sama o to pytałam. Niezliczoną ilość razy.

- Nie chciałyby ujawniać tego zbyt wcześnie ani bez potrzeby, bo jeśli jej narzeczony źle to przyjmie, to będzie musiała odwołać ślub albo jej małżeństwo od początku będzie skazane na klęskę.

- Może wcale by tego źle nie przyjął, a twoja przyjaciółka zamartwia się na śmierć bez potrzeby.

Może. Jedno słowo, na którym zawisła cała przyszłość. Gdyby Eve odwołała ślub pod naciskiem Deene'a, to czy jej stuknięci bracia znowu zaczęliby czyścić swoje przeklęte pojedynkowe pistolety?

Może.

- W dalszym ciągu uważam, że powinna porozmawiać ze swoim narzeczonym, ale jeśli zostało niewiele czasu albo jeśli on się nie

zorientuje, że straciła cnotę, to może rzeczywiście nie miałyby to sensu.

Maggie wydeła wargi. Cisza przeciągała się, a Eve po raz kolejny próbowała się przekonać, że powinna szczerze wytłumaczyć Deeneowi, na czym dokładnie polega problem.

- Powiedz swojej przyjaciółce coś ode mnie. - Maggie w końcu poczęstowała Eve spojrzeniem starszej siostry - Powiedz jej, że kiedy będzie już zmęczona braniem wszystkich spraw na siebie, niezależnie od sytuacji, samotną walką, najlepszym oparciem okaże się pewnie jej narzeczony. Albo, jeszcze lepiej, mąż. Ta nauka nie przyszła mi łatwo, Eve Windham, a jeśli chcesz znać szczegóły, to Deene ma moją zgodę, żeby ci o nich opowiedzieć. To najlepsza rada. Mam zadzwonić po więcej ciastek?

Eve zorientowała się, że talerz jest pusty. Jak to się mogło stać?

- Bardzo proszę. Szczególnie czekoladowych, jeśli masz jeszcze trochę.

- Pozwól, że jeszcze raz spróbuję wyperswadować ci to małżeństwo.

Dzięki Bogu, Anthony mówił przyciszonym głosem. Wiedział równie dobrze jak Deene, że męskie kluby, oprócz tego, że stanowiły azyl przed kobiecym towarzystwem, były kuźnią wszelkich plotek.

- Nie tutaj, Anthony. Przyszedłem pieszo, więc możesz odprowadzić mnie do domu.

Pożegnali się ze wszystkimi beztrąsko, jak zwykle, wymieniając luźne uwagi na temat zbliżającego się ślubu Deenea.

- Psiakrew, będzie padać - mruknął Anthony, gdy wyszli na ulicę. - Czy mam trzymać głowę na kłódkę, aż dojdziemy do domu i zamkniemy się na cztery spusty, czy też mogę od razu przedstawić moje argumenty?

- Mam potem spotkanie z Westhavenem, więc możesz ulżyć sobie już teraz.

Szli w milczeniu, a Deene powrócił myślami do dwóch tygodni narzeczeństwa, które miał już za sobą. Gdyby nie rosnące poczucie, że Eve jest niechętna małżeństwu, byłyby to bardzo szczęśliwe tygodnie. Debiutantki, a nawet wesołe wdówki zostawiły go w spokoju,

cała służba radowała się na myśl, że w posiadłości pojawi się wreszcie markiza, a małżeństwo doskonale poprawiało człowiekowi pogląd na sytuację finansową, pomimo tych cholernych plotek Dolana. A jednak Anthony uparł się, żeby nasikać na paradny dywan.

- Deene, do chwili formalnego zawarcia związku będę sprzeciwiał się temu małżeństwu, ponieważ uważam, że zostałeś do niego zmuszony. Dama nie została w żaden sposób skompromitowana, nie uchybiłeś jej godności, więc cała ta farsa jest zupełnie niepotrzebna.

- Moim zdaniem jest potrzebna.

- Do jasnej cholery, sam się mogę ożenić, Deene. Mówiłem ci to nieraz. Mam nawet listę kandydatek, którą możemy przejrzeć dziś wieczorem. Moja wybranka powinna być na tyle dobrze urodzona, żeby prowadzić twój dom, albo ewentualnie, niech Bóg broni, żeby zaszła taka potrzeba, zostać markizą Deene.

Deene nieświadomie przyspieszył kroku.

- Możesz sobie wybierać do woli i módl się, żeby tej kandydatce nie przeszkadzała twoja dyskretna rodzina w Surrey, bo na pewno się o niej dowie, Anthony. Kobiety zawsze się dowiadują o takich rzeczach.

Jego matka spędziła większość swego nieszczęśliwego małżeństwa na takich dochodzeniach.

- Nie potrzebuję romantycznego związku z moją żoną, Deene. Jeśli się dowie, to trudno. Nasz związek będzie czysto praktyczny. Chodzi o to, żebym zapewnił ci dziedzica i żebyś ty nie musiał poświęcać swojej wolności.

Serce rosoło na myśl, jak głęboka była lojalność Anthony'ego. Aż dziw, że Deene kwestionował uczciwość swojego kuzyna.

- Więc zamierzasz się ożenić i mieć syna albo dwóch, Anthony. Wiesz, jak wielu synów utytułowanych rodzin zginęło na wojnie z Korsykaninem? Byłem tego świadkiem.

- Oczywiście, ale to byli młodszy synowie, którzy zazwyczaj wybierają karierę wojskową. Wymień choć jednego dziedzica, który zginął w taki sposób.

- Lord Bartholomew Windham.

To uciszyło Anthony'ego na dłuższą chwilę, ale gdy znaleźli się blisko domu Denningów, zaczął od nowa.

- Nie zamierzam wysyłać potomków na wojnę, jeśli to miałyby zagrozić sukcesji. Myślisz, że jestem głupi?

- Oczywiście, że nie jesteś. Jego Wysokość książę Moreland też nie jest głupi, Anthony, ale stracił jednego syna na wojnie, a drugi zmarł na zapalenie płuc. Inne rodziny utraciły o wiele więcej dziedziców i musiały rozstać się z tytułem. Nie mogę się zgodzić, żebyś przejął obowiązek, który spoczywa na mnie, wyłącznie i całkowicie.

- Zatem doskonale. Pakuj szyć w małżeńskie jarzmo. Tylko co z dziewczyną?

- Z Eve? - Deene popatrzył na kuzyna. To był zupełnie nowy temat i nowy argument. - Będę dla niej troskliwym, oddanym mężem.

- Przez jakieś dwa lata, nie więcej. Zrobisz jej kilkoro dzieciaków i wrócisz do rozwiązłych ekscesów, typowych dla markizów Deene od czasów, kiedy nadano im ten tytuł, a może i wcześniej, gdy byli tylko prostą szlachtą.

Paskudny argument, zupełnie nie do przyjęcia.

- Jak to jest, Anthony, że wiesz lepiej ode mnie, jakim zamierzam być mężem? Moje rozwiązłe ekscesy, jak je nazywasz, to historia sprzed pięciu, a nawet dziesięciu lat, w przeciwieństwie do kłamliwych plotek. Mógłbym zagłębić się w twoją przeszłość albo w przeszłość któregoś z moich kolegów z roku i znaleźć w niej takie same ekscesy. Jaki jest prawdziwy powód twojego sprzeciwu?

Gdy czekał na odpowiedź Anthony'ego, na bruk spadły pierwsze krople wiosennej mżawki. Powietrze stało się jednocześnie wilgotne i zakurzone, niosąc ze sobą aromat wiosny.

- Chcesz poznać mój prawdziwy powód? - Anthony rozejrzał się, ale pogoda przegnała z ulic wszystkich przechodniów. - Bardzo proszę. Moim zdaniem zmuszasz tę dziewczynę do związku, którego nie szukała i nie chce. Wystarczy chyba, że twoją siostrę potraktowano w ten sposób. Marie skończyła tragicznie, prawda? Teraz chcesz powtórzyć tę historię ze swoją narzeczoną, a ja nie mogę tego znieść.

Anthony zamilkł, a Deene poczuł wyrzuty sumienia.

- Nie zmuszam Eve Windham do niczego.

Tylko... w pewnym sensie ją zmuszał, z pewnego punktu widzenia, może nie tak oczywistego... ale jednak.

- Skoro tak mówisz.

Ach, ileż przekonania o własnej nieomyślności można zmieścić w jednym konwencjonalnym zwrocie.

- Mam ci towarzyszyć na spotkaniu z Westhavenem? Ponieważ mieli omawiać tematy finansowe, brzmiało to całkiem

logicznie. Odpowiedział na to pytanie wyłącznie po to, by zmienić niewygodny dla siebie temat rozmowy.

- Nie musisz. Transakcja będzie dla nas wyłącznie z korzyścią, więc myślę, że sam sobie z nią poradzę.

- Jeśli chodzi o księgi rachunkowe posiadłości...

W zamęcie przygotowań do ślubu Deene nieco mniejszą uwagę poświęcał finansom, ale tylko nieco mniejszą.

- Zabrałem się do tych, które dostarczyłeś mi w zeszłym tygodniu, ale wydatki i przychody są w niej spisane osobno. Nie mam pojęcia, jak dajesz radę to zbilansować.

- Można się tego nauczyć, a dzięki temu sposobowi nikt nie jest w stanie ocenić twojej wartości jednym rzutem oka. Przekopimy się przez to wszystko, gdy skończy się to całe ślubne przedsięwzięcie, zapewniam cię.

Ślubne przedsięwzięcie.

- Trzymam cię za słowo. Nie czekaj na mnie z kolacją. Pewnie zjem z Eve i jej rodziną.

- Naturalnie. - Anthony wyglądał, jakby chciał coś dodać. Może przeprosić za swoją wcześniejszą bezczelność? - Będę ci drużbował na weselu, Deene. Nie bój się o to.

- Dzięki.

To chyba były spóźnione, niechętne przeprosiny. Deene pośpiesznie wszedł do domu, żeby się przebrać na spotkanie z Westhavenem. Szczerze mówiąc, nie mógł się go doczekać. To prawda, rozmowa o finansach miała być dla niego korzystna w skutkach, ale stanowiła też ostatni, konieczny krok na drodze do ślubu. Zresztą to nie grzech, skorzystać finansowo na ślubie z ukochaną kobietą. Naprawdę nie grzech. Doskonale wiedział, jak wykorzystać te pieniądze, przede wszystkim na urządzenie domów na odpowiednim poziomie dla Eve.

Poza tym wcale nie zmuszał jej do tego ślubu.

Być może dzięki dobrym układom, jakie Jej Książęca Mość miała z mieszkańcami niebios, w dzień ślubu była najcudowniejsza wiosenna pogoda, jaką Londyn mógł się pochwalić. Rodzina Windhamów stawiała się w komplecie, włącznie z oddziałem z północy, reprezentowanym przez St. Justa i jego rosnący fraucymer, który obecnie składał się z dwóch córek i hrabiny, a szczęśliwy błysk w oku hrabiego zapowiadał dalsze powiększenie się rodziny.

Gdy Jego Książęca Mość przesunął wzrokiem po zatłoczonych ławkach kościoła św. Jerzego na Hanover Square, pomyślał, że ktoś bardziej obyty ze sztuką rodzicielskiego samooszukiwania się mógłby w tej chwili powiedzieć, że z ulgą oddaje najmłodszą, najmniejszą córeczkę w ramiona zakochanego po uszy oblubieńca.

Organista zasiadł za instrumentem, a tłumek w ławkach i na balkonach wymieniał ostatnie powitania i ploteczki.

Jego Książęca Mość nie odczuwał ulgi. Swego czasu sam był zakochany po uszy, a mimo to księżna miała z nim nieliczne kłopoty, przynajmniej przez pierwszych dziesięć albo nawet dwadzieścia lat ich związku.

A może nawet i dłużej.

Małżeństwo - dobry, pełen miłości związek, jak Pan Bóg przykazał, a rozsądni ludzie pragnęli - wymagało mnóstwa pracy. Evie i jej oblubieniec będą musieli niejedno przejść, zanim książę pozwoli sobie na ulgę albo przynajmniej coś w tym rodzaju. Odwrócił się w stronę niewielkiej komnatki, gdzie stała Eve, odziana w przepiękną suknię, i serce ścisnęło mu się, jakby nadchodził atak. Evie była taka drobniutka, ale miała waleczny charakter od chwili, kiedy zaskoczyła wszystkich, pojawiając się na świecie na kilka tygodni przed spodziewaną datą porodu.

- Córko, nic ani nikt w tym królestwie nie dorówna ci dzisiaj urodą.

Podniosła wzrok znad bukietu, zaskakującej kombinacji różowych i białych wrzosów, kwiatu pomarańczy i paru gałązek głogu, oznaczających samotność, urok i nadzieję, jeśli pamięć go nie myliła. Na jej twarzy malował się nie tyle zachwyt, ile niepokój.

- Dzięki, tato. Jak długo jeszcze? Odwrócił się w stronę nawy.



- Niedługo. Twoja matka już zajęła miejsce.

Podczas jazdy powozem księżna była niezwykle cicha, ale ksiązę podejrzewał, że zna tego powód. W pewnym sensie utracili Eve siedem lat temu. Ponowne rozstanie obudziło w księżnej dawne cierpienia, wątpliwości i ból. Od tamtego dnia Eve dzieliła od rodziców przepaść niezrozumienia. Miłość, którą do siebie żywili, łączyła ich jak kładka, ale przepaść pozostała.

Ksiązę odwrócił się od całej socjety w świątecznych, wiosennych strojach i spojrzał na córkę.

- Powiedz mi jedną rzecz, Evie.

Odłożyła bukiet i obdarzyła go tak odważnym uśmiechem, że aż go zabolalo.

- Tak, tato?

- Dlaczego wychodzisz za Deene'a? Czy dlatego, że wściekłem się na niego, że przekroczył... że sobie pozwolił na zbyt wiele?

Zamrugala, zupełnie jak jej matka, kiedy robił jakąś nieelegancką uwagę przy dzieciach.

- Nie cieszyła mnie myśl, że ty, moi bracia i Deene możecie się nawzajem skrzywdzić z powodu waszego idiotycznego kodeksu honorowego, ale to nie był jedyny powód.

Ksiązę zamknął drzwi komnatki, co miało jej powiedzieć - a przynajmniej taką miał nadzieję - że zależy mu na jej odpowiedzi, a cała socjeta może sobie iść do diabła.

- Mam nadzieję, że sympatia do twojego wybranka też odegrała pewną rolę. Deene nie jest taki zły.

- Lucas to dobry człowiek i bardzo go szanuję.

Skrzyżował ręce na piersi. Takie komunały nie oszukałyby nawet najgłupszego ojca.

- Widziałam stajnie wyścigowe Deene'a w Surrey, wiesz? - Wzięła z powrotem bukiet i zaczęła manipulować przy gałązkach głogu. - To śliczne miejsce, bardzo spokojne. Spędzimy tam kilka tygodni, a może nawet resztę sezonu. Ksiązę pomyślał, że to genialne posunięcie Deene'a. Nowożeńcy nie zaznaliby spokoju ani w Kent, ani w Londynie.

- Co to ma wspólnego z zamążpójściem, Evie? Nie licz na to, że wyprowadzisz twojego starego ojczulka w maliny. Sam kiedyś byłem

młody i wiem, że małżeństwo to okropny kłopot, nawet jeśli ktoś jest zakochany po uszy.

Zmarszczyła brwi. Nie uśmiechnęła się szeroko i nie mrugnęła z psotną miną, żeby go zapewnić o ich wzajemnej miłości. Zresztą podejrzewał, że naprawdę się w sobie zadurzyli. A w każdym razie taką miał nadzieję i o to się modlił.

- Kiedy pojechałam z Deene'em do Surrey, pomagałam przy żrebieniu. Nóżka żrebaka utkwiała w macicy, a klacz była drobna. Tylko ja mogłam jej pomóc, a Deene mówi, że żrebak rośnie teraz jak na drożdżach. Co to niby miało mieć wspólnego z... Książę starał się nie okazywać zaskoczenia. Eve zaczęła ostatnio wyruszać na samodzielne przejażdżki powozem. Między innymi dlatego wylądowała bez przyzwoitki w Lavender Corner, ale dało to też księciu nadzieję, że Eve w końcu zaczyna zapominać o całej tej strasznej historii.

Nadzieja była zawsze mile widziana przez księżęcą parę, choć, jak wiadomo, zawsze wiązała się z niepokojem i ryzykiem.

- Zawsze lubiałaś żrebienie i stajnie - powiedział lekkim tonem, udając, że sprawdza w lustrze, czy jego ksiązęcy strój dobrze leży. W rzeczywistości przyglądał się odbiciu swojej córki.

- Gdyby mnie tam nie było, tato, i klacz, i żrebak pewnie by nie przeżyli. Albo stajenni poświęciliby klacz, żeby ratować żrebaka. Ale byłam na miejscu i Lucas pozwolił mi jej pomóc.

Lucas. To dobrze, że Eve go w ten sposób nazywała. Tylko księżna mówiła księciu po imieniu. On jej też.

- Mam nadać imię temu żrebakowi, tato, ale sam przecież mówisz, że nie można nazywać zwierząt od niechcienia, trzeba najpierw je dobrze poznać. Chcę się dowiedzieć, kim jest ten wierzgający, brykający, rozkoszny, wspaniały maluch. Otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz, żeby się powstrzymać przed wypowiedzeniem swojego zdania, zanim usłyszy wniosek z tego wyводу. - I musisz wyjść za Deene'a, żeby to zrobić? - Konie żyją bardzo długo, nawet trzydzieści lat albo więcej, jeśli szczęście dopisze i jeśli mają odpowiednią opiekę. Chciałabym pewnego dnia pójść do tego konia na pastwisko, z moją wnuczką, i nakarmić go jabłkami. Może opowiem jej o jego wyścigach i potomkach, i jaki był wspaniały, kiedy pokonywał linię mety, albo jakie miał serce do polowań.

Co ona, do diabła, wygaduje?

- Zawsze lubiłem chodzić z wami do stajni, jak byliście mali. Szczególnie w piękne letnie wieczory. Mogliśmy wtedy porozmawiać. I byłem z wami prawie sam na sam.

Zapomniał o tym. To było takie cudowne wspomnienie, a on je zapomniał.

Wreszcie uśmiechnęła się do niego. Może nie promiennie, ale przynajmniej szczerze.

- Nie zapomniałam tych pięknych letnich wieczorów, tato. Kiedy pójdę z wnuczką zobaczyć się z moim starym przyjacielem, opowiem jej, jak ciężko walczył, żeby przyjść na ten świat i wytrwać na nim. Powiem jej... że mógł się poddać, ale tego nie zrobił. Walczył, parł do przodu i w końcu zwyciężył, a ja go nie spisałam na straty. Nigdy, ani przez sekundę.

Wielki Boże...

Na szczęście dla księcia organista wybrał właśnie ten moment, żeby zacząć fanfarę, i oszczędził mu konieczności odpowiedzi. Prowadząc swoją ukochaną córkę między ławkami, mijając ciekawskie, uśmiechnięte twarze, słuchając komplementów znajomych, myślał tylko o jednym: że w dzień swego ślubu Eve rozmawiała z nim o tym, że nie należy spisywać na straty ukochanych ludzi, i o koniach.

Przez siedem lat z nikim nie poruszała tego tematu, aż do dziś, kiedy zwierzyła się swojemu tatusiowi. Tym trudniej będzie ją dziś oddać komuś innemu.

Żaden grom nie przerwał ceremonii w ostatniej chwili, nie pojawił się żaden boski wysłannik, który nie pozwoliłby na zawarcie małżeństwa. Eve Windham została wydana za męża, choć głos biskupa wydawał jej się odległy jak dźwięk rogu myśliwskiego, napływający znad odległych wzgórz w wietrzny dzień.

- Zjedz coś, Evie.

Deene pochylił się nad nią z ciepłym uśmiechem, ale jego błękitne oczy były pełne troski.

- Nie dam rady.

Jego uśmiech zgasł, a Eve zaczęła się niepokoić, czy nie grozi im sprzeczka. Jednej już uniknęli, kiedy Deene zauważył obecność Dola-

na na ślubie. Georgina była ślicznie ubrana, a towarzysząca jej guwernantka wyglądała o wiele bardziej atrakcyjnie niż podczas spotkania w parku.

- Może chcesz już iść? - spytał bardzo dyskretnie.

- A można?

- W którymś momencie i tak będziemy musieli, żeby ci ludzie mogli się na dobre uraczyć obfitością książęcego śniadania.

- Tylko jak to zrobić?

Nie miała ochoty z nim wychodzić, nie chciała się zbliżyć ani o krok do tej okropnej rzeczy, która czekała ją pod koniec dnia, ale nie mogła już dłużej znieść tego rozgwaru, życzeń szczęścia, zaniepokojonych spojrzeń rodziny i coraz bardziej sprośnych uwag gości.

Jej życzenie zostało spełnione, bo Deene wyraźnie umówił się z jej braćmi, żeby odpowiednio rozegrać ich odejście. Na jego subtelny sygnał Westhaven wstał i zadzwonił łyżeczką w delikatny, kryształowy kieliszek.

- Przyjaciele, dostojni goście, ukochana rodzino, czy mogę was prosić o uwagę?

Goście przy długich stołach zamilkli, by posłuchać.

- Z powodów zrozumiałych dla wszystkich, którzy spoglądają na moją malutką siostrzyczkę i jej zakochanego męża, przyszedł czas, abyśmy pożegnali Deene'a i jego żonę. Poproszę o aplauz na wyjście!

Uniósł kieliszek, a Eve znalazła się w ramionach swego narzeczonego, to znaczy męża. Deene wyprowadził ją z sali i pomógł wsiąść do oczekującego pojazdu, zanim ostatni goście wytoczyli się na taras, i po chwili była w drodze do Surrey... i do tego sam na sam ze swoim narzeczoną, to znaczy mężem. Bóg jeden wie, jak to się ułoży.

- Kazałeś zaprząć siwki do powozu. Tata używa ich tylko do specjalnych okazji, bo tak ślicznie wyglądają przy czarnym powozie, z czerwonymi dodatkami do rzędu.

Deene posłał jej dziwny uśmiešek, który powiedział jej, że towarzyska rozmowa daleko ich nie zaprowadzi. Nie w takiej chwili, nie w takim związku. - Eve? - Odwrócił się do niej, podniósł welon i zdjął diadem, który nosiła przez cały dzień. - To jest specjalna okazja.

- Oj. Rzeczywiście.

Dopiero gdy wyjął szpilki z jej fryzury, poczuła, jak niewygodna była ta część jej ślubnego stroju. Pocałował ją raz przed kościołem, gdy ustawiała się kolejka gości, ale to był tylko lekki buziak w policzek, który dodał jej sił i zarazem przestraszył.

- Chodź no tu, żono.

Boże litościwy. Mieć męża to nie to samo, co być jego żoną. Zręczne ręce Deene'a rozplotły jej kok, a warkocz zsunął jej się na ramię.

- Mężu.

- To właśnie ja. - Poczowała jego ramię na swoich.

- Ćwiczę sobie. Jeszcze nigdy nie miałam męża ani nie byłam żoną. Trzeba się przyzwyczajać.

Czuła, że gada głupoty. Deene poprawił się na siedzeniu, jego palce mocniej dotknęły tyłu jej szyi i zaczęły łagodny masaż.

- Będziemy się przyzwyczajać razem. Na razie uważam, że moja sytuacja poprawiła się z chwilą ślubu.

Nie żartował.

- W jakim sensie?

- Po pierwsze, mam spokój. Nie ścigają mnie swatki, mało kto interesuje się plotkami, a w perspektywie mam miesiąc miodowy, a nie sezon, podczas którego występowałbym w roli kozła ofiarnego.

Niezbyt romantyczne, ale szczerze.

- Czy te plotki bardzo cię martwiły?

- Trochę.

Może za jakieś dziesięć lat będzie potrafiła dokładnie zrozumieć, co dla niego oznacza „trochę”, jeśli wypowiada je takim tonem i wygląda przy tym przez okno z zaciętą miną. A może będą wtedy zupełnie sobie obcy.

- Nie podobała ci się obecność Dolana i Georginy na ślubie.

Skrzywił się, patrząc na cudowny, wiosenny pejzaż. To była chyba pierwsza nieprzyjemna mina, jaką Eve widziała w życiu na twarzy swojego... męża. - Nie wiem, po co się wepchał.

Czy okaże się ciekawską, czy zamknie się w sobie i zacznie układać w myśli listę tematów, których przezornie nie będą poruszać?

- Nie sądzę, że Jej Wysokość bez zastanowienia wpisała ich na listę gości, Deene. On wychowuje twoją siostrzenicę, zatem nale-

ży do rodziny. Rozumiem, że nie jesteście w serdecznych stosunkach? Nie była ciekawska, ale opowiedziała się za ich zaproszeniem.

- Niemal własnymi rękami zabił moją siostrę, a przedtem bez końca dręczył ją i zawstydział. Jeśli mam do ojca jakiegokolwiek pretensje, to o to, że sprzedał Marie w pazerne, niewdzięczne, wulgarne, prostackie łapska Dolana.

Beznamiętny ton Deenea przejął ją chłodem, zwłaszcza że za kilka godzin sama mogła stać się przedmiotem podobnego gniewu.

- Mimo wszystko wydaje się oddanym ojcem.

Deene zamilkł i zanim się odezwał, przejechali niemal całą milę przez pagórkowaty, wiejski krajobraz.

- Anthony zalecał się do Marie i był mile widziany. Całkiem sensowny związek. Byli zakochani i zdaje mi się, że dobrze się rozumieli.

Eve ujęła jego dłoń.

- A potem?

- A potem na scenę wepchał się Dolan, butny, ubrany prosto spod igły, i złożył ofertę, której ojciec nawet nie próbował odrzucić. Marie została oddana obcemu bez żadnej sensownej rodziny, bez ogłady, bez niczego, co mogłoby za nim przemawiać, za wyjątkiem rosnącej fortuny i pogłoski, że nie cofnie się przed niczym dla finansowych lub towarzyskich korzyści.

Coś tu nie pasowało, choć Eve nie potrafiła powiedzieć co dokładnie.

- To niemożliwe, żeby Dolan źle traktował Marie, jeśli miała być elementem jego planu wspięcia się wyżej w hierarchii towarzyskiej,

- Miała siedemnaście lat, Eve. Do tamtej chwili żyła pod parasolem, bez żadnych trosk, i mogła z całą pewnością oczekiwać, że poślubi kogoś z towarzystwa, w jakim się wychowała. Próbowwała mnie namówić, żebym kupił jej konia i pomógł w ucieczce przed ślubem, tak jak gdyby to mogło zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Prawie trzynaście.

Jaki to ciężar dla małego chłopca, szczególnie jeśli wychowywano go, by kiedyś zajął miejsce utytułowanego ojca.

- Jak ona umarła, Lucas?

Milczał tak długo, że obawiała się, iż nie odpowie. Zresztą nie do końca pragnęła usłyszeć jego odpowiedź. Na pewno będzie to dla niego bolesne, a ją czekało tyle stresów, że i bez tego ledwo zdoła je znieść.

- Straciła dziecko i nie mogli zatamować krwawienia. Gasła, a jej ostatnim życzeniem było, żebym zatroszczył się o Georgie. Dolan zawsze nazywał małą pełnym imieniem, Georgina, musi małpować lepszych od siebie nawet w mowie, ale Marie mówiła na nią Georgie.

Eve oparła głowę na ramieniu męża.

- Obwiniasz go o jej drugą ciążę.

- Narodziny Georgie nie były łatwe. Jestem pewny, że akuszerka przestrzegła ich, by nie mieli więcej dzieci, ale Dolan przecież kupił sobie klacz rozplodową i dobrze za nią zapłacił, więc traktował ją właśnie w ten sposób.

Wielu mężczyznom żony służyły wyłącznie do tego, nawet utytułowanym mężczyznom, którzy odstawiali klacz, jeśli nie mogła mieć źrebiąt. Znajdowali sposoby na unieważnienie małżeństw, pozbawienie żon pozycji towarzyskiej, a nawet przyzwoitego towarzystwa, a potem radośnie uganiali się za następnymi kandydatkami, za przyzwoleniem Kościoła i sądów.

- Powinnaś dowiedzieć się, jakie kościołupy kryją się w szafie Deene'ów, Eve, choć przykro mi, że poruszam ten temat właśnie dzisiaj.

Gdyby była kim innym, cieszyłaby się z jego zwierzeń.

- Windhamowie też mają swoje kościołupy.

W odpowiedzi ujrzała kolejny dziwny uśmiech, ale zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, żeby nie wypytywał jej dalej.

- Wesela są takie męczące, nie sądzisz? Jej... mąż nie odpowiedział.

7

Zona Deene'a wcale nie spała na jego ramieniu, choć udawała to przed nim. Wyczuwał jej zdenerwowanie.

Potwierdzała to seria obrazów z całego dnia, które przesuwały mu się teraz przed oczyma: zimna, szczupła dłoń, na którą zakładał obrączkę, równie chłodny policzek, kiedy nie potrafił sobie odmówić drobnego gestu dominacji przed kościołem. I to, że nie pocałowała go w odpowiedzi.

Eve, przywarta do brata w rozpaczliwym uścisku, do chwili, gdy hrabina St. Just dotknęła ramienia swego męża i sama objęła Eve.

Smuga jaśminowego zapachu, która dotarła do niego i nappełniła go spokojem, do momentu, gdy spostrzegł palce Eve zaciśnięte na kieliszku z taką siłą, że o mało nie zgmiotła delikatnej nóżki.

Był przygotowany na zdenerwowanie, normalne u panny młodej. Był nawet przygotowany na własne zdenerwowanie - w końcu miała to być jedyna noc poślubna w jego życiu - ale nie był przygotowany na to, że jego żona będzie na granicy potężnego ataku hysterii.

Trzeba było zmienić plany, bo do wieczora oboje zwariują.

- Evie. - Odsunął jej włosy ze skroni. - Czas się obudzić, kochanie. Trzeba przywitać się ze służbą.

Wyprostowała się i wyjrzała przez okno.

- Tylu ich tu jest, a to przecież nie jest nawet twoja rodowa siedziba. Nasza rodowa siedziba. Nie poprawił jej.

- Upnę ci włosy.

Odwróciła się, żeby mógł ułożyć coś w rodzaju koka u nasady jej szyi.

Był to intymny, małżeński moment, pełny znaczenia dla Deene'a. W swoim czasie sznurował gorsety, ubierał i rozbierał niezliczone kobiety, ale w geście Eve, która odsłoniła przed nim bladą, delikatną szyję, nie było nic zalotnego. Pocałował to miejsce i poczuł, jak przeszywa ją dreszcz.

- Zamierzasz być jednym z tych mężów, którzy nie patrzą, gdzie całują żonę?

Nie była z tego zadowolona.

- Na osobności, pewnie tak. Tak cudownie pachniesz, a ja jestem tylko mężczyzną.

Spojrzała z zaskoczeniem, ale zanim zaczęła się z nim spierać, pomógł jej wysiąść i poprowadził wzdłuż długiego sznura służących, czekających na podjeździe.



Wszyscy uśmiechali się od ucha do ucha, kobiety dygały, Eve odpowiadała uśmiechem pełnym takiej serdeczności i wdzięku, że Deene zaczął się zastanawiać, czy dobrze ocenił jej stan psychiczny podczas wesela.

Nie była zdenerwowana, tylko bała się tego, co miało nadejść... pewnie nadal się boi.

Gdy wziął ją w ramiona, żeby przenieść przez próg, z jej twarzy odpłynęło ciepło, a kąciki ust znowu się zacisnęły.

Deene nie postawił jej w przedsionku, lecz trzymając ją na rękach, odwrócił się do grupki otaczających ich domowników, którzy pośpieszyli przodem, by otworzyć im drzwi.

- Belt, poprosimy tacę do salonu i wannę z gorącą wodą dla milady, możliwie jak najszybciej. Potem proszę nam nie przeszkadzać, aż zadzwonimy. Zrozumiano?

- Oczywiście, milordzie.

- Deene, możesz mnie już postawić. Ruszył po schodach.

- Nic z tego, żono. Zaczнешz zwlekać, wymyślać różne preteksty, będziesz chciała zwiedzić dom od strychu aż do piwnic albo omówić jadłospis z gospodynią. Zostawisz mnie na pastwę rozdrażnionych nerwów, z karafką na pociechę i nic poza tym.

Znaleźli się na podeście pierwszego piętra.

- Na pastwę rozdrażnionych nerwów? Chyba nie mówisz poważnie, Deene.

Mówił, ku swojemu zaskoczeniu.

- Zrób to dla mnie, dobrze?

Zamilkła, choć teraz chętnie powitałaby jej odpowiedź, jakiś opór, jakąś wymierną reakcję, która odwróciłaby jego uwagę od jej ciężaru w ramionach.

Dotarł pod drzwi ich prywatnych apartamentów i posadził ją na niebieskiej, obitej brokatem sofie pod oknem.

- Będziesz musiała mi pomóc się rozebrać, żono. Nie miałem na sobie tak eleganckiego stroju od czasu, gdy zasiadałem w cholernej Izbie Lordów, a i wtedy była to tylko toga...

Wstała z sofy i obeszła pokój.

- Jeszcze nie widziałam tego apartamentu.

Swego męża też jeszcze nie widziała nago, ale Deene wątpił, czy poświęci mu aż tyle uwagi, co tytułom książek w narożnej biblioteczce. Staął za nią i objął ją w talii.

- Evie, zlituj się nade mną i pomóż mi się rozebrać. Odwróciła się, ale się nie odsunął, więc pozostali w objęciach.

- Nie masz lokaja, Deene?

- Jestem już żonaty. Wielu mężczyznom wystarcza życzliwa i pomocna małżonka, jak pamiętam.

- Mój ojciec...

Przerwała i zaczęła uwalniać szafirową szpilkę z koronek wokół jego szyi.

- Twój ojciec jest staromodny aż do przesady. Co ci tam szeptał do ucha St. Just podczas składania życzeń?

Pytanie za pytaniem, jedna sztuka odzieży za drugą, w końcu rozebrała go ze wszystkiego, poza satynowymi bryczesami. Zlitował się nad nią, zniknął na chwilę w garderobie za sypialnią i wyszedł z niej odziany w luźne spodnie od piżamy i szlafrok.

W międzyczasie w pokoju pojawiła się obficie wyładowana jedzeniem taca.

- Traktują nas po królewsku, bez dwóch zdań - stwierdził. - Belt ją tu wtoczył we własnej osobie, prawda?

- Belt. - Eve wsunęła książkę z powrotem na półkę. - Łatwo zapamiętam jego nazwisko, bo ma bokobrody jak prawdziwy majordomus, a one też są na B.

Takie rzeczy były dla niej teraz ważne. W odróżnieniu od pozbycia się tych wszystkich jej ślubnych szatek.

- Będę twoją pokojówką, Evie. - Pragnął ją wziąć w ramiona i szepnąć to do jej ślicznego uszka, ale wyglądała na nieco... zjeżoną.

- Sądziłam, że moja pokojówka przyjechała z Morelands i dołączy do tutejszej służby? - Niewątpliwie siedzi teraz w kuchni i uczestniczy w ogólnym celebrowaniu naszego związku. Nie ruszaj się.

Obszedł ją z tyłu i zaczął zdejmować liczne warstwy odzieży ukrywające jej sylwetkę. Gdy została tylko w cienkiej białej koszulce, której skraj pokrywał bogaty, złoto-niebiesko-zielony haft, odsunął się o krok i zrzucił z ramion szlafrok.

- Narzuć go. Nie napalono jeszcze w kominku, więc niech cię ogrzewa do chwili, gdy moje ciało okryje twoją uroczą i zaspokojoną osobę.

Miała minę, jakby chciała powiedzieć coś odpychającego, więc pocałował ją w usta. To był szybki pocałunek w stylu „lepiej tego nie mów” i podzielał tylko dlatego, że Deene trzymał ręce przy sobie, zamiast przycisnąć ją mocno do siebie.

Zemściła się, zamykając za sobą drzwi do garderoby, gdzie postawiono wannę. Deene otworzył wino, żeby pooddychało, a potem zapatrzył się w drzwi, wyobrażając sobie swoją żonę, różową i śliczną w tej samotnej kąpieli. Gdy wyłoniła się w godzinę później, zdążył już opróżnić butelkę szampana do połowy, a słońce zaszło.

- Zapalimy świece? - spytała podejrzanie lekkim tonem.

- Nie trzeba. Napalmy w kominku, cienie są takie przyjemne.

Owinęła się ciaśniej jego szlafrokiem, ale Deene z trudem hamował pożądanie. Domyślał się, że poza aksamitną tkaniną Eve nie ma nic na sobie.

- Kąpiel przywróciła mnie do życia - powiedziała, nie ruszając się z drzwi garderoby. - Umieram z głodu.

Nie odpowiedział. Jedzenie stało na małym stoliku przed sofą, obok niego, a Eve była po przeciwnej stronie pomieszczenia. Musi do niego przyjść, chyba że będzie w nią rzucał truskawkami.

- Napocząłem pierwszą butelkę, żono. Skosztujesz?

- Odrobinę, jeśli można.

Choć przycupnęła na skraju sofy, najdalej od niego, jak mogła, przytknął swój kieliszek do jej warg. Ilość wina, jaką pociągnęła, upiłaby może sikorkę o ortodoksyjnych poglądach na picie. Przez kilka chwil próbował - słowo honoru - ją nakarmić. Stawała się wyraźnie coraz bardziej nieszczęśliwa i zaniepokojona. Zrozumiał, że sytuacja staje się coraz bardziej dramatyczna.

Chciał coś powiedzieć, ale zwykle w takich chwilach mówi się same idiotyzmy. Na szczęście, zanim to zrobił, dotarło do niego odkrycie: zdenerwowanie Eve, jej cicha histeria, to wszystko, z czym zdawała się walczyć, było z pewnością związane z wypadkiem z przeszłości.

Tego czegoś nie dało się zbyć zalotnością, zagłuszyć żadną ilością alkoholu, uciszyć wyznaniem ani łaskotkami - nic z tych rzeczy nie

zwiększy jej pewności siebie. Tego się nie da oszukać. Odstawił kieliszek i wstał.

- Chodź do łóżka, Evie.

- Do... łóżka?

Przedtem była tylko blada, teraz zaczęła przypominać upiora.

- Pójdźcie do łóżka to sygnał do rozpoczęcia poślubnych igraszek. A może wolałabyś zostać chwilę przed ogniem?

- Och tak, bardzo chętnie. Widzisz, mam jeszcze mokre włosy, będą okropnie wyglądać, jeśli nie... - Ucichła, a Deene wyciągnął do niej rękę. Położyła na niej palce, znowu - a może wciąż - zimne jak lód.

Trzeba było z tym skończyć. Nie dlatego, że w jego mózgu pulsowało coraz bardziej dojmujące pożądanie, ale po to, by uspokoić nerwy Eve i odbudować jej utraconą wiarę w siebie. Wstała, a on ją pocałował.

Tęsknił za takim pocałunkiem od trzech tygodni, z czułością, namiętnością i odrobiną frustracji - a może gniewu? - że wciąż dźwigała ciężar sytuacji, która nie była jej winą.

- Chodź. - Wziął ją za rękę i podprowadził przed kominek, zatrzymując się na chwilę, by wziąć z garderoby dwie grube narzuty. - Denerwujesz się, żono. Powiedz mi, co cię tak niepokoi.

- Żono.

- To właśnie ty.

Usiadła, podciągnęła kolana i oparła na nich brodę.

- Wcale się nie denerwuję.

Wyczuwał, że mówi szczerze, co wcale mu się nie spodobało. Jeśli się nie denerwuje, to znaczy, że się boi.

- Do diaska, ty nie masz się czego bać, Eve Denning. To ja powinienem się niepokoić, bo jestem odpowiedzialny za to, by sprawić ci wyłącznie przyjemność.

- Wydaje mi się, że w siebie nie wątpisz.

Jej głos brzmiał spokojnie, ale wyraźnie drgnęła, kiedy zwrócił się do niej nowym nazwiskiem.

- Mam należny respekt przed stojącym przede mną wyzwaniem. Może pocałunek dodałby mi odwagi.

Zawahała się przez ułamek sekundy, ale uklękła i pocałowała go w usta. Ujął ją za ramiona i przechylił się do tyłu, kładąc ją na sobie.

- Taki pocałunek nie dodałby odwagi nawet napalonej pchle, najmilsza.

- Jakiej?

- Napalonej, co oględnie sugeruje pana Pchłę, który płonie żarem do swej małżonki.

- Jesteś wulgarny i żalosny.

To miała być reprimenda, ale widać jego żalosna wulgarność zadziałała, bo nie zsunęła się z niego, a w jej oczach błysnęło zaciekawienie. Objął ją więc ramionami i zaczął masować jej plecy, żeby jednak nie uciekła.

- Pozwól, że ci zademonstruję, markizo.

Dotknął jej warg swoimi w najbardziej uwodzicielski sposób. Nie-śpiesznie eksplorował jej usta, zapraszając, by zrobiła z nim to samo, smakowała i drażniła, badała i folgowała ciekawości. W którymś momencie podczas tego pocałunku przesunął ją tak, że usiadła na nim okrakiem, a potem ułożył fałdy odzienia tak, że stykali się ze sobą nagimi piersiami.

- Deene. - Odsunęła się i osłoniła szlafrokiem.

- Nie mam pojęcia, czym się tak niepokoisz, Evie. Kiedy nadejdzie czas skonsumowania związku, będziemy mieli do wyboru dwa ogromne, miękkie łoża.

- Więc teraz będziemy tylko pozwalać sobie na odważne pocałunki?

Widział w blasku ognia sceptycyzm, malujący się na jej twarzy.

- Dokładnie tak. Pocałuj mnie. Właśnie poczułem lekki przypływ odwagi.

Na jej wargach pojawił się uśmiech, ale po chwili przytłumiła go ostrożność. Na ten widok Deene o mało nie zawył z niecierpliwości. Zamiast tego ujął w dłoń jej pierś, przez jedwabną tkaninę szlafroka.

- Chyba czujesz się pobudzony - powiedziała, przyglądając się tej dłoni na swoim ciele.

- Chyba czuję się zonaty. - Uniósł się dzięki mięśniom brzucha wyćwiczonym podczas intensywnej konnej jazdy i pieścił ją dalej, znowu rozchylając jej wargi pocałunkiem.

Jej panowanie nad sobą szczęśliwie zelżało, kiedy zaczął łagodnie uciskać sutek.

- Mężu... - tchnęła ze zdziwieniem i zachwytem. Powtórzył pieszczotę. Znieruchomiała, jakby jej ciało nasłuchiwało doznań, jakie mężczyzna pragnący zadowolić kobietę może obudzić, posługując się jedynie kciukiem i palcem wskazującym.

Zanim zaczęła się zastanawiać, przetoczył się razem z nią tak, że znalazł się na górze, a ona pod spodem na plecach.

- Czy wszyscy mężowie traktują swoje żony jak towar w magazynie?

- Dotknij mnie tak jak ja ciebie, Evie. Zobaczmy, kto tu jest towarem.

Zmarszczyła brwi, ale pogładziła dłonią jego pierś.

- Te włosy... - Przesunęła po nich palcami, a na brzuchu Deene'a też coś się przesunęło. Nie przyciskał do niej swojego członka w pełnym wzwodzie, ale też nie starał się go ukryć.

- Podoba ci się to, lady Deene?

- Jest... - Przesunęła nosem po jego owłosionej piersi. Nigdy w życiu nie doznał tak niezwykłego, erotycznego, intymnego dotyku. - To jest... inne. Delikatne, ale... męskie. Bardzo męskie. Nawet twoja pierś ładnie pachnie, Deene. Cenię sobie poważne podejście do higieny u mężczyzn.

Nastąpiły dalsze tortury, gdy Eve - bez wątpienia czując się bezpieczna w przekonaniu, że małżeństw nie konsumuje się na podłodze - prowadziła naukowe badania męskiej piersi Deene'a. Posłuchała bicia serca. Najpierw z wahaniem, a potem mocniej dotknęła sutków.

Żar pożądania rozpierającego dół jego ciała sprawił, że Deene zacisnął szczęki.

Wąchała go dalej. Poddając się tym eksperymentom i badaniom, niepostrzeżenie przemieścił się tak, że jego penis znalazł się nad cudownie wilgotnym, gorącym miejscem, esencją kobiecości jego żony.

Wilgotnym. Bogu dzięki, była wilgotna. Jej ciało przygotowało się na to, co miało nastąpić, pomimo braku odwagi. Kiedy przesunęła językiem po jego prawym sutku, Deene opuścił się nieco niżej i objął ją ramieniem.

- Evie?

- Mężu. - Mrugnęła do niego. Nagle dostrzegła, jak blisko siebie są ich ciała. Zanim zaczęła następną rundę zastrzeżeń i wymówek, wsunął się między jej fałdki.

- Dzięki Bogu wszechmogącemu w różanych, cudownych niebiosach, to właśnie ja. - Posunął się do przodu o cal. Odległość, która dzieli petenta u bram małżeńskiego raj u męża, dzierżącego klucz do domowych niebios.

- Lucas?

Obdarzył ją gorącym, leniwym, żarliwym pocałunkiem, by ukryć rozkosz i triumf, które pulsowały w jego krwi.

- Hm?

Kiedy umilkła, znowu zamrugła i uniosła dłoń, tylko po to, by pozwolić jej opaść tuż obok głowy, posunął się naprzód o kolejny cudowny cal.

- Ale... nie jesteśmy w łóżku.

- Dojdziemy i do niego, Evie. Dobrze ci?

Na litość boską, ta kobieta przekrzywiła głowę, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Zaczął się poruszać w powolnym, płytkim rytmie, coraz bardziej wiążąc ich ciała i uważnie nad słuchując wszelkich oznak, które świadczyłyby, że dla jej ciała połączenie nie jest aż tak przyjemne, jak by tego chciał.

- Tak... dość dobrze.

- To fatalnie. Natychmiast się napięła.

- Słucham?

- Dość dobrze to za mało. Przecież to noc poślubna. Powinnaś być w siódmym niebie. Poruszaj się razem ze mną, Evie.

- Mam się... poruszać?

Jeszcze bardziej zwolnił rytm, aż udało jej się dopasować do kołysania jego bioder, aż mógł w nią wchodzić z takim wyczuciem, jakby była w nim tak bardzo, jak on w niej. - Wciąż dość dobrze, Evie?

- Mm. - Przesunęła się nieco, by móc objąć go w pasie nogami. Ten jeden drobny ruch niemal doprowadził go do końca.

- Na litość boską, żono... - Zaczął gwałtownie oddychać, ale nie poddał się. Nie tyle chciał, ile musiał ją zaprowadzić na szczyt rozkoszy, ekstazy, zachwytu i pożaru zmysłów, zanim mógł sobie pozwolić na wytrysk.

Zacisnęła nogi wokół niego. Poczł słodki, przenikliwy ból, gdy wbiła paznokcie w jego pośladki.

Mimo to wytrzymał kilka ciągnących się w nieskończoność chwil.

- Evie... puść.

Dyszała gorączkowo, czuł jej oddech na gardle.

- Ja nie mam... nie mogę...

- Możesz...

Wsunął dłoń pod jej pośladki i przytrzymał, a potem zaczął miarowo, mocno pchać, wynosząc ją coraz wyżej na szczyt. Otworzyła wargi, wydając nieświadomie cichy jęk i zaciskając się wokół niego wspaniałymi, cudownymi, potężnymi spazmami.

Wznosząc się coraz wyżej na fali namiętności, odnalazła jego drugą dłoń, spłotła jej palce ze swoimi i wyszeptała jego imię...

Nie wytrzymałby dłużej, nawet za cenę zbawienia duszy.

Po ślubie Eve przebywała zamknięta w stale rozszerzającej się bańce różnych emocji, głównie radości, jaką odczuwa osoba, która nie tyle urzeczywistniła swoje sny i marzenia, ile otrzymała całkowite, bezwarunkowe, królewskie uniewinnienie.

Wyszła za męża, szczęśliwie i z radością, i to nie za jakiegoś skąpego osobnika o niepewnej orientacji albo za łowcę posagów, ale za mężczyznę, którego uwielbiała i szanowała. Jej wybór nie był dobry - był cudowny i mądry. Co więcej, wybrała kogoś, kto obdarzał ją ogromnym uczuciem i gorąco pożądał. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo tego potrzebowała, jak wielką ulgę jej to przyniosło i jak niska była jej samoocena przed ślubem.

Naturalnie, pożądała swego męża. Która kobieta przy zdrowych zmysłach nie chciałaby Lucasa Denninga w swoim łóżku?

Naturalnie, lubiła przebywać w jego towarzystwie. Był uroczy, oddany i otwarty wobec niej w sposób, o jakim nawet nie marzyła. Pewnie jej rodzice podobnie się traktują, gdy są sam na sam.

Pożądanie zapierało jej dech w piersiach, ale uczucie... Deene skradł jej serce, okazując, jaką przyjemność sprawia mu jej dotykanie i jej towarzystwo. Jedli razem wszystkie posiłki, chyba że wyjeżdżał do Londynu na spotkania z prawnikami, a to był przecież tylko wstęp do innych, wspólnie spędzanych chwil.

- Przyjdiesz do stajni, kiedy rozmówisz się z panią Belt?



Deene przełożył trzy soczyste truskawki ze swojego talerza na jej. Wczoraj kazał je podać do ich sypialni, dawno po zmroku, i to, co zrobił ze zwykłym, niepozornym owocem... ale to było, zanim zabrał się do czekoladowego sosu.

Eve oderwała wzrok od przysmaku na talerzu i skupiła się na prośbie swego męża.

- Jak tylko ustalimy plan pracy dla pokojówek i lokajów, omówimy menu na przyszły tydzień, porozmawiamy o myciu okien z obu stron, a potem...

Położył palec na jej wargach.

- A potem przyjdiesz zobaczyć, jak pierwszy raz wypuszczamy twojego żrebaka z młodzieżą.

- Tak, mężu.

Za nic nie mógł zrozumieć, że dom sam się nie poprowadzi i że jeśli pokojówki umyją okna od środka w miesiąc po tym, jak lokaje umyli je na zewnątrz, to okna nigdy nie będą naprawdę czyste.

Pocałował ją w usta i wyszedł, zostawiając ją w różanej, szczęśliwej ciszy, wpatrzoną w piękną męską sylwetkę widzianą od tyłu. Zanim otrząsnęła się z zamyślenia, w progu pojawiła się jej szwagierka, Anna, hrabina Westhaven, która wpadła z wizytą około południa.

- Właśnie jadę do Londynu z naszego Willow Bend. Pomyślałam sobie, że wpadnę na moment bez zapowiedzi, a jeśli zastanę cię jeszcze w łóżku, spokojnie pojedę dalej.

Evie ujęła ją pod ramię i poprowadziła krętą ścieżką wśród grządek z rozkwitłymi irysami. - Doniosłabyś całej rodzinie, że wyleguję się w piernatach podczas pierwszego tygodnia mego małżeństwa, dając co nieco do myślenia Ich Wysokościom.

Oczy Anny błysnęły psotnie.

- My z Westhavenem prawie nie wychodziliśmy z łóżka przez pierwsze trzy miesiące małżeństwa. Wiem, że to twój brat, ale chciałabym, żebyś zrozumiała, jakie jest praktyczne znaczenie słowa „szczęście małżeńskie”, Eve.

- My... wychodzimy z łóżka.

Zwłaszcza że Deene potrafił dopaść ją w schowku na pościel, w spiżarni, siodłami... i oczywiście w jej własnym łóżku.

- Czy jesteś zadowolona ze swego wyboru, Evie? - Anna usiadła na ławce skapaną w porannym słońcu, a Eve zajęła miejsce obok niej.

- Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa z moim mężem i podoba mi się święty związek, Deene stale mówi, że to „rozwiązek”, małżeński. Deene jest bardzo troskliwy.

Słowo „czuły” byłoby bardziej na miejscu.

- Aha, troskliwy. - Usta Anny rozciągnęły się w cienką kreskę. -Troskliwy, serdeczny, przyjazny, uprzejmy. Na takie słowa nie powinno być miejsca w ustach nowo poślubionych małżonków. Twoi bracia niepokoją się o ciebie, Eve Denning. Lubią Deene'a, ale z radością zrobią z niego kapłona, jeśli nie traktuje cię tak, jak mąż powinien.

St. Just przysiągł to w dzień ślubu Eve.

- Nie życzę sobie kastrowania mojego męża.

Anna, niech ją lichy porwie, czekała cierpliwie, aż Eve uporządkuje myśli na te, które może powiedzieć na głos, i na te, które zabierze ze sobą do grobu.

- Wydaje mi się, że Deene czuł się samotny. Anna poprawiła spódnicę.

- Mów dalej.

- On nie tylko... nie tylko chce korzystać z praw męża, ale pragnie mojego towarzystwa. Mam z nim jeść wszystkie posiłki. Mam patrzeć, jak zajmuje się końmi, razem ze stajennymi. Mówi, że instynktownie czuję, czego potrzeba, by stworzyć prawdziwe partnerstwo jeźdźca z koniem, i że mam więcej doświadczenia, niż mi się zdaje.

Ten komplement szczególnie jej się spodobał.

- To chyba normalne, że nowo poślubiony mąż komplementuje oczywiste zalety swojej żony.

Być może były oczywiste, ale akurat tej Eve od dawna u siebie nie zauważała.

- Nie wiedziałam, że Deene ma taki uczuciowy charakter.

- W jakim sensie?

To było pytanie, proste i zwykłe, ale Evie miała ochotę podzielić się z kimś małżeńskimi doznaniem... tymi cudownymi małżeńskimi doznaniem.

- Lubi mnie dotykać i to... na bardzo różne sposoby. Bierze mnie za rękę, obejmuje w taliu albo za ramiona. Kiedy siada obok, nie

zostawia między nami przestrzeni, jaką nakazuje przyzwoitość, nawet jeśli jesteśmy w towarzystwie albo w obecności służby. Jest jak... jak kot albo jak pies. Bliskość daje mu poczucie bezpieczeństwa.

Tak samo jak szczotkowanie jej włosów, pomaganie przy ubieraniu i rozbieraniu, karmienie jej i - to było najcudowniejsze - przytulanie się do niej przez całą noc, a nie przez kilka minut bliskości po zbliżeniu. I to zawsze, każdej nocy.

Trzeba przyznać, że ta jego serdeczność na co dzień również i jej dawała poczucie pewności. Jej poczucie bezpieczeństwa rozwijało się dzięki temu jak na drożdżach, podobnie jak inne uczucie, którego nie miała zamiaru z nikim omawiać. Ani teraz, ani nigdy.

- To bardzo dobra wiadomość, Evie. Tylko nie zapomnij okazywać mężowi, jak bardzo doceniasz jego zaufanie w tej mierze.

Jego zaufanie?

- Jak to rozumiesz?

Uśmiech Anny stał się diabolicznie słodki.

- Wiem, że Westhaven jest troskliwym, kochającym bratem i jest oddany rodzinie, ale być może zdziwi cię, że jako mąż był z początku dość skryty.

Można powiedzieć, że skrytość była drugim imieniem Gayle'a. Oprócz paru innych drugich imion.

- Co za zaskoczenie.

Anna albo nie zauważyła ironii, albo postanowiła ją zignorować, bo mówiła dalej.

- Musiałam go upewniać, że drobne oznaki jego uczucia i troskliwości są nie tylko tolerowane, ale także mile widziane.

Westhaven, który potrzebuje się o czymś upewnić? To było intrygujące.

- Jak to?

- Naturalnie, on odgrywa w naszym małżeństwie główną rolę, ale staram się nigdy nie opuszczać okazji, by odwzajemnić jego czułe gesty. Gdybym go nie upewniała, że jego oddanie mnie uszczęśliwia, mogłoby zacząć w to wątpić. A zwątpienie to wąż w małżeńskim raju, Eve. Zwątpienie w siebie albo w partnera. Musisz chronić swego męża przed taką udręką. Nawet jeśli jest całkiem niemądry i nie potrafi ci

zadać najprostszyc pytań, powinnaś mu dawać proste odpowiedzi. Doprawdy, małżeństwo bywa cudownie skomplikowane.

- Z przyjemnością upewnię Deene'a, o czym tylko będzie chciał. Anna umilkła na moment. Powiał lekki wiaterek, przynosząc do ogrodu zapach stajni.

- Nie zapominaj o prostych odpowiedziach. Mów mu, że cieszysz się, że zostałaś jego żoną. Mów, że go pragniesz. Że ci na nim zależy. Zachowania, które idą w parze z takimi słowami, mają większe znaczenie... A pewnego dnia...

- Tak?

- Pewnego pięknego, naprawdę pięknego dnia on także odpowie ci słowami. Jeśli już tego nie zrobił.

Nie zrobił. Ta świadomość trochę ją zaniepokoiła. Nie na tyle, żeby obudzić węża zwątpienia, ale na tyle, by wziąć to i owo pod rozwagę.

- Zostaniesz na herbatę, Anno?

- Nie chcę wam się narzucać. Od kiedy tu jestem, co chwila rzucasz okiem w stronę stajni. Podejrzewam, że jeśli się zaraz nie oddalę, za jakieś dziesięć minut Deene znajdzie odpowiedni pretekst i zacznie cię szukać.

Anna spełniła swoją zapowiedź i po wymianie uśmiechów i uścisków ruszyła w swoją drogę.

Eve mogła się wreszcie przebrać w odpowiednie do stajni ubranie i zacząć poszukiwania swego małżonka. Idąc przez ogród, poświęciła chwilę na przyjrzenie się innej mrocznej emocji, ubarwiającej jej dni.

Czuła się... pomszczona. Absolutnie, bez reszty pomszczona za to, że wytrzymała siedem długich lat, zamknąwszy w sercu prawdziwy sens głupoty, jaką popełniła w młodym wieku. Za to, że nigdy i nikomu nie zdradziła prawdziwej głębi swojego cierpienia i poczucia straty. Nigdy więcej imię jej dręczyciela nie pojawi się w jej myślach. Dzięki nieugiętej determinacji i woli, które pomogły jej znieść nieprawdopodobny, szarpiący nerwy strach, dostała szansę, by zacząć wszystko od nowa, w małżeństwie i w życiu. Zamierzała chwycić tę szansę obiema rękami i nigdy jej nie wypuścić z rąk.

Jeśli to oznaczało, że dalej będzie musiała w pojedynkę rozpamiętywać swoje żale i straty, chętnie podźwignie ten samotny ciężar. Nie

była aż tak głupia ani naiwna, żeby uwierzyć, że tak olbrzymi dar jak szansa na nowy początek przychodzi bez żadnych kosztów, które muszą, naprawdę muszą, obciążać tylko ją samą.

- Milordzie, w dalszym ciągu stanowczo odradzamy ci ten kierunek działania.

Hooker posłużył się liczbą mnogą, którą ostatnio prawnicy zaczęli stosować, mówiąc o sobie, chyba na wzór królów i papieży. Deene wysłuchiwał tego zwrotu aż nadto często w ciągu minionych kilku tygodni i coraz bardziej go to irytowało.

Hooker westchnął głośno, bez wątpienia gotów do kolejnego kazania na temat głupoty, którą jest wnoszenie sprawy przeciwko ojcu, którego postępowanie jest w zasadzie poza wszelką poważną krytyką, pomimo - naturalnie, zaiste i jednakowoż - problematycznego pochodzenia Dolana i jego kłopotliwych związków ze światem handlu.

- Spakuj je, Hooker. - Deene zebrał dokumenty, które w końcu wypisano i przygotowano do złożenia w sądzie. - Przeczytam je w ciągu kilku następnych dni, wprowadzę konieczne poprawki i oczekuję, że sprawa w ciągu tygodnia znajdzie się w sądzie.

Wstał, starannie zwinął stos papierów i podał je szczupłemu pomocnikowi, żeby przewiązał je czerwoną wstążką.

- Jeśli takie jest życzenie Jego Lordowskiej Mości, będziemy działać z należnym, przemyślanym i zdecydowanym pośpiechem, jednakże pozostaje jeszcze drobna sprawa... ehm... opłat za złożenie dokumentów i tak dalej.

Innymi słowy, jeśli nie zapłaci zaległości, Hooker będzie się ociążał ze złożeniem petycji, potem z poprawkami, potem z dalszymi analizami jakichś szczegółów, a wszystko to znacznie podwyższy ów niezapłacony rachunek.

- Przygotowałeś jakieś rozliczenia, Hooker?

- Tak się składa, że je mam, Wasza Lordowska Mość. Dingle. - Strzelił palcami na swego pomocnika, który zniknął z pokoju. - Proszę mi zrobić ten zaszczyt i przyjąć gratulacje z powodu ślubu. Rozumiem, że czasem trzeba szybko organizować ceremonię, ale czy wolno mi spytać, kiedy rozpoczną się negocjacje w sprawie posagu?

Hooker przezornie nie zadał przy pomocniku pytania, którego podtekst był niezbyt pochlebny dla Deene'a i jego żony. Deene naciągnął jeździeckie rękawiczki.

- Negocjacje już się zakończyły. Zawarłem prywatną ugodę z rodziną Windhamów. Jeden egzemplarz jest w moim posiadaniu, a drugi u brata mojej żony, hrabiego Westhavena. W żaden sposób nie wpływa to na interesy związane z moim tytułem markiza.

- To doprawdy niezwykle, milordzie.

- Chcę panować nad moją sytuacją finansową, Hooker, tak jak nad przyszłością mojej siostrzenicy. Mam nadzieję, że zrozumiałeś przynajmniej to ostatnie, jeśli nie to pierwsze.

Pomocnik powrócił z drugim stosem papierów, tym razem przewiązanych zieloną wstążką. Sprytni są ci prawnicy.

- Zatem żegnam Jego Lordowską Mość. I jeszcze raz gratuluję. Deene wyszedł bez specjalnego pośpiechu, choć im więcej czasu

spędzał ze swymi prawnikami, tym bardziej nienawidził nawet samego zapachu tego miejsca. Czuć je było starymi księgami, strachem i chciwością. To, że zdecydował się zatruć swój miodowy miesiąc wyjazdami do Londynu, było miarą desperacji, z jaką walczył o rozwiązanie problemu z Georgie.

Bardzo nieswojo czuł się z tym, że nie do końca wyjaśnił tę sprawę Evie. Wyczekiwał spokojnego momentu, w którym mógłby o tym mimochodem wspomnieć, ale spokojne momenty z jego młodą żoną były tak cenne, że bez wyjątku zmieniały się w momenty intymne albo dawały im początek. Planował powiedzieć jej o tej sprawie, kiedy będą mieli chwilę przerwy w stajni, ale jak tu zacząć rozmowę na taki temat?

„Och, tak przy okazji, chyba niedługo wpakuję nas w skandal i ubóstwo przy okazji przejścia opieki nad moją siostrzenicą”.

„Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żebym zakłócił harmonię naszego związku, wywlekając rodzinne problemy przed sądem”. Boże wszechmogący, będzie jej musiał o tym szybko powiedzieć, zanim jakaś życzliwa plotkara - albo ktoś z Windhamów - zajmie się tą sprawą. Jeśli to małżeństwo ma mieć choć jedną dziesiątą potencjału, jaki w nim wyczuwał, trzeba koniecznie sprawić, by Eve zrozumiała sytuację Georgie, i to szybko.

Deene wsiadł do powozu, myśląc jednocześnie o tym, że wkrótce będzie jadł kolację z żoną, i o tym, że powinien odwiedzić Dolana i po raz ostatni zaproponować mu, żeby rozwiązali problem przyszłości Georgie jak... cywilizowani ludzie.

Za nic nie nazwałby „dżentelmenem” człowieka pokroju swojego szwagra.

- Czy spotkanie udało się lepiej niż poprzednie?

Anthony rozpierał się na poduszkach, jakby nie miał nic lepszego do roboty, niż ucinąć sobie drzemkę w środku popołudnia.

- Nabrałeś zwyczaju zakradania się do powozów, kuzynku? -Deene usiadł obok niego, twarzą do kierunku jazdy.

- Dyskrecja to cenna rzecz, ale nie planowałem tego. Postawiłem na prywatność zamiast wystawać przed powozem na ulicy. Nie wiedziałem, że będziesz dziś w Londynie.

- Nie miałem na to szczególnej ochoty, ale prawnicy w końcu napisali petycję w sprawie Georgie.

Anthony uśmiechnął się blado.

- Więc święty stan małżeński ci odpowiada?

- Tak jest.

Uśmiech kuzyna nabrał wilczych cech.

- Czy twoja markiza jest podobnie zadowolona z tej instytucji? Pytanie zabolalo.

- Staram się, żeby tak było. To mój obowiązek i przyjemność zarazem.

Uśmiech Anthony'ego nieco przyblakł.

- Jakże uroczo, Deene. Nie miną dwa lata i jeśli dorobicie się jednego zdrowego syna, będziecie mieszkać osobno.

- O ile się nie mylę, rozmawialiśmy już na ten temat. Jak tam siewy w Kent?

Deene prowadził rozmowę na obojętne tematy do chwili, gdy zajęli przed rezydencją w Mayfair. Lokaje już podchodzili do powozu ze schodkami, kiedy nagle wpadł na pomysł, że małżeństwo dało mu pewną opcję, z której powinien teraz skorzystać.

- Z czasem zaczniemy z Eve spędzać coraz więcej czasu w Londynie, Anthony.

- Czy to rozsądne obwozić się z nią, kiedy w dalszym ciągu krąży tyle plotek?

- Chcę, żeby to ona obwoziła się ze mną, ty idioto. Ślub powinien skutecznie zamknąć usta plotkarzom.

Teraz Anthony zrobił zbolaną minę.

- Wykrztuś to wreszcie, Anthony. Zamierzałem właśnie powiedzieć, że zrozumieć, jeśli będziesz chciał się przenieść do własnego domu w mieście, bo mieszkanie z parą nowożeńców niekoniecznie musi ci odpowiadać.

Anthony uniósł brwi.

- Do własnego domu? Myślisz, że zdezerteruję teraz, kiedy wczoraj jakiś podlec śmiał porównać twoją relację z Georginą do Byrona i jego przyrodniej siostry?

W spokojnym pytaniu Anthony'ego kipiała wściekłość. Wściekłość i determinacja, by zrujnować Jonathana Dolana. Na mieście plotkowano, że Byron był ojcem trzeciego dziecka jego przyrodniej siostry, choć nie sposób było tego dowiedzieć z całą pewnością.

- Kto tak twierdzi?

- Nie powiem ci. Był już dobrze podpity, a jego przyjaciele uciszyli go natychmiast, w powodzi przeprosin i tłumaczeń. Nie chciałem, żebyś o tym wiedział, bo musiałbyś wyzwąć Dolana na pojedynek, a przecież jesteś nowożeńcem. Przecież to tylko plotki, a pojedynek pogorszy sytuację Georginy niemal tak samo jak zwykłe morderstwo.

- Takie podłe plotki zrujnują jej życie, Anthony. Trzeba powstrzymać Dolana.

Ale dlaczego teraz? Dlaczego ta sprawa dojrzała do rozwiązania właśnie teraz, gdy Deene przede wszystkim chciałby spędzać czas z żoną? Pewnie Dolan tak to zaplanował.

- Anthony, czy mogę na ciebie liczyć, jeśli będę potrzebował sekundanta?

- Naturalnie. Czy chciałbyś, żebym porozmawiał z kimś jeszcze?  
-Odpowiedź była zadowolająco szybka i zdecydowana.

- Jeszcze nie. Już samo pytanie wywoła plotki.

- W takim razie będę siedział cicho, czekając na twoje polecenie. Pozdrowienia dla mojej nowej kuzynki, markizy.



Anthony wysiadł z powozu. Choć Deene najchętniej wróciłby od razu do Surrey, ruszył za kuzynem do swojej miejskiej rezydencji, napisał kilka liścików do wysłania przez posłańca i dopiero potem odjechał do swej wiejskiej posiadłości.

- Moja droga, zaczynam się niepokoić.

Mina Kesmore'a sugerowała, że nie całkiem żartuje, choć zazwyczaj uwielbiał to robić, odkąd zostali małżeństwem.

- Zatem ja też się niepokoję - odparła Louisa, starając się stłumić ziewnięcie. Popołudniowa drzemka w wykonaniu Jego Lordowskiej Mości była raczej rozleniwiająca niż orzeźwiająca, nawet dla zaprawionej w bojach żony.

- Co za lojalność. - Przetoczył się, przykrywając jej nagie ciało swoim.

- Należy ci się za nią pocałunek.

Nie omieszkał spełnić obietnicy, tworząc cudowny finał wspaniałej kompozycji, którą stanowił Joseph Carrington w miłosnym nastroju.

Kiedy Louisa odzyskała zdolność wypowiedzenia logicznych zdań, natychmiast wykorzystała okazję.

- Co cię tak niepokoi, Joseph?

Cokolwiek to było, nie miało zbyt wielkiego znaczenia, jako że ciało jej małżonka sugerowało gotowość dopisania kolejnej części do jego najnowszej małżeńskiej sonaty.

Wtulił się w jej szyję.

- Dostałem dziś rano wiadomość od Deene'a. Wysłał ją z miasta, posłańcem.

Chyba żaden mężczyzna nie umiał lepiej wykorzystać nosa w pewnych małżeńskich kwestiach. Mąż Louisy potrafił ogrzewać ją oddechem, wodzić palcem po jej twarzy, wciągać jej zapach tak, jakby prawił jej komplementy, których inni mężowie nie szczędzą swoim małżonkom.

- To łaskocze, mężu.

- Łaskotanie to bardzo przyjemna rzecz i mogłabyś rozważyć, wiedziona wszechogarniającą troską o moje dobro, czyby go przypadkiem nie odwzajemnić. Jak dobrze znasz Deene'a?

Louisa nie połaskotała go. Jeśli naprawdę pragnie łaskotek, będzie musiał o nie zebrać. Za to spojrzała mu prosto w oczy i zorientowała się, że pyta poważnie.

- Bardzo dobrze. Jest naszym sąsiadem od zawsze, służył w armii z Bartem i St. Justem, ma zwykle takie same przekonania polityczne jak tata, a w dzieciństwie ciągle u nas siedział, bo nie miał ani rodzeństwa, ani rodziny, z którą mógłby spędzać czas.

- Służył też ze mną, a teraz naprawdę należy do naszej rodziny. Dzieje się coś niedobrego. Wprawdzie nie wiem, czy to bardzo poważna sprawa, ale i tak uważam, że Deene i jego żona potrzebują naszej pomocy.

Louisa kochała swojego męża z wielu względów: był cudownym ojcem, sprawiał, że czuła się jak najpiękniejsza kobieta na świecie, chronił wszystkich, których kochał, nawet najmniejsze prosiaki, które dopraszały się o opiekę cienkim kwikiem. W tym akurat momencie kochała go nie tylko za to, że nie ruszył na pomoc Deene'owi bez porozumienia z nią, ale że w ogóle nie przyszło mu to do głowy. Joseph Carrington był nie tylko kochającym i namiętym mężem, ale też przyjacielem, najlepszym, najbardziej lojalnym przyjacielem. Co więcej, potrzebował mieć takiego samego przyjaciela w żonie.

Louisa odsunęła mu włosy z czoła, objęła go nogami i pocałowała w usta.

- Powiedz mi, co trzeba zrobić w tej sprawie, mężu. Jeśli Deene ma kłopoty, to znaczy, że nasza Evie też je ma, a na to nie możemy przecież pozwolić.

Dopiero po jakieś półgodzinie doszło do wyjaśnień, ale kiedy już wszystko omówili, okazało się, że - jak zwykle we wszystkich ważnych sprawach - mają na ten temat takie samo zdanie.

- Widzisz, jak Aelfreth patrzy w dół, na lewo?

Deene nic takiego nie zauważył. Widział tylko, że jego żona nie spuszcza wzroku z Aelfretha i Króla Williama, którzy zataczali koła po placu treningowym. Czasem w łóżku wpatrywała się w niego z takim samym skupieniem, choć wtedy jej oczy były zamglone z pożądania.

- A jakie to ma znaczenie?

- To kwestia uwagi, Deene. Aelfreth kieruje uwagę konia w miejsce, w które się sam wpatruje.

- Na litość boską, Eve, przecież koń nie widzi, w którą stronę spogląda jeździec, siedzący na jego grzbiecie.

Na lewym policzku Eve pojawił się na moment dołeczek. Deene zauważył go dopiero niedawno i był nim zafascynowany.

- A kiedy ja... siedzę na tobie okrakiem, Deene, a tym masz zamknięte oczy? Wiesz wtedy, w którą stronę patrzę?

- Naturalnie.

- Więc powiedz Aelfrethowi, żeby podniósł wzrok, chyba że chcesz, by William interesował się jedynie tym, co jest na ziemi po jego lewej stronie. Jeśli nie przełamiesz tego nawyku u Aelfretha, koń zacznie ci się krzywić.

- Przecież to tylko trening ujeżdżeniowy, Evie, drobna odmiana w codziennej rutynie. Kiedy będą na torze, Aelfreth będzie patrzył na kolejne przeszkody albo na prostą i potem na przeszkody.

Założyła ręce na piersi, z surową miną guwernantki.

- Król William stale się przy nas czegoś uczy, Deene. Już ci to tłumaczyłam.

To prawda, a jej wykłady i kazania były urocze, a do tego bardzo pouczające. Choć minęły zaledwie dwa tygodnie, Deene już zauważył pozytywne zmiany w zachowaniu młodych koni i ich jeźdźców.

Krzyknął do Aelfretha, że markiza każe mu patrzeć tam, gdzie ma jechać, do cholery, co wywołało barani uśmiech na twarzy dżokeja. Usłuchał natychmiast, choć polecenie samego Deene'a z pewnością by go aż tak nie obeszło.

- Moi stajenni stali się twoimi niewolnikami, żono. Konie zresztą też.

- Co za pochlebstwo. Pojedziemy gdzieś dzisiaj?

Przy ładnej pogodzie nabrali zwyczaju wyjeżdżania na pikniki w różne ustronne zakątki majątku. Czasem kochali się w leniwym popołudniowym słońcu, czasem Deene drzemał z głową na jej kolanach, a czasami po prostu rozmawiali. Podejrzewał, że to ostatnie sprawiało im obojgu największą przyjemność.

- Dziś mam inne plany. Spojrzała na niego... z czujnością.

- Mężu, dziś wstaliśmy późno, bo miałeś inne plany, a choć zwykle twoje plany bardzo mi się podobają, to...

- Podobnie jak mnie podobają się twoje plany, żono, ale tym razem są to plany innego rodzaju.

W dalszym ciągu była zaniepokojona. W miłości potrzebowała odrobinę - tylko odrobinę - perswazji, gdy szło o próbowanie nowych rzeczy, takich jak nowa pozycja, nowe miejsce, nowa wariacja na temat czegoś, co już jej wcześniej pokazał. Zawsze się wahała.

„Lucas, to nie może być” w dobrym tonie...”

„Mężu, nie jestem pewna, czy...”

„Deene, czy jesteś pewny, że tak się da?”

Nie była właściwie nieśmiała, raczej brakowało jej pewności siebie albo raczej przekonania, że ma prawo cieszyć się swoją, daną od Boga, namiętą naturą.

Mimo to zawsze zbierała się na odwagę i wychodziła mu naprzeciw. Kochał to w niej prawie tak samo jak jej drobne pieszczoty i karesy, których nie szczędziła w ciągu dnia.

- Dokąd mnie prowadzisz, Deene?

Splótł jej palce ze swoimi i pociągnął w kierunku nieużywanych stajni dla żrebných klaczy.

- To niespodzianka, Evie. Chciałem ci ją sprawić rano po naszej nocy poślubnej.

- I sprawiłeś mi ją, o ile pamiętam.

Obudził ją, ucząc rozkoszy słodkiej, sennej miłości ciał wtulonych w siebie pod ciepłą kołdrą.

- Młodej żonie należy się mnóstwo przyjemnych niespodzianek.

- A więc to ma być przyjemna niespodzianka? Zawsze ta czujność.

- Mam nadzieję, że tak ją potraktujesz.

W jego głosie dźwięczała powaga. Eve zatrzymała się na moment, by na niego popatrzeć. Teraz już nie mógł się wycofać i być może z tego powodu lekki niepokój zmienił się w ściskający piersi strach.

- Jeśli ci się nie spodoba, nie będziesz musiała jej zatrzymać. Mogę ją odesłać.

Ruszyła przed siebie. Weszła do pustej stajni.

- Więc to jest prezent?

- Zgodnie ze zwyczajem mąż powinien ofiarować żonie po nocy poślubnej prezent na znak szacunku.

- Och, znowu jesteś sentymentalny. Uwielbiam, kiedy się tak o mnie troszczysz, Deene, ale rozumiem, że powinniśmy oszczędzać, więc zwolniłabym cię ze wszystkich...

Zatrzymała się jak wryta przed przestronnym boksem wyścielonym grubą warstwą świeżej słomy.

- Lucas, co ty zrobiłeś? Wielki Boże... co ty zrobiłeś?

Eve nie mogła złapać tchu. Mogła tylko patrzeć, kurczowo uczepona ręki męża.

- Chyba zemdleję.

- Ani mi się waż. - Deene stanął za nią i objął ją ramionami. Był oazą spokoju, a jej huczało w uszach i w klatce piersiowej czuła niezdolność ucisk. - Oddychaj. Evie. To tylko koń. Jeszcze jeden koń.

Owszem, ale nie byle jaki. Eve poznała te cudowne, brązowe oczy i różową plamkę na wielkim, aksamitnym nosie klaczy.

- Posiwiała, już nie jest szara. To moja Słodka, prawda? Powiedz, że to moja najdroższa... och, mężu. Co ty zrobiłeś?

- Mogę ją odesłać, jeśli jej nie chcesz... nie zamierzałem cię denerwować, Evie. Ale pytałaś o nią i pomyślałem, że może martwiłaś się, czy...

- Cicho. - Odwróciła się w jego ramionach, położyła dłoń na jego twarzy, ale zaraz znów się odeń odwróciła, żeby spojrzeć na klacz. -Cicho bądź. Już nigdy jej od siebie nie puszcę, przenigdy. Musisz mi to obiecać, Lucas. Przysięgnij mi, że jest moja na zawsze.

- Jest twoja na zawsze, przysięgam, obiecuję i dotrzymam obietnicy. Wpisałem to do umowy małżeńskiej i do rachunków, do mojej ostatniej woli i do testamentu. Jest twoja, na zawsze.

Jak on mógł zrobić coś takiego... włożył w to tyle troski... Obejmowała go z całej siły, nie odwracając wzroku od klaczy, choć ledwo ją widziała przez łzy.

Kiedy Deene zaczął gładzić ją po plecach i podtrzymywać, bo kolana się pod nią uginały, Eve zaczęła oddychać. Wdech i wydech, wdech i wydech, aż dokonała niezwykłego odkrycia. Emocje wzbierające w niej sprawiały, że płuca wydawały jej się za małe, a serce tłukło się w piersi. Stłumiły jej zmysł obserwacyjny, stępiły słuch i wzrok, choć wyostrzyły węch. Jej ciało błędnie zinterpretowało ten moment

i zareagowało lękiem na granicy paniki. Tylko że mąż trzymał ją bezpiecznie w ramionach, a do jej umysłu zaczęło docierać - w siedem lat później - że druga ofiara jej dawnego upadku ma się dobrze. Klacz była zadowolona, dobrze odżywiona, a jej oczy miały tę samą przejrzystość i spokój, które zawsze się Eve z nią kojarzyły. Sierść lśniła jak u zdrowego, prawidłowo karmionego konia.

Fizyczna reakcja Eve przypominała panikę, ale w jej sercu wzbierała wdzięczność, ulga i przyćmiewająca je ogromna, oszałamiająca, niebotyczna i bezgraniczna radość.

## 8

Deene czekał cierpliwie, więc Eve nie miała pojęcia, jak długo stała pod boksem klaczy, przeżywając swoje szczęście. Lekkość, jaka ją ogarnęła, była... niebiańska, jakby właśnie pokonała cały parkur bez jednego fałszywego kroku, z idealnymi najezdami, w fantastycznym rytmie, z doskonałymi zeskokami. Jakby dosiadała właśnie tej klaczy.

Kiedy już zmoczyła łzami całą chusteczkę Lucasa i pewnie nadużyła cierpliwości swego małżonka, udało jej się w końcu wykrztusić:

- Jest zdrowa?

Poczuła, jak odpływa z niego napięcie, jakby przez cały czas wstrzymywał oddech.

- Zdrowa jak koń. Brała udział w polowaniach, Evie, a szlachcic, który mi ją sprzedał, mówi, że to najlepszy koń na poranne gonitwy.

Rzeczywiście musi być zdrowa.

- Myślałam o niej cały czas, przez te wszystkie lata, ale nie wiedziałam, jak mam o nią zapytać. I nie wiedziałam kogo. Modliłam się za nią co noc, modliłam się, żeby nie cierpiała, żeby się nie męczyła bez końca, żeby nie stało się z nią coś gorszego...

Łagodnie przytulił głowę Eve do piersi.

- Opiekował się nią niejaki Belmont, zapalony myśliwy, który mieszka dalej na południe od nas. Postawił ją w boksie na rok, potem

dwa razy zażrebił. Pierwszy źrebak chodzi już od roku pod siodłem i pewnie tylko dlatego mi ją sprzedał. Jej potomstwo, dwie klaczki, najprawdopodobniej odziedziczyły po niej zrównoważony charakter i wielkie serce.

- To znaczy, że St. Just doskonale się nią zaopiekował. Muszę mu podziękować.

- Musisz zrobić jeszcze jedną rzecz, Evie.

Bezpiecznie wtulona w jego ciało Eve dokładnie wiedziała, co chciał jej powiedzieć. Powinno to obudzić w niej panikę, której nie poczuła na widok klaczy. Powinna usłyszeć ryk w uszach, a jej ręce powinny zziębnąć.

- Chcesz, żebym na nią wsiadła.

- Nie. - Obejmował ją tak delikatnie. - To, czego ja chcę, nie ma znaczenia. Mam nadzieję, że mi wierzysz. Ważne, a raczej najważniejsze, jest to, czego ty chcesz. A w tej chwili, Eve Denning, pragniesz tylko jednej rzeczy bardziej niż czegokolwiek innego, bardziej niż wszystkich skarbów świata. Pragniesz znowu dosiąść swojej klaczy.

To był... niesłychany dar, takie zrozumienie jej potrzeb. Zadośćuczynienie za długą samotność i to na najgłębszym, najbardziej podstawowym poziomie. I uzdrowienie. I jeszcze więcej radości, a do tego... prawda.

Pozostawała w ramionach męża, pozwalając, by ta prawda przeniknęła jej umysł i serce, a Deene mówił dalej.

- Wsiądę na nią razem z tobą. Klacz jest w dobrej formie, więc jakoś to zniesie. Wezmę cię na lonżę albo poprowadzę na uwiąz. Wsiądę na Bestię i będę jechał z tobą strzemień w strzemień, jeśli wolisz. Albo pójdę przy koniu. Poprowadzę cię gdzieś, gdzie nikt nie będzie patrzeć. Eve, koniecznie powinnaś wsiąść na tego konia.

Eve poczuła piekące łzy w oczach, łzy, które miały wiele wspólnego z koniem, ale dużo więcej z mężczyzną, który jej go zwrócił.

Objęła lekko męża, zbierając się na odwagę. Można powiedzieć, że chwyciła się jej obiema rękami.

- Na początek chyba wsiądę po męsku.

Zaskoczyła go. Podniosła wzrok i zobaczyła, że uśmiecha się do niej z większą czułością, niż kiedy się kochali.

- Doskonały pomysł. Kazałem trzymać się chłopakom z dala od wypoczynkowego wybiegu, mam też jej siodło i ogłowie, które kupiłem razem z nią.

Pomyślał o wszystkim. A kiedy powiedziała, że sama chce ją sobie osiodłać, grzecznie poszedł do domu po męskie bryczesy.

- Deene, przyprowadź tu Bestię. Może przejedziemy się nad strumyk. Odpowiedział uśmiechem, który rozjaśniłby cały świat i rozproszył

wszystkie zastrzeżenia, które obudziły się w niej poniewczasie. Kiedy zdjęła ogłowie i uwiąz wiszące przy boksie, uśmiechnęła się mniej promiennie niż on, ale z taką samą radością

Wojna zmienia człowieka, pomyślał Deene, ale nie zawsze na lepsze. Obserwował, jak jego żona wiąże Aelfrethowi na głowie jego ulubioną, czerwoną chustkę, i uświadomił sobie, że małżeństwo też zaczęło go zmieniać.

Żołnierz traktuje swoich kamratów z pewną rezerwą, choć stara się ich chronić. Kolega, który wieczorem popija z tobą przy ognisku, może następnego dnia rano dostać się do francuskiej niewoli podczas kąpieli w rzece. Obiecujący młody porucznik, recytujący przy śniadaniu sprośne poezje, w południe może dostać kulę w łeb.

Kiedy ostatnio przebiegł w myśli listę znajomych - coś, czego nie robił od czasów Waterloo - uświadomił sobie, że poza St. Justem, Wellingtonem, Kesmore'em i kilkoma innymi, prawie żaden z jego towarzyszy broni nie przeżył tej wojny.

Dzięki temu nieco łatwiej przyszło mu się pogodzić z opiekuńczością, jaką budziła w nim żona, ale w żaden sposób nie tłumaczyło to zmiany jego podejścia do wszystkiego, poczynając od pogody, poprzez jego majątek, aż po dzieci, które Anthony wychowywał w niewielkim dworku, odległym zaledwie o kilka mil.

Eve poklepała Aelfretha po ramieniu, udzieliła mu ostatnich wskazówek i podeszła do męża.

- Milordzie, zanoszą się na deszcz. Zostaniemy tutaj czy zajmiemy się rachunkami?

Uśmiechała się do niego - zebrał już cały katalog takich uśmiechów, z dołączkiem albo bez - gotowa dostosować się do jego życzeń.

- Chodźmy sprawdzać księgi.



W ten sposób będzie miał ją tylko dla siebie. Przy niej nawet nudna rachunkowość wydawała się do zniesienia.

- Aelfreth z Willym mogą sobie galopować po błocie, a nam będzie ciepło i sucho.

- Miałam nadzieję, że tak powiesz. - Objęła go ramieniem w talii i ruszyli razem w kierunku domu. - Dostałam wiadomość od Louisy. Wkrótce odwiedzą nas razem z Kesmore'em i obawiam się, że potem runie tama.

- Koniecznie muszą?

Lubił jej rodzinę, nawet bardzo, ale cenił sobie te tygodnie, podczas których poznawał swoją żonę i jej uśmiechy. Zaczął nawet rozumieć jej milczenie, więc teraz objął ją ramieniem.

- Powiedz mi, o co chodzi, żono.

- Nie powinnam z taką niechęcią reagować na grzecznościowe wizyty moich sióstr, ale tak to czuję, Deene. Jestem zazdrosna o czas spędzany z tobą. - Miło wiedzieć.

Dała mu kuksańca w zębra.

- Niegodziwiec. Powinieneś odpowiedzieć, że czujesz to samo.

To oczywiście, że czuł to samo. Tylko się nie przyznał. Zamiast tego, gdy tylko weszli do biblioteki, zamknął za nimi drzwi i przekreślił klucz. Na odgłos tego cichego, dodatkowego stuknięcia, stojąca przy kominku Eve podniosła wzrok. - Mamy się zajmować księgami, Lucasie Denning.

- Tak jest. Właśnie sprawdziłem moje rozliczenia i okazało się, że minęło już ponad dwanaście godzin od chwili, gdy ostatni raz cieszyłem się wdziękami mojej żony. A właściwie nawet osiemnaście godzin. Trzeba to natychmiast zbilansować, jeśli mam się skupić na czymś tak prozaicznym jak księgi rachunkowe.

- A drugie śniadanie? A obowiązkowość? A... och. Posadził ją na brzegu wielkiego biurka i podszedł bliżej.

- Obowiązek zapewnienia dziedzica przede wszystkim.

- Nikt nie mógłby żądać od ciebie więcej w tej mierze, mężu, ale jest przecież środek...

Tak, jakby nie kochali się o każdej porze dnia i nocy. Z początku niepokoił się, że wymaga od niej zbyt wiele. Teraz też go to gryzło. Eve nigdy mu nie odmawiała, ale też nigdy nie inicjowała intymnych chwil.

Jeszcze nie.

- Pocałuj mnie, moja pani. Jeśli przeciągniesz swój pocałunek odpowiednio długo, to już nie będzie środek dnia.

Objęła go za szyję.

- Zrobiłeś ze mnie ladacznicę, Deene.

- Martwi cię to?

Smutna nutka w jej głosie kazała mu przesunąć wzrok z miękkiego, pachnącego dołeczka w szyi przy ramieniu i zająrzeć jej w oczy.

- Martwi cię. Martwisz się, że ta cudowna namiętność do młodego męża jest nieprzyzwoita. Co ja mam z tobą zrobić?

Nie zaprzeczyła. Nie droczyła się ani nie flirtowała. W spokojnych, zielonych oczach czaił się cień wątpliwości.

- Wiem, że nie powinno mnie to niepokoić. W końcu jesteśmy nowożeńcami.

Odniósł wrażenie, że Eve powtarza sobie to zdanie w chwilach zwątpienia. O wiele częściej, niż powinna. Czy dlatego nigdy nie prowokowała go do miłosnych zbliżeń?

Zamiast pogłębiać jej skrepowanie, Deene zaczął buszować w fałdach jej spódnicy, podciągając je w górę.

- Powiedz mi coś, lady Deene. Czy ty masz zwyczaj przyglądać się lokajom? Szczególnie temu blondynowi o bezczelnym uśmiechu, który ma takie szerokie bary.

- Godfrey. Podkochuje się w młodszej pokojówce. Dlaczego miałabym się na niego gapić?

Deene odsunął na bok chwilową konsternację, że знаła imię lokaja i wiedziała, kim się interesuje.

- Bo jest szatańsko przystojny i prawdopodobnie spowinowacony ze mną, tyle że z lewej strony łoża.

- To przecież chłopiec. Ja nie... Deene, co ty wyprawiasz?

- Zdejmuję te twoje obłędnie haftowane jedwabne majteczki. Twoja siostra Jenny powinna otworzyć sklepik pod patronatem niektórych dżentelmenów. Kupowałyby te cuda dla swoich ukochanych.

- Chybaby najpierw umarła ze wstydu. Przestań się tak na mnie patrzeć.

Deene uwielbiał patrzeć na swoją żonę. Jej blond włoski w intymnych miejscach miały rudawy odcień, a skóra była tak biała, że niemal świeciła.

- Połóż się, Evie, tylko najpierw mi powiedz: jeśli jesteś aż taką rozpustnicą, to czy zastanawiałaś się kiedyś, jak by to było, gdybyś się kochała, na przykład, z moim kuzynem Anthonym?

Nie położyła się. Spojrzała na niego z taką urazą, jakby zjadł jej ostatni kęs placka z wiśniami.

- Zwariowałaś? Anthony jest miły i w jakiś sposób podobny do ciebie, ale... nie mogę myśleć, kiedy mnie tak dotykasz.

„Tak” oznaczało głaskanie kciukiem jej włosków i przesuwanie nim po maleńkim pączku jej kobiecości.

- W takich intymnych chwilach nie myślisz o nikim innym poza mną, prawda, żono?

- Nie mogę myśleć... Dalej na mnie patrzysz.

Owszem, zamierzał patrzeć, i to z bliska. Planował to od kilku godzin, od momentu, gdy asystował jej przy porannej kąpieli.

- Prawdziwie rozpustna kobieta patrzyłaby na każdego mężczyznę jak na pretekst do seksu, Evie. Z trudem powstrzymywałyby się od flirtowania z każdym, kto nosi spodnie, albo nawet z niektórymi innymi kobietami. Gapiłaby się na wszystkich: na służących, lokajów, na męża, jakby trapił ją głód, którego nie sposób zaspokoić.

Deene pocałował ją, głównie po to, by ją wreszcie ułożyć na tym biurku, ale kiedy otworzył oczy, zobaczył, że Eve przygląda mu się z uwagą. - A ty, Deene, interesujesz się innymi kobietami? Wyprostował się i podszedł do sofy po poduszki. Jedną rzucił na

podłogę, sobie pod kolana - zamierzał jakiś czas klęczeć - a drugą położył na biurku. Ten taktyczny manewr był mu potrzebny, żeby dobrać odpowiednie słowa. - Pragnę tylko ciebie, Eve Denning, i nie potrafię sobie wyobrazić chwili, kiedy zapragnę kogoś innego poza tobą. Pragnę cię teraz, a za pięć minut będę cię pragnął jeszcze bardziej. Gorąco pragnę też, żebyś żywiła podobne uczucia do swego małżonka. To, że jego względy sprawiają ci przyjemność, zaznaczmy, że wyłącznie jego względy, czyni cię oddaną żoną, kimś całkowicie odmiennym od ladacznicy.

Nie oszukał jej tym. Doskonale wiedziała, że powiedział tylko częściową prawdę. Poznał to po charakterystycznym przechyleniu głowy. Gdy ukląkł na kolanach między jej nogami, wdychając jej czysty, intymny zapach, zrozumiał, że nie odważy jej się powiedzieć, że ją kocha, do chwili, kiedy nie dowie się czegoś o samym sobie: mianowicie, jak daleko będzie chciał się posunąć, by osiągnąć swój cel w sprawie Georgie.

- Deene? - położyła mu dłoń na włosach. - Lucas, co ty, do licha... Dotknął wargami źródła jej rozkoszy, a potem przez długą chwilę w bibliotece słychać było jedynie trzask i syk ognia, i westchnienia kobiecej rozkoszy.

Zapoznawszy żonę z jeszcze jedną miłosną techniką, Deene pozwolił jej zadowolić siebie dłonią, była w tym naprawdę niezrównana. Potem oboje doprowadzili do porządku swoje ubrania, otworzyli drzwi i polecili lokajowi stojącemu w holu, by przyniósł im coś do jedzenia.

Małżeńskie obowiązki pobudzały apetyt.

- Jedno mnie ciekawi.

Choć Eve nie była tak nieskazitelnie ubrana i opanowana jak trzydzieści minut wcześniej, mimo wszystko tchnęła atmosferą domowego spokoju.

- Co cię tak ciekawi?

- Czy wszyscy nowożeńcy są tak... entuzjastycznie nastawieni do obowiązków małżeńskich jak my?

Wyczuwał niepewność w tym pytaniu i pożałował wcześniejszej wzmianki o dziedzicu rodu. - Najlepiej spytaj o to swoje siostry. Na pewno umierają z ciekawości, co myślisz o małżeństwie i o mnie w roli męża i kochanka. Uniosła brwi.

- Na takie tematy nie dyskutuje się nawet z siostrami.

- Oczywiście, że się dyskutuje. Jestem pewny, że twoje komentarze będą pochlebne, więc nie ma mowy o złamaniu lojalności wobec męża. - Zmarszczył brwi. - Bo będą pochlebne, prawda?

Rozpromieniła się.

- Pełne adoracji, Deene. Fascynacji, oczarowania i satysfakcji. A do tego długie. Długie i treściwe. Poza tym masz rację. Sindal, Hazelton i Kesmore potrzebowali dziedziców rodu albo dodatkowych dziedziców. Jestem pewna, że siostry chętnie zabawią się w porównywanie uwag.

Wcale nie to miał na myśli. Mruknął pod nosem: „Do diabła z cholernym dziedziczeniem”, ale dalsze komentarze przerwało mu donośne stukanie do drzwi.

- Nasza służba wie, że kiedy jesteśmy za zamkniętymi drzwiami, należy do nich głośno pukać. To ci powinno wiele powiedzieć, żono.

Spędzili popołudnie we dwójkę, w bibliotece. Eve zajmowała się księgami rachunkowymi, Deene próbował się skupić na terminarzu wyścigów w nadchodzącym sezonie. Ale głównie przyglądał się swojej ślicznej żonie.

- Jutro wybieram się do Londynu, moja pani. Czy mam ci coś załatwić?

Podniosła wzrok. Miała na nosie okulary do czytania.

- Nie lubisz tych wyjazdów, mężu. Pojechać z tobą? Sięgnął i zdjął jej te okulary. - Nie tym razem. Jeśli chcesz jechać po zakupy, chętnie wybiorę się z tobą i będę za tobą dreptał po sklepach jak posłuszny sługa.

Przez moment myślał, że Eve zacznie nalegać, ale jego rozmowa z Dolanem musiała się odbyć bez świadków, a już na pewno nie tak łagodnych i miłych jak jego markiza.

- Znajdziesz czas przed wyjazdem, żeby się wybrać ze mną na przejażdżkę, Deene?

- Oczywiście. - Oddał jej złożone okulary. - Tak trudno ci było o to poprosić? Skinęła głową.

- Powinam po prostu wyjechać ze stajennymi na spokojny spacer w ich towarzystwie, ale pewniej się czuję, kiedy jesteś ze mną na Bestii. Wydaje mi się, że Słodka lubi twojego wałacha.

- A mój wałach ciebie. Wszystkie stworzenia w tej posiadłości są tobą oczarowane, żono, włącznie ze mną.

Chciał się z nią podroczyć, ale jej poważny uśmiech powiedział jej, że dostrzegła prawdę w jego słowach.

- Martwię się, Lucasie Denningu. - Odsunęła poduszkę i usiadła obok niego. To nie była jeszcze zachęta do ponownych miłosnych igraszek, ale jednak jakiś do nich wstęp, więc ucieszył się wielce.

- O co?

- Nie byłam nigdy aż tak szczęśliwa. Nigdy w życiu. Może kiedyś, w dzieciństwie, ale szybko się okazało, że byłam głupia. Wiedziałaś,

że wpakowałam się w poważne kłopoty przed wejściem w towarzystwo, prawda?

Instynkt powiedział Deene'owi, że bez ostrzeżenia nadeszła bardzo trudna chwila. Doskonale wiedział o jej kłopotach, ale nie spodziewał się, że zechce się z nich zwierzyć tak szybko po ślubie. Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie odwrócić jej myśli pocałunkami, ale zamiast tego objął ją ramieniem.

- Twoi bracia wspominali o jakimś śludze, który zaczął mieć wyobrażenia ponad stan. Rozumiem, że nic z tego nie wyszło.

Pozwolił, by te słowa zawisły między nimi, pogładził jej skroń i czekał.

- Zrobiłam z siebie kompletną, absolutną idiotkę, Deene. Naraziłam wszystkich, których kocham. Żadna młoda dama nie zachowałaby się głupiej i żadna nie miałaby aż tyle szczęścia co ja, wymigując się od najgorszych konsekwencji swojej głupoty.

- Jak wiem, byłaś wtedy bardzo młoda. Nie dałbym rady opowiedzieć ci o wszystkich głupotach, które sam popełniłem we wczesnej młodości. To cud, że jeszcze żyję. Powinienem kilka razy zginąć z przepicia, różnych ekscesów i zwykłej głupoty.

Poczuł, że opuściło ją nieco napięcie. Może nie powiedział dokładnie tego, co powinien, ale też nie popełnił błędu.

- Jesteś moją pociechą, mężu. Powinnam ci to częściej powtarzać.

Oparł policzek na jej głowie.

- Ty też jesteś dla mnie pociechą, Evie. Kiedyś nienawidziłem deszczowych dni, a teraz je lubię, choć zawracasz mi głowę księgami, rachunkami i innymi nieuniknionymi obowiązkami.

Wysunęła się z jego ramion.

- Obowiązkami? Samymi obowiązkami, Deene?

Skinął głową z poważną miną, aż cisnęła w niego poduszką i zaczęła łaskotać.

Eve ze stoickim spokojem zniosła pocałunek w policzek, a potem uważne oględziny swego szwagra Josepha, lorda Kesmore a. Przesiedział u boku swej żony czas niezbędny do wychylenia dwóch filiżanek herbaty, a potem wyszedł, mrużąc, że chce obejrzeć konie.

- Louiso, czy ty dałaś swojemu mężowi jakieś sekretne pozwolenie, że może już iść?

Louisa na moment przestała pochłaniać ciastko.

- Kesmore i pozwolenia? Chyba sobie żartujesz. On zawsze robi, co chce, a mnie to bardzo odpowiada, bo mogę korzystać z takiej samej swobody. Co mam powtórzyć rodzicom o tobie, Evie? Czy Deene dba o ciebie, jak należy?

Och, te ich relacje. Anna na pewno już swoją złożyła, wkrótce wpadnie tu Sophie ze swoim baronem, a za nią Maggie i reszta świata.

- Możesz ogłosić na prawo i lewo, że rozkwitam pod opieką męża. To była święta prawda. Eve spojrzała na drzwi, które Kesmore przezornie zamknął za sobą.

- Louiso, czy mogę cię o coś spytać?

- Naturalnie. Doskonałe ciastka, tak przy okazji. I szybko znikające.

- Czy Kesmore... ci się przygląda?

- Przygląda się?

- Czy bada twoje ciało? W szczegółach?

Widząc niezrozumienie na twarzy Louisy, Eve zapatrzyła się w ogień trzaskający na kominku.

- Czy... zapoznaje się z twoim wyglądem... przy świetle świec? Eve nie zdołała ukryć rumieńca, a Louisa szerokiego uśmiechu.

- Och, oczywiście, że tak, chociaż kiedy ja zaczynam mu się przyglądać, zawsze odsuwam zasłony, bo jest przecież tyle do zbadania... Kesmore to taki dorodny egzemplarz.

Louisa i... Kesmore.

Badający nawzajem swoje ciała.

- Wielkie nieba.

- Maggie czasem musi przywiązywać Benjamina do łóżka, bo on nie chce leżeć grzecznie, kiedy przychodzi jego kolej, by poddać się badaniu. Podejrzewam, że Sindal jest bardziej posłusznym mężem. Jakoś nie potrafię o to spytać Sophie wprost, ale czasem miewa taki rozkoszny nastrój dobrze przebadanej osoby. Dama naprawdę może się czuć wyuzdanie wyróżniona, kiedy mąż tak bardzo się nią interesuje.

Wyuzdanie wyróżniona. Louisa wie, co w trawie piszczy. Nie tyle wyróżniona, ile wyuzdanie wyróżniona.

- Deene mówi, że robi pracę naukową z bycia moim mężem.

- Dobrze dla niego i dobrze dla ciebie, Evie Denning. Martwiliśmy się o ciebie.

Przekorny uśmiech Louisy przygasł na moment i Eve zaczęła się zastanawiać, ile jej siostry zdołały odgadnąć na temat jej przeszłości.

- Nie musicie się martwić. Jestem szczęśliwa w małżeństwie i mam wrażenie, że mój mąż też.

- To zwykle idzie w parze. A gdzie jest ten twój mąż, jeśli o tym mowa? Zdaje mi się, że Kesmore postanowił odpytać go na własną rękę.

- W Londynie. Jest zdecydowany przejąć kontrolę nad finansami związanymi z odziedziczonymi wraz z tytułem markiza włościami, a to wymaga licznych spotkań z jego kuzynem Anthonym i, na ile się orientuję z całą armią prawników, kupców i faktorów. Obiecał, że zabierze mnie na zakupy.

Sama nie wiedziała, czemu dodała to ostatnie zdanie.

- To znaczy, że zamierza cię pokazać na mieście, ale uważaj, bo będzie cię szpiegował - odpowiedziała Louisa z przekonaniem.

- Szpiegował? Mnie? - To nie brzmiało sympatycznie. - Ale dlaczego?

- Stanie sobie w kącie i będzie patrzył, co wybierasz. Zauważy, co ci się podoba, z czego rezygnujesz tuż przed zakupem, co wybierasz na prezenty, ale nie dla siebie. I zanim się spostrzeżesz, znajdziesz nieduże pudełeczko pewnej nocy przy łóżku albo przy swoim nakryciu, gdy zejdziesz na śniadanie.

- Kesmore robi takie rzeczy?

- Joseph jest najbardziej szczodrym człowiekiem, jakiego znam. Z trudem potrafię mu dorównać w rozpieszczaniu i psuciu, ale trzeba się starać, bo inaczej mężczyzna robi się zbyt zadowolony z siebie.

Pomyśleć tylko, że Louisa, ta dobrze zorganizowana, kompetentna, rzeczowa Louisa, była rozpieszczana i psuta ... Evie zrobiło się ciepło na sercu na myśl o swoim milczącym, chmurnym szwagrze, i o Louisie też.

W sumie, skoro o tym mowa, również na myśl o Deenie.

- Chodź, Louiso. Muszę ci pokazać, co Deene dał mi niecałe dwa tygodnie temu. To najcudowniejszy prezent, jaki dostałam w życiu, choć obawiam się, że nie zmieściłby się przy łóżku.



Evie wstała, wzięła siostrę pod rękę i poprowadziła ją ku drzwiom.

- Eve Denning, czy ty masz na sobie spódnico-spodnie? Nie widziałam cię w czymś takim od czasu, gdy Jenny uszyła dla ciebie jedną parę wiele lat temu.

- Owszem, to ta sama para i zanim zdążysz zapytać, odpowiem ci od razu, że tak, jeżdżę regularnie, ale tylko w towarzystwie Deene'a. To część jego niespodzianki.

Louisa zatrzymała się gwałtownie w drzwiach salonu.

- Czy ja dobrze słyszałam? Jeździsz? Nie tylko powozisz? Wsiadasz na konia i kłusujesz po świecie?

- Galopuję też, a przedwczoraj nawet przeskoczyliśmy przez dwa pnie. Czemu pytasz?

- Co za cudowny, wspaniały dzień. Westhaven mówił mi, że jestem głupia i ten jeden jedyny raz cieszę się, że miał rację. Moja malutka siostra w końcu zaczęła jeździć!

I Louisa, hrabina Kesmore, stojąc w progu sypialni, na oczach stojącego w korytarzu lokaja, zarzuciła Eve ramiona na szyję i rzewnie się rozpłakała.

- Jeśli zastaniemy nasze żony we łzach, udaj, że niczego nie zauważyłeś. - Kesmore mówił przyciszonym głosem, ale nie stracił typowej dla niego pewności siebie.

- Dlaczego miałyby płakać? - Myśl o łzach Eve była wielce niepokojąca, choć Deene wypowiedział swoje pytanie stosownie obojętnym tonem, spokojnie krocząc przejściem między boksami.

- Podejrzewam, że moja żona jest przy nadziei, a osobistości takie jak sam Westhaven, a za nim Sindal, St. Just, Hazelton, lord Valentine Windham i Jego Książęca Mość zapewniają mnie, że w takich chwilach należy się spodziewać pewnej płaczliwości, nawet u takiej ostoji zdrowego rozsądku, jak moja droga Louisa.

- Czy jest jeszcze jakiś żonaty mężczyzna, któremu się z tego nie zwierzyłeś?

- Ty, z oczywistych powodów.

- Eve nieczęsto płacze.

Tylko czasem, późną nocą, kiedy kochali się wyjątkowo czule, gdy chciała, żeby ją mocno przytulił, aż zaśnie w jego objęciach.

Uwielbiał ją przytulać.

Kesmore rzucił mu ostre spojrzenie.

- Lepiej, żeby nie płakała z powodu twojej mizernej osoby, Deene. Mojej pani by się to nie spodobało. Nie chciałbyś mieć czegoś takiego na sumieniu, zakładając, że przeżyłbyś lanie, jakie bym ci wtedy spuścił.

- Małżeństwo obudziło w tobie wojowniczość, Kesmore. Kesmore zatrzymał się przed przestronnym boksem dla klaczy mających się ożrebić.

- Zawsze będę wojowniczy w obronie kobiety, na której mi zależy. Zapamiętaj to sobie i powtarzaj w chwilach słabości. Masz nową klacz, ale co ona robi w tym boksie, skoro nie jest ani żrebna, ani z sysakiem?

Kesmore nie starał się być sympatyczny, a Deene zaczął to w nim coraz bardziej lubić.

- To klacz Eve. Zawsze będzie miała najlepszą opiekę, na jaką nas stać.

- Nie jest młodym koniem. - Kesmore dowodził w przeszłości kawalerią, a gdy zamieszkał na wsi, zaczął regularnie jeździć na konne polowania z psami. Wysunął do klaczy dłoń, a ta obwąchała ją delikatnie.

- Jest w dobrej formie. Pewnie zahartowana po zimowych polowaniach?

- Tak, a Eve jeździ na niej niemal codziennie. Co tam zastałeś w klubach o rozwiązłej naturze twojego nowego szwagra?

- Ani słowa, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Godzinami siedziałem nad kieliszkiem wina, przeczytałem wszystkie gazety, kręciłem się koło dziurek od klucza i nie usłyszałem o tobie ani jednego krytycznego słowa, poza tym że jesteś staromodnie zakochany w swojej młodej żonie. Wszyscy uważają, że zajmujesz się płodzeniem dziedzica i unikasz wszystkich rozczarowanych debiutantek. Nie widziałem powodu, by nakłaniać kogokolwiek do zmiany zdania.

Klacz wróciła do skubania siana.

- Jestem zakochany w mojej młodej żonie.

- To doskonale. Mam nadzieję, że ona w tobie też. Deene odwrócił się i oparł łokciami o drzwi boksu.

- Nie miałem pojęcia, że można się zwierzać z takich uczuć. Czy to jakiś aspekt małżeńskiego pożycia, o którym jeszcze nic nie wiem jako nowicjusz?

Kesmore miał minę, jakby planował się uśmiechnąć za parę tygodni, naturalnie jeśli pogoda się utrzyma.

- Nauczysz się. Uczą nas tego, nawet jeśli powoli to sobie przyswajamy. Postaraj się tylko, żeby ten pierwszy raz był znaczący.

- Pierwszy raz?

- Na litość boską, człowieku, pierwszy raz, kiedy powiesz jej, że ją kochasz. Niech to będzie znaczący moment. Nawet ksiązę wiedział o czymś takim.

- Oczywiście, że ją kocham. - Kto by nie kochał takiej odważnej, szczodrej, szalonej, namiętnej... w myślach Deene'a pojawiało się słowo za słowem, znikając we mgle zaskoczenia, zdziwienia i radości. Mało brakowało, a zaczęłyby wykrzykiwać głupoty, śmiać się na głos albo jak dureń wycalać Kesmore'a w policzki. - To oczywiste, że kocham moją żonę.

Uczucie zadomowiło się w jego sercu, pełnym ciepła, zdecydowania i poczucia słuszności. Kochał swoją Evie i zawsze będzie ją kochał. Wiedział też, że podzieli się z nią tą swoją pewnością, kiedy nadejdzie właściwy moment.

- Oczywiście, że ją kochasz. Czy to ta sama klacz, na której lady Eve dała wtedy taką plamę?

- Skąd wiesz?

- Louisa opisała mi ją w szczegółach. Powiedziała, że Eve miała koszmarnie senne związanie z tą klaczą. Dobra robota, Deene, że ją odnalazłeś. Miałem co do ciebie wątpliwości, ale to jest całkiem zachęcający gest.

- Miło mi, że tak myślisz.

Wyraz twarzy Kesmore'a sugerował, że zaraz padnie kolejny suchy docinek, ale hrabia nagle znieruchomiał i rozejrzał się czujnie.

- Nadchodzą nasze damy. Będę się dalej rozglądał po klubach, przynajmniej podczas naszych wyjazdów do Londynu, ale jak do tej pory, Deene, twoje małżeństwo magicznym sposobem uciszyło wszelkie plotki i nie najgorzej wpłynęło na twoją żonę. Postaraj się tego nie spaskudzić.

Deene uśmiechnął się, podszedł do Eve, ujął jej dłoń i ucałował palce, natychmiast zapominając o ostrzeżeniu Kesmore'a.

9

Eve na zawsze zapamiętała ten dzień, bo wtedy pierwszy raz poczuła się prawdziwą mężatką. Jej małżonek ujął na powitanie jej dłoń i ucałował palce, a kiedy odprowadzili Louise i Kesmore'a do powozu, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Gdy powóz potoczył się przed siebie, a Louisa zamachała im wesoło chusteczką przez okno, Deene westchnął głęboko.

- Jestem z siebie niezadowolony. Zabrzmiało to przynajmniej w części prawdziwie.

- Dlaczego, mężu? Po dniu spędzonym w towarzystwie prawników mój ojciec zazwyczaj ucieka się do najbogatszych zasobów swego słownictwa, żeby zobrazować Jej Książęcej Mości ogrom swego niezadowolenia.

Deene uśmiechnął się i poprowadził ją ku domowi.

- Do najbogatszych zasobów słownictwa?

- No, wiesz. - Eve zamachała wolną ręką. - Przekłęci, z piekła rodem, podli, śmierdzący, wszawe pasożyty, podlece, padalce... o, widzisz, już cię rozbawiłam.

- Mogłabyś mnie jeszcze bardziej rozbawić, tylko że zaprosiłem dziś Anthony'ego na kolację.

Ich pierwszy gość. Eve uznała, że Deene nie oczekuje po niej nadmiernych ceremonii, bo nie zamierzała się nadmiernie wysilać.

- Rozbawię cię, kiedy pójdziemy na górę.

- Ta myśl będzie dla mnie pociechą, podczas gdy będę się zastanawiał nad pewną poufną wiadomością, która mu się wymknęła.

- Kesmore nie należy do ludzi, którym wymykają się jakieś sekrety.

Zwolnili, zbliżając się do domu. Deene planował pójść do siebie, żeby się przebrać, a Eve musiała zajrzeć do kuchni, żeby powiedzieć

o gościu zaproszonym na kolację. Tęskniła za mężem przez cały dzień i przez chwilę zastanawiała się, czyby najpierw nie pomóc mu się rozebrać, asystować przy kąpieli, a dopiero potem zawiadomić kuchnię. Tylko że wtedy jedliby kolację o północy i nie mogliby wcześniej pójść spać.

- Kesmore... podejrzewa, że jego żona spodziewa się pewnego radosnego wydarzenia, ale jeszcze z nią o tym nie rozmawiał.

- Za to kazał ci przysiąc, że sekret zostanie w rodzinie - dokończyła za niego Eve. - Rzeczywiście musi to bardzo przeżywać. Louisa też sądzi, że zaszła w ciążę, ale nie chce mu dawać nadziei, dopóki nie będzie miała pewności. Oni... bardzo troszczą się o siebie nawzajem. Wręcz zaskakująco, jeśli zważyć, jacy bywają szorstcy na co dzień.

Deene zatrzymał się na tylnym tarasie, wziął ją w ramiona i oparł podbródek na jej głowie.

- Evie? Nie powinienem tego mówić, bo są trochę dłużej ze sobą niż my, ale jestem zazdrosny o ten sekret, który przed sobą ukrywają.

Eve oparła się o męża i cieszyła się tą chwilą bliskości. Tylko dlatego, że byli ze sobą tak blisko - że łączyło ich małżeńskie zaufanie - dowiedzieli się o związku Louisy z Kesmore'em czegoś, czego ta para sama o sobie nie wiedziała. Na tym właśnie polegał sens małżeństwa i posiadania męża. Było końcem samotności w świecie. To właśnie oznacza miłość i wzajemna troska.

Kiedy Deene odsunął się od niej, uśmiechnęła się do niego, przesłała mu pocałunek, a potem posłała go na górę, by się wykąpał, a sama poszła szukać kucharki.

Kuchnia bardzo dobrze przyjęła wieść o gościu na kolację, tak jakby wszyscy życzliwie pragnęli pokazać się z najlepszej strony. Gospodyni kazała pokojówkom przygotować pokój gościnny - „na wypadek, gdyby panowie za długo posiedzieli nad portem” - a służącą wysłano do ogrodu po kwiaty do wazonów. A Eve została sama, wydana na pastwę dziwnych niepokojów. Jeśli panowie zasiądą nad swoim portem w bibliotece, czy przypadkiem spod serwety na stole nie wyjrzy samotna poduszka, zdradzając, że zaledwie wczoraj w tejże bibliotece doszło do małżeńskiego zbliżenia? Czy wszystkie biurowe drobiazgi w dalszym ciągu są tylko po jednej stronie suszki?

Wielkie nieba, a może w dalszym ciągu leży na biurku pewna różowa brokatowa poduszka?

Eve w jednej chwili, niemal nieświadomie, znalazła się w bibliotece. Żadna z poduszek nie poniewierała się w podejrzanym miejscach, spod sofy nie wyglądały pantofelki, żaden kałamarz nie zdradzał, ile razy biurko posłużyło do celów innych niż pisanie korespondencji.

Tyle że trzy dni temu Deene wsunął do jednej z szuflad swoją chusteczkę. To byłoby straszne, gdyby Anthony znalazł ją tam, sięgając na przykład po wosk do pieczętowania. Usiadła w wysokim fotelu Deene'a i zaczęła otwierać szufladę za szufladą. W jednej z nich znalazła rzeczoną chusteczkę, pogniecioną, ale poza tym niezdradzającą wyglądem niczego zdrożnego. Oprócz tego leżały tam dwa pliki papierów, jeden przewiązany czerwoną wstążką, drugi - zieloną.

Czy to też była rzecz, na którą Anthony nie powinien natrafić? Deene bardzo się starał nie urażać uczuć Anthony'ego, bo ten ostatni nie tylko posiadał tytuł szlachecki, ale też zarządzał wszystkimi majątkami markiza, był spadkobiercą Deene'a, no i oczywiście należał do rodziny. Eve wraz z mężem stanowili jednostkę małżeńskiego zaufania. Ukuła ten termin zaledwie przed godziną, ale oznaczało to, że powinna chronić poufne sprawy swego małżonka, nawet jeśli ich jej wcześniej nie powierzył.

W tym duchu rozumując, wsunęła chusteczkę do kieszeni i zaczęła rozkładać dokumenty przewiązane czerwoną wstążką. Trzy kwadransy później, kiedy miała za sobą lekturę także i drugiego pliku, tego spod zielonej wstążki, jej zamiary uległy zmianie.

Nie chciała już dbać o interesy swego męża, choć skłonna była wysłuchać jego tłumaczeń w cztery oczy. Zamiast tego musiała zadbać o własne, zbolełe serce.

Deene czuł, że coś jest z nią nie tak. Nie wiedział, skąd się wzięło to poczucie, ale już przy kolacji był pewny, że coś się stało. Była urocza i miła dla Anthony'ego, który wyglądał na nieco oszołomionego tymi wszystkimi uśmiechami i ciepłem.

Tylko że przed posiłkiem, kiedy Deene zazwyczaj pomagał jej się ubierać i czasami udawało mu się uszczknąć co nieco małżeńskiej rozkoszy, jakoś nie zgrali się w czasie. On wykapał się szybko, ona

zwlekała, pluskając się za drzwiami garderoby, zamkniętymi jakoby z powodu przeciągów.

Sama wyszczotkowała sobie włosy, nie zapytała go o zdanie w sprawie sukni i, co najbardziej znamienne, włożyła bardzo prostą bieliznę. Żadnych haftów ani koronek.

Gdy w końcu przyniesiono sery i owoce, Deene wpadł na myśl, że jego żona prawdopodobnie ma miesięczną przypadłość. Poczł miłe ciepło na sercu, bo tylko oddany mąż mógł się domyślić czegoś takiego bez słów, odgadnąć to intuicyjnie, zanim żona zacznie to wyraźniej sugerować.

- Żono, jeśli chciałabyś wcześniej udać się na spoczynek, pójdziemy z Anthonym do biblioteki. To na pewno był męczący dzień, więc wolałbym, żebyś się nie trudziła bez potrzeby. - Dodał do tego tak płomienne spojrzenie, że Anthony wbił wzrok w tacę z serami.

- Zatem dziękuję, panowie. - Eve wstała, posyłając Anthony emu szeroki uśmiech. - Kuzynie, chciałabym, żebyś się czuł u nas jak we własnym domu. Mężu, dobranoc.

Wyszła, zanim Deene zaproponował, że pójdzie z nią i oświetli jej schody. Ledwie zdążył się skłonić. Miał nadzieję, że Anthony nie zamierza tkwić godzinami nad tym cholernym portem.

- W bibliotece są najlepsze napitki - powiedział Deene i dodał, zwracając się do lokaja: - Bądź tak miły i zanieś tam te sery z owocami. Idziemy, Anthony?

- To brzmi jak doskonałe zakończenie wspaniałego posiłku. Nawet po tak krótkim czasie spędzonym z twoją markizą, Deene, rozumiem, dlaczego chcesz przez jakiś czas zatrzymać ją tylko dla siebie w tej głuszy. To na pewno rodzi kolejne plotki, ale jedna więcej, jedna mniej to żadna różnica, prawda?

Och, niech go szlag trafi. Deene zaczekał, aż znaleźli się za zamkniętymi drzwiami biblioteki, i dopiero wtedy zapytał:

- O czym teraz mówią?

- Cały czas o tym samym, że wyjechałeś na wieś z żoną, żeby mieć pewność, że twój pierwszy potomek będzie na pewno twój. Te same podteksty i złośliwości co zwykle. Jak ci poszła rozmowa z Dolanem?

Deene zapatrzył się w ogień.

- Teatr stracił wielki talent, gdy Dolan postanowił zająć swoje brudne łapska handlem. Był wściekły, bo myślał, że najpierw zaprosiłem go na wesele, a potem zwróciłem się przeciw niemu i oskarżyłem o plotki podważające mój związek. Wstrząśnięty i naprawdę wściekły. Ale przy tym bardzo spokojny, bez melodramatycznych wybuchów. Zdziwiająca.

- Powiedziałeś mu o procesie?

- Prosto i węzłowato. Dodam tylko, że nie ma szans na polubowne rozwiązanie.

Cichy szelest w cieniu powiedział im, że wniesiono owoce i sery.

- Teraz jesteś żonaty - powiedział Anthony, ujmując go za łokieć. - Posag Eve wystarczy na sfinansowanie procesu, jej szanowana pozycja przyda wiarygodności twemu związkowi, a jeśli uda ci się ją wystarczająco szybko ustrzelić, zakładam, że należycie się do tego przykładasz, to jeszcze przed publiczną rozprawą sam zostaniesz rodzicem. Genialne posunięcie, Deene. Szkoda, że reszta naszych rodzinnych finansów nie da się tak ładnie ułożyć jak ta sprawa. A sądząc po wyglądzie twojej pani, chyba nawet jesteś zadowolony z obowiązków, jakie na siebie wzięłaś. Ona pewnie jest przekonana, że to całe małżeństwo było przynajmniej w połowie jej własnym pomysłem.

Deene miał już na końcu języka ciętą ripostę, która przerwałaby nagłą ciszę - mało obchodziło go dobre samopoczucie Anthony'ego -kiedy od drzwi rozległ się kobiecy, opanowany głos:

- Stawiam wam jedzenie na biurku i jeszcze raz życzę dobrej nocy. Eve odwróciła się i wyszła, zanim Deene zdążył wykrztusić choć słowo. Anthony sięgnął do talerza po dorodne winogrono. Drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem.

- Nawet jedzenie przynosi ci sama. Dobra robota, Deene. Naprawdę dobra robota. - Anthony wrzucił sobie winogrono do ust z konspiracyjnym uśmiechem.

Głos Ewy był spokojny i niezwykle uprzejmy. Brzmiała w nim perfekcyjna, książęca serdeczność, która napełniała Deene'a takim samym przerażeniem, jak szarża na francuską artylerię.

- Do jutra, Anthony. Jeśli jeszcze raz pozwolisz sobie na takie śmiałe uwagi na temat charakteru mojego małżeństwa, motywów,



z jakich je zawarłem, albo mojego szacunku wobec żony, to cię wydziedziczę, wygnam i postaram się co najmniej ograniczyć twoje możliwości rozrodcze.

Deene ruszył ku drzwiom, ale Anthony położył mu rękę na ramieniu.

- Nie zamierzasz chyba się wściekać i odgrywać przede mną zakochanego żonkosia, co?

Jestem wściekły i jestem zakochanym żonkosiem, ale o wiele ważniejsze jest to, że Eva ma wszelkie prawo się na mnie wściec.

Ma wszelkie prawo, by wrócić do domu do rodziców, wypruć z Deene'a flaki we śnie, zabronić Anthony'emu wstępu do domu... Deene przywołał w myśli słowa kuzyna, zdanie po zdaniu i spojrzał na niego ponuro.

- Jeśli jest rzeczywiście aż tak wrażliwa, Deene, daj jej parę minut, żeby doszła do siebie. Musi przecież wypalić ze wszystkich dział, a ty ją potem pokonasz i odbędziesz *coitus pojednawczus*. Uwierz mi, wiem, o czym mówię.

Wrzucił sobie do ust kolejne winogrono, zupełnie niewzruszony zdarzeniem, które mogło położyć kres małżeńskiemu szczęściu jego kuzyna. W obliczu takiej zimnej krwi, Deene zaczął powoli tracić ochotę, by natychmiast znaleźć się u boku żony.

- Przeprosisz ją przy śniadaniu, Anthony. Na kolanach, i to szczerze.

Anthony tylko się uśmiechnął.

- Ależ oczywiście. A teraz, skoro od tygodni dręczysz mnie, żebyśmy porozmawiali o dochodach z majątków w Kent, odstaw tę karafkę i słuchaj.

Ważnie teraz, kiedy Deene nade wszystko chciał pokornie zapukać do sypialni żony i oświadczyć, że jego jedyny krewny jest burakiem bez wychowania i nie ma za grosz wyczucia, Anthony zaczął wyrzucać z siebie fakty i cyfry w dużych ilościach. Dokładnie te informacje, które Deene próbował uzyskać od tygodni, podane w uporządkowany, sensowny sposób.

Więc słuchał, zadawał pytania, a potem kolejne pytania, i choć niemal wypalił wzrokiem dziurę w drzwiach i wydarł nogami dziu-

rę w dywanie, zjawił się w sypialni na górze dopiero, gdy zrobiło się naprawdę późno.

Eve nie płakała. Nie tym razem i może już nigdy więcej. Wiedziała, że musi poradzić sobie w inny sposób.

Znowu okazała się idiotką, uwierzyła, że komuś na niej zależy, że ktoś ją ceni, kiedy chodziło tylko o jej bogactwo, pozycję społeczną, układy i status.

Może również o jej ciało - jej łono - ale nie o serce. Po raz kolejny oddała najlepszą część siebie niegodnemu, przystojnemu krętaczowi. Znowu ktoś potraktował jej najcenniejszy skarb jak bezwartościowy śmieć.

Gdzie teraz był jej mąż? Pogryzał winogrona i pociągał wino, jedno piętrowo - i kilka aroganckich wszechświatów - niżej. No i co z tego? Jego zachowanie pozwoliło jej odzyskać panowanie nad sobą, i przypomnieć sobie, że nawet jeśli oddała serce Deene'owi, zawsze może je odebrać, a on nawet tego nie zauważy. Po prostu nie będzie mówić o miłości, nie będzie używać czułych słówek nawet w najbardziej intymnych chwilach. Nie pozwoli odebrać sobie dumy.

Drzwi do garderoby otworzyły się w ciemności. Eve doskonale знаła ich odgłos. To górny zawias tak skrzypiał. Celowo nie kazała go naoliwić, bo dzięki temu wiedziała, kiedy Deene kładzie się do łóżka.

- Evie?

- Nie śpię.

W sercu Eve zawrzała krótka walka. Z jednej strony chciała rzucić się w ramiona Deene'a i wysłuchać, jak natarł uszu Anthony'emu za bezczelne słowa o ich małżeństwie, a z drugiej - wyprosić męża z sypialni.

- Nie chciałem cię budzić. Co to miało znaczyć?

- Mam ci się pomóc rozebrać?

- Nie, dziękuję.

Poczuła, jak siada na łóżku. O podłogę stuknął najpierw jeden, a potem drugi but.

- Domyślam się, że masz jakieś pytania?

Jakże uprzejmie. Powiedział to ze znużeniem, niemal mimochodem - bez śladu przeprosin albo chociaż niepewności.

- Na jaki temat?

- Słyszałaś, że Anthony wspominał o procesie.

- Chcesz odebrać Dolanowi opiekę rodzicielską nad twoją siostrzenicą.

Cisza. Eva pogratulowała sobie, że go zaskoczyła.

- Skąd wiesz?

Eve udała ziewnięcie, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Ja także korzystam z biurka w bibliotece, Deene. Papiery leżały na wierzchu.

W ciemności miała wrażenie, że Deene rozważa jej słowa i próbuje się zorientować, od jak dawna o tym wiedziała.

- Nie gniewasz się?

- Sprawy sądowe w rodzinie to kwintesencja skandalu, Deene, ale jestem przecież tylko żoną. Jeśli zdecydowałeś się na taki kierunek działania, nie mogę cię przecież zatrzymać.

Wcześniej zamierzała go błagać, żeby nie wnosił tej cholernej sprawy do sądu. Zrujnuje przyszłość swojej siostrzenicy. Wszystkie pozostałe sezony Jenny też będą tym naznaczone. Ich Książęce Mości przeżyją rozczarowanie. Na samą myśl, że rodzice będą musieli znieść przez nią jeszcze jeden skandal, w gardle zaczęły ją dławić łzy.

- Eve, to dla mnie niewysłowiona ulga, że poślubiłem taką rozsądną kobietę. Muszę wyrwać Georgie z łap jej ojca. To dla mnie bardzo ważne.

W jego głosie nie było ulgi, tylko czujność. Eve to bardzo odpowiadało, choć ogarnął ją smutek. Usłyszała więcej odgłosów, które zwykle towarzyszyły jego pójściu spać. Zabrzęczała brosza, spinki do mankietów i sygnet, wrzucane na tackę na biurku. Drzwi do szafy otworzyły się i zamknęły. Do miednicy spływała woda z wyżymanego ręcznika, potem napłynął delikatny aromat lawendy i cedru.

Kładł się spać, tak jakby Eve nie usłyszała kilka godzin temu gorzkiej prawdy o swoim małżeństwie. W jego debilnym, chciwym, krętackim, mężowskim pojęciu nic się przecież nie zmieniło.

Siedem lat temu, Eve została ofiarą, była niemal dzieckiem i nie mogła bez pomocy przejść nawet kilku kroków.

Teraz nosiła tytuł markizy Deene, była dojrzałą kobietą, posiadała swoje zasoby i wiedziała, jak z nich korzystać.

Deene wsunął się pod kołdrę - czysty, ciepły, porażająco uzdolniony małżonek, który pomimo wszystko wciąż był dla niej, niestety, całkiem pociągający. Odwróciła się do niego tyłem, ale ten głupiec objął ją w talii i przysunął się do niej.

- Przykro mi, że usłyszałaś te niewczesne opinie Anthony'ego, które w żadnym razie nie zgadzają się z moimi.

- Deene?

- Hm? - Jego policzek spoczął na jej włosach.

- Obawiam się, że zaczyna mnie boleć głowa. Jestem pewna, że to zrozumiesz, prawda?

Poczuła reakcję jego ciała na te słowa. Znieruchomiał do tego stopnia, że na moment przestał oddychać. Potem jego ręka legła na jej ramieniu i zaczęła delikatnie ugniatać mięśnie.

- Pośpij sobie. W żadnym razie nie będę ci się narzucał, jeśli źle się czujesz.

Czekała, by ta dłoń zsunęła się niżej, gładząc ją po brzuchu i po piersiach, czekała, by jego wargi dotknęły szyi, czekała, by przysunął się bliżej i wtulił twardniejący członek w jej pośladki. Czekała, by ruch jego ręki stał się coraz wolniejszy, a w końcu ustał całkiem i dłoń spoczęła na jego ramieniu. By oddech stał się równiejszy i miarowy. Czekała, by zyskać pewność, że Deene zasnął głęboko. I dopiero wtedy, z dłonią swego męża na ramieniu, czując jego ciało wtulone w siebie w ciemności, mogła wreszcie bezpiecznie się rozplakać.

Następnego dnia, Deene czuł się jak zapaśnik podczas zawziętego pojedynku, choć jednocześnie miał wrażenie, że toczy walkę z cieniem. Nie był w stanie przewidzieć ruchów przeciwnika ani odgadnąć zasad, ani zanalizować dotychczasowej walki, by znaleźć jakieś reguły.

Przy śniadaniu Eve promieniała serdecznym uśmiechem, oczaro-wując Anthony'ego.

- Deene mówił mi, że słyszałaś wczoraj wieczór moje bezpośrednie słowa, milady, i że mam cię przeprosić za swoją obcesowość nad kieliszkiem.

- Nonsens, Anthony - odpowiedziała Eve, nie przerywając nalewania sobie herbaty. - Deene'a i mnie łączy związek z rozsądku. Zdaję sobie sprawę, że nie poślubił mnie, wiedziony uczuciem. Ja jego też nie, choć naturalnie lubimy się nawzajem. Masz ochotę na pomarańczę?

Te słowa były chyba jakimś atakiem, który miał mu wytrącić broń z ręki, ale Deene nie miał pojęcia, z jakiego działa padł ten strzał i co było jego celem. Obrwała mu tę pomarańczę, jak co rano, i położyła prawie całą na jego talerzu.

Przyglądał się, jak jadła trzy cząstki, które odłożyła dla siebie.

- Widzę, że nie ubrałaś się dziś do stajni, milady. Czy mogę cię spytać o zdrowie?

- Nie spałam najlepiej. Jeszcze herbaty, Anthony?

Wręcz przeciwnie, większość nocy przespała całkiem głęboko. To on udawał, że śpi, obejmując ją ramieniem, słuchając, jak płacze i zastanawiając się, ile razy będzie musiał za to przeproszać. Wiedział jednak, że wszelkie próby załagodzenia sytuacji jeszcze ją pogorszą.

- Ja pójdę z tobą do stajni, Deene - odezwał się Anthony. - Tyle słyszałem o tym twoim ogierze. Podobno zaczęli go już obstawiać u White'a.

Deene podniósł wzrok na czas, by zauważyć zainteresowanie w oczach Eve, choć od razu je zamaskowała, przesuwając widelcem jajka na talerzu.

- Ludzie zakładają się o Króla Williama?

- Nieliczni - odpowiedział Anthony. - Że wygra, wystawiony przeciwko koniowi Islinghama, o tyle a tyle długości. Że koń Dolana pobije go w biegu po płaskim, ale nie przez przeszkody.

- Koń Dolana w ogóle nie startował w zeszłym roku - zauważył Deene. - Podobno ma już tylko kryć.

- My też byśmy... - Anthony łaskawie nie dokończył zdania. Ta jego kobieta z Surrey raczej nie tęskniła ze jego towarzystwem przy stole, jeśli zawsze w ten sposób prowadził konwersację.

- Nie wiedziałam, że pan Dolan trzyma wyścigowe konie - włączyła się Eve. Jak na kogoś, kogo boli głowa i kto źle spał, zjadła całkiem obfite śniadanie.

- Ma wszystko, co powinien mieć prawdziwy dżentelmen - odparł Deene - z wyjątkiem prawa do tej godności. Anthony, podaj czajniczek.

Anthony spełnił jego życzenie, z twarzą bez wyrazu, jak zwykle, gdy była mowa o Dolanie.

- Pusty. - Deene oddał naczynie lokajowi. - Będzie mi cię brak w stajni, Eve. Wybierzemy się później na przejażdżkę?

Przełożyła sztucę, złożyła serwetkę na kolanach. Deene miał przynajmniej tę satysfakcję, że nie zbyła go od razu

- Mamy dziś piękną pogodę - stwierdził Anthony. - Ja ruszę dalej do Kent, zająć się kulawiznami koni od pług i sporami naszych dzierżawców. Wybierz się z mężem na jazdę, lady Deene. Już niedługo zaczniesz jeździć na wyścigi i prawie przestaniesz go widywać.

Anthony próbował mu pomóc, ale Deene wcale nie życzył sobie takiego wsparcia. Wynikało z niego, że Anthony będzie teraz pracował przy orce, a Deene pił, uprawiał hazard i szukał rozrywek. Szkoda, że Anthony nie potrafi trzymać gęby na kłódkę.

W godzinę później, gdy Aelfreth rozgrzewał Williama, Deene doszedł do wniosku, że gdyby Eve nie usłyszała słów Anthony'ego, w dalszym ciągu zastanawiałaby się, jak jej powiedzieć o tym procesie. Dokumenty leżały w szufladzie od wielu dni, a on codziennie znajdował nowy pretekst, by nie oddawać ich prawnikom i odwlec salwę gryzipiórków, która rozpętałaby pierwszy prawdziwy skandal sezonu.

- Pana ogier jest urażony - zauważył z naganą Bannister. - Wciąż czeka na milady.

- Lady Deene jest trochę niedysponowana.

- W takim razie on też będzie niedysponowany. Twój koń się zakochał, milordzie. Chociaż spotykał się z klaczami z połowy hrabstwa, nic to dla niego nie znaczy. Nie będzie wkładał serca w ten trening, póki nie zobaczy milady na płocie, i nie poczuje, że ona na niego patrzy.

- Na litość boską, Bannister, to tylko koń. Konie się nie zakochują. Bannister prychnął z urazą i zamilkł, a Deene obserwował swojego ogiera, który pracował niechętnie, bez żadnego widocznego powodu.

- Czekaj na milady - powiedział Aelfreth, gdy koń bez polotu krążył po placu. - Patrzy na jej miejsce i widzi, że jej tam nie ma.

Nawet Deene to zauważył. To śmieszne, że takie głupie zwierzę...

- Stępuj go dalej, Aelfreth. Żona jest na mnie zła, ale tego cholernego konia kocha w dalszym ciągu, o ile się nie mylę. Bannister, załóż klaczy moje siodło.

Poszedł do domu i z ulgą zauważył, że Eve miała na sobie spódnico-spodnie, a włosy upięła w schludny kok nad szyją.

- Poczulaś się lepiej. - Powiedział to ostrożnie, niepewny niczego, oprócz tego, że tam, gdzie było jego małżeństwo, teraz rozpościera się pole bitwy.

- Odrobinę. Mogę sobie pozwolić na spokojny spacer na Słodkiej, głównie dlatego, że powinniśmy porozmawiać na osobności, Deene.

To nie wróżyło dobrze. Jeśli mu powie, że chce mieć własną sypialnię, będzie z nią wojował. Jeśli zechce jechać do rodziców, pojedzie razem z nią. Jeśli zamierza wyperswadować mu przejęcie opieki nad Georgie...

Wysłucha jej. Niczego nie będzie obiecywał, ale wysłucha.

- Ja też myślałem o spacerze.

Wziął ją za rękę i poprowadził do stajni, jakby się bał, że Eve pójdzie sobie gdzie indziej, gdy ją puści.

Kiedy dotarli na miejsce, Eve stanęła jak wryta i puściła jego rękę.

- Milordzie, co twoje siodło robi na mojej klaczy?

- Proponuje małą zamianę. Willy był dziś rano znużony, więc pomyślałem, że ty przejedziesz się na nim, a ja wezmę twoją klacz.

Ach, reakcja była całkiem zadowalająca. Eve zamrugła a potem... uśmiechnęła się. Jej wargi wygiął lekki, słodki uśmiech zadowolenia, który nie miał nic wspólnego z armatnimi strzałami i bitwami.

Do momentu, gdy przechyliła głowę na bok.

- Próbujesz mnie przekupić, Deene?

- Skądże, chyba że chcesz, żebym cię przekupił. Tylko w jakim celu...

- Żebyś mnie przekupił... - Wzięła się pod boki i zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, jakby...

- Och. Że niby twoje bóle głowy ustąpią, gdy posadzę cię na Wilby? Prostacko to sformułował, ale wyraźnie o to chodziło.

- Skądże znowu. Nawet mi to na myśl nie przyszło. Koń był dziś rano otepiały, nie potrafił się skupić na pracy, więc pomyślałem, że jeśli na niego wsiądziesz, to może doprowadzisz go do porządku. A poza tym... - Rozejrzał się i spostrzegł, że stajenni obchodzą ich szerokim łukiem. - Potrzebuję dziedzica, Evie, a ty jesteś moją żoną.

Starął się mówić cicho, ale nie miał pojęcia, co mu kazało wypowiedzieć te idiotyczne słowa. Naturalnie były prawdą i nie obrażały nikogo, ale były jak armatnia salwa, kiedy on chciał powiedzieć coś zupełnie innego. Coś o tym, że chce ją mieć w swoich ramionach i w życiu.

Eve z niewzruszoną miną nałożyła jeździeckie rękawiczki.

- Wsiadamy?

Podsadził ją na grzbiet Willyego - taka drobna kobietka, ta jego żona, a tak pełna godności - a potem wskoczył na klacz. Willy był dżentelmenem, a Słodycz nie miała zwyczaju grzać się na widok każdego ogiera, bo w przeciwnym wypadku ich przejażdżka okazałaby się katastrofą. Zresztą Deene w cichości ducha przyznawał rację Banniste-rowi: kiedy Willy był blisko Eve, nie interesowało go nic innego - ani klacze, ani praca. Tak samo zresztą jak jego pana.

Kiedy konie przegalopowały się trochę, przekłusowały i przeskoczyły parę pni, ogólnie dobrze się bawiąc - Eve i Willy wyglądali przy tym jakby jeździli na takie spacerki od lat - Deene przeszedł do stępa.

- Jeśli mamy porozmawiać na osobności, została nam zaledwie mila, bo potem usłyszą nas wszyscy stajenni.

Poprawiła wodze, poklepała konia.

- Czy mógłbyś zrezygnować z tego procesu, Deene?

- Nie sądzę - mówił powoli, zastanawiając się, dlaczego mimo wszystko ma co do tego wątpliwości. - Dolan nie był wybrankiem mojej siostry, a poza tym odebrał jej życie. Eve skrzywiła się.

- Jak mąż może odebrać żonie życie?

- Zmusza ją do rodzenia dzieci, kiedy stan jej zdrowia na to nie pozwala. Mogę się tylko domyślać, co przecierpiała moja siostra...

Zamilkł i zmusił się, by nie zaciskać palców na wodzach.

- Umierając, błagała mnie, żebym troszczył się o jej rodzinę, Eve. Nie mogę zostawić tego dziecka.

- Próbowalesz być dobrym wujkiem?



- Dolan się na to nie zgadza.

- Słuchaj, Deene, ja też się na pewne rzeczy nie zgodzę. Nie zgodzę się, żebyś doprowadził nas do ubóstwa i wywołał skandal, kiedy za kilka lat to ja będę odpowiedzialna za wprowadzenie Georgie w towarzystwo. Jeśli się zgodzisz, mogę przekonać pana Dolana, żeby posłuchał głosu rozsądku w tej sprawie.

Klacz zatrzymała się, choć Deene wcale nie polecił jej tego świadomie.

- Do jej wejścia w świat jest jeszcze dziesięć lat, Evie. Nie mogę tyle czekać, żeby dotrzymać siostrze obietnicy. Tym bardziej, że Dolan może w dowolnym momencie ją z kimś zaręczyć i podpisać wiążące umowy. Może ją wysłać do Szwajcarii, do Francji, do jej rodziny w Bostonie albo w Baltimore, na litość boską... Marie chciała, żeby jej córka wychowywała się tutaj, w warunkach odpowiednich...

Eve przyglądała mu się spokojnie, a Willy stał pod nią nieruchomo jak pomnik.

- Potrzebujesz dziedzica, Deene, a ja z radością dam ci tyłu, iloma Bóg zechce nas pobłogosławić, ale nie ściagnę na moją rodzinę jeszcze jednego skandalu, szczególnie z wykorzystaniem mojego dobrego imienia, pozycji społecznej i całego posagu. Znajdź inny sposób, by dotrzymać obietnicy, jaką dałeś siostrze, bo jeśli wniesiesz ten proces, to do chwili, gdy przedstawię twoją siostrzenicę królowi, czyli przez dziesięć lat, będą mnie nieustannie dręczyć nieprzerwane, niekończące się bóle głowy.

Przycisnęła łydki do boków Willy'ego i ogier z miejsca przeszedł w cwał. Wyciągnął się na całą długość jak kasztanowa kreska na falującej wiosennej trawie i mknął ku domowi, a kobieta na jego grzbiecie wyglądała jak uosobienie wdzięku, piękna i siły.

10

Mniej więcej po tygodniu Eve zorientowała się, że jej strategia nie działa. Głównie dlatego, że poza pragnieniem, by powstrzymać De-

ene'a od rozpoczęcia procesu, sama nie za bardzo wiedziała, o co jej chodzi.

Żeby utrzymać go na dystans?

To jej się nie udawało. Każdego wieczoru czynił coraz większy wyłom w murze, jaki postawiła między nimi: szczotkował jej włosy, asystował przy kąpieli, pomagał przy ubieraniu i rozbieraniu, prosił o pomoc przy swojej toalecie.

Służba współpracowała z nim, informując, kiedy Eve zamawiała kąpiel albo kiedy prosiła, żeby jej nie przeszkadzać po południu. To było irytujące - taki sympatyczny, troskliwy mąż zamiast potrzebnego jej egoistycznego, wyrachowanego, podłego przeciwnika.

A próby utrzymania go z dala od jej łóżka?

Też się nie udawały. Co noc kąpał się, potem wskakiwał pod kołdrę i brał ją w ramiona. Jeśli odwracała się tyłem, masował jej plecy, szyję i ramiona. Nic od niej nie chciał, za to sprawiał jej przyjemność, więc nawet nie mogła mówić, że jej się narzuca.

Mimo, że odmawiała mu - i sobie - małżeńskich przyjemności - te wstrętne papiery dalej leżały w szufladzie. Doprowadzało ją to do szału. Powiedział przecież, że potrzebuje dziedzica. Ona odpowiedziała, że jest skłonna mu na to pozwolić, pod warunkiem że nie rozpocznie procesu. Więc na co on czeka?

- Nie rozumiem was, mężczyzn - powiedziała bratu, gdy Westhaven wpadł z wizytą, żeby życzyć nowożeńcom szczęścia. Deene pojechał gdzieś szpiegować jakiegoś obiecującego trzylatka, co oznaczało, że Eve miała towarzystwo brata tylko dla siebie.

- My też często sami siebie nie rozumiemy, a kobiety jeszcze mniej. Wyglądasz na trochę zmęczoną, Eve. Czy mam powiedzieć Jej Książęcej Mości, że małżeństwo ci służy, czy wymyślić jakieś zgrabne kłamstwo?

Mówił spokojnie - Westhaven nie lubił dramatyzmu - ale Eve z ulgą powitała jego intuicję.

- Posprzeczałam się z Deene'em.

Westhaven wziął kanapkę i pochłoniął ją w dwóch kęsach.

- Nie bardzo mogę go teraz wyzwać z twojego powodu, kochanie. Jest twoim mężem i do niedawna miałem wrażenie, że wzięliście ślub między innymi dlatego, że chciałaś go widzieć wśród żywych.

- Nie pomagasz mi.

Popatrzył na nią znad filiżanki herbaty. Siostry uważały, że małżeństwo zmieniło go z przystojnego mężczyzny w oszalamiającego eleganta. Będzie z niego wspaniały książe - co nie znaczy, że teraz mu czegoś brakuje w roli brata.

- My z Anną też przechodziliśmy etap ogłupienia, choć na szczęście uporaliśmy się z nim przed ślubem. Wprawdzie nie mogę wyzwąć Deene'a, ale mogę z nim porozmawiać, jeśli chcesz.

- A co mu powiesz? - Eve wstała, zastanawiając się, czy siostry też rozmawiały z Westhavenem o swoich małżeńskich kłopotach, i czy miały do tego prawo, zważywszy, że za jakiś czas zostanie głową rodziny.

- Powiem, że jeśli ludzie się kochają, to upływ czasu, uczciwość i dobroć pomogą im przetrwać praktycznie wszelkie trudności.

- Mój mąż mnie nie kocha. - Natychmiast uświadomiła sobie, do czego się przyznała. - Nie jesteśmy w sobie zakochani.

Milczenie. Okropne, pełne zrozumienia milczenie brata sprawiło, że zachciało jej się płakać. Skrzyżowała ręce na piersi i udawała, że obserwuje kwiaty chwiejące się na wietrze, choć w rzeczywistości czekała na męża, który powinien wkrótce nadejść ze stajni.

- Evie? - Westhaven wstał i stanął u jej boku. - Co się stało?

W jego oczach lśniła taka troska, że Eve ze trzy razy przełknęła ślinę, zanim zaufała swojemu głosowi.

- On chce pozwać ojca Georgie o opiekę nad nią, a ja mu zabroniłam.

- Zabroniłaś? - W głosie Westhavena zabrzmiało zdumienie, które nie wróżyło niczego dobrego.

- Ja... powiedziałałam mu, że przestanę go obdarzać moimi względami, jeśli się na to zdecyduje, i to nie tylko dlatego, że chciałabym uniknąć skandalu, Westhaven.

- Zabroniłaś nowo poślubionemu mężowi dotrzymania obietnicy, jaką złożył swojej jedynej siostrze leżącej na łożu śmierci?

- Nic nie rozumiesz.

Nie spodobało jej się, że Deene wytłumaczył całą sytuację Westhavenowi.

- Ożenił się ze mną, żeby mieć pieniądze na proces. Widziałam kosztorys, rozłożony na pięć do ośmiu lat, Westhaven. Koszty prawne przekraczają wartość posagu, który wniosłam do tego małżeństwa, razem z odsetkami.

- Mało kto spodziewa się strat finansowych, żeniąc się z księżącą córką.

W głosie brata nie było współczucia. Zazwyczaj, w odpowiedzi na jego zdroworozsądkowe rady wygłaszane w nieodpowiednich momentach, Eva wybuchała gniewem albo tłukła go piąstką po umięśnionym ramieniu.

Tym razem chciała, żeby brat - albo ktokolwiek, komu na niej zależało - ujrzał z jej perspektywy ten galimatias, którym stało się jej małżeństwo.

- Oprócz pieniędzy, Deene chciał, żebym mu urodziła dziecko, żeby mógł wystąpić w roli troskliwego ojca, gdy sprawa znajdzie się w sali sądowej. Bardzo się starał, żeby osiągnąć ten cel.

- Na litość boską, Evie, przecież jest nowożeńcem. My z Anną tak się staraliśmy przez pierwsze miesiące naszego małżeństwa, że więcej czasu spędziliśmy bez odzieży, niż w niej. Popytaj rodzeństwo, a usłyszysz od nich to samo. Od rodziców zresztą też.

W innej sytuacji te rewelacje zafascynowałyby Eve i pewnie zrobiłoby się jej ciepło na sercu. Przed ślubem pewnie by tego nie zrozumiała.

- Kochasz swoją hrabinę, Westhaven, a ona ciebie. Na tym polega różnica.

- A ty wyszłaś dla Deene'a tylko z rozsądku?

- Raczej on się ze mną po to ożenił.

Westhaven przeczesał dłonią włosy. Oznaczało to, że czuje się zagubiony.

- Podobno jeździsz na spacerzy z tym swoim mężem z rozsądku, Evie. Podobno dosiadasz jego czołowego ogiera.

- Ważę nie więcej niż dżokej, a to tylko spacerzy.

- Dlaczego opowiadasz takie głupoty, siostrzo? Ten koń może zarobić dla Deene'a więcej, niż wynosi wartość całego jego majątku w Kent.

Na tę wieść Eve zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. Nie zdawała sobie sprawy, że Król William może mieć taką niebotyczną wartość.

- To cudowny koń, ale mimo wszystko... - ucichła, a Westhaven bez słowa obserwował jej wędrówkę.

Miał cholerną cierpliwość, ten cały Westhaven.

- Wróciłam do jeździectwa, Gayle, ale czegoś mi w tym brakuje... Coś jest nie tak. Nie straciłam umiejętności, uwielbiam to i Kocham... lubię spędzać czas z końmi, ale to nie jest to, czego się spodziewałam.

Może Westhaven nauczył się milczeć dlatego, że w ciszy ludzie zwierzali mu się z rzeczy, których wcale nie zamierzali mówić. Eve do tej pory sama nie zdawała sobie sprawy, że jej jeździectwu czegoś brakuje. Ten żal, który się w niej obudził, miał coś wspólnego z małżeństwem albo z czymś, co utraciła i nigdy nie zdoła odzyskać.

- Przyślę ci tu Annę - stwierdził Westhaven. - Ona doskonale umie słuchać zwierzeń i obdarzy cię współczuciem, bo ja mogę ci tylko dać zdroworozsądkowe rady. Z mojej ograniczonej, męskiej perspektywy, postawiłaś swojego męża przed koniecznością wyboru między obietnicą, jaką złożył ci przy ołtarzu, co wiąże się z obowiązkiem zapewnienia dziedzica rodu, a słowem danym jego siostrze. Według mnie nie zostawiłaś mu żadnego honorowego wyjścia, Eve, więc teraz musisz zdobyć się na jakiś kompromis.

Zamilkł, niezadowolony z tego, co musiał powiedzieć, a potem zaskoczył Eve, biorąc ją w ramiona.

- Poza tym myślę, Evie, że z jakiegoś powodu pragnęłaś takiej konfrontacji ze swoim nowo poślubionym małżonkiem, z powodów, których sama za dobrze nie rozumiesz, choć prawdopodobnie wydają ci się bardzo ważne.

Powiedział to bardzo cicho - zawsze wygłaszał cicho najbardziej dojmujące uwagi - a potem pocałował ją w policzek, zgarnął ostatnie ciastko z tacy i zostawił ją samą... zapatrzoną w kwiaty kołysane wiatrem.

- Naturalnie, napiszę pani wspaniałe referencje.

Dolan spacerował po perfekcyjnie utrzymanym ogrodzie, przekonując sam siebie, że młoda dama u jego boku zrozumie, że jego oferta jest jedynym rozsądnym wyjściem. Zatrudnił pannę Ingraham między innymi dlatego, że miała dość rozsądku, by zarobić na chleb uczciwą

pracą, zamiast zagłodzić się lub przyjąć oświadczyzny pierwszego lepszego kandydata, który byłby skłonny się z nią ożenić.

- Reasumując, panie Dolan, pragnie mnie pan ostrzec, że Georgie wkrótce stanie się przedmiotem sporu prawnego, ponieważ jej wuj, markiz Deene, będzie się starał odebrać ją panu spod opieki.

- Będzie się cholernie, przepraszam pannę, będzie się bardzo starał. To będzie bardzo nieprzyjemna sytuacja, panno Ingraham. Najprawdopodobniej sąd zainteresuje się pani charakterem, podobnie jak moim. Będą analizować każde ostre słowo, którym skarciła pani Georginę publicznie, będą się dopytywać, czy byłem wobec niej brutalny, jak często nocowałem poza domem...

Umilkł, choć bliska perspektywa takiego uwłaczającego godności dochodzenia sprawiła, że od ostatniej wizyty Deene'a prawie nie mógł spać. Zresztą, przywykł do tego: w ciągu minionych lat często nie sypiał po nocach - z powodu trudnych negocjacji, a nie wymagających kochanek.

Naturalnie, nie zamierzał zwierzać się z tego guwernantce swojej córki.

- Sir, czy moglibyśmy usiąść?

- Na litość boską, kobieto. Nie pytaj o takie rzeczy. Przechyliła głowę, a w kącikach jej pełnych warg zaigrał uśmiezek.

- Jest pan moim pracodawcą, panie Dolan. Powinnam pana pytać o takie rzeczy.

- Nie była pani taką formalistką, kiedy miała pani wolne, Amy Ingraham.

Była zaskoczona, że nazwał ją po imieniu. On z kolei zdziwił się, że nie okazała urazy. Kiedy usiadł obok niej na ławce, odezwała się swobodnie, jakby znowu miała wolny dzień.

- O ile się orientuję, sir, takie procesy ciągną się latami, zanim dojdzie do rozprawy, więc Georgina może dorosnąć, zanim sąd wyda wyrok.

- Wtedy Deene wprowadzi poprawki i zacznie się ubiegać o pieczę nad jej majątkiem, a nie opiekę nad jej osobą. Na pewno nie zrezygnuje, choć nie bardzo rozumiem, jaki jest powód jego uporu. Podjąłem kroki, żeby odkryć, co go motywuje, ale bez powodzenia.

Panna Ingraham wpatrywała się w swoje dłonie, złożone na podołku.

- Przemyślał pan to dobrze? Nie zamierza pan pójść na żadne ustępstwa wobec Jego Lordowskiej Mości?

Jeśli ktokolwiek - ktokolwiek na całym bożym świecie - mógł zrozumieć jego sytuację, to właśnie kobieta siedząca obok niego. Myśl ta była jednocześnie smutna i dodająca otuchy.

Będzie mu brakowało tej spokojnej panny Ingraham o pięknych szarych oczach i wspaniałej figurze. Georgina też będzie za nią tęsknić... Ta myśl sprawiła mu przykrość.

- Na razie nie zamierzam iść na żadne ustępstwa, ale na pewno w końcu dojdzie do negocjacji. Nie jestem pewny kiedy. Deene jeszcze nie złożył petycji, choć dawał mi do zrozumienia, że dostanę pozew już wkrótce, prawdopodobnie na oczach wszystkich. Ma pani jeszcze czas, by znaleźć nową pracę, zanim wybuchnie skandal, choć jeśli o to chodzi...

Zamilkł. Jeśli zaoferuje jej dożywotnią pensję, zostanie to źle zrozumiane. Późną nocą, kiedy wychylił nieco za wiele brandy, Dolan zastanawiał się, jak też może wyglądać jej doskonała figura w szczegółach, i nie miał do siebie o to pretensji. Był przecież zdrowym, samotnym mężczyzną, a ona atrakcyjną kobietą.

Nie powiedział sobie otwarcie, że przecież oboje są samotni, ale ta myśl stale mu towarzyszyła. Jego samotność była oczywista. Jeśli ona czuła się samotnie, dobrze to ukrywała.

Ale gentleman nie narzuca się swoim podwładnym.

- Przepracowałam u pana wiele lat, panie Dolan.

Dolan przygotował się w duchu na zgrabną, pożegnalną przemowę, choć ta jego część, która nie zapomniała, jak się posługiwać kamieniarskimi narzędziami, miała ochotę rozbić coś w drobny mak gołą, pokrytą odciskami pięścią.

- Dam pani najlepsze rekomendacje, panno Ingraham, i zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby znalazła pani odpowiednią posadę z należyтым wynagrodzeniem.

- Naprawdę? - Uniosła brew i odezwała się tak suchym, ironicznym tonem, że Dolan zaryzykował i spojrzał jej w oczy. - Jestem wzruszona. I zdziwiona.

- Czym mianowicie?

- Chce pan wygrać ten proces czy go przegrać? Bo jeśli pan chce wygrać, to powinien się pan ubiegać o moje względy, panie Dolan. Jestem jedyną osobą, która może wiarygodnie poświadczyć, że nigdy, w żaden sposób nie zaniedbywał pan wychowania pańskiej córki, że jest pan troskliwym, a raczej kochającym i oddanym ojcem, że z radością, po tysiackroć oddałby pan życie za tę małą. Pomimo tego wszystkiego chce pan mnie zwolnić z pracy. To jest naprawdę bardzo dziwne.

Nie powiedziała nic więcej. Pozwoliła, by Dolan, siedzący obok niej na ławce, w duchu poprzestawiał figury na szachownicy, którą ustawił między sobą a Deene'em.

- Panno Ingraham... Amy. Nie mogę pozwolić, żebyś została w to zamieszana... mam kontakty w Dublinie, Yorku, Edynburgu, Paryżu, a nawet w Bostonie, gdybyś chciała...

Zamilkł, zastanawiając się, ile się domyśliła, ile wiedziała, i czy Deene już próbował ją przekupić.

- Więc jak ma być, Jonathanie Dolan? Wygrasz czy przegrasz? Tylko nie próbuj się mnie pozbyć. Wiem, jaki jesteś dla swojej córki.

Dopiero po długiej chwili milczenia zrozumiał, że zaproponowała mu coś w rodzaju przyjaźni, współpracy na poziomie, jakiego się nie spodziewał ze strony sojusznika, do którego nigdy by się nie zwrócił z bezpośrednią prośbą. Na pewno nie w takiej sprawie.

Przez chwilę chciał odpowiedzieć ogólnikami, skłamać w żywe oczy albo poczęstować ją półprawdą, ale...

Amy Ingraham nazwała go Jonathanem. Tak jak nazywała go matka, a potem jego ukochana zmarła żona - w każdym razie pod koniec ich związku. Teraz ta spokojna, rozsądna kobieta nazwała go po imieniu i poprosiła, żeby powiedział jej prawdę. Zamknął oczy, a kiedy je znowu otworzył, wzięła go pod rękę.

- Proszę mówić prawdę. Zorientuję się, jeśli skłamiesz, spytaj Georginę.

Ku swojemu niezmiernemu zaskoczeniu, i jeszcze większej uldze, rzeczywiście powiedział jej prawdę.



- Jeśli powiesz mi dokładnie, w czym problem, będę ci mógł lepiej doradzić, jak go rozwiązać. - Kesmore podał swojemu gościowi szklanę brandy, ale wąpił, czy Deene zauważył, że trzyma ją w dłoni.

- Właśnie rozbijam swoje małżeństwo albo swoje... sam nie wiem.

- Tak jak i my wszyscy. Potem zaczniesz je naprawiać, a to bywa całkiem zabawne.

Deene spojrział z takim niedowierzaniem, jakby nie wyobrażał sobie, by jego gospodarz potrafił się czymkolwiek bawić. Trudno się dziwić, większość młodych żonkosiów ma problemy z wyobraźnią, kiedy poprzytykają się z żonami.

- Siadaj, Deene, i napij się w końcu.

Deene wychylił brandy jednym haustem i rzucił się na sofę, jakby był toną cegieł.

- Traktujemy się z Evie uprzejmie, ale ona się uparła, że nie powinienem stawiać Dolana przed sądem w sprawie Georgie. Sprawy sądowe w rodzinie pachną skandalem. W każdym razie tak sądzi moja żona.

- Tak sądzi każdy normalny człowiek. Poza tym są męczące, nieprzyjemne i kosztowne. Zawsze byłem zdania, że proces sądowy przypomina naprawianie eleganckiego zegarka kamieniarskim młotem.

Kesmore ściągnął poduszkę z wolteriańskiego fotela i zasiadł na szerokiej obudowie kominka, żeby ciepło ognia przyniosło ulgę jego zbolałym plecóm i nodze.

- Z tym że nie spotkałem jeszcze Windhama, który boi się skandalu, włączając w to Ich Książęce Mości. Więc prawdopodobnie nie chodzi jej tylko o sprawę sądową.

Deene skrzywił się.

- Tydzień mi zajęło, żeby do tego dojść. Rzeczywiście, sprawa to tylko część problemu. Evie nie zniesie tak długotrwałego, publicznego skandalu.

- Wytrzymałeś tydzień, podczas którego, delikatnie mówiąc, odmówiono ci małżeńskiego szczęścia w ramionach twojej pani.

Deene wydał odgłos, który dama określiłaby jako chrząknięcie, a każdy inny mężczyzna - jako niechętné potwierdzenie.

- Kto komu odmawia, Deene?

Markiz zapatrzył się w dno szklanki.

- Nie jestem pewny. Nie narzucam się, poza drobnymi gestami, których ona nie odrzuca, ale sama zachowuje dystans.

- I oboje świetnie się bawicie.

Na te słowa Deene podniósł głowę, a w jego błękitnych oczach błysnął ogień.

- A ty, Kesmore? Co robisz, kiedy piękna Louisa odmawia ci swoich łask? Wdzierasz się szarżą do sypialni, z dobytą szablą? Ryzykujesz wszystko, nie bojąc się, że ona zmrozi cię jednym spojrzeniem albo słowem?

Kesmore wolał udawać, że poprawia poduszkę pod tyłkiem, żeby nie uśmieć się otwarcie z cudzego nieszczęścia.

- Młody przyjacielu, być może zaskoczy cię rewelacja, że moja piękna Louisa, szczególnie w tych rzadkich chwilach, gdy odmawia mi swoich łask, spodziewa się zazwyczaj, że wedrę się do sypialni z dobytą szablą. Nie należy do kobiet, które można zdobyć gładkimi słówkami, a ja nie lubię rozczarowywać mojej damy.

- Gdybym spytał Evie, czego ode mnie oczekuje - odparł Deene, zapatrzonej w ogień - odpowiedziałyby, że jeśli ją pytam, to znaczy, że nie rozumiem problemu. Albo coś w tym stylu. Kobiety mówią zagadkami, kiedy człowiek potrzebuje prostych, jasnych słów.

- Dlaczego tak ci zależy? Wielu troskliwych mężów nieraz i przez tydzień nie dokucza swoim żonom, Deene. Damy bywają niedysponowane albo zdenerwowane, albo... po prostu muszą odpocząć.

Deene zamrugał.

- Pomyślałem sobie, że wystawię Williama w czerwcowych wyścigach w Epsom.

- Aha. Żeby czymś się zająć. Genialna strategia, jakże często stosowana przez najbardziej dumnych i sfrustrowanych małżonków na tym świecie. A może zamiast tego wybrałbyś jakiś intymny, spokojny moment, kiedy leżycie sobie pod kołdrą i zamiast dręczyć żonę procesami i skandalami, spytał po prostu, czy chciałyby się z tobą kochać? Powiedz jej, że wolałbyś serce sobie z piersi wyrwać, niż ją stracić, i że będziesz najszczęśliwszy na świecie, jeśli będziesz mógł ją zadowolić.

- A jeśli powie „nie”?

- Nie twierdę, że powinieneś ją o to pytać słowami albo oczekiwać, że w zamian będzie się troszczyć o twoje zadowolenie, kiedy już do czegoś dojdzie.

Deene uniósł brwi. Zerwał się z sofy i ruszył ku drzwiom.

- Dzięki za brandy. Pozdrowienia dla lady Louisy.

Deene nie złożył w sądzie tej cholernej petycji. Eve wiedziała, że papiery dalej leżą w biurku. Wiedziała też - choć było to nie po jej myśli - że Westhaven dotknął sedna sprawy: wyszła za człowieka honoru, który nie potrafił tak po prostu odwrócić się od zobowiązań wobec swojej siostrzenicy.

Mimo wszystko nie była w stanie zaakceptować, że ktoś - pozornie tak honorowy - omamił ją, ocenił jej pozycję finansową i towarzyską, a potem użył swojego łóżkowego uroku, żeby zgodziła dać się wykorzystać do jego egoistycznych celów.

Z drugiej strony nie mogła pozwolić, by Georgie dorastała pośród złośliwych szeptów i plotek, odwracając się od krzywych uśmiezków i domyślnych spojrzeń innych dziewcząt, żeby przysyłało jej zaproszenia nie z życzliwości, tylko po to, by się z niej naigrawać. Eve naprawdę, szczerze, nie zniosłaby takiej sytuacji. Była pewna, że Deene nie brał tego pod uwagę, kiedy obmyślał swoją strategię.

Trzasnęły frontowe drzwi. Spojrzała na zegarek. Zupełnie straciła poczucie czasu. Gdyby nie to, pewnie czekałaby na niego na górze, a on może by do niej od razu zajrzał.

- Belt mi powiedział, że tu się zagnieździłaś.

Jej mąż stał w progu biblioteki, zmęczony, prosto z dworu - i porażająco przystojny. A do tego pełen wahania.

To wahanie wzruszyło ją, bo rozumiała jego przyczynę.

- Deene.

Wstała i podeszła do niego z wyciągniętymi ramionami, żeby nie myślał, że doszli już do etapu, na którym małżonkowie witają się tylko skinieniem głowy.

- Myślałam, że zanocujesz w mieście.

Objął ją w pasie. Pachniał koźmi, deszczem i sobą.

- To normalne, że wiosną pogoda się psuje.

Przytulił ją, a ona zaczęła się zastanawiać, czy zdawał sobie sprawę, że jego optymistyczne słowa można zrozumieć także i w przenośni.

- Zjemy coś na noc? Zadzwoń, żeby przynieśli nam tu tacę. Ucieszyła się, że przez chwilę pozostaną na neutralnym gruncie.

- Nie obrażę się na herbatę z ciastkiem.

Podszedł do sofy przed kominkiem, gdzie Eve rzeczywiście uwiła sobie gniazdo. Na jednym końcu piętrzyły się poduszki i koce, a obok, na bocznym stoliku leżała powieść.

- Nie spodziewałem się, że będziesz na mnie czekać, Evie, i bardzo jest mi miło.

Starał się zachowywać pojednawczo albo po prostu uprzejmie. Tak czy owak, Eve nie miała ochoty z nim walczyć, bez słów, ani grzecznością, ani w żaden inny sposób.

- William był dziś w dobrej formie. Bannister pozwolił mi skoczyć na nim parę solidnych przeszkód.

Deene usiadł obok niej.

- Pewnie umarłbym ze strachu, gdybym to widział. Popełniłem błąd, pozwalając ci skakać na tym wariacie przez wszystkie kłody, rowy i strumienie w okolicy.

- William to jeden koń na milion, prawda?

Po zmęczonej twarzy Deene'a przemknął błysk.

- Owszem, dla ciebie. Kesmore przesyła pozdrowienia.

- Westhaven też.

- Szpiegują dla całej rodziny. Co powiedziałaś swojemu bratu, Evie?

Wzięła go za rękę i założyła ją sobie na ramię. Ręka leżała nieruchomo i dopiero gdy oparła mężowi głowę na ramieniu, mięśnie odprężyły się nieco, a kciuk zaczął gładzić jej szyję.

- Powiedziałaś mu, że mamy trudne dni i że ciężko to przeżywać. Poradził, żebym poszła na kompromis.

Zaryzykowała, mówiąc to na głos, ale wiedziała też, że jeśli zamknie się w sobie, udając, że problem nie istnieje, narazi się na jeszcze większe ryzyko.

Deene westchnął ciężko.

- Ja powiedziałem to samo Kesmore'owi, a on dał mi taką samą radę. Bardzo bym chciał, Evie... Bardzo bym chciał znaleźć jakiś sposób, ale Georgie...

Eve położyła mu palec na wargach.

- Ja też bym chciała i może na tym poprzestańmy. Zrobiliśmy spory postęp jak na jeden dzień.

Jedli w milczeniu, wymieniwszy tylko kilka bezpiecznych uwag na temat koni. W końcu Deene wziął Eve za rękę i pomógł jej wstać.

- Coś się tu zmieniło - powiedział, rozglądając się po pokoju, którego większość tonęła w cieniu.

- Trochę nabałaganiałam - odparła, nie patrząc na przeciwną ścianę, która rzeczywiście przybrała inny wygląd. Deene przyjrzał się żonie, potem zdjął świecznik z półki nad kominkiem i zupełnie jakby czytał w jej myślach, podszedł do ściany.

- Zupełnie zapomniałem o tym portrecie.

Nogi Eve same zaniósły ją ku mężowi, choć w tym momencie powinna twardo powiedzieć mu dobranoc i wyjść.

- Nawet w dzieciństwie byłeś bardzo przystojny.

- A Marie była śliczna. Wygląda jak dziecko, choć obraz namalowano tuż przed jej ślubem.

- Bo była wtedy dzieckiem, Deene. Ile miała lat? Szesnaście? Siedemnaście? Na pewno nie była dojrzałą kobietą.

- A mimo to...

Rzucił jej nieprzeniknione spojrzenie. Miała ochotę spytać go wprost, czy odbiera powieszenie tego portretu jako rękę wyciągniętą do zgody, czy jako kolejną zaczepkę. Wiesząc go, chciała zgody, ale teraz, w kilka godzin później...

- Możemy go zdjąć, jeśli ci nie pasuje.

- Pasuje. - Pochylił się i pocałował ją w policzek, a potem podał jej ramię. - Idealnie pasuje.

Napięcie w brzuchu Evy zelżało, choć nie do końca. Przez cały dzień dokuczała jej lekka niestrawność - typowa oznaka, że w małżeństwie źle się dzieje, a żona nie wie, co z tym zrobić.

Deene wyraźnie czuł to samo, bo jego przygotowania do snu były wyjątkowo staranne. Nie rozebrał się w garderobie, tylko w sypialni,

żeby Eva mogła się napatrzeć na jego nagość. Czyżby schudł? Wydawało jej się, że ma bardziej wystające żebra i biodra.

- Jedziesz jutro do miasta, Deene?

- Bardzo możliwe, ale najpierw popatrzę na trening Williama. Chcesz jechać ze mną?

Nie proponował jej tego co najmniej od tygodnia.

- Czemu nie.

Zarzucił na siebie szlafrok o barwie niezapominajek, który sprawiał, że jego błękitne oczy niemal rzucały iskry i stanął za Evą, siedzącą przed toaletką.

- Czy ja ci ostatnio mówiłem, żono, jaka jesteś piękna? Co za uczucie...

Zamknął oczy, jedną dłonią zebrał jej loki, a drugą je przeczesał.

- Brakowało mi dotyku twoich włosów. Podniósł je do nosa.

- Ten zapach, to ciepło i to łaskotanie w podbródek, kiedy cię obejmuję...

Dwa tygodnie temu mógł spokojnie szeptać jej takie rzeczy do ucha. Teraz wystarczyło, by je spokojnie wypowiedział, a Eve już zaczęła czuć słabość w całym ciele.

- Trzeba je zapleść, Deene.

Otworzył oczy. Zobaczyła w lustrze, że się uśmiechnął. W tym uśmiechu była odrobina przekory, ale i smutku. Zaplótł jej warkocz szybko i sprawnie, a potem położył szlafrok w nogach łóżka.

- Zgaszę świece, żono.

Patrzyła, jak przeszedł nago przez pokój, obserwowała blask ognia, igrający na jego nagich pośladkach, kiedy ukląkł, by poprawić węgiel, patrzyła, jak się przechyla, by zdmuchnąć płomyki świec na półce nad kominkiem, a potem jak wraca do łóżka i bezceremonialnie ładuje się do środka.

- Trzymaj te zimne stopy przy sobie, Deene.

- Zimne stopy?

O Boże, ależ mu dała pretekst, zupełnie nieświadomie. Naprawdę nieświadomie. Oto do jakiego stanu potrafił ją doprowadzić.

- Dotkniesz moich łydek i oboje będziemy się trzęśli.

- Ja się wcale nie trzęsę, Evie.

Pociągnął ją ku sobie i ułożył na boku, przytulając ciepłą pierś do jej pleców. Owłosione, muskularne nogi dotknęły jej pośladków, a ramię objęło ją w talii.

Uwielbiała, kiedy ją tak przytulał, uwielbiała to poczucie bezpieczeństwa. Czowała się wtedy kochana i doceniana. Szkoda tylko, że nie zdjęła szlafroka, żeby poczuć jego dotyk na nagim ciele.

- Powiedz mi, czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić. Chciałbym, żeby ci było miło, żono.

Skubnął wargami jej szyję. Zwyczajna pieśczość, jaką częstą ją darzył. Zawsze czuła wtedy cudowne ciepło budzące się w dole ciała. Bardzo chciała, żeby znowu ją dotknął.

Zrobił to, pieścąc ją jeszcze czulej i dłużej.

Nigdy jeszcze nie kazał się prosić o pieśczość. Nie zamierzała tego zmieniać, choćby nie wiem, jak gorąco go pragnęła...

A jednak... musiała doprowadzić do kompromisu, który pozwoli im wyjść z impasu. Przecież nie złożył tej petycji w sądzie.

Odwróciła się twarzą do niego.

- Planujesz mi zrobić dziecko, a potem złożyć petycję, Deene? Przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar wstać z łóżka i nie wrócić, ale potem się opanował.

- A jeśli to będzie córka, Evie, to co? Kazesz mi czekać, aż drugi raz zajdziesz w ciążę? Wycofać wniosek do czasu, gdy urodzi się syn, a potem go znowu złożyć? A co z drugim synem, gwarantem sukcesji? Anthony nie chce się żenić, więc ten obowiązek spoczywa na nas.

Był wściekły.

I urażony. Oboje czuli się urażeni. Mimo to Eve uznała, że lepszy taki punkt styczny niż żaden.

- Kochaj się ze mną, Lucas. Potrzebuję tego.

W jednej chwili znalazł się na niej, wsunął ramię pod jej szyję, drugie położył na biodrze i podciągnął szlafrok.

- Nie da się tak żyć, żono. Jeśli ci obiecuję, że nie złożę tego cholernego wniosku, obiecasz mi z kolei, że nie podejmiesz żadnych pochopnych środków?

Pochopnych środków? Mimo że ciężar męża wgniatał ją w materac, Eve próbowała odgadnąć, co chce przez to powiedzieć.

Kobiety potrafiły zapobiec poczęciu, a przynajmniej próbowały to zrobić. Mogły pić zioła, żeby pozbyć się płodu. Siedem lat temu miała powody, by nauczyć się tych strasznych rzeczy.

- Nie złamię przysięgi, którą złożyłam przed ołtarzem, Deene.

- Na litość boską, mów na mnie Lucas. Przynajmniej tutaj, przynajmniej w takich sytuacjach...

Zamilkł, a ona zamknęła oczy, czując gorąco jego potężnego członka na swoim brzuchu.

- Lucas, proszę cię... chcę tego... potrzebuję cię.

Wsunął się w nią, darząc ją powolnym, cudownym żarem, wokół którego jej ciało zacisnęło się w ekstatycznym powitaniu. Kochał ją powoli, niespiesznie, nie szczędząc rozkosznych doznań, aż w końcu zrozumiała, że przez cały czas, aż do tej chwili, odgradzał się od niej. Był mężem i kochankiem, ale odmawiał im obojgu głębi swego uczucia. Kiedy pozwolił sobie w niej skończyć, kiedy straciła świadomość wszystkiego, poza rozkoszą, której od niego doznała, długo leżała w jego ramionach, spokojna i bezgranicznie smutna.

Pokazał jej to wyraźnie: jeśli nie znajdą sposobu, by wybrnąć z obecnej sytuacji, Eve straci nie tylko miłosny talent swego męża, nie tylko namiętność, przyjemności i serdeczną przyjaźń; utraci też jedynego mężczyznę, którego jest w stanie pokochać.

## 11

Markiz Deene, proszę pana. Chce się widzieć tylko z panem.

Deene przepchnął się obok majordoma - nadętego faceta, którego czuć było kamforą - i ujrzał Dolana z podwiniętymi rękawami, siedzącego przy potężnym biurku, prawie takim samym, jak ozdoba jego własnej biblioteki.

- Należę do rodziny, Brampton. Raczej nie trzeba mnie anonsować.

Dolan nie wstał, co było dowodem na zwierzęcą chytryść, jakiej Deene spodziewał się po swoim szwagrze.



- Dziękuję, Brampton. Poproś, żeby kuchnia przysłała tacę z herbatą. Jego Lordowska Mość wyraźnie schudł po ślubie.

Deene poczekał na odejście lokaja, a potem uczył gościa zębatym uśmiechem, w którym nie było krzty powitalnej radości.

- Skąd znasz nazwisko mojego lokaja?

- Oni wszyscy znają się między sobą, Dolan. Między innymi za to ich przepłacamy.

Dolan nie opuścił rękawów, choć Deene nie wyczuł w tym zamierzonej obrazy. Raczej niedopatrzenie, spowodowane nieoczekiwanym pojawieniem się przeciwnika.

- Jak tam Georgie? Dolan uniósł brwi.

- Dalej broni się przed lekcjami francuskiego, choć ma talent do języków. Możesz to wykorzystać w sądzie przeciwko mnie: zmuszam ją do nauki francuskiego, odmawiając jej śpiewania irlandzkich kołysanek mojej babci.

- A więc miałaś babcię. Dziw, że nie wydała cię na świat jakaś maskara pokryta łuskami i zionąca ogniem.

Dolan zabawiał się lśniącym, srebrnym nożykiem do ostrzenia piór.

- Obraż moją świętą matkę, Deene, a proces sądowy będzie najmniejszym z twoich problemów.

- Wybacz. Chciałem obrazić tylko ciebie.

Tyle że właściwie nie miał takiego zamiaru. Owszem, chciał się podrażnić, ale nie obrażać. Jeśli Evie nie akceptuje procesu, to pojedynek będzie jeszcze mniej po jej myśli.

Dolan przesunął kciukiem po ostrzu noża.

- Miałem wrażenie, że dżentelmen, w sensie ogólnym, by objąć nim obecne tu osoby, który planuje morderstwo w imię honoru, zwykle rzuca swemu przeciwnikowi w twarz zapoconą jeździecką rękawicę, w obecności świadków o podobnym statusie.

- Nie mogę cię wyzwać, Dolan, choć każdy dzień twego życia jest dla mnie obelgą.

- Och, naturalnie. Bo ożeniłem się z twoją ukochaną siostrzyczką, choć byłem niegodny całować skraju jej szat. Mimo że szczerze łożyłem na koronki, które go zdobiły. Jeśli przyjmiesz taką taktykę,

nieprędko zobaczysz się ze swoją siostrzenicą, Deene. Zdobądź się na odrobinę wdzięku albo trochę się podliż w arystokratycznym stylu. Krewni powinni być przynajmniej źródłem rozrywki.

- I tak nie widuję się z Georgie. Nie mam nic do stracenia, Dolan.

To chyba dało Dolanowi do myślenia. Wstał i wyraźnie się zaczął nad czymś zastanawiać. Do momentu, gdy wniesiono ozdobną srebrną tacę uginającą się od jedzenia. Nieugięci przeciwnicy zasiedli przy stole.

- Nalej herbatę, proszę - odezwał się Dolan. - Ja się na tym nie znam.

W jego głosie nie było złości ani urazy. W podobne dziwnie spokojnej atmosferze upłynął cały posiłek. Rozmawiali niespiesznie, pochłaniając grzanki, kanapki, ciastka, owoce i sery, i popijając herbatą.

- Problem polega na tym, że unieszczęśliwiłeś moją siostrę, i nie jesteś najbardziej odpowiednią osobą do wychowywania jej córki - zaczął Deene, kiedy zawartość tacy mocno się przerzedziła.

- Jesteś bardzo pewny tych faktów, Deene. Można by ci tego pozazdrościć, gdyby nie to, że zawdzięczasz to wrodzonym odruchom arystokraty, a nie własnej wiedzy lub inteligencji.

Dolan wiedział, jak się posługiwać ironią - jak wszyscy Irlandczycy i Szkoci.

- Chcesz powiedzieć, że Marie padła w twoje kochające ramiona i zapomniała o bożym świecie? Chcesz powiedzieć, że wyszła za ciebie z własnej woli? Chcesz powiedzieć, że była szczęśliwa i że się o nią troszczyłeś?

- W momencie zawarcia małżeństwa była nieletnia. Jej zgoda nie była konieczna ani wiążąca. Wytrzymałem z tobą wystarczająco długo. Idź stąd, chyba że chcesz wyłuszczyć mi powody, dla których nadużywałeś mojej gościnności, która już się wyczerpuje i pewnie nigdy się nie powtórzy.

Nadszedł delikatny moment, tym bardziej że wydawało się, iż jest inaczej.

- Jestem gotów się stąd zabrać i iść prosto do White'a, gdzie wpiszę do ksiąg zakład, jasno i wyraźnie: proponuję wyścig między dwoma końmi: twoim i moim, o następującą stawkę.

Dolan wysłuchał go, a potem poprawił się w fotelu i potarł podbródek.

- Opublikujesz te warunki, Deene?

To był kluczowy moment, w którym spryt i ambicje towarzyskie Dolana powinny się połączyć i popchnąć go w stronę decyzji, na jakiej zależało Deene'owi. Tyle że byłaby to jego własna, samodzielna decyzja.

- Nie zaufałbyś mi inaczej za żadne skarby. Za nic nie spuściłbyś mnie z oka, co? - Deene podciągnął mankiety i bawił się szafirowym guzikiem przy rękawie.

- A ty byś mi zaufał? Zmarszczył nos.

- Marie oskarżała cię o różne rzeczy, ale nigdy o nieuczciwość. Masz reputację uczciwego człowieka, choć plebejusza.

- Co za pochlebstwo, Deene... Mogę ci tylko odpowiedzieć podobnym komplementem. Jesteś pompatycznym, aroganckim, nadętym przedstawicielem klasy, która byłaby kompletnie bezużyteczna, gdyby nie to, że czasem bywa dość dekoracyjna. Ale jeśli dasz mi słowo, że dotrzymasz warunków, które tu przedstawiłeś, ja odpowiem ci tym samym. Żaden z nas nic nie zyska, jeśli wmieszamy Georginę w jakiegokolwiek rozgrywki między nami.

Deene wyciągnął rękę.

- Wobec tego umowa stoi. Na uzgodnionych tu warunkach. Dolan miał silny uścisk dłoni, ale szczęśliwie ktoś mu zdążył wytłumaczyć, że dżentelmeni nie starają się połamać sobie palców.

- Zatem kiedy i gdzie, Deene?

- Niecałe dwie mile od Epsom jest tor treningowy. Myślałem o tygodniu poprzedzającym czerwcowe gonitwy. Potem może zrobić się za duży upał.

Powinien być bardziej ostentacyjny, nie odkrywać tak od razu kart, ale odwlekanie tej sprawy miałoby fatalny wpływ na Eve, a koń mógłby się przetrenować.

- W takim razie niech to będzie ostatni tydzień maja. Cała socjeta będzie wtedy siedzieć w Londynie. Jeśli nie, to w lipcu, kiedy zaczną się wyjazdy na wieś, albo okres polowań na głuszce w sierpniu, kiedy myśliwi ruszą na wrzosowiska.

Dolan obserwował go czujnie, pragnąc wyczytać z jego reakcji, w jakiej formie jest Król William.

- Jak sobie życzysz, Dolan. Zamierzałem wystawić Williama w Epsom, słyszał o tym każdy, kto ma uszy i bywa w klubach.

- A zatem maj. Chcę obejrzeć sobie ten tor, zanim zgodzę się przegonić po nim mojego kucyka, Deene. Kiepskie podłoże i przegniłe przeszkody to nic dobrego.

- Teraz naprawdę próbujesz mnie obrazić, Dolan. Pomyślałem sobie, że Greymoor może zostać głównym sędzią.

- Sędzią? Deene, to nie ma być popisówka w Jockey Clubie.

- Ani też wyścig o pietruszkę między dwoma dżentelmenami. To trafiło Dolanowi do przekonania.

- Greymoor i dwóch wybranych przez niego pomocników, jeden z twojej strony, drugi z mojej.

- Bardzo dobrze.

- Deene? Ten wyścig powinien być przeprowadzony dokładnie tak, jakby to była zabawa dwóch dżentelmenów. Chcę, żeby się zebrał cholerny tłum świadków twojej przegranej. Wielki, nie do końca ubzdryngolony tłum. A jego utytułowana część napełni moje kieszenie równie suto jak ty.

- Ależ oczywiście. - Deene miał wrażenie, że rozgrywka już się zaczęła i też przyjął odpowiednią pozę. - Zrobimy z tego święto, ale jeszcze się okaże, kto kogo pokona.

Dolan znowu się uśmiechnął, ale tym razem jego uśmiech dosięgnął oczu. Deene odniósł wrażenie, że Jonathan Dolan mógłby być uroczym człowiekiem, gdyby tylko chciał. I że na swój sposób jest przystojny.

- Sam trafię do drzwi, Dolan, i życzę ci szczęścia.

- Och, ja tobie również, Deene. Będzie ci potrzebne. Nastąpiła chwila ciszy. Deene pomyślał, że teraz powinien znowu

spytać o siostrzenicę albo poprosić o spotkanie. Nie spytał, a Dolan niczego nie zaproponował.

Deene wyszedł, zastanawiając się, w jaki sposób przedstawić żonie tę sprawę - a raczej jej możliwą do przyjęcia wersję.

- Co to jest? - Eve popatrzyła na strzępy papieru i czerwoną wstążkę, które znalazły się na jej kolanach.

- To obietnica, którą ci dałem, Eve.

Deene stanął nad jej krzesłem, przy stole zastawionym do śniadania. Od dnia, kiedy się kochali tydzień temu, nie zbliżył się do niej tak bardzo, nawet w łóżku.

- Twoja obietnica? - Podniosła wzrok i spostrzegła, że nigdzie nie widać lokaja, który zwykle zajmował się kredensem. - Co za obietnica?

- Znaleźliśmy się w impasie, żono. - Podszedł do drzwi i zamknął je starannie. - Ty nie pogodzisz się z procesem, ja nie mogę zlekceważyć obietnicy danej siostrze. Obiecuję ci zatem, że nigdy, ani teraz, ani w przyszłości, nie będę wnosił spraw sądowych, żeby dotrzymać obietnicy danej Marie.

Był bardzo spięty i wyraźnie miał się na baczności. Tylko dlatego nie rzuciła mu się na szyję.

- Jest mi bardzo miło to słyszeć, Deene. Czy możemy porozmawiać na ten temat?

- O czym tu rozmawiać?

Usiadł u szczytu stołu, po prawej stronie Eve. Rzucił sobie serwetkę na kolana gestem, który powiedział Evie, że ich problem pogłębia się, zamiast się rozwiązać.

- Jak zamierzasz dotrzymać obietnicy danej Marie, jeśli pan Do-lan nie pozwala ci zajmować się naszą siostrzenicą jak prawdziwy wuj powinien?

Naszą siostrzenicą. Na te słowa Deene przeszył Eve wzrokiem pełnym niedowierzania i chyba nawet urazy. Niech nas Bóg ma w swojej opiece, pomyślała.

- Jesteś pewna, że chcesz usłyszeć odpowiedź na to pytanie, Eve? Być może spodoba ci się dużo mniej niż zgodny z prawem, cywilizowany proces prowadzony przez prawnych pośredników i rozstrzygnięty przez sędziego, oparty na dowodach, prawie i precedensach.

Herbata, od której Eve zaczęła dzień, wzburzyła jej się w brzuchu.

- Odpowiedz, proszę, Deene.

Mówiąc to, zastanawiała się, co on może jej takiego powiedzieć. Że siostrzenica nic dla niego nie znaczy? Że znaczy mniej niż żona? Czy

coś takiego sugerował wtedy Westhaven? Że chodzi jej tylko o dowód na to, że jest dla męża najważniejsza?

- Uzgodniliśmy, że odbędzie się towarzyski wyścig między koniem Dolana a Królem Williamem. Stawką jest symboliczna kwota pieniędzy, w imię dobrej zabawy.

Przyglądała mu się uważnie, gdy nalewał herbatę, najpierw dla niej, potem dla siebie. Dotarł do niej przyjemny aromat darjeelinga, nad filiżankami zatańczyły pasemka pary, Deene podał jej śmietankę i cukier.

- Postawiłeś mój posag, prawda? Zamieszał cukier w jej filiżance.

- Zawarłem z Dolanem układ. Nie wpisujemy go do żadnych buk-macherskich ksiąg, kwota zostanie między Dolanem a mną. Nawet on rozumie, że rozgłaszanie takich rzeczy przyniosłoby nam obu szkodę.

Dolał jej śmietanki i zamieszał. Ależ troskliwy był ten jej mąż. Ależ usłużny.

Co ona narobiła?

- Dano mi do zrozumienia, że mamy problemy finansowe, Deene.

- Kto taki?

- Na przykład Anthony. Zanim się ostatnio pożegnał, przeproszał, że kwota przeznaczona na utrzymanie Denning Hall jest tak niska, ale, z ręką na sercu, nie mogę się zgodzić z jego oceną sytuacji.

Deene zabrał się do mieszania swojej herbaty.

- Pod jakim względem?

- Kwota jest bardzo wysoka, przynajmniej o ile zdołałam się zorientować na dziś. Księżna i Westhaven w ostatnich miesiącach uparli się, żebyśmy wraz z Jenny nauczyły się zarządzania naszymi funduszami. To nietrudne.

Deene westchnął głęboko.

- To prawda, ale jeśli zsumować nasze wszystkie posiadłości, odliczyć udział bankierów oraz paru prawników, których mamy na utrzymaniu, zaraz się okaże, że Anthony nie potrafi ci nic ponadto powiedzieć i co gorsza, nie jest w stanie wprowadzić żadnych oszczędności.

Jego słowa, znużone, ciche i pełne rozpaczy, rozdarły jej serce, ale zarazem doprowadziły do szału.

- Więc czemu, na litość boską, stawiasz pieniądze, których nie mamy, na jakiś głupi wyścig, tylko po to, żeby zaspokoić swoją dumę?

To było najgorsze, co mogła powiedzieć. Uświadomiła to sobie, zanim jeszcze skończyła mówić, ale... ta próba kompromisu w wykonaniu jej małżonka przeraziła ją o wiele bardziej niż jakikolwiek proces sądowy.

- Moja duma jest zaiste idiotyczna, żono, ale nie potrafię jej pohamować na tyle, by cię zadowolić.

Uniósł filiżankę w pół drogi do ust, ale nie napił się z niej.

Eve wiedziała, że jeśli nie znajdzie teraz odpowiedzi - i to właściwej odpowiedzi - to jedno z nich wyjdzie z pokoju i tej nocy po raz pierwszy zasną w osobnych łóżkach.

- Deene, nie chcę się z tobą spierać. Nie powinnam powiedzieć tego, co powiedziałam. Ale nie rozumiem jak... nie wiem, jak mam się z tym pogodzić.

- A ja nie rozumiem, jak możesz ode mnie wymagać bezczynności, Eve, kiedy patrzę z dala, jak dorasta moja siostrzenica, jakbym był jakimś potworem, jakby mój tytuł i pozycja społeczna uczyniły mnie trędowatym, jakbym był całkowicie bezsilny. Marie była nieszczęśliwa, że zmuszono ją do małżeństwa z tym człowiekiem, a Georgie to jedyna dobra rzecz, która wynikła z tej tragedii. Nie mogę jej opuścić. Po prostu nie mogę.

Eve skinęła głową. Jego rozumowanie było całkiem słuszne, jeśli spojrzeć na nie z tej strony.

Ale ona też miała rację. Jeśli pragnęła dowodu, że ich małżeństwo jest ważniejsze od dawnych zobowiązań Deene'a, to właśnie go dostała. Postawił na wynik tego wyścigu co najmniej jej posag: pieniądze, których potrzebowali dla siebie, pieniądze, które dostał, bo ją poślubił.

Popijała herbatę w milczeniu, zastanawiając się, co jeszcze jej mąż rzucił na los szczęścia, oprócz ich finansowego dobrobytu i nadziei na szczęście małżeńskie.

. Deene nie czuł się najlepiej z decyzją, by zataić przed nią pozostałe punkty zakładu z Dolanem, ale i tak lepiej sobie z tym radził niż przed kilkoma dniami.

Doskonale rozumiał, że jego żonie nie podobał się pomysł wyścigu, nie podobały się stawki - te, o których wiedziała - i to, że cały pomysł powstał bez porozumienia z nią.

Co do tego ostatniego miał przynajmniej argument, że gdyby z nią porozmawiał, powstrzymałaby go przed rzuceniem wyzwania Dolanowi. Spojrzałyby na niego tymi wielkimi zielonymi oczyma, on ujrzałby w nich rozczarowanie i koniec.

- Zaczyna widzieć w tym cel - powiedziała ze swego miejsca na płocie. - Dorasta, i dobrze. To już najwyższy czas.

Deene podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, utkwionym w placu treningowym, na którym Aelfreth z Williamem pokonywali parkur ustawiony z dziewięćdziesiątek.

- Nabiera sił - przyznał. - Jeszcze nie jest taki, jak bym chciał, ale daje z siebie wszystko.

Eve westchnęła i spojrzała na niego spod oka, aż uświadomił sobie, że znowu powiedział coś, co można rozumieć na wielu płaszczyznach. Ich małżeństwo zmieniło się w turniej szachowy rozgrywany jednocześnie na wielu szachownicach; w dodatku nad wszystkim ciążyła konieczność, by wyznać Eve, co jeszcze jest stawką zbliżającego się wyścigu.

- Problem w tym, że Aelfreth nie wczuł się w swoją rolę.

Eve zeszła z płotu, zręczna jak małpka, odziana w męskie bryczesy i stare oficerki.

- Kiedy najeżdżają na przeszkody, w dalszym ciągu dyskutują, do kogo należy wybór miejsca na naskok. Powinni to już dawno mieć poza sobą.

- Jak to rozumieć?

- W każdej parze jeździec-koń ktoś ma zawsze lepsze oko do wyboru miejsca, z którego najlepiej wybić się do skoku. Często bywa to koń. Rozsądny jeździec ufa koniowi i wtrąca się tylko wtedy, gdy jest przekonany, że koń źle sobie to wyliczył.

Deene obserwował, jak koń z jeźdźcem przeskoczyli ostatni żywoplot, naskakując o włos za blisko. Wybiło ich to z idealnego rytmu.

- Aelfreth to dobry dżokej.

- Jest dobry, ale ma młodego konia, obdarzonego szybkością, siłą i inteligencją. Za wyjątkiem sytuacji, gdy wie coś, czego nie wie



William, że na przykład podłoże nie jest aż tak twarde, jak się wydaje, że zaraz za przeszkodą jest spadek albo że muszą ostro skręcić, żeby najechać na następną przeszkodę, powinien pozwolić, by koń rozwijał pewność siebie. Ma na to dwa tygodnie.

- W ten sposób William przekona się, że jeśli Aelfreth coś mu sugeruje, to ma po temu dobre powody - dokończył Deene. - Tylko czy koń nauczy się czegoś takiego w dwa tygodnie?

Eve spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Może się tego nauczyć podczas jednego przejazdu z dobrym jeźdźcem, ale Aelfreth stale zmienia reguły gry. Raz sugeruje miejsce naskoku, innym razem nic nie robi aż do ostatniego kroku i dopiero wtedy próbuje wprowadzić poprawkę. Przez następne dwie przeszkody walczy z koniem o to, kto decyduje i tak dalej. Tak się nie da żyć.

Kolejne słowa o podwójnym znaczeniu.

- Czy możesz mu to wytłumaczyć?

- Już tłumaczyła - odezwał się stojący nieopodal Bannister. - Ale kiedy chłopak fruwa w cwale przez metrówki, sprawa ma się inaczej, niż na placu treningowym.

Deene z trudem powstrzymał się, by nie dać swemu starszemu trenerowi w ucho.

- Może sobie przypominasz, Bannister, że swego czasu byłem oficerem łącznikowym i dostarczałem rozkazy za liniami wroga, w przeróżnych warunkach. Doskonale sobie zdaję sprawę z takich trudności. Eve nie odwracała spojrzenia od jeźdźca i konia, którzy kłusowali po drugiej stronie toru.

- Zastanawiałam się, Deene, czy sam nie powinieneś pojechać w tym wyścigu. - Coś w tym jest. - Bannister powiedział to tym szczególnym, neutralnym tonem, którym pracownicy odzywają się do przełożonego, wiedząc, że nie wolno im podnieść głosu ani posłużyć się barwniejszym słownictwem. - Sam to panu mówiłem.

- Ważę dwa razy tyle co Aelfreth. Jeździłem na nim tylko w terenie i na placu, a zresztą, jest już za późno na zmiany.

Te słowa także niosły podwójne znaczenie. Niezależnie od tego, co stanie się z jego małżeństwem w wyniku tego zakładu, teraz nie mógł się już wycofać. Pogłoski rozniosły się po klubach, posypały się

dodatkowe zakłady, wynajęto tor, wybrano stewardów, ułożono plany. Bannisterowi udało się zdobyć szpiega w stajni Dolana. Rok odpoczynku i kondycyjnej pracy doprowadził Goblina do wspaniałej formy.

A czego można się było spodziewać? Że Dolan postawi wszystko co kocha na jakąś ledwie żywą chabetę?

- Robię się głodna. - Eve wzięła Deene'a pod rękę. - Pójdiesz ze mną do domu?

- Oczywiście.

Nie mógł się powstrzymać, by jeszcze raz nie rzucić okiem na Aelfretha. Eve zauważyła to spojrzenie.

- Nie możesz go teraz napominać, Deene. Trzeba mu okazać zaufanie, żeby nie stracił wiary w siebie i w konia.

- Jakim cudem ty to wszystko rozumiesz? Podejrzewam, że spędziłem o wiele więcej czasu z końmi niż ty, a jednak nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. W twoich ustach to wszystko staje się takie logiczne i proste.

Posłała mu smutny, zmęczony uśmiech, który niegdyś był tak promienny i pogodny. Chciało mu się wyć z żalu na ten widok.

- Rozumiem to, mężu, bo swego czasu pełzałam na czworakach po podłodze i byłam dumna z tego osiągnięcia. - Wszyscy zaczynamy od raczkowania... Przesunęła dłoń, biorąc go za rękę. Od dawna tak nie chodzili.- Usiądźmy sobie.

Deene poczuł, jak skręca go z niepokoju. Powinni porozmawiać, dojść do porozumienia, zacząć od nowa... ale miał wrażenie, że wystarczy jedno niewłaściwe słowo, niewłaściwa uwaga i Eve zacznie ciągnące się w nieskończoność wizyty u swego rodzeństwa. Kiedy on będzie w mieście, ona wyjedzie na wieś. On jesienią wyruszy na północ, na polowania, ona w kilka dni po jego powrocie wyjedzie do Portugalii. Jego rodzice układali tak sobie życie przez długie lata, a Eve przecież od początku mówiła otwarcie, że chce białego małżeństwa.

Usiadł obok żony, ale miał wrażenie, że między nimi siadła trzecia osoba - jego przemożna rozpacz. - Pamiętasz, że kiedyś przeżyłam niebezpieczny upadek Deene? Deene, Deene, Deene. Przestała go nawet nazywać mężem, a tym bardziej mówić mu po imieniu.

- Tak, dość dawno temu. Miło mi, że to cię już nie dręczy.

- Owszem, dręczy, za każdym razem gdy wsiadam na konia, ale w inny sposób niż myślałam. - To było zwierzenie - cenna, nieoczekiwana przerwa w chmurach, które przesłoniły ich małżeństwo.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Evie?

- Jak wiesz, nie byłam w stanie chodzić. Coś się stało... coś się stało z moim biodrem i plecami. Nie jestem pewna co, ale samo oddychanie cholernie mnie bolało. Były takie chwile... - Wbiła wzrok w grządkę rozkwitających róż. Deene nie odważył się nawet drgnąć. - Były takie chwile, że chciałam umrzeć. Nawet nocnika nie mogłam dosięgnąć bez pomocy, Deene. Żyłam jak na równoważni, jadłam i piłam tyle, żeby nie umrzeć, ale nie więcej, bo wszystko, co zjadamy, potem... rozumiesz mnie?

Skinął głową, choć wolał nie wdawać się w szczegóły. Ale doskonale rozumiał ogrom jej poniżenia.

- Nie byłam w stanie chodzić, nawet o kulach, ale pewnego dnia uświadomiłam sobie, że nie znoję, by matka i siostry, nie wspominając o służbie, musiały oglądać mnie w takim stanie. Nie byłam w stanie chodzić, więc zaczęłam pełzać na czworakach. Najpierw na łokciach i jednym kolanie. Nie wyglądało to zbyt dystygowanie, ale wiedziałam, że z czasem doprowadzi mnie do celu. Któregoś dnia Louisa podpatrzyła, jak pełnę z powrotem do łóżka. Od tej pory tkwiła jak Cerber u bram mego osobistego piekła, pilnując, żeby nikt mi nie przeszkadzał, jeśli mówię, że chcę być sama.

- Eve... - Nakrył jej dłoń swoją. - Nie wiedziałem o tym.

- Nikt nie znał prawdy o moim kalectwie, nawet Louisa, choć ona prawdopodobnie się wszystkiego domyśliła. Pełzałam całymi tygodniami, potem zaczęłam skakać na jednej nodze, potem chodzić o lasce, i przez ten czas czegoś się nauczyłam, tego samego co ty, dostarczając rozkazy pod kulami.

- Ja się niczego nie nauczyłem oprócz tego, że trzeba wybrać najlepszego konia, jakiego uda mi się znaleźć, pomodlić się i jechać na łeb, na szyję.

W tym momencie nie puściłby jej ręki nawet za cenę zbawienia duszy.

- Nauczyłeś się, że nie można się martwić o cały przejazd. Nie jesteś w stanie ogarnąć umysłem dwudziestomilowej jazdy przy rąbku zachodzącego księżyca, za linią wroga, bez zapasów, na znużonym koniu. Możesz tylko ocenić, co dzieje się między miejscem, w którym aktualnie jesteś i strumieniem po drugiej stronie doliny, albo między zagajnikiem, gdzie zatrzymałeś się na odpoczynek, a dzwonnica następnego kościoła. Czaiłeś się, wymykałeś, kulileś i skradałeś, jeśli było trzeba. Z cienia w cień.

Doskonale opisała ten wyścig z nadchodzącym świtem, przekradanie się z cienia w cień, to ogarniające duszę znużenie, które wyostrzało zmysły, zamiast je tępić.

- Chcesz powiedzieć, że jesteśmy oficerami łącznikowymi?

- Deene, w przededniu tego wyścigu twoi stajenni, dżokeje, Bannister i nawet ten cholerny koń będą od ciebie czerpać pewność siebie. Nie możesz karcieć Aelfretha właśnie teraz, kiedy on potrzebuje uśmiechu, klepnięcia po ramieniu i jakiejś sprośnej uwagi, której nie wolno wygłaszać przy damach.

Takie uwagi były powszechne wśród jeźdźców. Bez przerwy przyrównywano sztukę jeździecką do pewnych typowo męskich czynności.

- Innymi słowy, muszę nas bezpiecznie doprowadzić do kolejnej dzwonnicy.

- Nie wiem, czy to się uda. - W dalszym ciągu wpatrywała się w te róże. - Twoi ludzie pójdą za tobą do piekła. Za to ja... mam wrażenie, że swoimi działaniami sprawiłam, że w domu zapanowała atmosfera...

Objął ją ramieniem i uściśnął.

- Cicho. Damy sobie radę. Już sobie dajemy radę. Ledwo co.

Wtulila twarz w jego ramię, nie zadając sobie trudu, by się z nim spierać.

- Evie, zostaniesz ze mną? - Prawie wyszeptał to pytanie, tak bardzo bał się odpowiedzi. Gdy nie odzywała się przez dłuższy czas, serce zaczęło łomotać mu w piersi.

- Evie?

Odsunęła się nieco.

- Teraz mamy przed sobą wyścig, Deene. I dopóki nie przekroczyliśmy linii mety, inne przeszkody muszą po prostu poczekać, prawda?

Nie wyczuł w tym odrzucenia, nawet gdy Eve poprowadziła go do sypialni, rozebrała do naga, nawet gdy pchnęła go na łóżko, a potem pozwoliła patrzeć, gdy rozbierała się przed nim, zdejmując z siebie wszystko, do ostatniej nitki.

To miało coś wspólnego z pewnością siebie - z jej własną pewnością siebie. Deene w najmniejszym stopniu nie czuł się pewnie. Nie kochali się od chwili, gdy tamtej nocy zainicjował zbliżenie. Tym razem - po raz pierwszy - Eve inicjowała wszystko.

Usiadła na nim okrakiem, a koniuszek jej warkocza łaskotał, darząc go dziwną pieśczołą, której prawdopodobnie nie zaplanowała. Kiedy musnęła kciukami jego sutki, próbował zapamiętać wygięcie jej brwi, jak ze skupieniem obserwowała efekt swojego dotyku.

- Jesteśmy podobni pod tym względem - oświadczyła w końcu, przyglądając się wyprężonym sutkom.

- I odczuwamy przy tym podobną przyjemność. Pochyliła się, liznęła je a potem skubnęła lekko zębami.

- Lubię, kiedy mi to robisz. A ty lubisz, gdy to robię?

Nie potrafił znaleźć słów. Oparł dłoń z tyłu jej głowy i bez słów błagał, by nie przestawała. Zanim skończyła, dotknęła wargami jego członka, smakując go i drocząc się, jakby to był specjał serwowany u Guntersa, aż mięśnie krocza i brzucha rozboleły go od potężnej erekcji.

Mimo to nie poprosił, by skończyła, by wsunęła go w wilgotny żar swojego ciała i zakończyła ich wspólne cierpienia. Evie, zostaniesz ze mną?

Może to była jej odpowiedź. Może postanowiła wreszcie począć tego cholernego potomka, żeby zakończyć ich wzajemne zobowiązania.

To niesprawiedliwe, że musiała być taka uparta, że musiała tyle od niego wymagać, że te wszystkie jego zobowiązania musiały ich tyle kosztować.

Niesprawiedliwe wobec niego, niesprawiedliwe wobec niej. Rozwiązanie, które w oczach Deene'a jeszcze niedawno było dżentelmeńską umową podjętą z mało dżentelmeńską zawziętością, coraz mniej mu się podobało.

Przesunęła się i jej usta zniknęły, a jego wypełniło płynące z głębi duszy pragnienie, by się z nią połączyć.

Kiedy znowu na nim siadła - nigdy przedtem nie była tak odważna - przetoczył się i ułożył ją pod sobą, żeby mu nie uciekła.

Tłumił pocałunkami jęki jej rozkoszy, jej paznokcie podrapały mu plecy i pośladki, a jego pierś była mokra od jej łez.

Pomimo to nie zdobył się, by jeszcze raz ją spytać: Evie, zostaniesz ze mną?

Wyścigi były zadziwiająco demokratycznym sportem: na ich teren wpuszczano wszystkich, bez różnicy i nikt się temu nie dziwił. Tłum sam dzielił się na grupy, które bawiły się po swojemu. Oficerowie i ich kochanki popijali zwykłe ale, grali w karty i rozmawiali w jednym namiocie, sąsiedni zajęli sklepikarze, którzy przyjechali się przewietrzyć wraz z żonami, a w trzecim konwersowała śmietanka towarzyska, wokół której uwijała się służba, gotowa zapewnić swojemu państwu wszelkie wygody.

Eve obserwowała to wszystko z innej perspektywy niż zwykle, pomimo zmęczenia, które dokuczało jej w dzień poprzedzający wyścig Króla Williama z Goblinem.

- Jutro o tej porze będą tu tłumy.

Deene wyraźnie nie był z tego szczęśliwy, ale on ostatnio nie był z niczego szczęśliwy, poza chwilami spędzonymi w stajni, na przekomarzaniu się ze stajennymi albo na rozmowach z koniem.

Siedział na swoim wałachu, chmurny i niezadowolony ze wszystkiego.

- William już biegał przy licznej widowni, Deene. Wygląda na zadowolonego.

Aelfreth już wcześniej przejechał tor w spokojnym tempie, w eskorcie Deene'a na Bestii i Bannistera na innym koniu, zaprzyjaźnionym z ogierem.

- Jest szczęśliwy, bo ty tu jesteś, Evie. Już zaczynał tkać w boksie, ale zobaczył cię na twojej klaczy.

- To na jej widok tak się ucieszył.

Zaskarbiła tym sobie uśmiech swego małżonka. Nie ten oszałamiający, lśniący, przekorny i szeroki, ale uśmiezek półgębkiem, który był dowodem zmiany relacji pomiędzy nimi.

Eve nie potrafiła się oderwać od męża i teraz czuła rosnącą irytację. Kiedy już raz zainicjowała małżeńskie zbliżenie, nie mogła się powstrzymać, by nie wykorzystywać żoninych praw do swego szczodrego, twórczego i nienasyconego małżonka. Przedtem Deene sprawiał jej zaledwie przyjemność, teraz doprowadzał ją do rozkosznego obłędu. Podejrzewała, że bezwstydnie to wykorzystuje, by mieszać jej szyki we wszystkich sprawach poza małżeńską łóżnicą.

Ale tego tematu nie poruszali ani słowem. Pochyliła się, by poklepać swoją klacz.

- Przejedźmy tor, Deene. Ten cały deszcz pewnie popsuł podłoże. Jego uśmiech przygasł. Przesunął wzrokiem po pagórkowatych łąkach naokoło.

- Przeklęty deszcz.

- William nie jest mimozą. Galopowali z Aelfrethem przy każdej pogodzie i doskonale dawali sobie radę.

- Przyjechał Dolan.

Eve powiodła wzrokiem za spojrzeniem swego męża ku stajniom, gdzie dwóch dżokejów prowadziło do boksu dużego, spokojnego siwka.

- Piękne zwierzę.

- Koń czy właściciel?

- Koń. Wygląd pana Dolana niespecjalnie mnie obchodzi. Wargi Deene'a zacisnęły się w cienką kreskę, więc pożałowała, że

wygłosiła tę ostatnią uwagę. Ostatnio sama nie wiedziała, co ma mówić; wszystko wydawało się niewłaściwe. Ich związek stał się męczący i chwiały się w posadach. Choć próbowała sobie to inaczej tłumaczyć, bagno, w jakie się wpakowali, wcale nie było efektem finansowych konsekwencji, które groziły im w razie przegranej.

Poczekala, aż konie dojdą do skoszonej trawy na najeździe na pierwszą przeszkodę, która była niewysokim schodkiem, który miał być spokojnym, bezpiecznym początkiem biegu, a jednocześnie ostrzec konie, że to nie będzie zwykła próba szybkości na płaskim torze.

- Powiesz mi, o co jeszcze się założyłeś z Dolanem? Teraz Deene poklepał konia.

- Dlaczego uważasz, że postawiłem coś więcej, ponad tę małą fortunę, o której już wiesz?

Wcale nie taką małą. Dla niektórych ludzi - ogromną.

- Ta fortuna jest dla ciebie dodatkowym majątkiem, który zyskałeś dzięki małżeństwu, Nie miałeś jej dwa miesiące temu, więc spokojnie dasz sobie radę, jeśli ją stracisz. Taki zakład nie odbierałby ci snu w nocy.

- Dlaczego rozmawiamy o tym akurat teraz, Evie? Bawiła się wodzami.

- Próbujesz się wycofać, co potwierdza moje przypuszczenia, że nie byłeś ze mną do końca szczery.

Aby dać mu czas na obmyślenie odpowiedzi, ponagliła klacz do galopu - w tym cholernym damskim siodle nie dało się kłusować - i ruszyła w kierunku drugiej przeszkody.

Umieszczono ją dość daleko, żeby konie mogły się rozpędzić na początku wyścigu - albo żeby je skusić do nadmiernej szybkości. Była na szczycie niewielkiego pagórka, co zachęcało dżokejów do niepotrzebnego zwiększenia wymagań wobec koni, tym bardziej że za przeszkodą teren ostro opadał w dół.

- A jak myślisz, co jeszcze postawiłem, żono? Odpowiedział pytaniem na pytanie. Mało zachęcające.

- Coś, o czym wolisz mi nie mówić, bo boisz się, że nie zrozumie.

- Nie chodzi o to, że nie zrozumiesz. - Deene przyjrzał się krytycznie przeszkodzie. - Tu przynajmniej podłoże jest twarde.

Rzeczywiście tak było, bo przeszkodę umieszczono na pagórku. Tylko że przed nią i za nią może być ślisko - a nawet niebezpiecznie przy dużej szybkości. To był kolejny powód, dla którego nie należało tu się śpieszyć. Do licha, dlaczego wszystko - nawet te cholerne drągi - wydawało się komentarzem na temat jej małżeństwa?

- Powiedz mi w końcu, Deene. Nie zrobię ci awantury, siedząc na koniu. Przynajmniej na tyle mnie już znasz.

Spojrzał na nią i ruszył ku trzeciej przeszkodzie - żywopłotowi, pierwszemu z trzech na tym torze. Przeszkoda sama w sobie była prosta, ale ustawiono ją w cieniu drzew i na tym polegała jej trudność. Oczy konia nie przystosowują się do zmian oświetlenia tak szybko jak ludzkie, więc przeszkoda w cieniu wcale nie musi być tak oczywista dla konia, jak dla jeźdźca. Mądry dżokej da koniowi czas na



dostrzeżenie przeszkody. Zbyt napalony jeździec uzna, że to jedna z najłatwiejszych na trasie i najedzie na nią pełnym galopem.

- Nienawidzę takich pytań - stwierdził Deene, krzywiąc się na widok przeszkody. - Powinniśmy dawać Williamowi więcej takich trudnień.

- Zmieniamy przecież godziny treningów, żeby cienie padały w różne miejsca i pod różnymi kątami. Uważasz, że nie wiem, co to honor, Deene? Wiem, że walczyacie z Dolanem na noże o opiekę nad twoją siostrzenicą.

- Na samym początku nazywałaś ją naszą siostrzenicą.

W jego tonie nie było napięcia - widać było, jak bardzo nad tym pracował.

Nie kłócili się, a to znaczyło, że nie rozmawiali na te tematy. W związku z tym, Eve miała wrażenie, że małżeństwo wymyka jej się z rąk. Podjechała galopem do kolejnej przeszkody, którą był solidny, potężny okser, wymagający skoku o odpowiedniej wysokości i zasięgu. Między drągami umieszczono blat stołu. Drewno było ciemne, solidne i miało za zadanie przestraszyć konia, choć najazd, skok i zeskok nie powinny być trudne nawet dla przeciętnego skoczka - pod warunkiem że dżokej zachowa pewność siebie.

- Przeszkoda z utrudnieniem - powiedział Deene. - Czternasta jest taka sama. Zupełnie prosta, tyle że znajduje się na końcu długiego najazdu, jest masywna i wygląda przerażająco. Nie znoszę tych trudnień.

- Każda przeszkoda ma pewne utrudnienie. Następna jest wodna, i może okazać się najgorsza ze wszystkich.

Spojrzał na nią. W jego oczach wyczytała troskę.

- Niepokoi cię podłoże, prawda, żono? Zawsze cię niepokoi.

- Wtedy spadłam właśnie z powodu niepewnego podłoża. Klacz zerwała wtedy ścięgna na obu przodach, a ja musiałam pełzać na kolanach do nocnika.

Westchnęła, a on patrzył na nią bez słowa.

- Denerwuję się tym wyścigiem, Deene, ale nie dlatego, że być może postawiłeś na niego więcej, niż nas stać, albo nie tylko dlatego. Nie podoba mi się, że ryzykujemy zdrowie dobrego konia i Aelfretha. Wiem, że nie robisz tego dla kaprysu, ale...

- Eve, zapewniam cię, że stać nas na kwotę, jaką postawiłem na naszego konia. Wiem, co ci powiedział Anthony, ale podczas moich ostatnich wyjazdów do Londynu spotykałem się z bankierami, ich pracownikami i moimi współpracownikami. Anthony ma swoje powody, żeby przedstawiać sytuację w ostrożny sposób, a ja go popieram. Jednak uwierz mi, nie mamy problemów finansowych.

Powiedziałby jej to samo, nawet gdyby czekało ich najgorsze. Zawsze tak było. Jego Książęca Mość kiepsko sobie radził z finansami. Księżna nigdy by tego otwarcie nie powiedziała, ale Eve sama do tego doszła, obserwując, ile pracy Westhaven musiał włożyć w ustabilizowanie sytuacji finansowej rodziny.

Dzientelmen mógł tkwić w długach po uszy i pomimo to zachowywać pozory, nawet przed najbliższą rodziną. Jeśli do tego był utytułowany, nie można go było zamknąć do więzienia za długi i sytuacja rodziny stale się pogarszała.

Eve dogoniła męża nad strumykiem, który dzielił tor na pół. Podprowadził Bestię do samego brzegu.

- Podłoże jest tu dość twarde, ale jeśli w nocy jeszcze popada...

- Nienawidzę błota i błotnistej wody - powiedziała z większą niechęcią, niż zamierzała. - Gdybym to ja dosiadała Williama, przeskoczyłabym przez ten przeklęty potoczek i wylądowała daleko na drugim brzegu, żeby się nie zapadł w muł na brzegach.

- Powiedz mu to wieczorem, jak go będziesz kładła spać. Deene mówił poważnie. Był przekonany, że Eve porozumiewa

się z koniem na poziomie dostępnym tylko prawdziwym koniarzom i koniarom. Sama Eve nie przypisywała koniowi - i sobie - aż takich zdolności. - Powiem Aelfrethowi, a jutro rano przyślemy tu kogoś, żeby obejrzał ten brzeg, zanim stewardzi zamkną tor.

Przejechali resztę toru, choć i tak już znali każdą przeszkodę, sprawdzili, czy drewno nie zgniło, czy gdzieś nie walają się gwoździe i czy podłoże jest odpowiednie. Zanotowali w pamięci subtelne zmiany, pojawiające się z odmianą pogody, porą dnia, a nawet zmianą kierunku wiatru.

Przy ostatniej przeszkodzie, gdzie konie zaczynały bieg do mety po długiej, równej, finałowej prostej, Eve zatrzymała się nagle.

- Jutro będą tu flagi na pawilonach przy mecie.

- I co z tego? - Deene w dalszym ciągu był wściekły. Nie powiedział jej też, co jeszcze postawił na Williama.

- Jeśli będzie silny wiatr, konie wyjdą na tę prostą z ostatniego zakrętu i usłyszą brzęk drutów przy masztach, łopot flag i szelest proporczyków na wietrze.

- To drobiazg, te konie rodzą się po to, żeby biegać, Eve. Będą doskonale wiedziały, że idą do mety.

W takich zawodach nic nie było drobiazgiem, ale oboje byli już poza torem.

- Mężu, powiesz mi to w końcu? Nie chodzi o to, że ci nie... Zamilkła. Temat zaufania był śliski, zbyt wiele innych rzeczy się

z nim wiązało, i to nie tylko ze strony Deene'a. Wróciła myślą do nocy poślubnej, kiedy miała wiele sposobności, by się zwierzyć swemu mężowi, a jednak milczała.

Jeśli koń bez widocznego powodu odmawiał skoku, mądry jeździec z grubsza analizował przyczyny, zawracał, jeszcze raz najeżdżał na przeszkodę i pokonywał ją w dobrym stylu, bez żadnej taryfy ulgowej.

- Dopytuję się, co jest stawką tego wyścigu, Lucas, bo nie chcę, żebyś sam dźwigał ten ciężar. Pozwoliłeś mi uczestniczyć w treningu Williama, a to bardzo dużo dla mnie znaczy. Pozwól mi też uczestniczyć w tym zakładzie w pełni, jak przystało żonie.

Zamilkła, z niezwykle poważną miną. Niepokój Ewy wzrósł jeszcze bardziej, gdy pomyślała, że to, co zaraz usłyszy, i tak może nie być pełną stawką zakładu.

- Postawiłem Williama. Jeśli przegram, przechodzi na własność Dolana, Jeśli Dolan przegra, dostanę Goblina i pieniądze. Nie zapomnij o pieniądzach. Wracamy do stajni?

Postawił tego konia, jednego na milion, konia, do którego tak się przywiązała, i do tego jeszcze fortunę. Nie powiedziała ani słowa. Zawróciła w stronę stajen i pogalopowała obok męża, starając się powstrzymać płacz.

Było jej żal samej siebie, konia i człowieka, który wziął udział w tym zakładzie, bo tak nakazywał mu honor - i żona.

Deene siedział na kocach na kostce siana, oparty o ścianę, i tulił w ramionach swoją na pół uśpioną żonę.

Powinien jej powiedzieć wtedy całą prawdę, ale na wieść, że mogą utracić Williama, zrobiła taką minę, że nie odważył się już nic dodać.

Tylko... że cisza też im się nie przysłużyła.

- Powinienem powiedzieć Anthony'emu, żeby przysłał powóz z powrotem po ciebie.

Poruszyła się w jego ramionach.

- Jeśli ty zostajesz, to ja też. Jeszcze się nie urodziło w Anglii dziecko, które nie zdrzemnęło się choć raz w jakimś gościnnym sąsiedku.

Stojący pod nimi Bestia poruszył się w boksie i cicho zachrapał, słysząc głos Evy.

- Rozumiem, dlaczego masz ochotę spędzić tu ze mną noc, Evie, ale za to powiedz, skąd tyle wiesz o wyścigach crossowych?

Kiedy wrócił myślami do ich niedawnego przejazdu po trasie wyścigu, uświadomił sobie, że Eve patrzyła na cały przejazd jak Wellington na pole bitwy, przewidując kolejne ruchy, wybierając odpowiednie opcje i analizując całe zadanie na poziomie, o którego istnieniu Deene nie miał pojęcia.

- Ciągle rozmawiałam z Devlinem i Bartem o manewrach kawaleryjskich, o tym, jak umiejętności jeździeckie mogą zdecydować o losach bitwy. Bagnisty grunt przyczynił się do klęski Francuzów pod Waterloo, a Devlin jest przekonany, że Wellington o nim wiedział, ustawiając artylerię na skłonie wzgórza.

- To straszna myśl. - Za to łaskotanie włosów Evy po jego nosie wcale nie było straszne, tylko miłe, czułe i kojące.

- Kiedy byłam małą, rozmawiałam z tatą o polowaniach i o jego kawaleryjskich wyczynach. Tylko tak mogłam zdobyć jego uwagę i pokonać konkurujące o nią starsze rodzeństwo. Ciągle go pytałam o dobre galopy i fatalne upadki.

Deene pocałował ją w policzek, wyobrażając sobie malutką, drobną Eve na tle hałaśliwej, ruchliwej grupy wysokich i potężnie zbudowanych Windhamów.

- A potem spadłaś z konia i straciłaś coś więcej niż możliwość tańczenia walca ze wszystkimi przystojniakami w hrabstwie.

Trzymał ją w objęciach, więc poczuł, jak przeszył ją dreszcz albo coś podobnego. Już dwa razy była bliska opowiedzenia mu czegoś więcej o swoim upadku, ale nie potrafił zachęcać jej do zwierzeń, kiedy sam nie był z nią do końca szczery.

- Muszę się przejść.

Spróbowała wstać. Przeszkodził jej w tym, całując ją w policzek.

- Ale nie beze mnie.

- Owszem, bez ciebie. Czasem dama potrzebuje chwili prywatności, ale nie pójdę nigdzie daleko, a potem zajrzę do Williama.

Zamierzała znaleźć jakieś zaciszne miejsce w krzakach, bo na torze praktycznie nie było toalet.

- Tylko nie marudź za długo. Musimy wstać przed świtem.

- Pod warunkiem że w ogóle zaśniemy.

Pozwolił jej mieć ostatnie słowo, pozwolił, by zniknęła w otworze stryżku... a potem znowu zaczął się modlić w myślach.

Błagam, niech to małżeństwo dostanie szansę przetrwania, bo na nią zasługuje.

Niech ani koniom, ani jeźdźcom nic się nie stanie.

Niech znajdzie się jakieś niewinne wytłumaczenie, dlaczego Anthony przedstawił mu rodzinne finanse w tak nieskoordynowany sposób.

Niech się skończą nieporozumienia między nim a Dolanem i niech to nie oznacza rozstania z jego siostrzenicą, żoną i honorem, nie wspominając już o pieniądzech i czołowym ogierze.

Litania wydłużała się w nieskończoność do chwili, gdy zauważył główkę Ewy wspinającej się po drabinie, w blasku księżyca, który przesączał się przez szpary między deskami stajni. Przysunęła się bardzo blisko. Napięcie i gorąco, jakie w niej wyczuł, powiedziały mu, że dzieje się coś złego.

- Evie? Co się stało?

- Mężu... - Oddychała gwałtownie i starała się mówić szeptem. - Mężu, musimy się pośpieszyć. Ktoś zamierza dać środek nasenny Williamowi. Obawiam się, że Aelfretha już załatwili.

Niech diabli porwą Jonathana Dolana.

- Zostaniesz tutaj.

- Nie. - Przywarła do niego z rozpaczliwą siłą. - Było ich czterech. Poszli po ten środek, bardzo zadowoleni ze swojej chytrności. Chyba nie są całkiem trzeźwi, ale też nie są na tyle pijani, żeby nie byli zdolni do bitki

- Eve, nie pozwolę, żeby zbiry Dolana otruły Williama. Podniosła głowę, spojrzała na niego bystro w świetle księżyca, potem pochyliła się i zaczęła mu szeptać do ucha.

Znieruchomiał. Pochyliła się bliżej, ale on ujął jej twarz w dłonie, pocałował ją soczyście w usta i powiedział, że jest genialna. Kacem Aelfretha zajmą się rano, teraz trzeba się śpieszyć.

Kiedy znaleźli się z powrotem na stryszku, Eve znów wsunęła się w jego objęcia. Deene był daleki od zadowolenia.

- Zniweczyliśmy ich plan, żono, ale i tak jutro czekają nas poważne kłopoty, jeśli Aelfreth będzie zbyt chory, by jechać.

Miło było słyszeć to słowo przy okazji rozwiązywania problemów. Przytuliła się bliżej, żeby mu pokazać, że się z nim zgadza.

- Ty możesz na nim pojechać, Lucas. Znasz trasę na pamięć, znasz konia i dorównujesz umiejętnościami Aelfrethowi.

Była lojalna. Nie zaproponowała Bannistera ani innego dżokeja, nie zawahała się, tylko w pełni zaufała mężowi. Nie wspomniała, że Deene jest dużo cięższy od przeciętnego dżokeja i nawet przez myśl jej nie przeszło, że bardziej sensownym kandydatem jest ktoś inny - osoba, która na pewno bezpiecznie doprowadzi konia do mety.

- Mamy jeszcze jedną opcję, Evie.

- Bannister nie jest w formie, Deene, przez cały czas skupiał się na Aelfrethu, nie na koniu, a poza tym...

Deene pocałował ją - na tyle gorąco, by zwrócić na niego uwagę. Trochę przesadził, bo potem sam ledwie mógł się skupić na bieżących sprawach.

- Nie mówię o Bannisterze, Evo Denning. Jeźdźcem który ma największe szanse, by pokonać ten tor w rekordowym czasie, jest kobieta, którą aktualnie trzymam w ramionach.

Przez następną godzinę spierał się ze swoją żoną, markizą, panią serca i miłością. W końcu przyznała mu rację. Przynajmniej w tej sprawie mi ufa, pomyślał, więc nie mogę jej zawieść.

- Zaraz przyjdzie steward skontrolować konie i rząd - ostrzegł Kesmore. - Na litość boską, schowaj jej włosy pod tą chustką.

Kesmore zrobił srogą minę, ale nie odezwał się już więcej. I dobrze, bo Deene wyglądał, jakby miał ochotę zboksować swojego szwagra. Aelfreth, słaby jak kociak, bez słowa protestu oddał swój jeździecki strój, włącznie z czerwono-czarno-białą chustą, która była jego znakiem rozpoznawczym. Bannister zajmował się Williamem i kłął pod nosem, Bestia smacznie chrapał pomimo zamieszania, a Eve była...

.. zakochana po uszy w swoim mężu.

Jak mogła w niego zwątpić? Jak mogła głupio bać się skandalu i ruiny, nie bacząc na zaufanie, jakie widziała w oczach Deene'a za każdym razem, gdy na nią patrzył? W dalszym ciągu miała wrażenie, że był nie do końca szczerzy, opowiadając jej o Dolanie - zresztą pan Dolan też niejedno przeskrobał tego pięknego poranka - ale to wszystko nie miało żadnego znaczenia wobec ogromnego zaufania, jakie okazał jej Deene.

- Nie wyglądasz na zdenerwowaną - zauważył Kesmore, gdy Deene wyprowadzał Williama z boksu.

- Nie mogę przecież zawieść męża, Joseph. Zaufał mi, a to... dodaje mi pewności siebie.

Kesmore objął ją ciężkim ramieniem. Uświadomiła sobie, że to gest poparcia z jego strony, bo przecież nie mógł publicznie uściskać dżokeja Deene'a.

- Jak to się dzieje, moja droga, że Deene każe ci pojechać na złamanie karku w tym debilnym wyścigu po błocie i mokrej trawie, i zdobywa tym twoje niegasnące oddanie?

Sama do końca tego nie rozumiała. Miała wrażenie, że Deene poprosił ją o to tylko z lojalności, bo tak naprawdę chciał jechać sam. Ale przecież w końcu się pokłócili - wreszcie się pokłócili, gorącym szeptem, z okresami napiętego milczenia, wytykali się nawet palcami i machali rękami - i teraz Eve miała zrobić coś niesłychanego: pojechać na Williamie w wyścigu o dużą stawkę.

Steward obserwował Williama, którego przeprowadzono przed nim kłusem, zawrócono i przekłusowano w drugą stronę. Koń przeszedł bez problemu - to było oczywiste - bez żadnych objawów zatrucia.

- Proszę na start - powiedział steward. - Greymoor nie życzy sobie żadnych numerów. - Tę ostatnią uwagę skierował do Eve, która stała obok Kesmore'a. - Żadnych nieczystych gier, żadnych oskarżeń przeciwnika, żadnych sugestii na ten temat nad kuflem ale, choćby w przyszłym tygodniu. Żadnych zagrywek z palcatami, przekrętów z końmi. Za pierwszą próbę ogłosi remis, zobaczycie.

Eve skinęła głową, nasuwając sobie czapkę jeszcze głębiej, a potem westchnęła z ulgą, bo steward ruszył w stronę startu.

- Dzięki Bogu, że nie ma handicapów, bo nie trzeba będzie cię ważyć. Pamiętaj, finisz będzie najtrudniejszy - ostrzegł ją cicho Kesmore. Deene zaczął siodłać Williama. - Masz zsiąść od razu, kiedy tylko się da. Konia występuje Bannister albo któryś ze stajennych. Ty zsiadasz, on wsiada, a ty natychmiast wyskakujesz z tych dżokejskich jedwabi, moja miła. Louisa pomoże ci się przebrać.

Eve znowu skinęła głową, wiedząc, że to nieunikniona taktyka. Nie chciała, żeby rodzina wiedziała o jej przejeździe, nie wspominając już o reszcie londyńskiej socjety. Przecież to wywołałoby skandal...

Patrzyła, jak Deene podciąga popręg i zastanawiała się, dlaczego wcześniej nie przyszedł jej do głowy ten argument. Jeśli wyda się, że Deene pozwolił swojej żonie dosiąść konia na wyścigach, nawet prywatnych, zaczną się straszne plotki o nim i o niej...

A Dolan to bezlitośnie wykorzysta.

Kolana się pod nią ugięły, gdy zrozumiała, na jakie ogromne ryzyko poważył się Deene. Przysunęła się do Kesmore'a.

- Miej na oku Deene'a, dobrze? Ostatnio żył w wielkim napięciu i obawiam się, że może przestać się kontrolować.

- Wiem, będę uważał. Nie zdejmuj tych gogli, jeśli cenisz sobie moje zdrowie psychiczne, madame, do czasu kiedy zdejmiesz te jedwabie i znajdziemy się w normalnej sytuacji.

Wyciągnął piersiówkę i podał ją Eve, ale odmówiła potrząśnięciem głowy. Zamrugał, jakby sobie uświadomił, że właśnie poczęstował damę alkoholem, pociągnął łyk i schował piersiówkę.

- Cała cholerna rodzinka Windhamów to wariaci. Nieraz się o tym przekonałem. Nawet Lady Ofelia, która jest aniołem dobra i dyskrecji, jest tego samego zdania.



Wzmianka o najcenniejszej świni Kesmore'a wcale nie uspokoiła Eve, która pochwyciła spojrzenie Deene'a i uświadomiła sobie, że już czas wyjść z bezpiecznej stajni.

Uśmiechnął się do niej ciepło i wyzywająco, jakby mówił: „Dasz radę” albo nawet „Ja wiem, że dasz radę”.

Wymyślił śmiały, szalony plan - ale ten plan miał szansę powodzenia.

- Chodź, Aelfreth - powiedział podniesionym głosem, żeby przechrzyczyć gwar panujący w stajni. - Już tam na ciebie czeka koń i zachwycona publika.

Eve sprawdziła pasek czapki, zapięty pod brodą i wyszła na dziedziniec, starając się naśladować rozkołysany dżokejski chód.

Deene podrzucił ją na malutkie wyścigowe siodło, potem wsiadł na bardzo sennego Bestię i ruszył obok niej. Kesmore podjechał na swoim karoszu, ustawił się z drugiej strony Williama i razem ruszyli na start, gdzie już czekał hałaśliwy tłum.

William był w doskonałym nastroju, aż rwał się do wyścigu, ale cały czas pamiętał, że ma jeźdźca na grzbiecie.

- Nie goń go za bardzo - ostrzegął Kesmore półgłosem. - Ale też nie hamuj za bardzo, bo postanowi wziąć sprawy w swoje ręce, tyle że konie nie mają rąk.

Westchnął ciężko i znowu pociągnął z piersiówki.

- Wżeniłem się w rodzinę wariatów, a teraz krew Denninga jeszcze wzmocni tę pożałowania godną cechę. Za nic nie zdecyduję się na następne dziecko a te, które mam, niech zapomną o kucykach. Będą jeździć na świnkach, zobaczycie.

- Joseph. - W głosie Deene'a brzmiało hamowane rozbawienie. -Możesz już jechać. Znajdź Laure i postaraj się dojść do siebie.

- Louisa czeka na pagórku, pewnie już się zastanawia nad dyskretnym sposobem przewiezienia mnie do Bedlam<sup>1</sup>, kiedy wyścig rozkręci się na dobre.

Przejechał na prawą stronę, a Eve u boku męża podjechała na linię startową.

---

<sup>1</sup> Londyński szpital dla psychicznie chorych.

Siwek Dolana tańczył pod jeźdźcem. Wyglądał cudownie, ale sprawiał wrażenie, jakby był na granicy szaleństwa i nienawidził tego durnia, który trzyma go za wodze.

- Evie? - Deene przytrzymał Bestię, który był zachwycony, że może wreszcie przysnąć, nawet w tym zamęcie i napięciu towarzyszącemu wyścigowi.

- Czekają na nas, Deene.

- Niech poczekają. Zawróć i najedź na Williamie w stronę tłumu, niech sobie obejrzy te wszystkie flagi i proporczyki. Będzie na to przygotowany, kiedy zaczniecie finisz.

Kolejny drobiazg. Eve stale sobie powtarzała, że nie może o tym zapomnieć w ostatniej chwili, a teraz mało brakowało...

- Posłuchaj jeszcze, najdroższa, ukochana żono, tylko przy tym poklep konia, bo Dolan na nas patrzy.

Eve poklepała Williama, aż poszło echo, tak jakby zrobił to dżokej mężczyzna.

- Wygrasz ten bieg nie dlatego, że postawiliśmy na niego pieniądze. Zapewniam cię, że stać nas na przegraną, i nie zależy nam na wygranej pieniężnej. To jest szczerą prawdą. I wygrasz go nie dlatego, że musimy zatrzymać Williama, zdążył już pokryć wszystkie klacze, jakie mogłem mu podstawić, a wiele z nich tak czy owak musiałyby rodzić w przyszłym roku. To też jest szczerą prawdą.

Jeszcze nie skończył. Eve zebrała wodze, bo Goblin zaczynał się na serio niecierpliwić i stewardzi gestem wzywali ją na start.

- Jeszcze nie skończyłem, najdroższa.

Wyciągnął rękę i poklepał ją po ramieniu. Na ten dotyk Eve opuściło napięcie.

- Wygrasz ten bieg, bo ten koń cię słucha. Ja w ciebie bezgranicznie wierzę. A jeśli nie wygrasz, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Będę cię kochał do śmierci i dłużej, bo kiedy poprosiłem, żebyś mi zaufała, zrobiłaś to bez wahania.

Jeszcze raz poklepał ją po ramieniu, a potem zebrał wodze i dał znak stewardowi, że koń i jeździec w barwach Denningów są gotowi do startu.

Eve dotknęła boków Williama i podjechała na start.

To był niebezpieczny, trudny moment. Zebrała wodze i nisko pochyliła się nad lśniącą szyją konia. Lucas Denning właśnie jej powiedział, że ją kocha, ufa jej i będzie ją kochał do końca życia.

Był pewny, że wygrają. Wierzył w jej zwycięstwo. Więc i ona postanowiła w nie uwierzyć.

- Dolan jedzie w naszą stronę na efektownym bułanku. - Kesmore podał piersiówkę lady Louisie, która pociągnęła łyceczek i podała ją Deene'owi.

- Nie, dziękuję. - Deene nawet na moment nie odrywał oczu od koni, które ruszyły sprintem ze startu. To był krytyczny moment każdego wyścigu. Mógł być nawet niebezpieczny. Ale Eve zajęła pozycję przy lewej łopatce Goblina, żeby nie dosięgło jej kopnięcie ani przypadkowe - albo i nie - uderzenie palcatem, który dżokej Dolana trzymał w prawej ręce.

Kesmore schował manierkę i odezwał się przyciszonym głosem:

- Może nie warto wspominać o oczywistych rzeczach, Deene, ale nie ma w cywilizowanym świecie takich przepisów, które pozwoliłyby na przejazd dżokejowi kobiecie bez dyskwalifikacji.

- To zrozumiałe.

Koń lady Louisy przestąpił z nogi na nogę, jakby siostra Eve o tym nie wiedziała.

- Więc czemu, do ciężkiej cholery - kontynuował Kesmore chrapliwym szeptem - naraziłeś swoją żonę na kontuzję albo i gorzej, nie wspominając już o skandalu, jeśli jej wygrana nie da ci żadnych korzyści?

- Właśnie - powtórzyła jak echo Louisa. - Dlaczego, do ciężkiej cholery?

Konie przeszły nad pierwszą przeszkodą niemal jednocześnie, idąc szalonym tempem.

- Na tym torze, na tym koniu, moja żona jest równie bezpieczna jak lady Louisa na swojej ślicznej, spokojnej klaczy. A co do reszty, doskonale sobie zdaję sprawę, co leży na szali. Naturalnie, będą z tego plotki, ale małżeństwa Windhamów tradycyjnie są źródłem plotek.

Zamilkł, żeby nie ujawnić paru innych rzeczy, o których dobrze wiedział.

Na przykład, doskonale znając konia i dżokeja, spostrzegł, że Eve subtelnie powściągnęła Williama przed przeszkodą, postawioną w cieniu. Koń nie zwolnił, ale skupił się bardziej na skoku. Pokonali przeszkodę o pół kroku za Goblinem, który skrócił, bo odbił się z niewłaściwego miejsca. Oni wylądowali w idealnym rytmie.

- Poza wszystkim innym - powiedział cicho Kesmore - masz fantastycznego dżokeja.

To prawda, dżokej był fantastyczny podobnie jak koń. Widząc zbliżającego się Dolana, Deene nie zdradził nic więcej na temat tego jeźdźca, włącznie z faktem, że przez wszystkie tygodnie ich małżeństwa Eve ani razu nie była niedysponowana.

Już po pierwszych trzech foule galopu Eve poczuła, że nie siedzi na humorzastym dwulatku. William wiedział, o co chodzi, lubił swoją pracę i zamierzał poradzić sobie z Goblinem, niespecjalnie oglądając się na jej pomoc.

Kusiło ją, żeby już na pierwszej przeszkodzie ukrócić jego arogancję, i przy tym bezpiecznym, łatwym skoku uzyskać większe posłuszeństwo ze strony rozpędzonej masy mięśni, które miała pod sobą - ale William tak idealnie wymierzył odległość, wybił się perfekcyjnie i wylądował tak lekko, że mogła tylko mruknąć mu słowa zachęty.

Zamiast się spierać, pochwaliła konia, więc kiedy nadszedł czas, by zwrócić jego uwagę na przeszkodę w cieniu, William usłuchał pomocy i przefrunął nad nią w tym samym, idealnym rytmie.

Dżokejowi Goblina nie powiodło się tak dobrze, bo wielkiemu siwkowi bardziej zależało na utrzymaniu prowadzenia niż na współpracy z jeźdźcem. Znowu źle się wybili i skrócili skok. Eve trzymała Williama o kilka stóp za łopatką Goblina. Wtuliła się w grzbiet konia. Za chwilę będzie żywopłot, czyli hydra, a jej gałęzie potrafią ściągnąć nieopatrzego jeźdźca z siodła jak macki, łapiąc za buty, puśliska lub nogi.

- Lady Kesmore, Kesmore - powitał ich Dolan z grzbietu swego złocistego wałacha. - Deene. Twój koń świetnie się sprawuje.

Deene tylko skinął głową, obawiając się odzywać do człowieka, który upadł tak nisko, że truł konie albo dżokejów. W tym przypadku i konia, i dżokeja.

Tłum ryknął, gdy konie łeb w łeb najechały na wodę... tę cholerną wodną przeszkodę, z pieprzonym błotem, które tak przerażało Evie.

- Chryste Panie. - Przekleństwo Dolana zawtórowało modlitwom Deene'a. Nie wiadomo, czy z inicjatywy Williama, czy Eve, koń prze-frunął nad wodą na drugi brzeg jednym potężnym skokiem, wylądował czysto na trawie, ale stracił kilka metrów do Goblina, tracąc czas na tak długi lot.

- Ten twój koń doskonale skacze - stwierdził Dolan, marszcząc czoło.  
- Tylko jeździec jest niezbyt mądry.

- Dobry koń. - Eve nie zaryzykowała klepnięcia po szyi konia, ale William i tak nastawił uszy, jakby słuchał jej głosu. Ich decyzja o skoku okazała się całkiem uzasadniona, bo Goblin wylądował przed drugim brzegiem i musiał szukać oparcia w błocie. Utrata rozpędu kosztowała siwka prowadzenie i William wysunął się na czoło. Mógłby jeszcze zwiększyć dystans, ale Eve nie zgodziła się na to. Mieli przed sobą jeszcze wiele przeszkód i musieli oszczędzać siły na ostatnią prostą. A między kolejnymi skokami wiele mogło się zdarzyć.

- Nienawidzę tej przeszkody.

Deene nie zdawał sobie sprawy, że odezwał się na głos, dopóki Dolan nie skinął głową.

- Siedzi na tym pagórku jak wysepka na bagnie, kusi, żeby się rozpędzić i wylądować daleko za nią, a kiedy konie idą tak blisko, wszystko może się zdarzyć.

Gdy Eve i William galopowali ku czternastej przeszkodzie, Deene czuł niesmak, że pośród tysięcy ludzi, zgromadzonych przy torze, jego i Dolana połączyła szczególna więź, obejmująca tylko ich dwóch. Może ojciec Georgie chciał właśnie tego, chciał poczuć się jak w rodzinie -ale Deene był wściekły, że przez niego Eve musi teraz pokonywać przeszkodę za przeszkodą.

- Na litość boską! - Kesmore zaklął szpetnie, gdy koń Eve pokonał wielkiego oksera i potknął się przy lądowaniu.

Deene już spinał Bestię do galopu, kiedy ręka Dolana chwyciła go za wodze. Deene trzepnął po niej palcatem i zamierzał rozprawić się podobnie z Kesmore'em, który trzymał go z drugiej strony, ale powstrzymały go słowa lady Louisy.

- W niczym im nie pomożesz, Deene. Nie teraz.

Przeszkoda, której Deene tak się obawiał, zbliżała się coraz szybciej. Ponieważ Goblin prawie zrównał się z zadem Williama, Eve lekko zebrała wodze. Uważaj, skup się, bądź ostrożny.

William pokonał przeszkodę w idealnym stylu, z nadgarstkami pod brodą i grzbietem wygiętym w pięknym baskilu. Wszystko szło dobrze - do momentu lądowania.

Z jasnością, jaką ma się na polu bitwy, Eve uświadomiła sobie, gdy łopatka konia zaczęła się spod niej wysuwać, że okser nie stał równo i że woda deszczowa spłynęła w stronę tylnego słupka - tego, przy którym William wylądował. Koń pośliznął się na miękkim podłożu i świat Evy niemal się skończył.

Znowu odżył koszmar, który przeżyła siedem lat temu, na koniu, który w pewnym momencie potknął się w galopie, niemal doprowadzając do katastrofy. Gdy William wychylił się do przodu, walcząc o odzyskanie równowagi, instynkt nakazał Evie szarpnąć za wodze, podciągnąć konia na nogi, walczyć z grawitacją swoimi mizernymi siłami. Pokonała ten instynkt, pokonała wszelkie prymitywne odruchy samozachowawcze, polegając na wiedzy i doświadczeniu, które zdobyła z takim trudem. Gdy William szarpnął się, by ustać na nogach, ramiona Evy wystrzeliły do przodu, dając mu tyle luźnych wodzy, ile tylko mogła, nie wypuszczając rzemieni z rąk.

Skorzystał z tej pomocy, poderwał potężną głowę i szyję, jednym niesamowitym susem zebrał się i ruszył przed siebie. Impet szarpnięcia i kolejnych foule o mało nie wysadził Eve z siodła, ale z każdym kolejnym jardem odzyskiwała harmonię z koniem i po chwili razem pędzili za siwką, który wyprzedził ich o dobrych kilkanaście jardów.

- Ale zawzięte łobuzy - mruknął Dolan - Za pozwoleniem milady. Deene nie odezwał się słowem. Nie miał pojęcia, jakim cudem

Eve uniknęła upadku. Dzięki szczęściu, zawziętości, talentowi...

i nieustannym modlitwom swego męża. Jeszcze jedna przeszkoda, i wszystko sprowadzi się do próby wytrzymałości, podczas którego szala zwycięstwa może przechylić się na stronę większego konia i bardziej doświadczonego dżokeja Dolana.

- Dasz radę - szeptała Eva. - Damy radę. Dogoń go, William. Dogoń go i pokaż mu, kto rządzi na tym cholernym torze.

Nie musiała krzyżeć. William strzygł uszami, co oznaczało, że jej słucha. Z kolei Eve słyszała w myślach głos swojego ojca, udzielający rady, której do tej pory nie rozumiała.

- Koń z wyczuciem rytmu zawsze, w każdym konkursie pokona konia bez takiego wyczucia, nawet większego i silniejszego. Rytm to wydajność, koń nie traci energii na walkę ze swoim ciałem, z jeźdźcem i postawionym mu zadaniem. Pozwól, by koń wszedł w swój własny rytm i dostosuj pomoce do jego kadencji. Zupełnie jak w tańcu, córeczko. Jak w tańcu.

Przebrnęli bezbłędnie nad ostatnią przeszkodą. William idealnie wymierzył odległość i przeskoczył ją z wdziękiem.

- Doskonale, Wasza Wysokość. Jeszcze jedna i jedziemy do domu. Coraz bardziej zbliżali się do siwka Dolana, z każdym kolejnym foule. Eve walczyła z chęcią, by przyhamować coraz szybszy pęd Williama. Mógł się przecież pomylić, mógł źle ocenić odległość. Mimo to przytuliła się do jego szyi i oddała mu wodze o włos.

- Dawaj, William. Lećmy do domu.

Wybił się z niewiarygodnej odległości, skoczył płasko i tak skutecznie, że znalazł się tuż za zadem Goblina. Siwek oddychał ciężko, z trudem, a gdy wyszli na ostatnią prostą do mety, a William wyciągnął się jeszcze bardziej w płaskim galopie, Goblin podrzucił głową. Jego jeździec zaklął, przekrzykując tętent kopyt i ryk tłumy, a Eve na sekundę ogarnęło współczucie.

Gdyby Deene nie uparł się, by pokazała Williamowi ten tłum i flagi na ostatniej prostej, może to jej koń protestowałby teraz przed finiszem, który dla niego wyglądał jak najgorszy koński koszmar.

Ale William się nie bał. Deene pamiętał o tym ostatnim szczególe i dzięki temu Eve mogła teraz jeszcze odrobinę oddać wodze.

- To twój bieg, William. Jak mi Bóg miły, to twój bieg.

- Deene, należą ci się gratulacje. - Dolan wyciągnął do niego dłoń, na którą Deene tylko wściekle popatrzył.

- Poczekajmy na decyzję stewardów. - Deene dał łydkę Bestii, chcąc jak najprędzej dostać się do Evie i Williama, wziąć żonę w ramiona, zabrać ją w jakieś bezpieczne, ustronne miejsce i nie puścić już nigdy w życiu na żadnego konia.

- Deene. - Kesmore podjechał do niego klusem na swoim karoszu. - Będzie z nią Greymoor, nie musisz się spieszyć.

- Zamknij się, Joseph. Jeśli Greymoor zorientuje się, że mój dżokej jest kobietą, zrobi potworną awanturę i nie chcę, żeby Evie musiała mu stawić czoło zupełnie sama.

Stewardzi zatrzymywali konie na finiszu do chwili, gdy upewnili się, że są to te same, które wystartowały. Ta zwłoka na mecie mogła przyczynić się do ujawnienia płci Eve. Greymoor był dżentelmenem, ale nienawidził łamania przepisów na zawodach.

Kesmore dotrzymał kroku Deene'owi, nawet kiedy ruszyli galopem.

- Biorąc pod uwagę, czego dopuścił się Dolan, nie musisz się chyba za bardzo martwić o swojego dżokeja.

- Dwa skandale w cenie jednego. Liczę na to.

- Liczysz na dyskwalifikację obu koni?

- Aelfreth przysięgnie, że go otruto. W dalszym ciągu ledwie stoi na nogach. Sam widziałeś, w jakim stanie Bestia był dziś rano.

Eve w pólśiadzie galopowała na Williamie wielkim kołem, a Greymoor jechał ich śladem na swoim karym wierzchowcu. Kiedy skróciła galop, a potem przeszła do klusa, podjechał bliżej i znalazł się przy Williamie dosłownie na moment przed Deene'em.

- Dobry przejazd - oświadczył Greymoor. - Deene, zdaje się, że należą ci się gratulacje, chociaż z oficjalną decyzją musimy poczekać, aż rozmówię się z pomocnikami.

- Greymoor.

Od stajni nadbiegł Bannister z zaaferowaną miną, zarzucił derkę na spocony zad Williama. Drugi stajenny ujął wodze.

- Zeskakuj, chłopcze. Dobra robota. - Bannister spojrzał znacząco na Eve, która na szczęście pamiętała, by nie zdjąć czapki ani gogli.



- Tak jest. Już schodzę.

Pod warstwą błota i brudu na policzkach była blada jak duch. Deene poczuł, jak serce mu się ściska, gdy zachwiała się w siodle. William, wciąż pełen energii po zwycięstwie, zaczął tańczyć i o mało nie spadła.

Deene w jednej chwili zeskoczył z konia i ściągnął ją na siebie, uprzedzając Greymoora.

- Mężu - powiedziała głuchym, gasnącym szeptem. Ciemne brwi Greymoora skoczyły do góry, a Kesmore zaklął pod nosem. Sędzia delikatnym ruchem zdjął jej gogle.

- Lordzie Deene - powiedział bardzo spokojnym głosem. - Poproszę na słówko. Pana Dolana również.

- Dobrze, ale za chwilę - odparł Deene. - Kesmore, gdzie twoja żona?

- Tu jestem - odezwała się Louisa, którą mąż właśnie zszedł z konia. Eve otworzyła oczy.

- Lucas, wygraliśmy?

Taka nadzieja lśniła w tych oczach, taka ufność.

- Ty wygrałaś, Eve. - Deene nigdy nie był bardziej wdzięczny losowi za umiejętność posługiwania się niuansami angielszczyzny. - Ty przejechałaś pierwsza przez metę, ty pojechałaś fantastyczny wyścig, ty nadałaś szalone tempo i ty wygrałaś.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

- My wygraliśmy.

- Deene. - Louisa posłała mu gniewne spojrzenie. Greymoor spoglądał niezbyt przyjaźnie, a Dolan był wyraźnie rozbawiony.

- Zmykaj stąd - powiedział, przekazując Eve w ramiona Kesmo-re'a. - Jestem z siebie nieprawdopodobnie dumny, żono, i kompletnie oszołomiony. Byłaś świetna.

Greymoor przynajmniej poczekał, aż Kesmore oddali się poza zasięg ich głosów.

- Była świetna, ale muszę poinformować, że w przypadku pary koń-jeździec, w której jeździec nie jest płci męskiej...

Dolan odezwał się z tak wyraźnym akcentem, jakiego Deene nigdy przedtem u niego nie słyszał:

- Jeśli wasza wielka, namaszczone, Lordowska Mość mógłby się na chwilutkę wstrzymać, to my byśmy z moim szwagrem zamienili se tu parę słówek, jak przystało na dżentelmenów.

- Dziwne życzenie, Dolan - odparł Deene - zważywszy, że wczoraj próbowałeś otruć mojego konia i skutecznie otrułeś mojego dżokeja.

- Wystarczy - zasyczał Greymoor. - Zobaczymy się za chwilę w stajni, kiedy porozmawiam ze stewardami. Macie się przez ten czas przyzwoicie zachowywać. - Odsunął się od nich, wskoczył na konia i odjechał galopem. Deene miał ochotę walnąć pięścią prosto w przystojną twarz Dolana.

- Mogłeś zabić moją żonę, gdyby ci się udało otruć tego konia. Mam nadzieję, że udławisz się na śmierć tą wiadomością, Dolan.

- Nie otrułem twojego cholernego konia, Deene, a jeśli chcesz zobaczyć jeszcze jeden świt, to przestań opowiadać takie głupoty.

Na taką bezczelność Deene niemal oślepl z wściekłości.

- Wczoraj w nocy Eve usłyszała, jak twoje zbiry planują ten numer, Dolan. Podmieniliśmy Bestię i Williama w boksach, inaczej udałoby ci się ustawić wyścig. Zdajesz sobie sprawę, jaki byłby twój los, gdyby to wyszło na jaw?

- Posłuchaj mnie, Deene. - Dolan podszedł kołyszącym krokiem i wziął się pod boki. - Nie ustawiłem tego zasranego wyścigu. Od chwili, kiedy wstałem z łóżka dziś rano, miałem zamiar przegrać. Dlaczego miałbym truć ci konia, jeśli chciałem przegrać?

- Chciałeś przegrać?

- Na litość boską, chciałem, żeby moja córka wychowywała się w domu cholernego, przeklętego, ziemskiego lorda. Chcę jej dobra, chcę, żeby jej ciocia markiza wprowadziła ją w świat za parę lat, chcę... - Dolan opuścił ręce. Podrapał się po brodzie, przecesał włosy. - Chcę tego, co będzie najlepsze dla mojej córki. - Więc dlaczego...

Deene odsunął się o krok i zmierzył wzrokiem stojącego przed nim mężczyznę. Mężczyznę, który niweczył wszelkie jego wysiłki, by być prawdziwym wujem dla Georgie.

- Milordzie?

Kobięcy głos. Deene odwrócił się i ujrzał znaną mu skądś, szczupłą blondynkę o poważnym spojrzeniu szarych oczu.

- Amy, to nie twoja sprawa. - Głos Dolana był szorstki, brzmiało w nim ostrzeżenie, ale i coś jeszcze, jakby prośba.

- Cicho bądź, sir. Kocham Georginę tak samo jak ty, więc to i moja sprawa.

Przez ciekawski tłum gapiów, skupionych wokół Dolana i Deene'a, przepchnął się nie kto inny, tylko earl Westhaven we własnej osobie.

- Proponuję, żebyśmy weszli porozmawiać do stajni, tam będziemy mieli większą prywatność.

Za nim pojawili się inni: lord Valentine Windham, baron Sindal, earl Hazelton, a w ariergardzie kroczył sam książę Moreland. Dolan westchnął i uśmiechnął się półgębkiem.

- Twoja żona ma honorową eskortę, Deene. Chyba rzeczywiście powinniśmy pójść do tej stajni. Chodź z nami, Amy.

Jonathan Dolan niespecjalnie pokładał wiarę w modlitwy, ale idąc po gęstej, wiosennej trawie tego pięknego dnia, modlił się, żeby udało mu się ryzykowne zagranie, które zamierzał właśnie przeprowadzić.

Wszystko dla Georginy. On może ponieść stratę, może odpokutuje tym choć część winy za śmierć Marie.

- Dolan, nie mamy dużo czasu - powiedział cicho Deene. Jego rodzina kręciła się w pobliżu, dając do zrozumienia, że nie zostawią go bez poparcia podczas rozmowy z Greymoorem.

- Naprawdę chciałem przegrać, Deene. To bardzo proste. Wtedy Georgina przeszłaby pod twoją opiekę. Mnie obwołano by aroganckim irlandzkim durniem, ty byś mi pozwolił odwiedzać małą, kiedy zechcę. Amy miałyby ją na oku, ty byś ją rozpieszczał do woli, a kiedy nadszedłby czas, mogłaby przebierać we wszystkich paniczykach.

Deene zmarszczył brwi.

- Czy to ma coś wspólnego z obietnicą, którą, jak się domyślam, złożyłeś mojej siostrze?

Dolan westchnął, niechętnie przyznając się do podziwu.

- Jasne, że tak. Miałem cię mieć na oku, pomóc ci w rozrachunkach z tym debilem, waszym ojcem i tak dalej.

- Więc czemu, do cholery... - Deene przerwał i zniżył głos, bo jeden z Morelandów zaczął się im przyglądać. - Czemu, do cholery tak mnie dręczyłeś, kiedy chciałem spotykać się z Georgie?

- Bo jesteś arystokratą - odparł Dolan. - Zawsze bez wysiłku dostawałeś wszystko, co ci się zamarzyło. Cenisz sobie tylko to, czego nie możesz dostać, więc zakazałem ci dostępu do siostrzenicy i od razu zaczęłaś ją sobie cenić.

- Jesteś idiotą, Dolan. Kompletnym, patentowanym, nieprawdopodobnym... - Deene znowu umilkł.

- Może i jestem idiotą, ale zanim zacząłem ci ograniczać spotkania z Georgią, ganiałeś po całym świecie jak wariat. Raz do Kairu, potem do Baltimore. Twoja siostra wyraźnie mi powiedziała, że tak nie może być.

Deene popatrzył na niego z namysłem.

- Ja też cię miałem pilnować, ale szybko z tego zrezygnowałem. Jeśli jedynym sposobem wywiązania się z danej jej obietnicy mogła być opieka nad Georgie, postanowiłem się na niej skupić.

Ależ ten młody człowiek musiał się teraz pienieć, że siostra napuściła ich obu na siebie. Po paru latach małżeństwa spojrz na to inaczej, o ile Dolan dobrze ocenił tę jego markizę.

- Wszystko dobrze się ułożyło - powiedział tylko. - Wygrałeś wyścig, zgarniasz nagrodę.

- Nie wygrałem - odpowiedział Deene cicho, ale z przekonaniem. - Mojego dżokeja zdyskwalifikują. Jeśli nie ty otrułeś mojego konia, to kto to zrobił?

Dolan wziął za rękę pannę Amy Ingraham i kątem oka pochwycił, że najstarszy syn Morelanda zauważył ten gest. Westhaven potrafił być arogancki, jak przystało na następcę księcia, ale nie odezwał się ani słowem.

- Amy ma ci coś do powiedzenia. Mnie powiedziała to, dopiero kiedy udało nam się osiodłać tego cholernego Goblina i wypchnąć go na linię startu. Powtórz mu to, panno Ingraham, ale szybko, bo Grey-moor zaraz nas do siebie zawoła, nie będzie się cackał.

- Wiem, kto otruł twojego konia, milordzie. Z początku myślałam, że to ty sam, bo ten człowiek był do ciebie bardzo podobny. Potem spostrzegłam, że jest starszy, nieco węższy w ramionach i tak dalej.

- Jak się nazywa?

Dolan w myśli zapisał na korzyść Deene'a fakt, że nawet nie podniósł głosu.

Amy u boku Dolana wydawała się krucha i drobna. Zwolniła kroku, bo dochodzili już do stajni Denninga.

- Znam herbarz DeBretta, lordzie Deene. Człowiek, którego podsłuchałam, gdy gratulował swoim opryszkom otrucia twojego konia, to lord Andermere. O ile wiem, jest twoim kuzynem.

- Amy, czy możesz zostawić nas samych na chwilę? - Dolan próbował mówić pojednawczo, ale bez specjalnego powodzenia.

- Jonathan, obiecałeś.

- Wiem, kochanie i dotrzymam obietnicy. Dotrzymam wszystkich obietnic.

Wyglądała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale tylko stanęła na palcach i pocałowała Dolana w policzek, na oczach całego klanu Morelandów, Deene'a, Kesmore'a, który karmił wzrokiem gapiących się na to stajennych i earla Greymoora, który stał w pobliżu, smagając się palcatem po cholewach oficerek.

Ten jeden, krótki pocałunek w policzek sprawił, że Dolan zdecydował się powiedzieć bratu Marie otwarcie to wszystko, czego można się było od dawna domyślić.

Ze Dolan podziwiał swoją śliczną, dobrze urodzoną małżonkę i z radością zapłaciłby i pięć razy tyle, żeby móc ją poślubić.

Ze zakochał się w niej po uszy, chociaż wcale nie chciał.

Ze odczekał rok po ślubie, aż sama zapragnęła zbliżenia, i że kiedy się okazało, że urodzenie kolejnego dziecka może się dla niej źle skończyć, nie potrafił odmówić jej życzeniu, żeby mimo wszystko zaryzykować. Niczego nie umiał jej odmówić, a ona tak bardzo chciała dziecka.

I że żałował swojej decyzji każdego dnia, przez wszystkie lata wdowieństwa.

- Cierpliwości, milordzie. Oni naprawdę muszą porozmawiać, kilka minut nie stanowi przecież różnicy.

Eve nie zamierzała go błagać - na litość boską, Greymoor sędziował w zwykłym, towarzyskim wyścigu, nic poza tym. Nie był żadnym lordem admirałem, a jego rodzinna historia też nie była wolna od skandali. Nie trzeba się było obawiać, że zaszkodzi im z czystej złośliwości.

Wyglądało na to, że układa w myślach jakąś uprzejmą odpowiedź, ale przeszkodził mu znajomy głos.

- Eve Windham... Denning.

Jej Książęca Mość zbliżała się ku nim z szybkością niezbyt przystającą do publicznego książęcego wizerunku. Greymoor skłonił się lekko i odwrócił się do jednego ze swych pomocników.

- Mama.

Księżna wyglądała na opanowaną, ale Eve kątem oka pochwyciła spojrzenie Louisy. Siostra rozglądała się niespokojnie. Pewnie za księciem. To zaś oznaczało, że księżna wcale nie była aż tak spokojna, jak się wydawało.

- Ty.. .Ty... - Jej Wysokość spojrzała na Eve, przygotowującą się w duchu na kazanie, przy którym zbladłyby wszystkie męskie pokrzykiwania. Ale oczy jej matki wypełniły się łzami. - Jestem z ciebie taka dumna.

To była ostatnia rzecz, którą Eve spodziewała się od niej usłyszeć, szczególnie w miejscu publicznym.

- Dumna ze mnie?

- Och, pojechałaś jak prawdziwa Windhamówna. Żałuję, że Bartholomew nie ma wśród nas, podziwiałby swoją maleńką siostrzyczkę, jak fruwa nad przeszkodami. Żałuję, że St. Just nie przyjechał, on by wiedział, co ci powiedzieć. Żałuję, och... żałuję, że...

Wyciągnęła ramiona i zamknęła córkę w dzikim, mocnym uścisku.

- Pokazałaś im wszystkim, Eve. Pokazałaś nam wszystkim. Deene będzie na ciebie wściekły za ten numer, ale z czasem mu przejdzie. Zakochany mężczyzna potrafi wiele wybaczyć. Spytaj swojego ojca.

Księżna szeptała to wszystko między kolejnymi, coraz mocniejszymi uściskami, śmiejąc się przez łzy.

- Mamo, to Deene namówił mnie, żebym wystartowała. Ja nie miałabym...

Odwagi, wiary w siebie. Determinacji... tych wszystkich cech, które pomogły jej przetrwać siedem długich lat, choć była na nie ślepa.

- Nie dałabym rady przejechać tego toru bez błogosławieństwa i wsparcia mojego męża, mamo.

- Ale go przejechałaś - odparła księżna, zamykając ją w kolejnym uścisku. - Mało nie zemdląłam przy tym potknięciu. Twój ojciec opowiadał mi, co się dzieje, bo nie mogłam patrzeć... Dopiero na finiszu.. . Wyciągnęliście się jak struna, z tym twoim koniem. Przeskoczyłyby dla ciebie kanał La Manche, co do tego nie ma dwóch zdań... Och, Eve... Mimo wszystko przyrzeknij, że więcej się na to nie poważysz. Nie zniosłabym tego drugi raz. Twój ojciec mało nie dostał zawału.

- Skądże znowu. Bardzo cię proszę, księżno, nie podnoś głosu, gdy szkalujesz w taki sposób moje niespożyte zdrowie.

Księżę potrafił ryczeć na cały głos, aż echo szło po domu, żeby każdy sługa na wszystkich trzech piętrach wiedział o jego niezadowoleniu, ale tym razem, zbliżając się do żony i córki, przyciszył swój tubalny, ksiązęcy baryton.

Odezwał się swym zwykłym tonem przykładnego małżonka, ale oprócz zwykłego szacunku brzmiała w nim nutka urazy.

- Papo.

Eve wysunęła się z objęć matki i spojrzała w błękitne oczy ojca. Mamę można było przebłagać, ale przeprawy z ojcem zawsze bywały poważne.

- Evie. - Przeniósł wzrok z córki na matkę. - Zdenerwowałaś mamusię, panienko. Zaliczyłaś paskudne potknięcie za tym okserem.

A więc natrze jej uszu? Pewnie nie da się tego uniknąć, bo przecież ksiązę...

Ojciec chwycił ją w ramiona.

- Ale co znaczy jedno potknięcie, kiedy dalej siedzisz na koniu, co? Szczególnie podobało mi się, jak przeskoczyłaś wodę. Popis dobrego stylu i serca do walki. A ten ostatni płot... to był fantastyczny bieg, córko. Pękam z dumy.

Podał ramię księżnej, która przyłączyła się do ich uścisku.

- Och, Percivalu... - szepnęła.

Dopiero wtedy, po siedmiu latach, dumni rodzice Evy zobaczyli łzy na jej twarzy. Dobrze im to zrobiło, podobnie jak i jej rodzeństwu. Naprawdę bardzo dobrze.

- Zdaje mi się, że wszystko jest w porządku - powiedział Greymoor, spoglądając z niepokojem w stronę Eve i jej rodziców na drugim końcu stajni. - Niechętnie prosiłbym księżęcą parę, by się usunęła na bok i pozwoliła mi podjąć decyzję, który ze skandali związanych ze zwykłym, towarzyskim wyścigiem, jaki nieopatrznie zgodziłem się sędziować, powinienem podać do wiadomości publicznej. Może byłbyś uprzejmy sam się tym zająć.

Deene nie dbał o irytację Greymoora, ale nie miał ochoty patrzeć, jak rodzice Ewy napominają ją za to, że w tak widowiskowy sposób rozprawiła się z długimi latami zwątpienia w swoje siły i zdolności.

- Evie? - spytał swobodnym tonem i mimochodem przysunął się do żony. - Przyjmujesz kolejne gratulacje?

Objął ją ramieniem i rzucił księciu wyzywające spojrzenie. Ku jego zdumieniu księżę promieniał z radości, wpatrzony w swoją najmłodszą córkę.

- Tak jest, Deene. Zamierzamy uroczyście świętować jej zwycięstwo w naszym prywatnym pawilonie, kiedy tylko dogadacie się z Greymoorem,

Księżę podał ramię swojej żonie, ale Deene spostrzegł, że nie odeszli zbyt daleko.

- Greymoor za chwilę eksploduje, żono. Chodź do niego, trzeba przełknąć gorzką pigułkę.

Wzięła go pod rękę.

- William dobrze się czuje?

- Musi ostygnąć po biegu, ale poza tym wszystko w porządku. Nogi zdrowe, wie, że wygrał i jest z siebie całkiem zadowolony.

- Papa i mama są ze mnie dumni, mężu.

Wyszeptała to tonem pełnym zachwytu. Zatrzymał się i objął ją mocno.

- To chyba oczywiste. Ja też jestem z ciebie dumny. I William. Masz sobie to powtarzać, niezależnie od tego, jaki wynik wyścigu ogłosi nasz Greymoor.

- Wiem, co będzie. Louisa powiedziała, że mnie zdyskwalifikuje. Odsunął się odrobinę, tyle tylko, by móc zająrzeć jej w oczy.

- To się nie liczy. Wiesz, że to się nie liczy, prawda?



Skinęła głową z tak pięknym, radosnym uśmiechem, że serce mocniej zabiło mu w piersi.

- Deene. - Greymoor wezwał ich gestem do siebie. Dolan już stał obok niego. - Zamierzam ogłosić wynik tego meczu, a potem, niczym nie ujmując obecnej tu damie, pojedę do domu, upiję się w sztok i przysięgam, że zarzucę sędziowanie na prywatnych wyścigach co najmniej na dziesięć lat.

Odpowiedziała mu Eve.

- Nie ma problemu, milordzie. Rozumiem, że nie może pan zatwierdzić mojego zwycięstwa.

Greymoor przyjął to z ulgą, ale Dolan nie pozwolił mu odpowiedzieć.

- Moim zdaniem to nie jest konieczne.

Deene docenił jego gest, ale przepisy były przecież przepisami.

- Dolan, nie ma na świecie takiego Jockey Clubu, który zatwierdziłby wygraną kobiety. Brałem to pod uwagę od samego początku. Nie zamierzałem ukrywać płci Eve.

Dolan zmierzył go spojrzeniem.

- Jestem człowiekiem honoru, Greymoor. To zwykle jedyny, szczery komplement, który przyznają mi, choć niechętnie, lepiej urodzeni ode mnie. Nie mogą tego podważyć. Podczas naszych negocjacji ani razu nie wspomnieliśmy, że będziemy stosować się do zasad obowiązujących w Jockey Clubie. Dystans nie był standardowy, przeszkody też nie, bieg nie odbył się na standardowym płaskim torze. Celem wyścigu było porównanie sportowych możliwości dwóch koni i ten cel został osiągnięty. Moim zdaniem wygrał go koń, który pierwszy przekroczył linię mety.

- Panie Dolan - Greymoor ściągnął brwi i smagnął się palcatem po cholewie. - O ile wiem, wyścig był związany z zakładem między panem a lordem Deene. Jeśli orzeknę zwycięstwo Deene a, co się stanie z zakładem?

Dolan zmrużył oczy z kamienną twarzą.

- Jestem gotów dotrzymać warunków umowy.

- Lucas? - Eve przechyliła głowę. - O co tu chodzi?

- O to - odpowiedział jej Dolan - że mam oddać moją córkę Georginę pod prawną kuratelę Deene'a oraz wypłacić mu sumę rzędu dzie-

siatków tysięcy funtów, a także przekazać w jego ręce siwego imieniem Goblin, opisanego jako ogier maści siwej o wzroście siedemnastu i jednej dziesiątej dłoni, niekutego, bez odmian... Deene przerwał mu w pół słowa.

- Nie zamierzam odebrać ci córki. To nigdy nie było moim celem i nie wezmę na siebie odpowiedzialności za coś takiego, żeby zaspokoić twoją cholerną dumę.

- Postawił pan swoją córkę? - spytała Eve.

- Postawiłem jej przyszłość. Uważam, że dla jej dobra powinna być wychowywana przez wuja i przez ciebie, lady Deene.

Rozmowa nie szła w kierunku, który odpowiadałby Deene'owi.

- Mogę ogłosić, że lady Eve przegrała - zaproponował Greymoor, na co Eve przeszła go morderczym spojrzeniem.

- Cicho, milordzie. To sprawa rodzinna. Pan Dolan potrzebuje czasu, by dostrzec sens argumentów mojego męża.

- Lady Deene - zaczął Dolan. - Przegrałem. Prawdę mówiąc, zamierzałem przegrać i dałem sobie dość czasu, żeby się z tym pogodzić. Jestem pewny, że Deene pozwoli mi odwiedzać córkę, kiedy zechcę. Takie były warunki zakładu.

Spojrzał na Deene'a prosząco. Deene tyle czasu czekał na tę chwilę, że kiedy nadeszła, nie umiał pozwolić, by Jonathan Dolan tak się poniżył.

- Lucas, to niemożliwe. Georgina kocha ojca. Z radością pomogę jej wejść w towarzystwo, zrobię wszystko co w mojej mocy, ale proszę cię, nie zgadzaj się na tę propozycję. Z czasem zrozumiesz...

W jej oczach pojawiły się łzy, więc Deene pocałował ją, żeby przerwać tę przemowę, a potem poczęstował earla gniewnym spojrzeniem.

- Greymoor, oddaję wyścig walkowerem. Oddaję wyścig, zakład, wszystko. Ogłoś Dolana zwycięzcą, bo moja żona się rozpłacze. Będę odwiedzał moją siostrzenicę, Eve będzie patronować jej wejściu w towarzystwo. Szczerze mówiąc, właśnie po to stanąłem do tego całego wyścigu.

- Doskonale - warknął Greymoor. - Wyścig został oddany walko...

- Żadnych walkowerów, na miłość boską! - wykrzyknął Dolan. - Ogłoś go pan zwycięzcą, do cholery. Zatrzymam opiekę nad córką,

ale pieniądze i koń będą... prezentem ślubnym. I na tym, psiakrew, koniec, z tym że koń przechodzi na własność milady.

Deene za nic nie chciał przyjmować kolejnej poważnej kwoty od członka swojej rodziny, a już na pewno nie życzył sobie, żeby żona zakochała się w kolejnym koniu, ale zanim zdążył się sprzeciwić, Eve wyciągnęła drobną rączkę.

- Umowa stoi, panie Dolan - oświadczyła. Podali sobie dłonie, a potem pocałowała tego drania w policzek z taką miną, jakby go chciała uściskać. Greymoor wykrzywił się w uśmiechu, a w uszach Deene'a zahuczały brawa.

Otaczała ich cała rodzina Eve. Ich Książęce Mości, jej siostry, ich mężowie, a wszyscy uśmiechali się szeroko jak debile. Zdaje się, że wynik wyścigu został przesądzony.

Westhaven pochylił się ku niemu.

- Mam nadzieję, Deene, że nie zepsujesz tak pięknej chwili, popełniając jakieś głupstwo. Podaj rękę temu człowiekowi, a potem, do ciężkiej cholery, odwieź moją siostrę do domu, zanim znowu zemdleje.

Znowu?

Deene potrząsnął dłonią Dolana, odczekał, aż Greymoor ogłosi zwycięstwo Króla Williama, a potem powiózł Eve do domu co koń wyskoczy. Wprawdzie nie zemdląła po drodze - znowu - ale zasnęła w jego ramionach tak mocno, że musiał ją przenieść przez próg a potem na górę, do ich sypialni.

Eve obudziła się późną nocą, u boku ciasno wtulonego w nią męża. Ciepło i senną świadomość jego bliskości w jednej chwili przytłumiło pragnienie intymnego kontaktu.

- Nie byłem pewny, czy się w ogóle obudzisz - usłyszała w ciemności jego rozbawiony głos, w którym brzmiała też nuta niepokoju.

Otoczyła go ramionami i nogami, jedną dłoń wsunęła pod muskularne pośladki, a drugą we włosy.

- Nie śpię.

Mieli za sobą długi dzień, bo jej rodzina świętowała zwycięstwo długo i hałaśliwie. W końcu Valentine zaczął śpiewać, Westhaven mu

zawtórował, potem przyłączyła się do nich Sophie ze swym słodkim głosem. Księżna niemal się rozplakała, widząc swoją gromadkę w tak radosnym nastroju.

Potem zaczęły się opowieści w stylu: „A pamiętacie, jak Evie pojechała na Meteorze przez płotki”, albo „Kiedyś uparła się, żeby sprawdzić, czy w Wigilię zwierzęta naprawdę mówią ludzkim głosem...”

Deene przeczekał to wszystko cierpliwie, od czasu do czasu wznosząc toast na cześć swojej markizy. Spokojnie trwał przy jej boku, patrząc, jak rodzina Windhamów świętuje powrót bliskiej osoby z siedmioletniego, dobrowolnego wygnania.

Kiedy w końcu wsadził ją do powozu, zasnęła na jego ramieniu, a potem w wannie. Musiał jej pomóc wyjść, a potem położyć się do łóżka.

Nie pofatygował się, by odziać ją w koszulę, ale chyba była z tego zadowolona, szczególnie teraz, gdy całował ją w obojczyk.

- Mogłaś połamać te kostki na tym cholernym okserze.

- Ale nie połamałam. Mój mąż we mnie wierzył. Poprawił się i oparł podbródek na czubku jej głowy.

- Nigdy w życiu nie miałem takiego cholernego stracha, Evie. Wierzę w ciebie i pojechałaś jak szatan, ale proszę, błagam, nie myśl o startowaniu w wyścigach jako dżokej. Za mało znam modlitw, za mało jest modlitw w całym chrześcijańskim świecie, żebym to wytrzymał.

- Nie myślę o tym.

Wydał z siebie głębokie, męzowskie westchnienie i dopiero wtedy Eve uświadomiła sobie, że martwił się tym na serio. Gdyby na przykład zaczęła planować treningi dla Goblina, żeby poprawić mu kondycję, pewnie jej małżonek bez wątpienia poznałby szybko nowe modlitwy.

- Lucas?

- Tak, ukochana?

- Czy możemy porozmawiać później?

- Dobrze, porozmawiamy później.

Wtedy zaczął się z nią kochać. Przez tych kilka miesięcy małżeństwa poznała go już na tyle, że wiedział, kiedy żartuje, kiedy się z nią droczy, a kiedy jest poważny. Tym razem był bardzo poważny.

Zwykle wsuwał się w nią ostrożnie, nawet tym sprawiając jej przyjemność, ale teraz ułożył się na niej, pocałował ją żarłocznie i wszedł jednym żarliwym, słodkim ruchem, który kazał jej ciału zacisnąć się wokół niego gwałtownym spazmem nieznanej rozkoszy. Leżąc pod nim, zdyszana Eve zrozumiała, że chce jej w ten sposób coś przekazać. Odczekał kilka minut i podjął swoją przemowę, tym razem powolnymi, kontrolowanymi, mocnymi ruchami, które kazały jej wbić paznokcie w jego plecy i jęczeć przy jego szyi.

Kiedy zaczął po raz trzeci, uświadomiła sobie, że to jakiś jego prywatny wyścig: rozkoszny, wytrwały bieg z przeszkodami, i że ona sama nie ma wyboru, musi się poddać i podziwiać. Kiedy w końcu pozwolił sobie na finisz, przytuliła go mocno i długo. W końcu zrozumiała, że to nie koniec i że została jeszcze jedna przeszkoda.

Przyszwał czas na rozmowę.

Przesunęła dłonią po eleganckiej linii jego pleców, aż do pięknie uformowanych pośladków. Westchnął i uniósł się odrobinę.

- Narzuciłem ci się - powiedział, przygryzając płatek jej ucha. - Musisz mnie skarcić, Eve.

- Jestem zbyt nasycona, żeby kogokolwiek karcić. Przynieść ręcznik?

- Ktoś musi.

Przetoczyłby się na bok, gdyby go nie przytrzymała na moment - dla odwagi. Poczekał, potem wstał i podszedł do umywalki. Patrzyła, jak obmywa się przy świetle polan, które tliły się na kominku. Potem przyjęła podany jej chłodny ręcznik, Kiedy się myła, czuła na sobie jego wzrok.

- Związek z tobą jest bardzo intymny, Lucas. Wziął od niej ręcznik i rzucił w stronę kominka.

- Narzekasz?

Cień napięcia w jego głosie zdradził jej, że pyta na poważnie.

- Cieszę się z tego. Poza tym jest mi trochę zimno, więc wskakuj pod kołdrę i postaraj się jeszcze chwilę nie zasnąć.

Spostrzegła, że kącik jego ust uniósł się odrobinę, zanim usłuchał jej rady i przytulił się do niej.

- Nie w ten sposób. - Przesunęła się tak, że znalazł się nad nią.

- Co zrobimy z Anthonym?

- Anthony jest na pokładzie statku płynącego do Baltimore, razem ze swoją kobietą i dziećmi. Jestem przekonany, że w walizkach ukrył małą fortunę w brzęczącej monecie i postanowiłem potraktować to jako wynagrodzenie za lata służby.

- Okradał cię, Lucas.

- Nie aż tak bardzo, jak myślisz. Zgarniał swoją część, ale na ile się orientuję, przede wszystkim chciał występować w roli doradcy, który ma władzę i dzierży sznurki od sakiewki. Nie chciał, żebym rozszyfrował jego knowania, ale przede wszystkim chciał przede mną ukryć, że jest tylko dobrze opłacanym gryzipiórkiem, a nie deską ratunkową dla konającego, gasnącego imperium finansowego.

- Kłamliwym i dobrze opłacanym gryzipiórkiem. Deene trącił nosem jej ucho. Załaskotało.

- Powinniśmy się cieszyć, że jego opowieści o plotkach to było tylko wyolbrzymienie jego własnych wysiłków, by mnie zniesławić, i że w rzeczywistości nikogo nie interesuje moja bujna młodość ani nasz związek.

Bujna młodość. Przypomniało to Evie o pewnej sprawie, którą powinna z nim omówić.

- Muszę z tobą poruszyć trudny temat, mężu.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się upierać przy białym małżeństwie, Eve Denning.

Przytulił się bliżej, jakby przyznając, że temat białego małżeństwa cały czas tkwił w zakątkach jego męskiego umysłu, dręcząc go przez te minione tygodnie, i że stanowczo żąda, by puścić go w niepamięć.

- Na litość boską mężu, to jest ostatnia rzecz, jakiej bym od ciebie chciała. Chybabym oszalała...

Zostawił w spokoju jej szyję.

- W takim razie możesz mówić.

Nie tak miało to wyglądać. Chciała być rzeczowa, konkretna i pozbawiona sentymentów. Przekazać mu kilka faktów, żeby oczyścić swoje sumienie i pokazać, że mu ufa tak samo jak on jej.

W końcu małżeństwo powinno się opierać na wzajemnym szacunku.

- Od dawna chciałam ci to powiedzieć, ale jakoś się nie składało. To bardzo osobista sprawa.

- Słucham cię. Trudno sobie wyobrazić lepsze warunki do takiej rozmowy.

Jego odpowiedź była niezbyt pomocna, ale przy tym pogładził ją po włosach, raz a potem drugi. Ten gest przypomniał jej chwilę, gdy poklepał ją po ramieniu przed wyścigiem. Jak był blisko niej przez cały dzień, jak przeniósł ją przez próg.

- Miesiączka mi się spóźnia, mężu.

W odpowiedzi westchnął i pocałował ją w policzek. W policzek?

- Zważywszy, jak blisko jesteśmy ze sobą, i jaka jesteś namiętna, trudno byłoby tego nie zauważyć.

Spodobało jej się, że uważa ją za namiętną. Ale że to zauważył... Co jeszcze mógł zauważyć?

- Zauważyłeś, że dziś o mało nie umarłam ze strachu na tym koniu?

- Naturalnie. Im bardziej się boisz, tym jesteś spokojniejsza. Przeważnie.

Kolejny pocałunek, tym razem w drugi policzek.

- Chociaż w noc poślubną wcale nie byłaś szczególnie spokojna. Och, zamierza poruszyć ten temat wprost. A ona chciała zacząć

od ogólników, rzucić parę sugestii, prześliznąć się po wierzchu i pozwolić, żeby sam wyciągnął wnioski.

Takie rzeczy powinno się ujawniać subtelnie.

- Nie byłam dziewicą.

Na litość boską, powiedziała to w końcu i to na głos. Deene potarł podbródkiem jej prawą brew, potem lewą i objął ją trochę mocniej.

- Byłaś.

- Nieprawda. Oddałam cnotę... Lucas, czy ty mnie słuchasz?

- Zawsze cię słucham. Nie oddałaś cnoty nikomu, została ci odebrana siłą przez podłego człowieka, który miał do tego takie samo prawo, jak do strojenia się w klejnoty koronne.

Jej mąż mówił cicho i z pasją, choć jego dłoń łagodnie gładziła ją po włosach.

- Skąd wiedziałeś?

To on wiedział? Wiedział to przez cały czas i nic nie mówił?

- Z początku myślałem, że się denerwujesz jak każda panna młoda przed pierwszym spotkaniem z mężem, ale potem zrozumiałem, że to nie nerwy, tylko strach. Bałaś się mnie i tego, co mógłbym o tobie pomyśleć. Jakbym...

Przetoczył się razem z nią, układając ją sobie na piersi i otaczając ramionami. Spojrzała mu oczy w półmroku, panującym w sypialni.

- Twój brat Bartholomew pierwszy dopadł tego idioty. Tamten był na tyle głupi, że przechwalał się darem, jaki od ciebie dostał. Co więcej, przechwalał się, ile jego milczenie będzie kosztowało twoją rodzinę. Ten dureń przechwalał się swoim sprytem, podłością, podstępnością i całkowitym brakiem honoru... i to przed twoim własnym bratem.

- Bart nigdy mi nie mówił... Devlin nie zdradził się ani słowem.

- Wydaje mi się, że nic o tym nie wiedział. Zanim dotarł na miejsce, Bart pobił tego podleca prawie na śmierć, a potem oddał go werbownikom. Dowiedziałem się o tym przypadkiem, kiedy razem z lordem Bartem suszyliśmy butelczynę, i to niejedną, w noc przed przerwaniem oblężenia Ciudad Rodrigo. Gorzko żałował krzywdy, jaka się stała, żałował też, że nie pomścił twojego honoru śmiercią. Wielu rzeczy żałował, ale na pewno nie tego, że przeżyłaś i jeśli dobrze pójdzie, będziesz mogła wieść szczęśliwe życie.

- Wiedziałaś o tym od zawsze i nie zdradziłaś się ani jednym słowem.

- Wiedziałem o tym od zawsze i zachowałem się, jak przystoi dzentelmenowi, w obliczu damy, której wyrządzono krzywdę. Ty też nic nie powiedziałaś, Evie, nawet swojemu mężowi.

Nie oskarżał ją o grzechy, mówił o swoim smutku z powodu tego, co się stało. Przytuliła się do niego, przycisnęła nos do jego gardła. Wypełniły ją ulga, smutek i dziwna radość.

- Przez te wszystkie lata wydawało mi się, że jestem sama w obliczu tego, co się stało, ale przez cały czas miałam w tobie przyjaciela, prawda?

- Nie zawsze byłem twoim przyjacielem, Evie. Kiedy mężczyznę tak pociąga kobieta, która tak wiele przecierpiała z rąk...

Uciszyła go pocałunkiem - miękkim i życzliwym pocałunkiem jakim żona przywołuje do porządku męża, który się zagalopował, kiedy powinien jej wysłuchać.



- Kocham cię, Lucas. Kocham cię za wiarę, jaką we mnie pokładasz, za twoją cierpliwość, za twój honor... i z wielu innych powodów. Kocham cię i mam do ciebie zaufanie. A poza tym, kocham cię.

Westchnął z głębi serca.

- Ale nie będziesz już startować w żadnych wyścigach, na dowód tych wszystkich cudownych uczuć, jakie do mnie żywisz?

- Na pewno nie konno.

Choć reszta tej nocy - i wielu innych nocy, w ciągu następnych dziesięcioleci - upłynęła jej na okazywaniu właśnie tych uczuć, na milion różnych sposobów.

## *Od autorki*

Historia wyścigów konnych w Anglii sięga co najmniej czasów wypraw krzyżowych, kiedy to rycerze powracający z wojny przywieźli ze sobą szybkie, inteligentne, wytrzymałe pustynne wierzchowce i zaczęli je krzyżować z miejscowymi końmi. Ostatni protoplasta rodu pełnej krwi angielskiej urodził się w 1724 r, a na początku XIX wieku księga stadna folblutów zawierała już pełną genealogię wszystkich koni wystawianych oficjalnie w angielskich wyścigach, wywodzącą się od trzech ogierów - protoplastów rodu.

W latach pięćdziesiątych XVIII wieku powstał angielski Jockey Club jako elitarna organizacja zajmująca się wyścigami konnymi.

W ramach swojej misji klub wprowadził regulamin wyścigów, który wkrótce przyjęły wszystkie większe tory. Wprawdzie kobiety nie startowały w oficjalnych wyścigach klubowych, ale miały swoje konkursy Lady's Cup, organizowane podczas nieformalnych wyścigów. W niektórych występowały jako właścicielki wierzchowców, w innych same ich dosiadały. Podczas takich konkursów nieraz zdarzało się, że zawodowi dżokeje ścigali się z damami z towarzystwa.

Do dziś, nawet w zmaganiach olimpijskich, kobiety startują na równi z mężczyznami we wszystkich konkurencjach jeździeckich i często z nimi wygrywają.

Mam dług wdzięczności wobec Emery Lee, autorki powieści *The Highest Stakes* i *Fortune's Son* za informacje o historii wyścigów konnych w Anglii. Choć jej powieści opowiadają o fikcyjnych wydarzeniach, zawarła w nich mnóstwo cennych szczegółów, fascynujących dla prawdziwych miłośników tego królewskiego sportu.

## **Podziękowania**

*Nie zamierzałam zaczynać kariery pisarskiej od cyklu ośmiu książek, ale oto jesteśmy przy końcu kolejnej opowieści o rodzinie Windhamów, a praca nad następną historią już się zaczęła. Nie sposób wymienić wszystkich, którzy przyczynili się do sukcesu tego przedsięwzięcia i służyli mi przy nim pomocą. Może jednak mimo wszystko spróbuję, bo podziękowania to jedna z najmiłszych rzeczy związanych z wydawaniem książek.*

*Wielkie dzięki:*

*Dla mojej redaktorki, Deb Werksman, która wie, jak doszlifować to, co jest dobre i potrafi odesłać mi z powrotem to, w co należy włożyć jeszcze więcej pracy.*

*Dla mojej redaktorki technicznej, Skye, która ma talent do wyszukiwania omyłek, które wszyscy inni przepuścili, i robi to w wyjątkowo miły sposób.*

*Dla Susie, przemilej bogini kalendarza, wykonującej niezchczone prace, których nikt nie opiewa wierszem ani prozą.*

*Dla Cat, uczestniczącej w pisaniu wszystkich moich książek, dzięki której nie opuszcza nas dobry nastrój, a i praca produkcyjna posuwa się gładko.*

*Dla Danielle, która dba o zachowanie standardów i wierzy w książki i autorów, którzy mieli to szczęście, że została ich wydawcą.*

*Dla Gail, mojej korektorki, która przed zaśnięciem modli się do Najwyższego, żeby Grace Burrowes przestała w końcu nadużywać zwrotu „ani też nie”.*

*Dla reszty zespołu z marketingu, składu, księgowości i wszystkich innych działów. Nigdy w życiu nie spotkałam miłszej, pracowitszej i bardziej profesjonalnej ekipy.*

*Dla moich agentów, Steve'a i Kevana, którzy zawsze podnoszą słuchawkę, choć wiedzą, że będę ich wypytywać o różne dziwne rzeczy.*

*I jeszcze dla mojego wydawcy, Dominique Raccach. Chyba żaden inny raczkujący autor nie zasypia tak spokojnie jak ja, ze świadomością, że wspiera go wydawca, który będzie siedział po nocach i czytał książkę strona po stronie, żeby dojść, co jest z nią nie tak, nawet jeśli nikt inny nie umie tego dostrzec. Takie wsparcie to niesłychane błogosławieństwo, które dobrze wróży wszystkim kolejnym tomom o rodzinie Windhamów i ich przyjaciółach.*